ELIZA ORZESZKOWA

ELI MAKOWER

Dla starszych Ładna

ELI MAKOWER

CZĘŚĆ I.

ELIZA ORZESZKOWA

PISMA

WYDANIE ZBIOROWE ZUPEŁNE ZE WSTĘPEM
AURELEGO DROGOSZEWSKIEGO

TOM VI

ELI MAKOWER

CZĘŚĆ I.

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK □ THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

ELIZA ORZESZKOWA

ELI MAKOWER

CZĘŚĆ I

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA — LUBLIN — ŁÓDŹ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
NEW YORK — THE POLISH BOOK IMPORT. CO, INC.

NAKŁAD I WŁASNOŚĆ WYDAWCÓW.
WSZELKIE PRAWA PRZEDRUKU I PRZEKŁADU ZASTRZEŻONE.
DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.
1912

ELI MAKOWER.

CZĘŚĆ I.

I.

Na jedną z najpiękniejszych i najżyźniejszych nadniemeńskich okolic spadał powolny mrok letniego wieczoru i przezroczystym jeszcze, szarawym cieniem obejmował obszerny, szczytami licznych topoli najeżony, o zieloną ścianę gęstych i rozległych ogrodów.oparty, dwór orchowski.

Przez wielką salę, o czterech podłużnych oknach i sprzętach rzadkich, wokoło wysokich ścian umieszczonych, przesuwała się raczej, niż przechodziła, szczupła i wysoka postać kobieca.

Była to pani dworu, Leontyna z Ręczyców Orchowska, słynna niegdyś z piękności swej i rozgłośnych w świecie powodzeń.

Że była niegdyś piękną, każdy dziś jeszcze odgadłby z pierwszego na nią spojrzenia, jakkolwiek jesień życia srebrzyć już zaczynała włosy jej kruczej czarności; ale nikt domyśliłby się nie mógł z pewnością, iż był czas, w którym ona także umiała być wesołą.

Patrząc na nią w tej chwili, nikt nie mógłby pomyśleć o porze owej, w której czoło jej promieniało dumą i pogardą, usta śmiały się swobodnie i często, czarne źrenice płonęły niecierpliwem pragnieniem blasku, hołdów, wesołości, dłonie umiały z dziecięcym wdziękiem i ponętną zalotnością bawić się kwiatkiem lub wachlarzem, w której nakoniec cała ta postać wysoka prostą była, jak topola, żywą, jak iskra, jak tęcza, mieniącą się barwami i połyskami jedwabiów, koronek, dyamentów.

Dziś czoło kobiety tej, białe jeszcze, zorane było kilku surowemi zmarszczkami, usta zwiędłe i okrążone wyrazem nieokreślonej goryczy, źrenice zagasłe ze sztywną obojętnością w ziemię utkwione.

Powoli i cicho, w sukni czarnej, której krój i barwa napół przypominały surowe szaty zakonne, napół romantyczny strój średniowiecznych kasztelanek, z głową pochyloną i opuszczonemi w dół białemi dłońmi, kobieta ta przesuwała się dziś pomiędzy wysokiemi ścianami domu swego, niby duch smutku, rozlewający dokoła siebie zniechęcenie.

Jakkolwiek ostatnie blaski dnia dostatecznie jeszcze rozświecały wnętrze domu, wązka smuga białego światła lampy wymykała się z nieszczelnie zamkniętych drzwi pokoju, przytykającego do sali.

Przed drzwiami temi kobieta w czerni zatrzymała powolne swe kroki.

— Czy mogę wejść? — zapytała zcicha.

— Proszę — odpowiedział z sąsiedniego pokoju głos męski, stłumiony także, z zesłabłej, chorej widocznie piersi wychodzący.

Pokój, do którego weszła teraz pani orchowskiego dworu, mniejszy nieco od poprzedzającej go sali, obszerny był jednak, o trzech wielkich oknach, ściśle okrytych w tej chwili zasłonami z grubego sukna. Przestrzenie, znajdujące się pomiędzy oknami, jako też jedną ze ścian bocznych, zajmowały całkowicie ogromne szafy, od góry do dołu oszklone, szczytami dotykające wysokiego sufitu, napełnione książkami różnych formatów i w przeróżnej oprawie, tu starannie ustawionemi, gdzieindziej porozrzucanemi w najwyższym nieładzie, o ciągłem używaniu ich świadczącym. Ścianę przeciwległą oknom w połowie prawie okrywał obraz wielkich rozmiarów, tłumną jakąś dziejową scenę przedstawiający, i w ozdobne, złocone ramy ujęty.

W głębi szerokie łoże, wysoko pościelą zasłane, stało pod ścianą, na której wisiały portrety kilku słynnych poetów i myślicieli: Słowackiego, Szekspira, Schillera, Hugona Kołłątaja, Mirabeau, Woltera. Od stóp łoża puszyste skóry niedźwiedzie i lamparcie rozciągały się aż pod skraj komina, staroświeckiego kształtu i wielkich rozmiarów, przed którym stał obszerny stół okrągły, książkami i papierami piętrzący się, z zapaloną lampą pośrodku.

Światło lampy, wypływając z pod przezroczystej osłony, niedostatecznie oświetlało obszerną i wysoką komnatę, w niewyraźnych tylko zarysach ukazując napełniające ją przedmioty. Słabe światło to, walczące z mrokiem, cisza głęboka, atmosfera duszna, gorąca, pomimo letniej pory ogrzewana ogniem, utrzy-

mywanym wciąż na kominie w stanie tlenia, nadawały pokojowi temu cechę smutku i niemal posępności.

Przy stole, w głębokim fotelu, siedział mężczyzna, ubrany w szlafrok ciemnej barwy. Pomimo siedzącej postawy, znać było, iż musiał być wysokim, a szerokość ramion i cała budowa ciała dowodziły, że natura go stworzyła zdrowym i silnym. Teraz jednak szerokie plecy jego przygarbione, pierś wklęsła, szyja chuda, otoczona białym kołnierzem koszuli, i ręce złożone na stole, wkoło otwartej książki splecione, białe, przezroczyste, świadczyły o ostatecznem niemal fizycznem wyniszczeniu i niemocy. Ciału temu, napiętnowanemu sprzecznością siły z niemocą, wyrazem swym w zupełności odpowiadała głowa. Była to głowa wielka, taka, w której frenolog mógłby domyślić się potężnie utworzonego i rozwiniętego mózgu; czoło nad brwiami wypukłe, wysokie, podniesione jeszcze całkowitem prawie wyłysieniem czaszki, znamionowało niepospolite umysłowe zdolności; oczy, podłużnie wykrojone, z błękitną źrenicą, musiały być niegdyś piękne i pełnią życia jaśniejące, usta, ocienione bujnym posiwiałym wąsem, posiadały zarys wytworny, organizmom rasy pod względem fizycznym poprawnej właściwy. Wszystko to jednak było dziwnie zwiędłe, zmięte, zatarte, spłowiałe. Na czole tem wielkiem zgromadziło się zmarszczek mnóstwo; źrenice pobladłe, znużone, z wyrazem tlejącej jakby zwolna i milcząco boleści na dnie, patrzały z pod powiek ciężkich, obrzękłych i zarumienionych; końce warg zwisały w dół, pomiędzy żółtą i pomarszczoną skórą policzków. Jakimikolwiek były żywioły fizyczne lub moralne, które podkopywały i podkopały zdrowie, energię, piękność i zdolność człowieka tego, uczyniły one z niego smutną ruinę, obraz bezwładności cielesnej i nieuleczalnego, zda się, smutku ducha.

Wysoka postać i czarna szata pani Leontyny przesunęły się wśród mrocznego pokoju zwolna, bez szelestu, i białe palce jej dotknęły na mgnienie oka chudej, gorączką rozpalonej dłoni siedzącego w fotelu mężczyzny. Zajęła miejsce przy stole i, wychylając pod światło lampy twarz swą, smutną trochę i zadumaną, lecz więcej jeszcze obojętną i surową, zniżonym, bardzo przewlekłym głosem zapytała:

— Jakże czujesz się teraz, Kajetanie?

— Jak zwykle — z zupełną obojętnością odpowiedział mężczyzna.

— Dziś zrana jednak, kiedym tu była, mówiłeś mi, że jest ci nieco lepiej.

— Zwykła to rzecz u suchotników, że ranek przynosi im ulgę, a wieczór zwiększone cierpienie — nie zmieniając obojętnego tonu, rzekł Kajetan Orchowski.

Pani Leontyna westchnęła.

— Spodziewam się — zaczęła znowu — że nie bierzesz za złe mnie ani Lili, jeśli nie przebywamy z tobą ciągle. Ja jestem także cierpiącą bardzo. Widok twej choroby rozstraja mi nerwy i wprawia uczucia w stan rozdrażnienia, którego dusza chrześcijańska i zrezygnowana unikać powinna. Lila znowu jest, jak wiesz, tak szczupła, delikatna... a w wieku jej... pewne choroby najłatwiej udzielać się mogą...

— Wiem, wiem — wymówił mężczyzna z tą samą, co wprzód, zupełną obojętnością, ale wyraz oczu jego zaprzeczył tym razem dźwiękowi głosu.

Oczy te, blade i zmęczone, obiegły dokoła mroczną, posępną, nieożywionymi tylko przedmiotami napełnioną komnatę, i powlokły się szybko powieką, jakby skryć chciały iskrę żalu, co w nich zapłonęła. Po chwili, kończąc głośno myśl, która powstała mu w głowie, powoli i ciszej, niż wprzódy, wymówił:

— Nie uskarżam się na nic i o nic nie obwiniam nikogo. Wszak wierzę, że wszystko, co spotyka człowieka, jest następstwem całego ciągu jego życia, jest własnem jego dziełem...

— Wolą Bożą — cichym, lecz stanowczym głosem przerwała pani Leontyna.

— Wola Boga nie jest wolą despoty. Stworzyła ona świat i człowieka tak, aby żaden skutek nie powstawał bez przyczyny, i żadna przyczyna nie przemijała bez skutku.

Parę zdań tych Kajetan Orchowski wymówił tonem urywanym, lecz dobitnym.

Pani Leontyna za to spuściła oczy i westchnęła znowu.

— Na tym punkcie zdania nasze nie zejdą się z sobą nigdy — rzekła sucho i krótko i, jakby chciała inny zwrot nadać rozmowie, rzuciła wzrokiem na papiery i książki, stół pokrywające.

— Zbytecznie trudzisz się tem czytaniem; doktór usilnie zaleca ci spoczynek.

Po zwiędłych wargach Orchowskiego przesunął się uśmiech o nieokreślonym wyrazie.

— Spoczywałem całe życie — wymówił.

— Tem bardziej więc spoczywać możesz teraz, gdy jesteś chory i...

— Blizki śmierci — dokończył mężczyzna.

Kobieta nie odpowiedziała.

— Otóż to tak — z uprzednim wciąż uśmiechem na ustach ciągnał Orchowski — jednym śmierć przybywa przedwcześnie dlatego, że nazbyt pracują, innym dlatego, że nazbyt zażywają wczasu...

— Ja tego wszystkiego nie rozumiem — z większą, niż wprzódy, żywością przerwała kobieta. — Wiesz dobrze, iż nigdy nie miałam najmniejszego pociągu do wszelkich tych uczoności i filozofii, które nie prowadzą ani do szczęścia na tym świecie, ani do zbawienia wiecznego na tamtym. Widzę tylko to, że szczególne zamiłowanie twoje w tych szpargałach do reszty odbiera ci siły.

— Miałem ich kiedyś więcej i nic z nich nie uczyniłem; dziś jest już ich we mnie za mało, aby na cokolwiek przydać się mogły. Szpargały te zresztą, Leontyno, to jedyna pociecha moja, jedyny promień, który przyświeca ostatnim godzinom mego życia.

Powiedział to bardzo spokojnie, bez cienia skargi w głosie, a jednak pani Leontyna uczuła snadź wyrzut, który mieścił się w ostatnich jego słowach. To też uśmiechnęła się półcierpko, półsmutnie, i czarne oczy swe podniosła na twarz męża z wyrazem nietajonego wcale żalu.

— A ja? — rzekła powoli — jakąż jest jesień mego życia? Tak, bo jesień to już, jesień... jesień...

Ostatni wyraz, trzy razy powtórzony, stopił się w szepcie zaledwo dosłyszalnym i w westchnieniu, które, niezwalczone i zapewne niezwalczane, podniosło wysoko pierś jej, okrytą surowymi fałdami czarnego stanika.

Potem zaczęła znowu:

— Od lat już kilku siedzę zamknięta w tym wielkim, milczącym domu, jak w grobie... Nie widzę ludzi i nie szukam ich... Pocóż mi zresztą ludzie, i co wśród nich znaczyłabym teraz... zestarzała... smutna?... Dni wloką się, jak lata, i gdyby nie wiara, która mnie podtrzymuje, gdyby nie modlitwa, w którą przelewam wszystkie łzy zbolałego swego serca...

— A dzieci twoje, Leontyno? — zapytał mężczyzna, który dotąd słuchał żalów swej żony z zupełną obojętnością, niby zwrotki swego i jej życia, którą wiele już razy słyszał, dokładnie znał i rozumiał.

Ramię pani Leontyny, objęte czarnym, obcisłym rękawem, poruszyło się giestem zniechęcenia.

— Dzieci? — powtórzyła — wszak Kamil podróżuje ciągle

prawie, a gdy jest w domu, siedzi tak, jak ty, zakopany w książkach... Mieczysław, za gospodarstwem swem w Rydlówce, od lat dwóch już Bożego świata nie widzi, i zresztą kochał on zawsze ciebie nieporównanie więcej, niż mnie...

Westchnęła ciężko i dodała:

— Taki to już los wielu matek, że synowie ich, gdy dorosną, stają się im zupełnie prawie obcymi... Kamil i Mieczysław nie zwierzają się nigdy z niczem przede mną, a ile razy, dawniej jeszcze, którykolwiek z nich zaczął mi mówić o tem, jak myśli i co czuje, nie doprowadziło to nas do niczego więcej, jak do bolesnych bardzo sprzeczek i zwiększonej ich dla mnie obojętności.

Gdy pani Leontyna tak mówiła, usta pana Kajetana otworzyły się i zamknęły znowu parę razy; zdawać się mogło, że wyrzekaniom tym odpowiedzieć chciał zapytaniem jakiemś, czy uwagą, która wyjaśniłaby może obudzającą je przyczynę. Nie uczynił jednak tego; wszelkie uwagi i przypominania uznał snadź za rzecz zapóźną i bezpożyteczną, krótko więc tylko zapytał:

— A Lila?

— Lila przy guwernantce, a gdy nie będzie już miała guwernantek, to za mąż pójdzie — odrzekła pani Leontyna.

Po krótkiej chwili milczenia, z głową pochyloną, z dłońmi splecionemi i złożonemi na kolanach, mówiła dalej:

— Jestem wiecznie sama... sama jedna ze wspomnieniami tylko minionej przeszłości, które nie pozostawiły mi nic, prócz żalu za tem, co było... od których zresztą usiłuję uwolnić się modlitwą i oderwaniem myśli od ziemskich próżności... Synowie moi oddalili się ode mnie sercem, wyobrażeniami, całym sposobem życia i myślenia... córka nie potrzebuje starań moich, bo nie jest już przecie niemowlęciem, a wkrótce może opuści mnie zupełnie... Dom, w którym przeżyłam lat trzydzieści, nie stał mi się miłym wcale, nie może mi zresztą miłym być teraz, gdy wszystko tu starzeje, rujnuje się i upada w gruzy... Gdziekolwiek spojrzę, na siebie, czy dokoła siebie, wszędzie widzę tylko starość, smutek, zniszczenie!...

Pan Kajetan napół tylko zdawał się słuchać wyrazów tych, cichym i przewlekłym głosem wypowiadanych. Oczy jego z pewną niecierpliwością zwracały się co chwila na karty rozwartej książki. Myśl znużona i roztargniona słuchaniem tego, co zbyt dobrze i oddawna było jej znane, uciekała w oderwane od

najbliższej rzeczywistości światy poezyi i rozpamiętywań. Pani Leontyna spostrzegła to, i zwolna podniosła się z siedzenia.

— Widzę, że przeszkadzam ci — rzekła. — Oddawna zresztą wiem, że najlepiej ci jest, gdy zostajesz sam ze swemi ulubionemi książkami.

— Ja także, Leontyno, wiem oddawna o wszystkiem, o czem mi przed chwilą mówiłaś. Jesień twojego życia smutną jest, kres mego niewesoły także. Cóż na to poradzić? Dopuściliśmy się snadź srogich omyłek i błędów, skoro nam one tak gorzkie przynoszą owoce... żyć zaś po raz drugi, aby stracone dobra odzyskać, nie możemy.

— Ja znowu nie poczuwam się do tak wielkich błędów, aby mi za nie podobna wyznaczona była pokuta. Grzeszna jestem przed Panem, jako istota ułomna, to prawda; mniej jednak z pewnością zawiniłam w swem życiu, niż wiele innych kobiet, stokroć jednak szczęśliwszych ode mnie. Nie mam sobie nic do wyrzucenia, i w nieszczęściu swem widzę tylko wolę Boga, który ciężkie krzyże lubi zsyłałać częstokroć i na niewinnych, aby uświęcać dusze ich, nazbyt może przywiązane do marnych powabów świata.

Chwila milczenia panowała pomiędzy małżonkami.

Kajetan Orchowski wpatrzył się w karty książki, potem podniósł czoło, na którem więcej jeszcze, niż wprzódy, zjawiło się zmarszczek i, z okiem rozpalonem nagłem jakiemś gorącem uczuciem, rzekł:

— Uznajesz się niewinną, Leontyno... niewinną zupełnie... Zaprzeczać ci nie będę, bo i na cóż to przydaćby się mogło? Ale oto dlaczego nie zgadzamy się ze sobą na znaczenie żadnego ze słów mowy ludzkiej, dlaczego niepodobna, abyśmy sobie wzajem jakąkolwiek nieśli pociechę. Ja poczuwam się do omyłek i błędów wielkich, ciężkich; wyrzucam sobie srogo, że uczyniłem z życia swego to, co uczyniłem; uznaję się winnym... nietylko przed Bogiem, jak ty, ale przed ludźmi, tobą, sobą i dziećmi naszemi... Dlatego też nie wyrzekam... i cały ból swój i wszystkie żale chowam tu!...

Przy ostatnim wyrazie, położył na piersi, wzdymającej się krótkim, chrapliwym oddechem, rękę swą chudą, przezroczystą, a na wklęsłe policzki jego wystąpiły dwie plamy gorącej, ceglastej barwy.

Pani Leontyna słuchała słów męża z brwią ściągniętą i z cierpkim, wzgardliwym prawie uśmiechem na ustach.

— Uważam to od niejakiego czasu — rzekła — iż każda

rozmowa ze mną irytuje cię i *robi ci źle*... Dobranoc! Jeśli będziesz mnie potrzebował, przyślij po mnie Tomasza. Znam i rozumiem powinności swoje, jako żony; świat i lata nauczyły mnie pokory; gotową więc jestem w każdej chwili oddawać ci usługi, choć najniższe, najtrudniejsze... Jutro, zresztą około południa, przyjdę, jak zwykle, dowiedzieć się, jak noc spędziłeś.

Rzekłszy to, odeszła, jak przyszła, zwolna i bez szmeru.

W obszernej komnacie cicho było znowu, jak w grobie; lampa malowała na suficie świetliste koła i drżące iskry rozniecała w szybach, osłaniających długie, liczne szeregi książek; z półzmroku wychylały się, mistrzowskim ołówkiem rysowane, zamyślone, energiczne, poezyą opromienione, lub ogniem czynu i walki rozgrzane twarze wielkich mężów ludzkości; przed kominem, w którym żarzyło się jeszcze parę niedopalonych drewien, na okrągłym stole, w tłumnym nieładzie skupiały się książki, rozwarte i zamknięte, podarte, zmięte i nowe, z licznymi dopiskami na marginesach, bezładnie, niewyraźnie, drżącą snadź, słabą, często jakby niecierpliwą ręką kreślonymi.

Kajetan Orchowski, po odejściu swej żony, długo siedział nad tym stosem zadrukowanego i zakreślonego papieru, nieruchomy, zmęczony, oddychając ciężko, z czołem ukrytem w dłoni, z głęboką zadumą w oczach. Wyciągnął potem rękę i przycisnął sprężynę stojącego wśród książek dzwonka. Srebrzysty donośny dźwięk, poruszeniem tem wywołany, nie umilkł jeszcze w powietrzu, gdy w bocznych drzwiach stanął mężczyzna, z głową okrytą białymi, jak mleko, włosami.

— Czy Mieczysław nie przyjeżdżał dziś do dworu? — łagodnym głosem zapytał pan Kajetan starego sługi.

Starzec wzruszył ramionami.

— Albożby pan nie wiedział o tem, gdyby pan Mieczysław tu przyjeżdżał? Albož pan Mieczysław choćby raz jeden nie był u pana, będąc we dworze?

— To prawda, mój Tomaszu, to prawda... myślałem tylko, że może... może zapomniał.

— Niech pan będzie pewny, że pan Mieczysław prędzej o własnej głowie, niż o panu, zapomni.

— A Kamil? — ciszej i spuszczając oczy, zapytał Orchowski.

Stary sługa poprawił zasłonę u lampy, przysunął do stołu dwa staroświeckie krzesła o wysokich poręczach, i milczał chwilę. Na twarzy jego pomarszczonej, lecz rumianej i czer-

stwej, zjawił się wyraz przymusu, z pewnem nadąsaniem połączonego. Po chwili rzekł tonem krótkim i mrukliwym:

— Pan Kamil przyjechał z Warszawy parę godzin temu. Kazał zrobić sobie kąpiel i podać wieczerzę. Teraz leży w łóżku i książkę czyta.

— Czy pytał się o mnie? — zcicha wymówił Orchowski, a powieki i usta jego lekko zadrżały.

— A pytał się — odparł sługa i, pragnąc jakby uwolnić się od dłuższego mówienia w tym przedmiocie dodał: — Może pan potrzebuje czego? może ogień rozpalić lepiej? albo ziółek od kaszlu przynieść? A może książkę którą z szafy dostać i podać?

Pani Leontyna tymczasem, opuściwszy pokój męża, przebyła znowu wielką salę i, przez szereg mniejszych już, ale równie ponurych i mrocznych pokojów, skierowała się w inny koniec domu.

Tam, z za drzwi zamkniętych, doleciały jej ucha dźwięki dwóch świeżych głosów, z których jeden był wyraźnie głosem młodej kobiety, drugi — wychodził z napół dziecinnej jeszcze, dziewczęcej piersi. Głosy te rozmawiały ze sobą żywo, wesoło, wznosząc się chwilami w swawolnej niby sprzeczce, to znowu przyciszając się, jakby w poufnych zwierzeniach. Raz zmieszało się z nimi parę skocznych taktów polki, czy walca, wygranych na fortepianie dorywczo i mimochodem; potem zabrzmiał długi, srebrzysty wybuch śmiechu; potem jeszcze lekkie stopy przebiegły po posadzce, jakby ktoś uciekał od czyjejś pogoni, a szmerowi temu towarzyszyły stłumione chichoty i ciche, urywane, z głośnymi wykrzyknikami pomieszane szepty, aż nakoniec rozmowy, śmiechy, muzyka i swawolna zabawa umilkły.

Pani Leontyna weszła do pokoju, w którym, prócz fortepianu, dwóch łóżek, śnieżnie zasłanych, kanap i krzeseł dość starych i zniszczonych, stał pośrodku wielki stół okrągły z książkami w szarej, podartej oprawie, z poplamionymi i porozdzieranymi zeszytami, ze szklanym kałamarzem i kilku piórami, atramentem powalanemi, niecierpliwą ręką jakąś połamanemi i rozrzuconemi. Był to więc widocznie pokój nietylko do spania, ale i do nauki młodej główki jakiejś przeznaczony. Że zmieniał się też niekiedy w miejsce zabawy, świadczył o tem nieład, napełniający go w tej chwili, krzesła porozrzucane i dwie doniczki, z rosnącemi w nich roślinami, przewrócone.

Wśród tego wszystkiego znajdowały się dwie osoby: młoda kobieta, piękna, wysoka, z bogato rozwiniętą kibicią, wymo-

wnemi oczyma i lasem kasztanowatych loków wokoło szyi, i młodziuchne, najwyżej piętnastoletnie dziewczę. Wdzięki kobiety dorosłej, jakkolwiek niepospolite, bladły wobec olśniewającej piękności dziewczyny dorastającej. Była to piękność smukłej, gibkiej brzozy i zarazem iskry, która wnet wybuchnąć ma płomieniem. Blask dwóch świec, palących się na stole, padał wprost na twarz jej ściągłą, alabastrowo białą; ukazywał usta ponsowe, jak krew, wypukłe, wilgotne; przeglądał się w wielkich, czarnych źrenicach, pływających na ciemno-błękitnych białkach; połyskiwał nakoniec w bujnych, czarnych paciorkach, dwoma rzędami otaczających szyję białą i opadających na piersi, w pełnych już kształtach rysujące się wśród fałd czarnego stanika. Włosy krucze, kędzierzawe, odrzucone z czoła w sposób pełen zalotnej niedbałości, dwoma olbrzymimi splotami spadały na plecy dziewczyny, tonąc w fałdach spódniczki krótkiej, o wiele jeszcze ziemi nie dotykającej.

W chwili, gdy pani Leontyna ukazała się we drzwiach pokoju, dziewczę stało na krześle, z głową w tył odrzuconą, rękę napełnioną cukierkami podnosząc w stronę młodej kobiety, jakby ją gradem trzymanych w dłoni przysmaków obrzucić chciało. Młoda kobieta zaś, zmęczona snadź ucieczką, czy pogonią, z rumieńcami na śniadych policzkach, rzuciła się na sofę, i z twarzą wzniesioną ku sufitowi, z ustami rozwartemi swawolnym śmiechem, groziła białą ręką młodziutkiej figlarce. Nagle porwała się z sofy i stanęła wyprostowana, zmieszana nieco. Dziewczyna zeskoczyła także z krzesła, ale niezakłopotana bynajmniej; kilku skokami znalazła się obok wchodzącej i głośny pocałunek wycisnęła na jej ręce.

— Jesteś zawsze tak żywa, Lilo! — wymówiła pani Leontyna zwykłym sobie, zniżonym, przewlekłym głosem, a zbliżając się ku stojącemu pośrodku pokoju stołowi, dodała: — Jak widzę, bawicie się wesoło.

— Lila uczyła się dziś pilnie — odpowiedziała młoda kobieta o śniadej twarzy — pracowała wiele, i sądziłam, że dobrze będzie, jeśli się trochę rozmową i zabawą ze mną rozerwie.

— Zapewne, zapewne — mówiła pani Leontyna — nie jestem znowu tak bardzo przeciwną wszelkiej wesołości, abym jej córce swojej wzbraniać miała, tem bardziej, jeśli bawi się ona w towarzystwie pani, panno Grejs. Mój Boże! młodość ma swoje prawa... i ja także niegdyś wesołą byłam... chociaż znowu

wolałabym, aby Lila wiedziała o tem z góry, że życie nasze jest tylko jednym ciągiem smutku, cierpień i zawodów.

Przy ostatnich słowach pani Leontyny uśmiech napół figlarny, napół szyderski, roztworzył usta młodziutkiej dziewczyny; wstrząsnęła głową tak energicznie, aż zabrzęczały rzędy czarnych, świecących paciorków, i chciała coś powiedzieć, gdy nagle pani Leontyna tonem zdziwienia zapytała:

— Co to jest? skąd to masz, Lilo?

Przedmiotem, który pytanie to wywołał, były cukierki, na stole rozsypane, do połowy jeszcze napełniające duże, całkiem nowe, bardzo wytworne i kosztowne pudełko.

— Skąd te cukierki, Lilo? — powtórzyła pytanie swe matka młodej dziewczyny.

Oczy nauczycielki i uczennicy skrzyżowały się szybkiem, niespokojnem spojrzeniem.

— Kamil przywiózł mi je dziś z Warszawy — odpowiedziało dziewczę, z pewną jakby determinacyą, krzyżując na piersi ramiona.

Pani Leontyna ściągnęła brew z niezadowoleniem.

— Nie lubię tego — rzekła sucho. — Strzegę cię od wszelkich zbytków i blasków, o ile mogę, bo wiem z doświadczenia, że są one rzeczą znikomą i nie pozostawiają po sobie nic, prócz żalu. Nie nosisz innych sukien, jak czarne, nie znasz innego świata, prócz czterech ścian naszego domu, łakoci nie miewasz nigdy... Jednakże skoro brat chciał tym sposobem dowieść ci swej pamięci, niech już przynajmniej panna Grejs zachowa u siebie te przysmaki... Ależ co to znowu? mój Boże!

Tym razem nowe pytanie pani Leontyny, połączone z wykrzykiem większego jeszcze niż przedtem zdziwienia, szkarłatny rumieniec wywołało na twarz pięknej nauczycielki. Ale Lila rzuciła na nią bystre spojrzenie, jakby powiedzieć chciała: bądź spokojną!

— To także Kamil przywiózł mi dziś z Warszawy — wymówiła tonem zupełnie stanowczym i spokojnym.

Nowym tym dowodem mniemanej pamięci braterskiej była złota bransoleta, ozdobiona pięknem spięciem z pereł i czarnej emalii.

Pani Leontyna z bardzo już żywem niezadowoleniem wzruszyła ramionami.

— To szczególne! — rzekła. — Kamil postanowił snadź skrzywić kierunek, jaki życzę sobie nadać twoim usposobieniom.

Pragnę, abyś wiedziała, jak marnemi są błyskotki, i miała je w pogardzie...

— To też, moja mamo — przerwała dziewczyna — nie myślę zachować dla siebie tej bransolety, chociaż podoba mi się ona bardzo... prosiłam pannę Grejs, aby chciała przyjąć ją ode mnie.

Rumieniec na twarzy nauczycielki zwiększył się jeszcze na te słowa. Nie powiedziała jednak nic, i piękne swoje, wymowne oczy, ukrywała wciąż pod spuszczonemi powiekami.

— Jesteś nazbyt samowolną, Lilo — tonem lekkiego upomnienia rzekła matka — wolałabym, abyś, przed rozrządzeniem podobną rzeczą, zapytała mnie o pozwolenie. Ponieważ jednak wiem, że kochasz swą nauczycielkę, i że wiele postąpiłaś przy niej tak w językach, jak w muzyce, miło mi będzie, jeśli panna Grejs przyjmie od ciebie tę pamiątkę.

Nauczycielka ukłoniła się w milczeniu. Nie podniosła jednak powiek, które w dół kłoniło nieprzezwyciężone jakieś zmieszanie.

— A teraz, Lilo, pójdź ze mną odmówić wieczorne pacierze. Dobranoc, panno Grejs.

Z temi słowami, pani Leontyna zwróciła się ku drzwiom. Lila pozostała jeszcze przez parę sekund w pokoju, mrugnęła ku nauczycielce swej, na znak poufnego i zarazem figlarnego porozumienia, westchnęła, główką skinęła żałośnie, a potem poskoczyła i za progiem już zaczęła iść obok matki w milczeniu i powoli.

Panna Grejs przywróciła do porządku cukierki i książki, popatrzyła przez chwilę na bransoletę, rzuciła ją na stół z giestem zniechęcenia i rzekła z westchnieniem:

— Cóż z tego wszystkiego, kiedy nie kocham go? nie, nie, nie kocham! Pięknie byłoby wprawdzie zostać panią Orchowską, panią tego domu, ale taka zwyczajna kolej życia... taki zwyczajny, pospolity człowiek...

Po kwadransie wbiegła Lila, zdyszana i, śmiejąc się, błyskając czarnemi oczyma, rzuciła się na szyję swej nauczycielki.

— O, jakże przelękłam się! — wołała przyciszonym nieco głosem — moja najdroższa panno Julio, gdy mama zobaczyła te cukierki, a szczególniej tę bransoletę. Gdyby też mama była dowiedziała się, że Kamil przywiózł to wszystko nie dla mnie, ale dla...

— Cicho! cicho! — z przestrachem upominała guwernantka.

— Nie pozwoliłaby, abyś dłużej została ze mną — ciągnęła dalej dziewczyna, tuląc twarz swą do piersi panny Julii. — Odebraliby mi ciebie... rozłączyliby nas, a ja nie przeżyłabym tego!...

Uścisk i szept jej gwałtowny był, namiętny, objawiła się w nich natura nerwowa, zapalna, nawskróś nurtowana ogniami, z których lada chwila wybuchnąć mogły burze i pożogi.

Panna Grejs kilka gorących pocałunków złożyła na czole i ustach dziewczyny.

— Dziękuję ci — szepnęła — uratowałaś mnie od wielkiego wstydu.

— Jabym za panną Julię w ogień wskoczyła — odpowiedziała Lila. — Ale cóż znowu — zawołała nagle z wyrazem gniewu i niecierpliwości — dlaczegoż bo ten Kamil nie oświadcza się już formalnie o rękę panny Julii?... Czy panna Julia kocha Kamila? proszę powiedzieć! proszę, proszę! Czy bardzo pani jego kocha? Czy tak, jak Małgorzata kochała swego *jeune homme pauvre?* proszę powiedzieć.

Stała przed guwernantką swą, z ramionami zarzuconemi wkoło jej kibici, z twarzą podniesioną ku jej twarzy. W oczach jej gorzała niecierpliwa ciekawość, usta roztwierały się uśmiechem swawolnym trochę, lecz więcej czułym i marzącym.

Panna Julia nie miała czasu na danie odpowiedzi, bo do pokoju wbiegła służąca, młoda, ładna dziewczyna, z twarzą rumianą, oczyma błyszczącemi i sporem pudełkiem w ręku. Zbliżyła się do panny Grejs i zniżonym głosem szepnęła:

— Pan Kamil pyta się, czy nie będzie dziś miał odpowiedzi od pani.

Guwernantka wzruszyła niecierpliwie ramionami.

— Powiedz, że dziękuję, nic więcej...

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Lila pochwyciła z rąk służącej kartonowe pudełko i otworzyła je.

— Ho! ho! — zawołała — jakie ładne szpilki do włosów! I pierścionek z turkusem! Ciekawam, czy naprawdę złoty? I wstążka różowa. Skądże to wszystko masz, Brygisiu?

— Przyniosłam to właśnie dlatego, aby panienkom pokazać. Walenty przywiózł mi wszystkie te piękne rzeczy z Warszawy — z tryumfującą miną odparła garderobiana.

Lila włożyła w czarne swe włosy dwie wielkie, pozłacane zapewne, strzały, i przeglądała się w lusterku małem, jedynem, jakie znajdowało się w pokoju.

— Ten Walenty musi cię bardzo kochać, Brygisiu, jeżeli

i w Warszawie nie zapomniał o tobie. Czy prędko pobierzecie się?

— Nie wiem, panienko, może ja wcale za niego nie pójdę.

— Cóż znowu! dlaczego? jeśli on cię tak kocha...

— Ale ja jego nie bardzo... prosty lokaj! — wzgardliwie układając ponsowe usta, rzekła dziewczyna.

— Wiem! wiem! — zawołała Lila figlarnie, mrugając oczyma — tobie co innego w głowie.

Pochwyciła służącą za oba ramiona, okręciła ją w kółko parę razy, i z wybuchem śmiechu szepnęła jej na ucho:

— Widziałam, jak brat mój, Mieczysław, pocałował cię raz... tam... koło starego dębu w ogrodzie...

Garderobiana spłonęła szkarłatem, wysunęła się zgrabnie z drobnych, lecz silnych rąk, i wpół rozpromieniona, wpół nadąsana, pochwyciła pudełko swe z kosztownościami:

— Nie wiedzieć co, doprawdy, panienka wygaduje! Pójdę ot prędzej, bo Walenty czeka w garderobie na odpowiedź od panny Julii dla pana Kamila...

Ze słowami temi wybiegła żwawo i fertycznie.

Panna Grejs zamyślona, widocznie rozdrażniona trochę i zaniepokojona, rozbierała się powoli. Lila zdjęła także czarne paciorki z szyi i rozpinała stanik sukni.

— Czy poczytamy dziś trochę? — ozwała się po chwili guwernantka.

— A jakże, panno Julio! — zawołała Lila — koniecznie, koniecznie! Umieram z ciekawości dowiedzenia się o tem, co się stanie z tą piękną Klotyldą i nieszczęśliwą Maryą. Niech panna Julia położy się cichutko, wygodnie. Ja drzwi pozamykam.

Zasunęła w istocie zasówki u drzwi, przysunęła stoliczek ze świecą do łóżka guwernantki, umieściła przy nim najwygodniejszy ze znajdujących się w pokoju fotelów i, z książką w ręku, w białem rannem ubraniu, usiadła w nim, zwinięta jak kotek; panna Grejs leżała w pościeli, z twarzą zwróconą ku sufitowi, z cieniutkim papierosikiem w ustach.

— Czytaj, Lilo! — rzekła głosem rozmarzonym nauczycielka.

Lila zaczęła czytać romans francuski. Czytała biegle, z przejęciem się, z zapałem; policzki jej zapałały pod wpływem wrażeń, płynących z kart książki, oczy czerwieniły się od zmęczenia, ale gorzały, błyskały, migotały. W pokoju tym cichym, zamkniętym, słowo *kochać* powtarzało się co chwila, wymawiane ustami piętnastoletniej dziewczyny. Eros, różowy, marzący Eros wszech-

władnie panował w tym przybytku zaledwo rozwijającej się z pączka, w surową czarną suknię ubranej młodej dziewczyny; kołysał zmysły jej fantazyą, daremnie z innej strony straszoną smutkiem życia i znikomością wszystkiego, co ziemskie.

* * *

W innej części domu, w pokoju oświetlonym ostatnimi blaskami dnia, stała u okna pani Leontyna. Urządzenie pokoju świadczyło o dwu usposobieniach zamieszkującej go osoby: o przyzwyczajeniu do wytworności, zbytku, i przechylaniu się ku surowemu, ascetycznemu prawie obyczajowi. Zwierciadła w pokoju tym nie było żadnego, łóżko okrywała pościel szczupła i twarda; na jednej ze ścian wisiał wielki krzyż czarny, z rażąco białą figurą Chrystusa i z klęcznikiem, dźwigającym kilka ciężkich ksiąg do nabożeństwa. Ale naprzeciw łoża stała nizka, miękka kanapka, z podobnymiż fotelami i stoliczkiem, pełnym kolorowych kanw, jedwabiów, błyszczących neseserów; naprzeciw żałobnego krucyfiksu znajdowała się szafka rzeźbiona z różanego drzewa, połyskująca z za szkieł złocistemi oprawami malutkich, leciuchnych książeczek, wielce światowej treści. Pod krucyfiksem, na klęczniku, bielała trupia główka, uwieńczona różańcem; obok kanapki zaś na etażerce stało pudełko, wykładane perłową konchą, ze złoconym napisem u dołu: *mes souvenirs.*

Kobieta ta, która zwykła była w pokoju tym odmawiać różańce pod krucyfiksem i czytywać romanse na miękkiej kuszetce, z twardego łoża przypatrywać się trupiej czaszce, i z hebanowego pudełka wyjmować pachnące wiosną, światem, pamiątki młodości, stała teraz u okna, z dłońmi splecionemi i opartemi o szybę, z czołem złożonem na dłoniach.

Widok, na który spoglądały zapadłe, smutne jej oczy, bardzo był piękny. Dzień letni skończył się, ale gorące ognie i barwy jego ulatywały jeszcze gdzieniegdzie po widnokręgu, pasem purpury i złota dzieląc na zachodzie niebo od ziemi, różową łuną migocąc na dalekich łąkach i wśród zielonego liścia poblizkich drzew. Dwór, na szerokiej przestrzeni rozłożony, z mnóstwem rzuconych wkoło budowli i bujnie wzrastającą roślinnością, wydawał się o tej wieczornej porze przybytkiem piękna, obfitości i bogato rozwiniętego życia.

A jednak kobieta, której wszystkie te skarby i piękności

oddawna były własnością, obojętnem, żałością omglonem okiem patrzała na nie, wzdychając i szepcąc:

— Mój Boże! jak smutne, bezbarwne, puste jest życie moje! Po cóż żyłam... po cóż żyję... i cóż znaczę teraz na świecie?

II.

Przy świetle dnia, uwyraźniającem przedmioty, dwór orchowski wyglądał o wiele mniej pięknie i zamożnie, niż pośród niepewnych blasków i cieniów wieczora.

Była to siedziba staroszlachecka. Pierwsze podwaliny jej zakładał ktoś kiedyś z rozumem i dobrym smakiem. Oko artysty lub przyrodoznawcy strudziłby się mogło, rozpatrując niezliczone kształty, barwy i odcienie tych drzew, krzewów, traw, które wzrastały tu w takiem nagromadzeniu i poplątaniu, że zdala ta masa roślinności wydawać się mogła lasem. Smukłe topole, rozłożyste kasztany, dęby i lipy o pniach stuletnich, żółtem kwieciem osypane klony, modrzewie smutne i płaczące brzozy, splatały się i obejmowały wzajem, otaczając staw wielki, w głębi ogrodu ukryty. Poniżej było państwo krzewów kwiecistych i jagodowych: bzów, róż, jaśminów, malin i agrestów, a niżej jeszcze ziemia żyzna wzdymała się lasem traw gęstych i bujnych. Dokoła tej spójnej masy roślinnej leżały pola, jak okiem sięgnąć, żółtawe teraz od pozostałej po ściętem zbożu ścierni, szlakami miedz i pasami łąk porznięte.

Na skraju widnokręgu szarzał niewyraźny zarys o parę wiorst odległego miasteczka i siniały wzgórza, jodłą porosłe, z dwóch stron wieńczące wązkie, głębokie koryto Niemna. Bliżej, pomiędzy dwiema wioskami, w małych dolinkach rozrzuconemi, wiła się, szumiała rzeczka, wązka, lecz bystra i głęboka, a przy jednym z jej zakrętów wznosiły się resztki istniejącego tam niegdyś młyna.

Wszystko zresztą, co zaliczało się nie do dzieł przyrody, ale ludzi, było tu niegdyś; dziś nie istniało wcale, albo, co najwięcej, istniało w stanie upadku, przemienienia się w gruzy. Dom mieszkalny, głąb dziedzińca zajmujący, w wieniec gęstej zieloności ujęty, zdala już ukazywał liczne rany i szramy, okrywające poważne jego oblicze. Poważną też w istocie była ta budowla, stawiana snadź z myślą nie o popisie i lada jakiem błyszczeniu, lecz o wygodzie i prawdziwym dostatku. Był to wzór wiejskich

litewskich domów. Na wysokiem podmurowaniu, z mocniejszego niż mur drzewa wzniesiony, z wysokim gontowym dachem, licznemi oknami i długimi gankami, o kilka wschodów nad poziom podniesionymi, a szeregiem grubych słupów podtrzymywanymi, z dwiema salkami o weneckich oknach i napowietrznych balkonikach u szczytu, powierzchownością swą świadczył o wnętrzu obszernem, jasnem, najwybredniejsze żądania i życia rodzinnego i szerokiej gościnności zadowolić mogącem.

Teraz jednak piękny niegdyś dom ten wyglądał jak szkielet, odarty z ciała, lub żebrak, z którego opadają szmaty dostatnich niegdyś sukien. Z podmurowania wypadłe kamienie i cegły uścielały ziemię białymi płatami i okruchami wapna. W nadpróchniałych ramach okien tkwiły szyby, przepalone od słońca, mętne od pyłu, popękane w wielu miejscach, w innych nieobecne już wcale i szmatą żółtej bibuły lub zadrukowanej gazety zastąpione.

Stan gospodarskich budowli odpowiadał w zupełności temu, w jakim znajdował się dom mieszkalny. Połowa wielkiej niegdyś, w czworokąt postawionej stodoły, od dość już dawnych snadź czasów obalona wichrem, rozpościerała na ziemi szczątki swe w postaci zgniłej słomy, zgniłego drzewa i w proch skruszonych cegieł; druga połowa, pochylona, kilkunastu drągami słabo podparta, oczekiwała widocznie pierwszej lepszej sposobności ułożenia się także do wiecznego spoczynku.

Z innej strony dziedzińca sterczały dwa rzędy słupów, z kamienia murowanych, więc trwałych, lecz teraz już żadnego pożytku nie przynoszących, bo drewniane ściany, którym dawniej służyły za spojenie i podparcie, spalone pożarem, zniknęły przed laty, a na ich miejsce nikt już nic nie zbudował.

Wśród ogólnej ruiny, napełniającej miejsce to niewymownym smutkiem i bezładem, był jednak kącik jeden, odznaczający się nietylko porządkiem, ale nawet i niejaką pięknością i wykwintem. O kilkadziesiąt kroków od mieszkalnego domu znajdowała się oficyna, mogąca zawierać w sobie pięć lub sześć pokoi. Połowa budynku tego, zgrzybiała nietyle od starości, ile od zaniedbania, w jakiem ją pozostawiono, zgadzała się odartą i smutną swą postacią z otaczającem ją tłem ogólnem; druga za to połowa, podtrzymywana starannie, przyozdobiona, wycackana niemal, świeciła białemi, jak śnieg, ścianami, nowym dachem, wielkiemi i przezroczystemi, jak zwierciadła, szybami okien. Pod oknami temi krzewy wzrastały i kwitły nie dziko, jak gdzieindziej, lecz owszem w nazbyt może prawidłowej symetryi

kwiatów i barw. Dwa wielkie kasztanowe drzewa, ocieniające mały ganek, miały gałęzie obcięte, w górę podniesione, zaokrąglone w sposób sztuczny i dla oka, lubiącego w naturze swobodę, dość nieprzyjemny. Za oknami zwieszały się prawidłowo też zaokrąglone festony białych rolet i ponsowych firanek.

Niewiele przed południem, otworzyło się na oścież jedno z wielkich błyszczących okien oficyny, na które rozłożysty kasztan gęsty cień rzucał. W oknie stanął mężczyzna, bardzo starannie, wytwornie nawet, ubrany. Wiek człowieka tego nie wypisał mu na powierzchowności wyraźnej cyfry. Sądząc z wyprostowanej i krzepkiej jego postaci, z czerstwości jego policzków i blasku oka, nie mógł on mieć więcej, jak lat trzydzieści; ale lekkie wyłysienie nad czołem i nie tyle otyłość, co raczej pulchność i miękka okrągłość wszystkich form ciała, czyniły go znacznie starszym. Twarz jego, dość regularnie zarysowana i ze wszelkiego zarostu starannie ogołocona, miała cerę czerstwą i zdrową, lecz bez białości, ni rumieńca, śniadawą i zimną; zimnym też był, lubo silnym, połysk oczu jego, małych i głęboko schowanych, pod brwią jasno płową; w ustach ponsowych, wydętych, zdradzał się temperament zmysłowy i pyszne, wzgardliwe usposobienie umysłu. Fizyognomii tej zresztą nie brakło wyrazu myśli i obojętności. Szerokie czoło objawiało zdolności umysłowe niemałe; w szarych, ruchliwych oczach malowała się bystrość pojęcia i spostrzegania; duch sarkazmu i sofizmatu zdawał się zamieszkiwać w uśmiechu ust wzgardliwych.

Obie ręce, białe, pulchne, ze świecącymi i ostro zakończonymi paznogciami, oparł o krawędź otwartego okna, i przechylony na zewnątrz, spojrzał ku gankowi domu. W tejże chwili, jakby za daniem umówionego znaku, wbiegła na ganek ten młodziutka dziewczyna w czarnej sukni, z hebanowymi włosami, żarzącemi się oczyma i dwoma rzędami brzękających czarnych paciorków wokoło białej szyi. Szybka, jak strzała, zbiegła ze schodów ganku, które zakołysały się pod lekkiemi jej stopami, i przebywszy małą przestrzeń, dzielącą dom od oficyny, znalazła się przed oknem, w którem stał mężczyzna. Rosnące tu krzaki bzu i jaśminu otworzyły się przed smukłą jej postacią i, wnet zamknęły za nią liściaste swe ramiona, tak, iż dla każdego, ktoby patrzał za nią z okien domu, była zupełnie niewidzialną.

— Dzień dobry, Kamilku — półgłosem i z niejaką niespokojnością oglądając się wkoło, szepnęło dziewczę.

Wyraz twarzy jej oznaczał niezmierne zajęcie, pośpiech; głos i ruchy były tajemnicze.

— Odnoszę ci książkę — mówiła dalej. — Panna Julia już ją przeczytała i prosi cię o inną.

Mówiąc to, wyjęła niewielki tomik, w fałdach szerokiego rękawa staranie dotąd ukryty, i podała go bratu.

— Słuchaj, Kamilku — szczebiotała zcicha i pośpiesznie — daj tylko co pięknego... zajmującego... czułego!... Doprawdy, żeby nie te książki, które ty nam dajesz, albo które ja z mamy pokoju kiedy niekiedy pochwycę, my obie z panną Julią umarłybyśmy chyba z nudów. Jak tu u ciebie ładnie! — ciągnęła dalej, wspinając się na palce i zaglądając do wnętrza pokoju. — Lubię takie obicie na meblach w wielkie bukiety... wesoło robi się, patrząc na nie... U nas wszystko ciemne, szare, czarne...

Przerwała sobie nagle i niespodziewanym, gwałtownym ruchem obie ręce zatopiła w czarnych swych kędziorach.

— Ach! — zawołała z wybuchem — świat! świat! Twoje mieszkanie, Kamilku, światem pachnie!

Oparła czoło na dłoniach i ciekawemi oczyma wodziła po obrazach i kobiercach, napełniających mieszkanie brata. On tymczasem, nie zważając na szczebiot i wykrzyki, usunął się nieco na stronę, rozwinął ćwiartkę papieru, znajdującą się w przyniesionej przez siostrę książce, szybko przebiegł oczyma nakreślone na niej słowa, i z uśmiechem na ustach przeszedł do innego pokoju.

Lila, przyjrzawszy się dowoli przedmiotom, obudzającym zachwyt jej i ciekawość, poczęła widocznie niecierpliwić się już i nudzić, gdy we drzwiach pokoju ukazał się Kamil z książką w ręku. Lila wyciągnęła obie dłonie nie ku bratu, ale ku książce.

— Złoty, drogi, kochany! — zawołała — wiedziałam dobrze, że dasz nam znowu co ładnego. Słuchaj — dodała ciszej i z figlarnem spojrzeniem — a jest tu co w tej książce dla panny Julii?

— Wracaj czemprędzej do domu — odparł brat, patrząc na drogę, wijącą się za bramą. — Mieczysław jedzie. Mama wyjść może na jego spotkanie i zobaczy cię w ganku z tą książką.

Dziewczę zaśmiało się zcicha.

— Jakiś ty zabawny, Kamilku! albo mama wychodzi kiedykolwiek na spotkanie twoje, lub Mieczysia, gdy przyjeżdżacie do domu? Nie wiem nawet, czy mama była choć raz w twojem mieszkaniu, odkąd wróciłeś z Dorpatu i tak ładnie się urządziłeś.

Najpewniej nie była, bo gdyby była, nie pozwoliłaby ci mieć takich jasnych, wesołych obić na ścianach i meblach.

Kamil palił wonne cygaro i spoglądał na szczebiocącą siostrę, ze zwykłym sobie wyrazem twarzy, trochę obojętnym, trochę zadowolonym, trochę wzgardliwym.

— Mama może pozwalać, lub wzbraniać różnych rzeczy tobie, ale nie mnie — rzekł niedbale.

— A to dlaczego?

— Dlatego, że jestem dorosłym mężczyzną.

Lila zamyśliła się.

— A jednak — rzekła — jestem pewna, że gdyby mama przychodziła czasem do twego mieszkania, wyglądałoby ono jakoś inaczej.

Dziewczę mówiło prawdę, nie rozumiejąc bynajmniej całej jej doniosłości. W nazbyt kawalerskiej swobodzie, panującej w urządzeniu mieszkania najstarszego syna domu, znać było moralną nieobecność matki rodziny. Nieobecność ta wpływów macierzyńskich objawiła się może i w zimnym blasku oczu Kamila, i w suchej pogardliwości jego uśmiechu...

Tętent cwałującego konia dał się słyszeć tuż za bramą. Lila białe paluszki przytknęła do ust, rzuciła nimi pocałunek bratu i wązką ścieżyną, ukrytą wśród dzikich krzewów i traw wysokich, okrążyła dom, aby wejść do niego bocznemi drzwiami.

Na dziedziniec wjeżdżał jeździec, na dzielnym siedzący koniu. Zatrzymał się przed domem, zeskoczył z konia i rzucił lejce kredensowemu wyrostkowi, który, w podartej surducinie, z twarzą bladą i chudą, wyszedł przed ganek, nadąsany i niechętny. W sieni obszernej, wielkiemi oknami oświetlonej, lecz zupełnie prawie pustej, spotkał przybyłego stary Tomasz.

— Pan pytał się o panicza wczoraj... panicz tak dawno nie był już u nas.

— Jakże się ma mój ojciec? — z pośpiechem zawołał młody człowiek, szybko postępując w głąb' domu.

— Jak zwykle, jak zwykle. Wczoraj było gorzej, dziś trochę lepiej. Czyta jakąś nową książkę, którą pan Kamil przywiózł z Warszawy.

Mieczysław Orchowski nie był wcale podobny do brata. Wysoki, szczupły, chociaż silnie zbudowany, włosy miał gęste i ciemne, cerę twarzy ogorzałą, czoło białe, wysokie, oczy ciemnosiwe, z otwartem i wesołem spojrzeniem, ciemny gęsty wąsik, ocieniający łagodne usta. Głos jego brzmiał dźwięcznie i wesoło.

Ubiór, trochę zaniedbany, niby myśliwski, uwydatniał dobrze jego męskość i raźność postaci; chód i ruchy objawiały żywość charakteru, młodzieńczość usposobienia, rozwijającą się zbyt swobodnie może, ale otwarcie, szczerze, bez przysłon obłudy.

Promienie słońca, wsuwając się przez okna, napół już tylko zasłonięte grubemi roletami, rozweselały trochę poważną, smutną komnatę, w której upływało niemniej smutne życie chorego pana domu. Postać za to i twarz jego wydawały się, przy tych blaskach żywych i świetnych, bardziej jeszcze, niż przy bladawem świetle lampy, wyniszczonemi, zmizerowanemi. A jednak zwiędłe usta pana Kajetana drgnęły uśmiechem, i w zapadłych oczach jego zapłonęła iskra radości, gdy drzwi, szczelnie zawsze zamknięte, otworzyły się i wszedł przez nie Mieczysław. Jednocześnie na twarz młodzieńca spadł cień zasmucenia. Szybkim krokiem przebył pokój i tkliwy, serdeczny pocałunek złożył na wychudłej ręce ojca.

— Długo, długo nie byłem u ciebie, ojcze — rzekł, prostując wysoką, gibką swą postać — biję się w piersi z żalem i skruchą. Trzy dni nie widzieć cię, siedząc o małą milę od Orchowa, to wstyd i żal doprawdy! Wyłaj mnie, ojcze! jestem grzesznik wielki. Hulałem całe te trzy dni na zabój. Ręczyc wyprawiał kawalerską zabawę, tak, jak on to umie, z końmi, winem i polowaniem. Lataliśmy po polach i lasach, jak szaleni, i... piliśmy trochę za wiele. Wczoraj wróciłem do Rydlówki i wieczorem mógłbym tu być; ale musiałem dziś zrana gospodarstwo swoje obejrzeć. Trzy dni nieobecności, to nie żarty! Szczęście, że, wyjeżdżając, zaleciłem najsrożej, aby próby beze mnie nie młócono.

Wypowiedział to wszystko jednym tchem, ze swobodą, przyćmioną tylko na chwilę lekkim rumieńcem zawstydzenia, który zabarwił ogorzałe policzki jego i białe czoło w chwili, gdy mówił o hulance.

Pan Kajetan patrzał na syna z widoczną przyjemnością; zdawać się mogło, że oczy jego, zmęczone i smutne, obejmując długiem spojrzeniem twarz tę młodzieńczą, używały z rozkoszą chwili spoczynku, że rozlane na twarzy tej życie bujne i młode przechodziło w źrenice jego, rozświecając zadumane, posępne ich głębie.

— Ja cię tam za zabawę łajać nie będę — ozwał się ojciec, podczas gdy syn układał rolety przy oknach tak, aby przez nie więcej słońca do pokoju wejść mogło — wolałbym tylko, abyś bawił się gdzieindziej, nie w domu Ręczyców.

Mieczysław zwrócił się ku ojcu.

— Czy nie obawiasz się czasem, kochany ojcze, aby serce moje nie uwięzło przy której z panien Ręczycówien?... O, bądź zupełnie o to spokojnym! Takie dwudziestokilkoletnie gołąbki niewinności nie mogą mi się podobać. Konio, dobry chłopiec, ale pustak i ograniczony... człowiekiem nie będzie, choćby sto lat żył... Ciocia zaś dobrodziejka, a raczej babunia, która każe nam dla skrócenia tytułować się ciocią... no... znasz ją, ojcze.

— Znam panią Malwinę — odpowiedział zwolna pan Kajetan, na którym rozmowa o rodzinie Ręczyców przykre zdawała się sprawiać wrażenie. — Czy panny Ręczycówny ładne są? nie widziałem ich, odkąd dorosły.

— Dorosły? — ze śmiechem powtórzył Mieczysław. — Coby też to ciocia powiedziała, gdyby słyszała, że ktokolwiek córki jej nazywa dorosłemi! Róża, mój ojcze, starsza, ma lat siedmnaście, odkąd ja ze szkół wróciłem, to jest od lat mniej więcej dziewięciu, a młodsza od niej o rok, Flora, chodzi jeszcze w krótkiej sukni i kończy edukacyę. Mają tam te panie jakąś guwernantkę, biedne stworzenie, młodsze od nich obudwóch z pewnością. Poniewierają nią też, aż smutno patrzeć...

Przestał nagle mówić i spoglądał przez chwilę w ziemię z zamyśleniem.

— Biedne stworzenie! — mówił dalej, ale poważnie już i nawet trochę smutnie. — Byłem wczoraj świadkiem przykrej sceny, gdy ciocia głośno wyrzucała guwernantce swej aż nadto dorosłej córki, że nie posiada dobrej maniery, a Konio żartował z niej w sposób ubliżający. Ująłem się zcicha za nią przed ciocią Malwiną... a ciocia bardzo uprzejma jest dla mnie i dla Kamila, bo może widzi w nas, nietylko dalekich swych kuzynów, ale i przyszłych zięciów. Konia zaś zawstydziłem tak kilku słowy, że umilkł, jak zmyty. Biedne to stworzenie z taką wdzięcznością na mnie spojrzało!...

Zamyślił się znowu, ale tym razem oczy jego, rozpromienione miłą jakąś myślą, utkwiły w oknie, za którem rozłożysta lipa wstrząsała lekko liśćmi, ozłoconymi słońcem.

— Mój ojcze! — rzekł nagle — czy nie duszno ci w tym pokoju? zdaje mi się, że powietrze tu ciężkie i niedobrze odświeżone. Dziś tak ciepło na świecie, wonno... takie łagodne, orzeźwiające powiewy ulatywały nad polami, gdym tu jechał... Spróbuję otworzyć jedno okno... W sierpniu i u nas bywa, jak w Nizzy, lub Neapolu... odetchniesz, ojcze, swobodniej.

Mówiąc ostatnie słowa, otworzył jedno z okien ostrożnie

i zwolna, jakby obawiał się zbyt nagłą zmianę sprawić w temperaturze pokoju. Fala powietrza, ogrzanego słońcem, zaprawionego woniami pól poblizkich, rozpłynęła się po dusznem wnętrzu komnaty; złocista płachta słonecznych blasków padła na przeciwległą ścianę, roziskrzyła szyby szaf oszklonych, powróciła dawną światłość barwom starego obrazu, zaigrała na posadzce mnóstwem ruchomych kółek i szlaków, a parę strzał ognistych rzuciła aż na stół, obciążony książkami, i w okopconą głąb komina.

Pan Kajetan odetchnął głęboko i z widoczną ulgą. Mieczysław wyciągnął rękę i zerwał jedną z gałęzi lipy, które, gęstym, chłodnym jeszcze od porannej rosy liściem obrosłe, cisnęły się do otwartego okna.

— Piękne, kochane drzewa! — wymówił z zamyśleniem w oku i uśmiechem na ustach. — Rosłem, patrząc na nie. Ileż razy gałęzie ich służyły mi za gimnastyczny przyrząd, a szczyty za łoże, z których ogarniałem wzrokiem okolicę naszą w całej jej rozciągłości! Czy wiesz, mój ojcze, że ze szczytu tej oto topoli widać miasteczko, jak na dłoni, i skręt Niemna w dolinie?...

Minął wzrokiem rzędy słupów obdartych, czerwonawych, po spalonej pożarem budowli pozostałych, i powolnem spojrzeniem wodził po polach dwór otaczających, po skraju widnokręgu, siniejącym dalekiemi wzgórzami i lasami.

Pan Kajetan patrzył na syna długo i w milczeniu. Zorane czoło jego wygładzało się, na twarz schorzałą wstępował wyraz ukojenia, pierś oddychała ciszej, swobodniej.

— Prawda, — rzekł po chwili — że dzień dziś piękny i pogodny... po raz pierwszy od dni wielu lżej mi na głowie i piersi.

Na głos ojca, Mieczysław odwrócił wzrok od rodzinnego krajobrazu. Zamyślenie jego zniknęło.

— A widzisz, ojcze, — zawołał — jaki ze mnie dobry lekarz! Wiem przecie, że atmosfera ściśnięta, duszna, szkodzić musi, w lecie szczególniej, i zdrowym i chorym. Dlaczego w taką piękną porę okien tych nie otwierają częściej?

— Cóż chcesz? — z uśmiechem odparł chory — ja, gdy jestem sam, czytam lub myślę, a gdy zaczytam się i zamyślę, o wszystkiem zapominam... Stary mój Tomasz nie zna się na takich rzeczach i, gdyby mógł, przez obawę i troskliwość, za mknąłby mię w pudełku, napełnionem watą.

Mieczysław uczynił niecierpliwe poruszenie.

— Ale — zawołał — czyż oprócz Tomasza niema tu nikogo, coby...

Umilkł nagle, spuścił oczy i przygryzł zlekka dolną wargę, jakby tym sposobem usiłował powstrzymać wyrazy jakieś, cisnące mu się na usta. Brwi jego ściągnęły się, na czole powstały dwie zmarszczki i po raz pierwszy, odkąd tu wszedł, na twarzy jego otwartej, łagodnej, wesołej, zjawił się wyraz gniewnej goryczy, tajemnej, lecz głębokiej, niechęci.

Krótko to jednak trwało. Fakt, który wprawił go w smutne i gniewne uniesienie, musiał mu być zbyt znanym, aby potrzebował długo zastanawiać się nad nim; pojął może zresztą, że nie po to tu przybył, aby kłaść nacisk na fałszywe tony, dom ten napełniające i raniące chorą pierś jego ojca. Zbliżył się do stołu i, ze swobodą naprawdę odzyskaną, lub może udaną, mówić zaczął:

— W istocie, ojcze, zazdroszczę prawie Kamilowi, że mieszka stale w Orchowie. Sam wprawdzie po powrocie swoim z Marymontu pragnąłem osiąść i gospodarować w Rydlówce, ale i cóż miałem robić? Orchów jest wydzierżawiony, a nie mogłem przecież siedzieć bez żadnego zajęcia. W Rydlówce robię różne agronomiczne doświadczenia. Śmieją się ze mnie sąsiedzi, ale mnie dotąd jedno zaledwie na dziesięć zawiodło. Ot i dziś, młócili przy mnie próby żyta i pszenicy. Powiedz sam, ojcze, czy było kiedy przedtem takie ziarno w Rydlówce?

Mówiąc to, wydobył z kieszeni czamarki kilka starannie owiniętych w papier prób rozmaitego zboża.

— Przywiozłem to umyślnie, aby ojcu pokazać... Patrz! to żyto, które zasiałem po grochach, a to pszenica z przeszłorocznego ugnoju... jaka bujna, czysta jak łza!... Łąki kilkadziesiąt morgów oczyściłem, ale cóż, kiedy grunt mokry znowu zarasta łozą i wierzbiną... trzebaby koniecznie drenować...

Przerwał sobie nagle i, jakby uderzony nową myślą, zawołał:

— Czy wiesz, ojcze, że ten Eli Makower wcale nieźle gospodaruje w Orchowie. Ktoby się to spodziewał, że Żyd może być dobrym rolnikiem? Dziś właśnie, jadąc tu, widziałem, jak orze pod ugór... wybornie!... Na przyszłą wiosnę nadejdzie ostatni termin kontraktu Makowera. Czy oddasz mu, ojcze, Orchów nadal w dzierżawę? czy może Kamil zechce sam gospodarować?

— Na przyszłą wiosnę — odparł spokojnie pan Kajetan —

rozporządzicie się już sami Orchowem i wszystkiem; mnie już tu nie będzie.

Mieczysław pochwycił za rękę chorego.

— Nie mów tak, drogi ojcze, — rzekł z powstrzymywanem wzruszeniem — nie jest ci wcale gorzej, niż było zeszłego lata i od lat kilku... Co do mnie, oczekuję z upragnieniem długich zimowych wieczorów, które przepędzać będę znowu, jak przeszłej zimy, z tobą, ojcze, i z twojemi książkami.

Pan Kajetan dłoń rozpaloną położył na ręce syna i głosem chrypką tłumionym, powolnym, mówić zaczął.

— Jakiemikolwiek byłyby uczucia serca twego, Mieczysławie, o chwili, w której dla mnie skończy się wszystko na tej ziemi, powinieneś myśleć spokojnie... nie będzie ona dla mnie niczem innem, jak uwolnieniem od różnorodnych cierpień, wspomnień i wyrzutów. Ludzi w moim wieku choroba piersiowa nie zabija prędko... to też od długich lat trzyma mię ona przykutym do tego miejsca niemocą i bólem... Teraz jednak zbliża się kres ostatni, czuję to, wiem... ale nim nadejdzie, muszę mieć z tobą kiedy długą rozmowę. Jesteś bardzo podobny do mnie... zupełnie prawie taki, jakim ja byłem w młodości. Trzeba, abyś spojrzał w przeszłość moją, w głębie mojego sumienia, w wieczne rany mej pamięci.

I znowu chrapliwy oddech zatrząsł jego piersią; suchy, ciężki kaszel przerwał mu mowę, a cicha rezygnacya, napełniająca wygasłe jego oczy, zniknęła przed gorączkowym blaskiem rozbudzonej goryczy.

— O! — zawołał, drżącą dłoń przyciskając do czoła zmarszczonego — gdyby można było odrodzić się i żyć po raz drugi, pragnąłbym żyć... odzyskać... naprawić...

Znużona głowa jego opadła na poręcz fotelu, nabrzękłe powieki okryły źrenice, w których wielka łza paliła się w ogniu tajemnej jakiejś, niewygasłej nigdy, żałości.

Mieczysław patrzył na ojca z głębokiem współczuciem i przywiązaniem. Po chwili wziął jedną z książek, leżących na stole, i jakby wiedział, czem najlepiej uspokoić może wzburzone uczucia chorego, otworzył ją na załamanej karcie.

— A! — rzekł zcicha — Schiller... Wallenstein... Czytałem ci to, ojcze, głośno zeszłej zimy... ale radbym i teraz parę ustępów przeczytać... czy pozwolisz?

Pan Kajetan podniósł powieki; spojrzenie jego, ukojone, pełne miłości i wdzięczności, spoczęło na twarzy syna.

— Czytaj! — rzekł, nie podnosząc głowy. — Wielkie myśli geniuszów budzą zawsze dobre uczucia.

Mieczysław pochylił się nad rozwartą książką i przerzucał zwolna jej karty, szukając zapewne tej, o której wiedział, że najprędzej ukoi cierpienia fizyczne i gorzkie myśli ojca. Młody ten, żywy i wesoły zwyczajnie chłopak stał się w tej chwili mężczyzną z poważnem zamyśleniem na szlachetnem czole i w jasnem oku.

Nagle ojciec i syn podnieśli głowy i wytężyli słuch w stronę drzwi zamkniętych, pokój pana Kajetana od szeregu dalszych pokojów rozdzielających. W głębi domu dała się słyszeć wrzawa, śród której rozpoznać można było trzy głosy kobiece. Jeden z głosów tych przemawiał poważnie i monotonnie, ale dobitnie, z oburzeniem widocznem; drugi głos, młodszy od pierwszego, zawodził żale jakieś i wyrzekania, prośby, złączone z wyrzutami; trzeci głos, najmłodszy, najdźwięczniejszy, krzyczał poprostu z całej mocy piersi silnej, upartej, gwałtownej. W trzecim tym głosie czuć było potoki łez, wulkany gniewów, uporczywe opieranie się czemuś, namiętne błaganie.

Mieczysław porwał się z krzesła.

— Co się tam stało? — zawołał. — Mama upomina kogoś, a Lili krzyczy, jak opętana.

Ze słowami temi na ustach, udał się śpiesznie w głąb domu, lecz w trzecim zaledwie czy czwartym pokoju wzrok jego uderzony został widokiem dość szczególnym.

W saloniku, przytykającym do pokojów Lili i jej guwernantki, stała, plecami o ścianę oparta, panna Julia Grejs. Na twarzy jej bladość przestrachu i gniewu mieniła się z gorącym rumieńcem wstydu i upokorzenia; włosy w nieładzie opadały na ranny biały ubiór. Wyrazy płynęły potokiem z ust jej, trzęsących się i pobladłych; jedną ręką przytrzymywała na piersi fałdy przezroczystego kaftanika, drugą odsuwała zlekka od siebie Lilę. Młodziutka dziewczyna jedną tylko ręką czepiała się rąk i sukni swej nauczycielki, drugą bowiem trzymała silnie uwięzioną w swej dłoni pani Leontyna.

Poważna, wysoka pani, w czarnych szatach, z głową dumnie wzniesioną, ze wzgardą w oku i na ustach, ująwszy rękę córki, próbowała pociągnąć ją za sobą; ale z dziewczyną, silną i do najwyższego stopnia podnieconą gniewem, niełatwo było poradzić. Zgięta ku ziemi, Lila z całej mocy opierała się matce, wzrok pełen miłości podnosząc na twarz swej nauczycielki.

— Nie pójdę! nie pójdę! — krzyczała — nie porzucę jej!

pojadę z nią! Jeśli ją wypędzają, niech i mnie wypędzą także! Jam winna wszystkiemu! Mamo, zlituj się! przebacz jej! niech zostanie! nie wytrzymam! umrę! zabiję się!

— Pani! — wołała panna Julia — pozwól mi pozostać choć trzy dni jeszcze! niech ludzie nie widzą wstydu mego! nie zamykaj przede mną drzwi uczciwych domów! nie odbieraj wszelkiej nadziei przyszłości.

Kończąc ostatnie wyrazy, spostrzegła wchodzącego Mieczysława, podniosła ręce do twarzy oblanej szkarłatem i łzami, odwróciła się szybko i zniknęła za zamkniętemi drzwiami. Lila wydała okrzyk rozpaczy, ale scena ta trwała już dość długo, aby wyczerpać jej siły. Zesłabła, łkająca, tchu i głosu pozbawiona, poddała się pociągającej ją ręce matki.

Pani Leontyna, wyprostowana i wyniosła, z okiem niezwykle błyszczącem i zaciśniętemi usty, z zaledwie widzialnymi znakami rumieńców gniewu i wzruszenia na twarzy, ciągnęła przez czas jakiś córkę za sobą, niby przedmiot, pozbawiony życia i ruchu, aż wreszcie weszła z nią do swej sypialni i starannie za sobą drzwi zamknęła.

Mieczysław z osłupieniem spoglądał dokoła, nie domyślając się bynajmniej powodów burzliwej sceny, której był świadkiem. Zaciekawiła go ona jednak, przez wzgląd czy na zrozpaczoną siostrę, czy też na piękną w zmieszaniu swem i zaniedbanem ubraniu guwernantkę. Postanowił widać doczekać się jakiegokolwiek wytłómaczenia, bo usiadł w saloniku, oglądając się za czemś, czemby mógł zapełnić chwile oczekiwania. Ale pokój ten, którego sprzęty, wytworne niegdyś, spłowiałe były i szare od pyłu, nie zawierał nic, coby życie objawiać lub do życia pobudzać mogło: ani książki, ani albumu żadnego na stołach, pokrytych siatkami z białej bawełny.

Młody człowiek nie znosił snadź bezczynnego siedzenia na jednem miejscu, bo po kilku minutach poruszył się niecierpliwie, jakby miał wstać i odejść, gdy w perspektywie dwóch przyległych pokojów umieszczone drzwi otworzyły się i pani Leontyna, zwykłym swym, powolnym, cichym krokiem, weszła do saloniku. Wyglądała w tej chwili, jak wcielona melancholia, jak ofiara okrucieństw losu i ludzkich nieprawości. Wejrzenie jej brzemienne było smutkiem, brew ściągnięta i głowa pochylona, gdy, zbliżywszy się do syna, podała mu ćwiartkę welinowego papieru, zapełnioną męskiem pismem, wprawnem, lecz krętem i niewyraźnem.

— Oto, co znalazłam dziś w ręku Lili... Siostra twoja, Mie-

czysławie, czytała te słowa, które brat jej przesłał przez nią jej guwernantce... Oczy córki mojej zetknęły się z widokiem zepsucia, toczącego serca ludzkie!

Wyrzekłszy to takim głosem, jakby o wydarzoną katastrofę obwiniała wszystkich i wszystko na świecie, prócz siebie, skrzyżowała ramiona na piersi i stała w nieruchomej postawie.

Mieczysław przebiegł okiem wyrazy, nakreślone na ćwiartce papieru ręką brata. Był to w całem znaczeniu tego wyrazu tak zwany przez Francuzów *billet doux*. Napisany po francusku, zabarwiony zlekka bladą czułością i różową galanteryą, nie zawierał w sobie ani jednego słowa, coby oznajmiało, że prawdziwe, żywe uczucie powodowało ręką, która kreśliła w nim kuszące oświadczenia i prośby. Znajdowała się tam bardzo zręcznie i elegancko wyrażona prośba o widzenie się sam na sam »w ogrodowej altanie«, a parę wyrażeń takich, jak: *la belle cruelle, la fière enchanteresse*, dowodziło, że w stosunku, jaki zachodził pomiędzy dwojgiem tych młodych ludzi, było dotąd pociąganie tylko i kuszenie z jednej strony, opór zaś szczery, lub też z wyrachowania płynący, z drugiej.

Po ustach Mieczysława przewinął się zrazu uśmiech taki, z jakim mężczyźni młodzi i nie zupełnie jeszcze na seryo biorący życie spoglądają zwykle na sprawy podobne, wtedy zwłaszcza, gdy udział w nich bierze kobieta powabna, a szacunku ich w zupełności nie posiadająca. Przy końcu jednak czytania przyszła mu snadź do głowy myśl niepokojąca, niemiła. Położył kartkę na stole i, wahając się jeszcze pomiędzy żartem a niezadowoleniem, rzekł po chwili:

— Prawdę mówiąc, nie bardzo ja się dziwię Kamilowi... ta panna Julia... Ale mniejsza o to... źle zawsze, bardzo źle zrobił, wtajemniczając Lilę w rzecz podobną... Czy wie mama, że ja od jakiegoś czasu uważniej zacząłem patrzeć na Lilę, i doprawdy obawiam się bardzo, aby nie wyrosła na taką płochą rozromansowaną dzierlatkę, jakich...

— Mieczysławie, — przerwała mu pani Leontyna — pamiętaj o tem, że rozmawiasz z matką, i staranniej wybieraj swe wyrażenia! Nie mam w sobie bynajmniej dumy, ani zarozumiałości; świat i lata nauczyły mię pokory. Sądzę jednak, iż zdolna jestem wychować córkę swoją religijnie i moralnie. Samo już to klasztorne życie, jakie tu wiodę, musi być dla Lili przykładem i nauką. Czarne wełniane suknie okrywają nas obie. Ani ja, ani Lila nie położyłyśmy się do snu ani razu bez ukorzenia się

przed Bogiem, bez wielokrotnego powtarzania w modlitwach i rozmyślaniach imienia wiary, cnoty, cierpliwości...

Mieczysław słuchał ze spuszczonemi oczyma. Na twarz jego spadł wyraz przykrego przymusu.

— A jednak — rzekł — spostrzegłem w Lili wady bardzo niebezpieczne. Jest ona nazbyt gwałtowną, niecierpliwą, niezastanawiającą się nad niczem i przerażająco, jak na swój wiek, ciekawą rzeczy... rzeczy... które głowę zawrócić jej mogą.

— A więc — sucho i wyniośle pawiedziała pani Leontyna — jeżeli tak dobrze umiesz spostrzegać przywary swej siostry, bądźże łaskaw powiedzieć mi, w czem i jakie widzisz na nie lekarstwo?

Tym razem twarz Mieczysława także drgnęła lekkiem zniecierpliwieniem.

— Nie wiem, — rzekł, odpowiadając na ironiczne pytanie pani Leontyny — nie zastanawiałem się dotąd nigdy nad sposobami moralnego kształcenia młodych dziewcząt. Zdaje mi się tylko...

Zawahał się nieco z dokończeniem swej myśli, po chwili jednak mówił dalej:

— Zdaje mi się, że jeden z tych sposobów znajduje się tuż obok. Czy nie sądzisz, mamo, że Lila powinnaby częściej przebywać z chorym ojcem; że przysługi, oddawane mu przez nią, zapełniłyby dobrze czas, zbywający jej od nauk, i przyzwyczaiły ją do cierpliwości; że samo wreszcie towarzystwo ojca, rozmowy z nim, mogłyby zwrócić jej uwagę na wiele rzeczy, całkiem nieznanych jej dotąd, a widok cierpień jego złagodziłby może zbyteczną jej żywość i skłonność do szukania romansowych wrażeń?

Zapalał się, mówiąc. Snadź myśl jego natrafiła na żywo dźwięczącą strunę jego serca. Ale twarz matki jego surową była i pełną obrazy. Tu także, w piersi, w sumieniu może tej kobiety, istniała struna tajemna a drażliwa; słowa syna szarpały nią dotkliwie.

— Jeżeli sądzisz, że nie pojmuję, jakie są obowiązki córki dla ojca, to mylisz się bardzo. Niema prawie dnia, abym o nich Lili nie mówiła. Ale wszak powinnam oddawna wiedzieć, że nie istnieję dla ciebie, że, patrząc na mnie, rozmawiając ze mną, myślisz tylko o ojcu...

Tym razem w głosie pani Leontyny drgnął wyrzut bolesny, żal zamglił czarne jej oko, które mniej suchem, niż zwykle, spoj-

rzeniem ogarnęło piękną twarz syna. Czoło Mieczysława zaszło chmurą.

— Nie chciałem obrazić cię, mamo — rzekł ze smutkiem w głosie. — Zagadnęłaś mię sama o rzecz obcą dla mnie poniekąd. Powiedziałem na razie to, com myślał. Jestem pewny, że Lila z ust twych, mamo, słyszy jedynie zasady pełne moralności. Sądziłem tylko, że dla dziewczyny tej, takiej żywej, płochej, gwałtownej... trzebaby, prócz upomnień i modlitw, jakiegoś zajęcia... jakiegoś uczucia... nie wiem doprawdy... litości może... choćby dla ojca...

Pani Leontyna słuchała ze spuszczonemi oczyma i cierpkim uśmiechem na ustach.

— Dość tego — rzekła. — Nie rozumiemy się, jak zwykle; ty lekceważysz wszystko, co dla mnie ma wagę najwyższą, ja zaś nie pojmuję wcale twoich myśli i żądań. Ze wszystkich prób, które podobało się Panu zesłać na mnie, jedną z najboleśniejszych jest ten rozdział nieprzebyty i niepojęty, który stanął pomiędzy mną a moimi synami. Nie jestem nikomu na świecie potrzebna i nikt mię nie kocha.

Odeszła obrażona, rozżalona, znękana. Mieczysław pozostał chwilę, jak przykuty do miejsca. Wesołość i szczera otwartość jego zniknęły w zetknięciu z matką. Sam dom ten, do którego niedawno przybywał tak śpiesznie i radośnie, który w pamięci jego wyrył się z kształtami wszystkich starych drzew swych, z rysunkiem wszystkich ścieżek i zakątków, wydał się mu w tej chwili niemiłym i smutnym.

Po kilku minutach, które przepędził w pokoju pana Kajetana, widzieć go można było wyjeżdżającego za bramę i pędzącego przez pola, jak gdyby uciekał od rozdźwięków, napełniających dom jego rodzinny.

Okna oficyny, a raczej wyświeżonej i przyozdobionej jej połowy, były nietylko zamknięte, ale jeszcze wzorzystymi sztorami ściśle osłonione. Nie widać było ani wewnątrz, ani zewnątrz najmniejszego ruchu, tak, iż zdawać się mogło, że zamieszkujący miejsce to starszy syn domu spał lub był nieobecny. W rzeczywistości zaś było inaczej. Kamil nie spał i znajdował się w ozdobnej swej sypialni, gdzie leżał w głębokim fotelu, paląc cygaro i co pewien czas, zwolna i niedbale rozcinając kartki książki, na nowiutkiej okładce noszącej tytuł jednego z najświeższych dzieł popularnej filozofii francuskiej. Patrząc na niego, ani przypuścićby można, że nie dawniej, jak przed godziną stał się on bezpośrednim sprawcą burzliwej i upokarzającej sceny domowej.

Wśród ciszy głębokiej i łagodnego półcienia, rozweselonego barwami obicia na ścianach i sprzętach, leżąc na fotelu i rozcinając karty nowej książki, zdawał się najzupełniej nie wiedzieć o tem, że w przestrzeni i czasie istnieje albo istnieć może ktokolwiek, lub cokolwiek, oprócz niego samego i jego mieszkania.

W całym dworze zresztą panowały cisza i spokój. Przed stajnią tylko zakładano do kocza cztery konie, w pokoju panny Julii słychać było tłumione łkanie, ładna Brygisia krzątała się około układania w tłumoki rzeczy odjeżdżającej guwernantki, a z sypialni pani Leontyny dolatywały odgłosy monotonnie wymawianych wyrazów.

— A teraz, — rzekła pani Leontyna, kończąc przemowę swoją do córki o nieuniknionej potrzebie posłuszeństwa, łagodności i pogardy dla wszystkich marności tego świata — a teraz uklęknij i odmów koronkę do Przemienienia Pańskiego, na intencyę, aby Bóg odmienić raczył twój charakter.

Dziewczyna, zmęczona i wyczerpana wzruszeniami, nie opierała się rozkazowi. Wstała z ziemi i rozogniona, nadąsana, spłakana, uklękła na klęczniku matki, przed krucyfiksem i trupią głową. Ta ostatnia nie czyniła na niej najlżejszego wrażenia, koronkę zaś umiała na pamięć i zaczęła odmawiać ją półgłosem. Coraz odnawiające się jednak łkania przerywały jej modlitwę, a załzawione oczy wybiegały co chwila za okno i w stronę stajni, przed którą zakładano konie do powozu. Widocznie zalecany przez panią Leontynę środek poprawczy nie działał na córkę jej ze spodziewaną mocą.

— Modlisz się bez uwagi, — upominała ją pani Leontyna, która, siedząc na kanapie, pilnie przysłuchiwała się modłom córki — opuściłaś jedno *Zdrowaś Marya* i dwa razy nie powiedziałaś *Amen*.

Zbliżyła się do klęcznika, usunęła nieco córkę za siebie, a sama klękając na jej miejscu, dodała:

— Pomodlimy się razem. Spodziewam się, że za głosem matki łatwiej ci będzie podnieść serce i myśl ku niebu.

Otworzyła książkę do nabożeństwa i, przeczytawszy głośno parę modlitw, zaintonowała:

— Jezu nazareński, królu żydowski, zmiłuj się nad nami!

Lila oderwała wzrok od okna, za którem dał się słyszeć turkot nadjeżdżającego pod ganek powozu, i głosem pełnym rozątrzenia powtórzyła zaintonowane wyrazy.

Duch pani Leontyny podnosił się widocznie i rozogniał

w miarę, jak na usta jej powracały jedne i te same zgłoski, wymawiane głosem przeciągłym i śpiewnym. Oczy jej, tkwiące zrazu w krucyfiksie, spoczęły aż u szczytu wysokiej ściany, zapłonęły iskrą i omgliły się wilgocią; ręce splotła i przycisnęła do stóp krzyża; westchnienia i ciche jęki podnosiły pierś jej, wzdymającą się coraz wyżej.

Monotonia słów modlitwy, połączona z ciszą, panującą w pokoju, sprowadziły reakcyę w nerwowym systemacie spłakanego i zmęczonego dziewczęcia. Lila osunęła się na posadzkę i, z głową opuszczoną na nizki taboret, usnęła tak twardo, że nie słyszała, jak powóz, unoszący jej towarzyszkę raczej niż nauczycielkę odjechał z przed ganku.

Modły pani Leontyny trwałyby długo jeszcze, do późnego wieczora może, ale przed samym zachodem słońca zastukano do drzwi i głos służącego oznajmił podany obiad i zarazem przybycie pani Malwiny Ręczycowej z córkami.

III.

Do wielkiego dziedzińca, zawierającego w sobie dom mieszkalny i główne gospodarskie budowle, przytykało w Orchowie podwórze mniejsze, tak zwane folwarczne, z oborami, chlewami, pomniejszymi śpichrzami dokoła, a z folwarczną oficyną w głębi.

W oficynie mieszkał dzierżawca Orchowa, Eli Makower, ze spólnikiem i szwagrem swoim, Efroimem Lejbowiczem. Oficyalistów, jako to: ekonomów, namiestników, gumiennych, dwaj Izraelici nie trzymali wcale, sami bowiem pełnili osobiście wszystkie powyższe funkcye; ale rodziny mieli tak liczne, że zaledwie pomieścić się mogły w połowie niezbyt obszernej budowli, której drugą połowę, złożoną z wielkiej izby, zwanej piekarnią, i dwóch komorek, zajmowała czeladź męska i żeńska.

Skąd wziął się we dworze takim, jak Orchów, dzierżawca Żyd? Dla mieszkańców okolic kraju oddalonych, nie znających ekonomiki i najbliższych dziejów prowincyi, w której znajduje się Orchów, fakt ten byłby niezrozumiałym bez kilku słów wytłómaczenia.

Dwa lata zaledwie minęły od pory, w której sposób prowadzenia gospodarstwa rolnego w rozległych prowincyach zaniemeńskich uległ zmianie, obalającej do gruntu jego podstawy. Praca przymusowa usunęła się w przeszłość, bez możebności

powrotu, lubo nie bez pozostawienia za sobą głębokich i trwałych śladów, tak w ustroju ekonomicznym kraju, jak w moralnem usposobieniu jego mieszkańców; na miejscu jej stanęła praca wolna, jako siła społeczna, którą odtąd w ruch wprawiać, nabywać, zużytkować mógł tylko kapitał. Zmiana ta, w połączeniu z innymi, niemniej wpływowymi wypadkami i okolicznościami, była katastrofą, mącącą uśpiony w objęciach rutyny byt społeczny, przedewszystkiem zaś byt jednej z klas społecznych, — nakształt kamienia rzuconego nagle na spokojną powierzchnię wody.

Po błoniach litewskich, tradycyjnie dotąd dzielonych na trzy części, z których corocznie dwie zasiewały się, a trzecia spoczywała; po lasach starych, siekierą z dawna już szczerbionych; po dworach, wyglądających z pozoru jak przybytki wszelakich rozkoszy, lecz w gruncie pod niejednym względem zagrożonych upadkiem; po gabinetach szczególniej, w których możnowładni dotąd dziedzice po raz pierwszy w życiu zapełniać poczęli cyframi karty ksiąg rachunkowych; po wszystkich słowem miejscach, kędy dotąd, sztucznie podtrzymywane przez upadły dziś przywilej, panowały obfitość, okazałość, przepych niekiedy, dostatek i spokój o jutro zawsze — rozległ się powszechny, przeciągły, pełen zdumienia i trwogi okrzyk: — ratuj się kto może! — Uciekał się też każdy, do czego mógł, ratowa się, czem mógł.

Jako pierwsza ucieczka przed nowemi całkiem a naglącemi troskami, przedstawiał się kapitał, a jedynymi w kraju posiadaczami kapitału byli Żydzi. Drugą ucieczkę i drugi ratunek musiał koniecznie stanowić duch przedsiębiorczości, oszczędności, wytrwałości w pracy zmudnej i ciężkiej, przebiegłości nakoniec i pewnej giętkości, tak karku, jak charakteru, która pozwala człowiekowi ku czemuś dążącemu podleźć tam, gdzie przejść lub przeskoczyć nie można; a jedynymi posiadaczami przymiotów tych byli znów Żydzi. Owi dziedzice, którym zapisany w księgach ich *credit* i *debet* bardzo smutne prawił rzeczy, puste mieli kieszenie, wiecznie rozsznurowane sakiewki, duchy niecierpliwe a nowością wszelaką gardzące, karki twarde, odziedziczone po przodkach, którzy, gdy nie zdołali kędy swobodnie przejść, przebili się, przerąbali, jeśli mogli, ale podłazić, pełzać nie umieli, nie chcieli.

Zachodziła przecież zrazu wątpliwość, azali klasa ludzi, którzy w kieszeniach, głowach i karkach swoich dzierżyli wyłącznie siły i przymioty, mogące gospodarstwo rolne czasowo

przynajmniej podeprzeć, zechce ku celowi temu zwrócić swe starania. Widziano dokładnie, że korzyść lub strata, utrzymanie się lub zaginienie społeczeństwa, były to dla niej rzeczy zupełnie obojętne. Pozostawał więc tylko interes czysto osobisty, materyalny; ale interes ten, w formie takiej, jaką przedstawiały warunki gospodarstwa rolnego, był dla niej gruntem zupełnie nowym, dotychczas nienapoczynanym. Żydzi w okolicach tych nie trudnili się rolą nigdy. Obyczaj i prawa krajowe stały pomiędzy nimi a tym zakresem działalności tak długo, że zdawało się, jakoby nie posiadali nawet odpowiednich ku temu pochopów i zdolności.

Okazało się jednak, że Żydzi mieli pociąg do wszelkiego interesu, który mógł być zyskownym, i że do uprawiania świeżo otwierającego się przed nimi pola działalności garnąć się zaczęli pośpiesznie a tłumnie. Pole to zresztą nie otworzyło się przed nimi ze stron wszystkich. Właścicielami gleby nie mieli oni prawa zostawać, tak teraz, jak dawniej, ale mieli prawo, możność i tysiące sposobności zostawania jej dzierżawcami.

Zaledwie okrzyk troski i popłochu rozległ się po szerokich obszarach prowincyi, aliści w bramie dworu zjawiał się Żyd i zdejmując jarmułkę, a kłaniając się w pas, zapytywał, czy jaśnie lub wielmożny pan nie puści mu majątku w arendę?

Jaśnie więc i wielmożni panowie majątki swe *puszczali*, bo i cóż mieli czynić, skoro trzymać ich we własnych rękach nie umieli, a po prawdzie bardzo często i nie mogli. Wyrywały je im z rąk grzechy przeszłości, a także różne różności teraźniejsze, których spisaniem zajmie się kiedyś historya.

Jednym z pierwszych majątków, *puszczonych* tak w arendę, był Orchów; jednym z pierwszych Izraelitów, którzy na Litwie całej spostrzegli ów z ziemi wyrastający interes, obliczyli możebne zyski z niego i wyciągnęli do niego ręce, zatrudnione dotąd faktorskiemi lub handlarskiemi czynnościami, był Eli Makower.

Pochodził on z miasteczka Orchowa, stanowiącego dziedziczną własność pana Kajetana, gdzie ojciec jego, od lat wielu nazywany w okolicy starym Judelem, był krawcem męskim, a w gwałtownej potrzebie i damskim.

Ludzie, zamieszkujący wsie sąsiednie, znali Elego od dawna, najprzód jako Żydziaka-podrostka, który, w brudnym chałacie, w podartych butach albo i bez butów, z rozczochranym rudym włosem i rozdziawioną gębą, trawił ranki, dni i wieczory, stojąc lub siedząc na kamieniu pod wrotami miasteczko-

wych karczem, kędy zajeżdżały wozy chłopskie, a czasem karety, kocze i najtyczanki pańskie. Wkoło niego wrzały rozmowy, krzyki, pohulanki, dokonywały się targi i umowy; sporządzały sprzedaże, kupna, kontrakty; panowie spotykali się, witali, sprawy swe załatwiali, w bilard grywali, a nierzadko popijali miód lub szampan, gwarząc hucznie o stosunkach swych, zabawach, rozmaitych wypadkach ogólnych i szczególnych; faktorzy kręcili się koło panów, jak pszczoły koło kwiecia, stręcząc i pośrednicząc; a wśród całego tego, nigdy prawie nieustającego gwaru i zawichrzenia, Żydziak-podrostek, bosy, rozczochrany, chudy, jak siedział, tak siedział przed wrotami, to jednej karczmy, to drugiej, rozdziawiając gębę i oczy wytrzeszczając, co fizyognomii jego nadawało podobieństwo do wrony, lub przynajmniej istoty ludzkiej, biedą i ciemnotą zidyotyzowanej.

Nikomu zapewne na myśl wtedy nie przychodziło, że owe karczmy, przez rozwarte na oścież wrota i okna ziejące wrzawą głosów ludzkich, były zakładem wychowawczym, w którym Żydziak ów otrzymywał pierwsze wiadomości o świecie, otaczającym go i mającym być polem przyszłej jego życiowej działalności.

A jednak tak było. Powtarzające się wciąż koło niego widoki i dźwięki wpadały w wytrzeszczone oczy jego i w brudne uszy, aż utorowały sobie drogę do umysłu. Rozdziawiona gęba stawała się coraz mniej rozdziawioną, wytrzeszczone oczy coraz mniej szklanemi, uszy nawet, jakby w żądzy lepszego słyszenia, wydostały się z mszystych włosów, w których dotąd tonęły niepostrzeżenie.

W każde południe szedł on zwykle na obiad, a każdego wieczora na noc do domu ojca swego, krawca Judela, gdzie edukacya jego dopełniała się jeszcze innymi pierwiastkami. Bądź co bądź, przyszedł dzień, w którym gęba jego zamknęła się już całkowicie, a oczy strzeliły pojętnością bystrą i ciekawą; zamiast stać lub siedzieć przed wrotami karczmy, chłopiec wsunął się do jej wnętrza, przylgnął do ściany głównej izby i odtąd tam już obrał sobie stanowisko obserwacyjne. Dziury świeciły mu zawsze jeszcze na łokciach i kolanach, palce u nóg wyłaziły z butów, ale nie był to już idyota, nie był to nawet Żydziak-podrostek, ale Żydek dorosły, młody, z rudawym wąsikiem nad wargą cienką i ruchliwą, z błyskawicą sprytu i tajemnych pożądań, lub z głębokim namysłem w dużych, błękitnych oczach.

W tym samym czasie odbyły się zaślubiny jego z Chają, córką przywódcy i dziekana miejscowych faktorów. Jednocześnie

z przed wrót karczmy i z pod ściany głównej jej izby zniknął Żydziak, o którego imieniu i pochodzeniu nikt nie wiedział, natomiast zaś w okolicy pojawił się nowy faktor, imieniem Elko. O nazwisko jego nikt nigdy nie zapytywał, bo pocóż komu znać nazwisko faktora? Elko z Orchowa i koniec. Zdawało się jednak, że nie był to jeden Elko, ale że w osobie jego mieściło się stu, dwustu Elków.

Był on zawsze, wszędzie i na każdem miejscu: w miasteczku na rynku, pomiędzy chłopskimi wozami, na targ przybyłymi; przy drzwiczkach przejeżdżających koczów i karet, z czapką w ręku i językiem obrotnym; w oberżach, gdzie popasali i nocowali podróżujący panowie; pod płóciennemi budami kupieckich furgonów; na trzęsącej biedce wśród pocztowego gościńca; pieszo wśród drożyn, ku wsiom wiodących; na dziedzińcach dworskich, w oficynach z ekonomami, w oborach z pachciarzami, w przedpokojach z lokajami, w gabinetach dziedziców, nakoniec przy drzwiach, o pół kroku od progu, z wyprostowaną postawą, z bystrem spojrzeniem, latającem szybko dokoła, lecz długo i głęboko zatapiającem się w twarzach ludzkich, z usłużnym, zachęcającym, pokornym lub żartobliwym uśmiechem na ustach.

W owej porze nie miał on o swój byt powszedni troski żadnej, albowiem teść jego, dziekan okolicznych faktorów, przez wzgląd na wielkie ubóstwo starego Judela, przyjął był zięcia i córkę do siebie na *stół i mieszkanie*, co znaczyło, że Elko, Chaja i przychodząca na świat w pierwszych latach małżeńskiego pożycia ich progenitura mieli u rodziców kąt i strawę darmo. Co do strawy zresztą, tej nadużyciem Elko teścia swego do bankructwa przywieśćby z pewnością nie mógł, wpadał bowiem do domu raz lub parę razy tygodniowo, na pół dnia, na godzinę, przywitał się z Chają, cmoknął głośno każde z dzieci, najmłodsze ponosił po izbie, podrzucając je aż pod nizki sufit, naradził się w kącie z teściem w sprawach bieżących, potem zajrzał jeszcze do ojca, starego Judela, i dalej w drogę! Co jadł i czy jadł cokolwiek, było to dla wszystkich taką samą tajemnicą, jak to, kiedy spoczywał i czy spoczywał kiedykolwiek.

W istocie zaś wpadał niekiedy do przydrożnej karczmy i, załatwiając z chłopami lub szynkarzem jaki interes, przełykał oschły obwarzanek, albo kawałek czarnego chleba z solą, śledziem i ząbkiem czosnku, lub główką cebuli; niekiedy pachciarz jaki dworski poczęstował go ogórkiem kwaszonym lub misą kwaśnego mleka. Spał wszędzie, gdziekolwiek noc go zaskoczyła;

w izbie szynkownej na twardej ławie, na trzęsącej biedzie, z głową schowaną pomiędzy wysoko podniesione kolana, rozciągnięty na drabiniastym chłopskim wozie, na worach ze zbożem, na beczkach z okowitą, na gołej nawet ziemi.

Było to biedne, twarde, znojne życie, opylone kurzawą dróg, spieczone skwarem słońca, oblane potem trudów, ścierające pyły i brudy z podłóg karczemnych, z ław czeladnych, z rynków miasteczkowych, pełnych śmiecia, z przedpokojów pańskich, pełnych... upokorzeń.

Nikt jednak w czasie tym na niego nie zważał, bo i któż faktora-Żyda, mającego opinię sprytnego i nieodbicie potrzebnego szachraja, wziąćby chciał sobie za przedmiot studyów i rozwagi?... powieściopisarz chyba, albo rodzajowy malarz. Powieściopisarzy wszakże ani malarzy w okolicy nie było; nikt przeto Elka nie badał, a gdyby nagle dziwna ta myśl komu przyszła, nie spostrzegłby w nim nic innego, jak gonitwę za zyskiem, żądzę zbierania pieniędzy. Gonitwa to była gorączkowa, niezmordowana, uporczywa, buchająca ogniem, nietylko przez oczy, ale przez skórę na twarzy, która w pewnych chwilach rumieniła się i drgała nerwowo, przez wargi latające konwulsyjnie, gdy szło o wmówienie komuś czegoś, przez ręce drżące, gdy zarobek był tuż tuż, lecz jeszcze w nie nie wpadł.

Czy oprócz tej gonitwy, oprócz tej żądzy, oko badacza dostrzedzby mogło w Elku i inne jeszcze uczucia: przywiązania, namiętności, nadziei? Może, lecz aby dokonać odkrycia takiego, trzebaby było spuścić się głęboko w nurty jego najbliższych stosunków, najcodzienniejszych obyczajów, najtajniejszych uczuć, w nurty szczególniej tej podwójnej edukacyi jego, której jedną połowę odebrał przed wrotami gwarnych, ludnych karczem, drugą pod dachem ojca swego, starego Judela Owocami pierwszej tej połowy edukacyi, jaką otrzymał Elko, była właśnie owa gonitwa za zyskiem, owa żądza pieniędzy; druga połowa także bezowocną nie pozostała, ale o owocach jej — później.

Trwało tak długie lat dziesięć, poczem z okolicy zniknął faktor młody i zwinny, tak, jak niegdyś zniknął z okolicy podrostek żydowski, bosy i gapiowaty, a natomiast zjawił się kupiec, z gęstą, kędzierzawą brodą, w chałacie całym zupełnie, jeżeli nie zupełnie czystym, stąpający poważnie, mówiący zwolna i z namysłem, mniej już przebywający w szynkowniach i na miasteczkowych rynkach, rzadziej trzęsący się na biedkach i drabiniastych wozach, krótsze stacye odbywający w przedpokojach, a w gabinetach pańskich nie o pół kroku już, jak po-

przedzający go faktor, ale o dwa lub o trzy kroki od progu stojący, niekiedy zaś, w czasie spisywania umów naprzykład, albo przy dokonywaniu wypłat pieniężnych, przystępujący tuż do stołu lub biurka, przy którem siedział dziedzic. Przestał już nosić zdrobniałe imię Elki, a przedstawiał się jako kupiec Eli. Niekiedy, ale wtedy tylko, gdy zachodziła urzędowa tego potrzeba, występować zaczęło już i nazwisko jego, Makower.

Jeździł zawsze wiele, ale nie tak nieustannie, jak wprzódy; znał wszystkich, ale nie ze wszystkimi wdawał się w poufałe stosunki. Klasę chłopów, szynkarzy i pomniejszych oficyalistów dworskich, która stanowiła główny punkt zasiewów i zbiorów dla faktora, kupiec pozostawił niejako na stronie, zachowując tylko drobne i poboczne z nią związki; całą zaś uwagę skupił na mniej lub więcej zamożnych domach szlacheckich, najściślejszym kręgiem swej działalności otoczył do dworów tych należące śpichrze, stodoły, gorzelnie, lasy. Handlował zbożem, drzewem, okowitą, małą ilością przedmiotów tych zrazu, znaczniejszą potem, a w końcu bardzo już znaczną.

Miasteczko Orchów, z kilku tysiącami mieszkańców swych, współplemienników i współwyznawców jego, służyło mu w trudnych razach za bank pożyczkowy.

Kredyt jego wzrastał, a zarazem wzrastała zamożność akcyonaryuszów banku, z którego czerpał. Wzrastanie zamożności nie mogło tu jednak bynajmniej stosować się do drugiej ze stron przedstawiających się w interesach, które prowadził Eli, a mianowicie do właścicieli owych śpichrzów, gorzelni, lasów. Ale też względy na ich zamożność lub biedę, straty lub korzyści, dobro słowem lub zło, w najmniejszej rzeczy nie wchodziły w skład myśli, obrachowań i dążeń Elego.

Aliści przyszła pora, w której nietylko już śpichrze i gorzelnie, znajdujące się w dworach szlacheckich, ale gleba, płodami swymi zapełniająca pierwsze i zasilająca ostatnie, przedstawiła się jako materyał, z którego sporządzać można było dobre interesa.

Eli-kupiec przemienił się w Elego-Makowera, dzierżawcę dóbr orchowskich, z wyjątkiem jednego do dóbr tych należącego folwarku, Rydlówki, na którym zarząd objął młodszy syn pana Kajetana.

Taka była w najpobieżniejszym zarysie historya Elego i dróg, któremi szedł, nim doszedł do zamieszkania w oficynie folwarcznej orchowskiego dworu. Oficyna ta zresztą miała prawdopodobnie przedstawiać w życiu jego stacyę tylko, punkt

wyjścia ku innym stacyom; był to bowiem człowiek w pełnej jeszcze sile męskiego wieku, lat czterdziestu niespełna, z postawą więcej krępą niż wysmukłą, nie otyłą jednak bynajmniej, lecz owszem jędrnością muskułów, grubością i wyprężeniem żył znamionującą organizacyę krzepką, zahartowaną, pełną sił żywotnych i o ruch ustawiczny dopominających się niecierpliwie. W źrenicach jego, więcej szarych niż błękitnych, panował wyraz ciągłego prawie zamyślenia; w chwilach jednak, w których się ożywiał, strzelał z nich jakby promieniem blask żywy i przenikający.

Taką przedstawiała się powierzchowność Elego w chwili, gdy wychodził z nizkiego małego domku, stojącego przy jednej z uliczek miasteczka Orchowa.

Dom, z którego wychodził Eli, miał dach z nadgniłej słomy, wklęsły dokoła jedynego okopconego komina, dwa małe okienka w spróchniałych ramach, o łokieć wyniesione nad poziom i podwórko ciasne, śmieciem zarzucone, kilku innym domostwom wspólne.

Eli nie był sam jeden. Tuż za nim trzej Żydzi, z których dwaj równego mu wieku, trzeci bardzo młody i bezwąsy, przestąpili zgniłe bierwiono, wpoprzek drzwi miasto progu umieszczone. Za progiem, na wpółciemnem tle sionki, ukazały się głowy dwóch dziewcząt dorosłych, z włosami w nieładzie, i pomarszczona, oliwkowej barwy twarz podżyłej Żydówki, otoczona dwiema szlarkami zrudziałej czarnej materyi, zastępującej perukę.

O kilka kroków ode drzwi domku stał wózek zgrabny, na zielono pomalowany, w małego ale tłustego i silnego konia zaprzężony. Byłby to zaprząg wcale przyzwoicie wyglądający, gdyby nie uprząż, konia z wózkiem łącząca, utworzona ze zrudziałych rzemieni i powrozów grubych, niezgrabnymi węzłami pozwiązywanych.

— *Wo ist der furman?* — rzekł jeden z towarzyszących Elemu Izraelitów, rzucając spojrzenie na niezajęty koziołek wózka.

— Posłałem go do karczmy po wódkę — równie szwargotem żydowskim odpowiedział Eli. — Dożynają dziś u mnie jęczmień i otawę koszą Stu robotników i pięć...

Wymawiając ostatnie słowa, włożył ręce w kieszenie chałata i podniósł głowę z wyrazem dumnego zadowolenia.

— *Herste!* — zawołał jeden z Izraelitów — sto i pięć robotników! A skąd ty ich wziął tyle?

— Stąd — odparł Eli, uderzając dłonią po kieszeni.

— A wiele ty im płacisz? — zapytał drugi z towarzyszy, poruszając się żywo i biegające oczy z ciekawością topiąc w twarzy Elego.

— Czterdzieści kopiejek i pół kruczka wódki wieczorem — niedbale i patrząc w stronę widniejącej zdaleka karczmy, odparł Eli.

Żyd, który pytał się o cenę robotnika, obiema dłońmi uchwycił się za brodę.

— Aj! aj! — zawołał — a ja w Ręczynie płacę 50 kopiejek i kruczek wódki! — Skąd ty ich wziął takich tanich?

Eli, nie zmieniając kierunku wejrzenia, wyjął jedną rękę z kieszeni, wskazujący palec przyłożył do czoła i rzekł:

— Stąd.

Młody, bezwąsy Żydek, z rysów twarzy podobny bardzo do Elego, zaśmiał się na to słowo z głębokiem zadowoleniem i z wyrazem tryumfu w oczach spojrzał na starszego Żyda, wyrzekającego, iż płaci robotnikom drożej, niż Eli. Dwie dziewczyny, stojące za progiem mrocznej sionki, spojrzały także po sobie i pokiwały głowami, uśmiechając się, jakby giestem tym i uśmiechem tym mówiły do siebie wzajem: jaki on mądry!

— Nu! czemu on nie wraca? mnie pora jechać? — z niejaką niecierpliwością rzekł Eli.

W tej samej chwili na środku uliczki zjawił się człowiek jakiś, wyglądający z postawy i ubrania na zagrodowego szlachcica.

— Czy jegomość nie idzie czasem do Chaima? — zagadnął Eli po polsku przechodzącego i palcem wskazał na karczmę.

— A pójdę — odparł, zatrzymując się, szlachcic. — Dzień dobry, panie Makower — dodał potem, dotykając czapki.

Eli powtórzył giest i pozdrowienie szlachcica.

— Tam poszedł po wódkę *mój człowiek* — ciągnął dalej. — Bądź jegomość łaskaw powiedzieć *memu człowiekowi*, żeby prędzej wracał, bo mnie pora już jechać.

Mówiąc *mój człowiek*, włożył znowu ręce do kieszeni, a niemłoda Żydówka, z głową oblepioną czarną materyą, rozjaśniła uśmiechem twarz pomarszczoną i, spoglądając na stojące obok dziewczęta, szepnęła:

— Herste! *jego człowiek*!

Dwaj starsi Żydzi zamienili tymczasem pomiędzy sobą kilka słów półgłosem.

— Nu, Eli — rzekł głośniej jeden z nich — pamiętaj o mnie, jak będziesz gadał z Łozowiczem.

— A czemu ja nie mam pamiętać? Ale to jeszcze z tym Łozowiczem daleki interes.

— Niech sobie będzie daleki; ale jaby chciał bardzo Łozowę z tobą trzymać.

— Niewiadomo jeszcze, czy ja sam będę ją trzymał.

— Nu, a jak będziesz? Jaby chciał bardzo być twoim spólnikiem.

— Czemu nie — wyrzekł, uśmiechając się, młody Zydek.

— A co z Efroimem będzie, jak ja ciebie za spólnika wezmę? — zapytał Eli.

— Ty *Efroimu* drugi interes znajdziesz. Niech Ręczyn bierze.

— A Josiel?

Drugi ze starszych Żydów wzruszył ramionami.

— Ja jemu Ręczyn ustąpię. Kiepski interes. Wielka kobyła, ale chuda.

Ostatnie słowa wymówił po polsku. Eli uśmiechał się.

— Ja to odrazu wiedział, że z Ręczynem interes zły. W Orchowie to grunt! pluń tylko, a pszenica wyrośnie.

— Aj! aj! — z zachwytem ozwali się Żydzi. — A Łozowa to jeszcze lepsza, niż Orchów, tylko że mniejsza.

W tej chwili do rozmawiającego towarzystwa zbliżyło się jeszcze dwóch Żydów, niemłodych już, poważnie stąpających. Wyciągnęli ręce i dotknęli palcami palców Elego, przyczem kiwnęli głowami, nie dotykając czapek.

— Interes dobrze idzie? — z przyjaznym uśmiechem zapytał jeden z nich Elego.

— Czemu ma źle iść? dobrze idzie. Twój procent, rebe Abram, pewny... na pierwszy Septembra; a tobie, rebe Wigder, na Nowy Rok wszystko oddam.

Dwaj nowoprzybyli uśmiechali się z zadowoleniem, i przyjaźnie kiwali głowami.

— Nu, nu! — mówili — tyle biedy, co to! Czy my nie wiemy, jak ty interesa robisz? czy my kiedy bali się o nasze pieniądze, jak były w twojej kieszeni?

— On kładnie do kieszeni kopiejkę, a wyjmuje z niej rubla — zauważył dzierżawca Ręczyna, zwany Josielem.

Na te słowa wszyscy roześmiali się chórem. Jeden z nich rzekł:

— Takie już jego szczęście.

— Co to szczęście! to nie szczęście, tylko rozum! — zawołał niespodzianie milczący dotąd i mimiką tylko uczucia swe wyrażający młody, do Elego podobny Żydek.

Słowom jego zawtórował cichy chichot niemłodej Żydówki, stojącej za progami sionki, chichot, wyrażający uczucie niewymownego zadowolenia, złączonego z podziwem.

Na ulicy zjawił się parobczak w szarej świtce, dźwigający sporą, gorzałki pełną, beczułkę. Był to »człowiek« Elego.

— Nu, Wasyl! *a czeho* tak długo w karczmie siedział? — z polska po rusińsku zawołał do *człowieka swego* dzierżawca Orchowa.

Parobczak, nie odpowiadając nic, umieścił w wózku beczułkę z płynem. Eli zabierał się do odjazdu.

Postąpił był właśnie ku wózkowi, gdy młody Żydek położył mu rękę na ramieniu.

— Eli! — rzekł — czy ty mi tylko zrobisz to, co przyrzekłeś? he? Przyjm mnie do swoich interesów, albo pojadę gdzieindziej szczęścia szukać.

Żyd, zwany Mowszą, trącił młodego Żydka w bok łokciem.

— Co ty mu czas zabierasz? — zawołał. — On twój brat, to o tobie i sam pamiętać będzie, a nam trzeba z nim pogadać.

— My *wszystkie* do niego interesa mamy.

— *Eleczkie!* — zawołała piskliwie niemłoda Żydówka z sieni — ja będę czekać na *twego obietnice*... moje małe wnuczki sierotki będą za ciebie Pana Boga prosić.

— Ny, a jak do Łozowej pojedziesz, to pamiętaj, że Mowsza chce bardzo twoim spólnikiem być.

— A jeżeli Łozowicz tobie Łozową *puści*, to u mnie masz kredyt. *Verstehst?*

— Czemu ja nie mam takiej dobrej rzeczy rozumieć? — śmiejąc się, odpowiedział na ostatnie słowa Eli.

Siedział już na wózku i nogi opierał o beczułkę z wódką, która mu siedzenie niewygodnem czyniła. To też postawa jego, z podniesionemi zbytecznie kolanami, ścieśniona pomiędzy dwoma worami z jakiemś zbożem, które parobek na siedzeniu umieścił, przypominała dawnego faktora, jeżdżącego na króciutkiej biedce, wypakowanej rozmaitym ładunkiem. Wyraz twarzy za to był podobny do tego, który okrywa twarz naczelnika, znajdującego się pomiędzy podwładnymi, i brata, otoczonego braćmi. Rozpromieniały ją: duma, zadowolenie z siebie i życzliwość dla tych, którzy, gromadą otaczając wózek, podnosili oczy

ku jego twarzy, dotykali rękoma rąk i ubrania jego. Kiwał głową ku Mowszy i uśmiechał się.

— Dobrze! dobrze! jak pogadam z Łozowiczem o *arendę*, to dam tobie wiedzieć, co z tego będzie.

Josiel za chałat go pociągnął.

— Niech Efroim Ręczyn bierze... ja będę u ciebie gorzelnię w Łozowej pędził.

— Pogadam o tem z Efroimem.

— Ny, ny! Sura! furmanka jutro po ciebie przyjedzie... a tam już miejsce na kram najęte.

Młody Żydek położył znowu rękę na jego ramieniu.

— To ty już mnie z pewnością na ziemię do Orchowa bierzesz?

Eli obrócił się ku niemu.

— Co ty mnie o to sto razy pytasz? czy ty nie słyszał, jak mnie *stary* prosił, żeby ja ciebie do Orchowa wziął i handlować uczył? A czy ty nie wiesz, że jak mnie stary co powie, to już ja muszę zrobić to, co on chce, choćbym miał pod ziemię wleźć?

— Gut! gut! — chórem zawołali Żydzi. — Kiedy ojciec o co prosi, to trzeba tak zrobić, jak on chce.

— Nu, Wasyl! do domu! — rzekł Eli.

Wasyl cmoknął na konia. Zanim jednak wózek ruszył z miejsca, Eli poprzez głowy otaczających go osób szukał czegoś. Szukał, znalazł, kiwnął głową, uśmiechnął się i podniesionym głosem zawołał:

— Gut Nacht, Tate! gut Nacht!

Wózek potoczył się zwolna błotnistą uliczką. Żydzi rozeszli się, a stara Żydówka z pomarszczoną twarzą i młode dziewczęta rozczochrane zniknęły w głębiach mrocznej sionki.

Przedmiotem, który przyciągnął do siebie spojrzenie Elego w chwili odjazdu i wywołał na usta wykrzyk »Gut Nacht, Tate!«, była twarz starego Żyda, widniejąca z za mętnej szyby małego okienka. Gęste, białe jak mleko, tu i owdzie tylko żółtawemi smugami przerznięte, włosy otaczały czoło wysokie, zmarszczkami w różnych kierunkach wyżłobionemi zorane, tak, iż wydawało się, zmiętą latami i zużyciem, kartą zżółkłego pergaminu. Takaż broda srebrna dwoma długiemi pasmami spuszczała się do ust, cienko zarysowanych, tak bladych, jakby w nich kropli krwi nie było, i ocieniała policzki ściągłe, żółtawe, zapadłe; z pod brwi siwych dwie błękitne źrenice, na zaczerwienionych białkach pływające, świeciły blaskiem łagodnym, przyga-

słym a jednak przenikającym, blaskiem, właściwym oczom, które pracowały ciężko i długo, łez wiele przelały, a przestawszy już pracować i płakać, zwróciły się ku tajemnym światom wewnętrznych przypomnień, rozwag i rozpamiętywań. Twarz ta, w której było coś patryarchalnego i ascetycznego zarazem, coś głęboko znużonego i mistycznie radosnego, promieniała uśmiechem, rozlanym na ustach, w źrenicach, w samych nawet wklęsłościach chudych policzków, w chwili, gdy Eli, siedząc na wózku, rozdawał otaczającym go przyrzeczenia i skinienia głową, niby dowody łaski i przyjaźni.

Kiedy Eli zawołał: »Gut Nacht, Tate!«, cienkie, blade wargi starca poruszyły się i wydały przeciągłą, śpiewną odpowiedź: »Gut Nacht, Eli!« W odpowiedzi tej zadźwięczało echo głosu Jakóbowego, spływającego gorącem błogosławieństwem na głowę ulubionego Beniamina.

IV.

Parę jeszcze godzin zostawało do zachodu słońca, gdy wózek, wiozący dzierżawcę Orchowa, wtoczył się na folwarczny dziedziniec orchowskiego dworu i stanął przed starą oficyną.

Z za ogrodzenia, otaczającego ogród warzywny, rozległy się okrzyki: »Tate! Tate!« Jednocześnie na szczycie płotu zjawiło się dwoje dzieci: pięcioletnia dziewczynka w grubej koszuli, przewiązanej sznurkiem, i o parę lat starszy od niej chłopak, w spencerku bez rękawów. Obie głowy dziecinne osypane były gęstymi, jak las, kędziorami włosów, złocistej barwy.

Przed oficyną, do pni zdala od siebie rosnących topoli przymocowany, rozciągnięty był sznur, a na nim wisiały wilgotne szmaty rozmaitych kształtów: płachty płócienne, do cedzenia mleka służące, kliniaste worki do robienia serów, kolorowe, spłowiałe chusty do obwiązywania głów i dziecięce sukienki z perkalu, niewiadomej barwy. Wszystkie te przedmioty wyjmowała z balii, przed progiem stojącej, średnich lat Żydówka, rozwieszając je na sznurze. Była to Chaja, żona Elego.

Na dziedzińcu, porosłym trawą, wydeptaną w jednych miejscach, w innych zgłuszoną ostami i szeroko rozrosłemi kępami chrzanu i łopuchu, aż pod obory ciągnęły się źdźbła gnijącej słomy; pod płotem, na którego szczycie zawisło dwoje dzieciaków, wznosiły się mniejsze i większe wzgórza, z nagromadzonego śmiecia powstałe; przed małym gankiem o dwóch

wykrzywionych słupach stały mętne i niemiłą woń wydające wody dwóch wielkich kałuż.

Eli wysiadł z wózka i lekceważące spojrzenie rzucił na balię i sznur, obwieszony wilgotnemi szmatami.

— Chaja! dlaczego ty to robisz sama? na co tobie tego? czy sługi nie masz? — zapytał głosem podniesionym.

— A co to szkodzi, że ja sama tego robię? — odpowiedziała Żydówka i przybierała się do wyjmowania z balii ostatniej, znajdującej się tam, szmaty płótna; ale Eli zawołał na nią:

— Pójdź do izby; ja coś dobrego przywiózł.

Wyjął z pod siedzenia znajdującego się tam zawiniątko i, uśmiechając się, powoli przestąpił próg oficyny. Za nim udała się Chaja, otarłszy wprzód o spódnicę ręce, okryte szarą pianą mydlaną.

W sieni oficyny, na glinianej podłodze, siedziała Żydówka, podobna do Chai z ubrania i powierzchowności, wielkim nożem siekając na desce ziele, do karmienia gęsi przeznaczone.

Eli kiwnął ku niej głową.

— *Wo ist Efroim?* — zapytał.

— Gdzie *un* ma być? stoi na polu przy robotnikach — nie przerywając zajęcia swego, odpowiedziała żona współdzierżawcy Orchowa.

Z jednej strony sieni znajdowały się drzwi, na oścież otwarte, prowadzące do wielkiej izby czeladnej, zwanej piekarnią. Tam, przed olbrzymim piecem, opatrzonym w czarny od kopcenia kaptur, stała dorosła dziewczyna żydowska, pilnująca strawy, warzącej się przy ogniu; czworo dzieci różnego wieku, rozczochranych i w szare koszule lub kaftany bez rękawów poubieranych, bawiło się z gromadą małych kociąt.

Na jednej z ław wkoło ścian spało trzech Żydków, z których najstarszy mógł mieć lat piętnaście, najmłodszy dziesięć. Oprócz krzyku dzieci, miauczenia kociąt, miarowego stuku noża Żydówki, siekającej ziele, i chrapania śpiących podrostków, nic więcej dokoła słychać nie było. Czeladź dworska znajdowała się w polu i na łąkach, bydło ze swymi dozorcami na pastwiskach.

Eli nie udał się do piekarni, ale otworzył drzwi, znajdujące się z drugiej strony sieni. Były to dwie izby, dość obszerne, któreby można było zrazu wziąć za hurtowy skład pościeli wszelkiego rodzaju, tyle tam stało łóżek, napełnionych piernatami i poduszkami, których stosy wznosiły się prawie aż pod belkowy pułap. Pośrodku pułapu pierwszej izby wisiał mosiężny, czterora-

mienny świecznik, a pod oknem stała kanapa stara, podartym perkalem okryta, i wielki stół, czarno pomalowany.

Eli siadł na kanapie, położył zawiniątko przed sobą na stole i zaczął je rozwiązywać powoli i z uśmiechem. Chaja, o dwa kroki stojąc, głowę naprzód pochylała i ciekawemi oczyma śledziła ruch rąk mężowskich. Nagle ku stołowi skoczyła, rękoma klasnęła i krzyknęła:

— Och! och!

Twarz jej, zwiędła i ogorzała, promieniała radością, podziwem. Eli wyjął z zawinięcia i w dwóch palcach, ostrożnie, z rodzajem głębokiego poszanowania, trzymał zawieszony w powietrzu mały surducik z granatowego sukna, ze srebrnemi wypustkami i guzikami. Był to mundur szkolny, mogący służyć dla chłopca lat dwunastu mniej więcej.

— To dla Abramka? — po chwili niemego osłupienia wymówiła Chaja.

— A dla kogożby? — odparł Eli, lubując się widocznie przedmiotem, trzymanym w ręce, i wrażeniem, jakie on na Chai wywierał.

Chaja wciąż stała, z postacią naprzód podaną. Parę razy wyciągała rękę i już-już dotknąć miała mundurka, ale cofała ją wnet i, przechylając tylko głowę na obie strony, zawołała nagle:

— A jak *un* będzie w tem wyglądał?

— Otóż to, jak *un* będzie w tem wyglądał — powtórzył Eli. — A gdzie *un*?

— *Un* śpi w piekarni. Ja jego zawołam.

W kilka minut po tej rozmowie, czerwone piernaty, do połowy zasłaniające ściany izby, służyły za dekoracyę scenie tłumnej i gwarnej. W izbie, oprócz Elego, który z rękoma w kieszeniach siedział rozparty na kanapie, znajdowała się gromada kobiet i dzieci różnego wieku. Osoby te, w liczbie kilkunastu, tworzyły półkole, rozwarte ze strony kanapy, na której siedział Eli. Była to grupa, podobna do tych, jakie skupiają się na ulicach miast mniejszych, a nawet i większych, dokoła pajaca, pokazującego uczone psy lub skaczące małpy.

Jak w owych grupach, tak i w tej, głowy patrzących wysuwały się naprzód z ciekawością, usta roztwierały się uśmiechami podziwu i zadowolenia, mniejsze dzieci wdrapywały się na plecy i ramiona większych, aby lepiej widzieć; dorośli szturchali jedni drugich w łokcie, szepcąc: »sieh! sieh!« Tylko, że przedmiotem powszechnego zajęcia nie był tu ani pies uczony,

ani małpa w czerwony kaftanik przybrana, lecz dwunastoletni chłopak, w nowiutkim mundurku szkolnym, dziwnie odbijającym przy bosych jego nogach, przy włosach, splątanemi pasmami wysuwających się z pod zrudziałej jarmułki, i przy twarzy, pokrytej taką warstwą brudu i sadzy, że z za niej, jak z za gęstej przesłony, zaledwie przeglądały delikatne, ładnie wykrojone, bladawą cerą pokryte rysy dziecka. Ręce trzymał w znacznem oddaleniu od ciała, gębę roztwierał i osłupiałemi oczyma wodził po swem nowem ubraniu, a szczególniej po błyszczących wypustkach i guzikach.

— *Gaj a weg*! — krzyczała Chaja za każdym razem, gdy które z dzieci, pociągnięte ciekawością, próbowały przekroczyć linię półkola i zbliżyć się do Abramka; sama zaś oczu od niego oderwać nie mogła. Uśmiech niebiańskiego zachwycenia rozlewał się na jej twarzy.

— Och! och! — mówiła — jak *un* wygląda! jak obraz! jak lustro! jak... panicz!

Eli uśmiechnął się, milcząc.

Nagle Abramek skrzywił się, ręce podniósł do jarmułki, przysiadł, otworzył usta szeroko i — wrzasnął. Czy czuł, że mu w mundurku ciasno i niewygodnie, czy pomyślał o tem, że przywiezienie go przez ojca zwiastuje mu blizki odjazd do szkoły, dość, że niespodziewanie, wśród zachwycenia powszechnego, wrzasnął i zalał się obfitemi łzami.

— *Abramkie! libeczkie! kłajneczkie!* — zawołała Chaja, z otwartemi rękoma przypadając do siedzącego na ziemi i wrzeszczącego syna.

W tejże chwili wszedł do izby Efroim. Nie był on podobny do Elego i przedstawiał inny typ żydowski. Wysoki, barczysty, przygarbiony nieco, włosy, oczy i brodę miał czarne, jak noc, cerę twarzy ciemną, a pomiędzy krzaczystemi brwiami dwie głębokie, mięsiste zmarszczki, które na całą fizyognomię jego rzucały wyraz surowy i ponury.

— *Wos is dues?* — zapytał Efroim, stojąc na środku izby i patrząc na wrzeszczącego wciąż Abramka, którego Chaja, postawiwszy na stołku, tuliła w objęciach, całowała, łajała i z mundurka rozbierać zaczynała.

— To ty jego naprawdę myślisz do szkoły oddać? — zwrócił się przybyły ku Elemu.

— A dlaczego nie mam oddać? — wzruszając ramionami, odparł Eli

Zmarszczki na czole Efroima pogłębiły się, czarne oczy jego strzeliły ku Elemu błyskiem szyderskim, gniewnym.

— A na co jemu tego? — mówił — czy tobie źle, choć ty w szkołach nie był?

— Możeby było lepiej jeszcze, gdybym był — z jednostajnym zawsze spokojem odparł Eli.

— A co ty z niego zrobisz, jak on bardzo *nauczny* będzie?

Eli po raz pierwszy podniósł uważny wzrok na twarz spólnika, i zarazem wyprostował się na kanapie.

— Co ja z niego zrobię, jak on będzie *nauczny*? — powtórzył i zamyślił się.

Wątpliwość jakaś zapadła mu snadź w umysł. Efroim uśmiechał się złośliwie i niechętnie.

— Ja tobie mówię, Eli, że to na nic. Jego tam oduczą tylko Żydem być, a potem co? Niech *oni* swoje dzieci do szkoły posyłają... ty weź dla Abramka *szpektora*, to on go Boga chwalić i liczyć nauczy.

Eli milczał, po chwili podniósł głowę i rzekł:

— Mój *stary* dawno mnie już gada, żeby ja Abramka do szkoły posłał, a ja w mego starego rozum wierzę... Ja i w swój rozum wierzę, a ot tak on mnie gada: — A czemu to mój syn nie ma wszystkiego wiedzieć, co panowie wiedzą? a czemu on nie może chodzić kiedyś po wielkich miastach i wielkim *purycem* być, i nie kopiejki zbierać, jak ja, ale złote półimperyały, i nie przy progach panów stać, jak ja, ale siadać wszędzie, gdzie oni siadają, i żeby oni kłaniali się jemu, a nie on im. — A czemu tak nie może być? A kiedy do tego trzeba nauki, to ja jemu dam naukę. Ot, jak mój rozum gada.

Rozum Elego gadał zupełnie takim językiem, jakim przemawia próżność i ambicya. Ukazywał on mu obraz syna jego, przechadzającego się po ulicach nie małych już miasteczek, ale miast wielkich, otoczonego nieokreśloną jakąś aureolą rozumu, elegancyi, swobody, otrzymującego grzeczne ukłony od tych, którym ojciec jego nizko kłaniał się przez życie całe. I zarobki w postaci złotych półimperyałów grały w ojcowskich marzeniach Elego rolę pewną, ale podrzędną.

O przyszłej, moralnej wartości chłopca, o wewnętrznej treści i źródłach tej aureoli wyższości, która go kiedyś otoczyć miała, rozum Elego nie gadał mu ani słowa.

Efroim nie spuszczał oczu z zamyślonego swego spólnika. W wejrzeniu jego tkwił niepokój i wzgardliwe jakby politowanie.

— Nu — rzekł — to tylko dobrze, że jego może do szkoły nie przyjmą.

Eli wstrząsnął się cały.

— Dlaczego nie mają przyjąć? — zawołał. — Czy to teraz takie czasy, żeby Żydków do szkoły nie przyjmowali?

— A co on umie? — szydersko zapytał Efroim.

— Co on umie? — jak echo, powtórzył Eli. — Nu, dwa lata już uczy się u szpektora w Orchowie.

— A czego szpektor jego nauczył?

Eli podniósł się z kanapy, jak sprężyną ruszony, i stał chwilę przy stole, zamyślony głęboko.

Nagle, jakby mu myśl jakaś przyszła do głowy, wziął czapkę i zwrócił się ku drzwiom. Od progu zapytał:

— A kto przy robotnikach stoi?

— Mój syn, Jankiel — odparł Efroim.

— A czy on dopilnuje akuratnie?

— Czemu on nie ma dopilnować? ja jego do szkoły nie posyłał, to on pilnuje tego, z czego je chleb.

Nie zważając na ostatni szyderski pocisk spólnika, Eli opuścił izbę powoli, w zamyśleniu przeszedł folwarczny dziedziniec i, postępując śladami drogi, szerokiej niegdyś i żwirowej, dziś trawą zarosłej, zwrócił się ku oficynie, w której mieszkał Kamil Orchowski.

Kamil leżał jeszcze w fotelu głębokim i doczytywał właśnie pierwszego rozdziału książki, która go mocno zainteresowała, gdy miłą tę ucztę umysłową przerwało mu wejście lokaja, Walka.

— Makower przyszedł i prosi, czy nie mógłby widzieć się z panem.

Kamil wzrok od książki oderwał, i usta wykrzywił w sposób, wyrażający uczuty niesmak.

— A czego on tam chce? Nie pytałeś? — rzekł, marszcząc czoło.

— Pytałem, ale powiedział, że ma taki interes, o którym chciałby z samym panem pomówić.

Zdawało się zrazu, że młody pan, w fotelu leżący, ręką niedbale skinie i powie: »niech przyjdzie później«. Ale Makower, jako dzierżawca Orchowa, trzymający w kieszeni swej finansowe sprawy całej rodziny, a zatem i Kamila, był figurą zbyt często potrzebną, aby ją tak, bez ceremonii, ode drzwi odprawić wypadło.

— Niech wejdzie — rzekł Kamil.

Eli wszedł, postąpił kilka kroków, zatrzymał się na środku pokoju, z rękoma w tył założonemi, i oddał ukłon nie bardzo nizki, nie bardzo pokorny, trochę jednak nizki i pokorny. Kamil, ani postawy, ani miny skwaszonej nie zmienił, skinął tylko głową dość uprzejmie.

— A co powiesz, panie Makower? — rzekł.

— Ja do wielmożnego pana z jednym interesem przyszedł... z moim własnym interesem. Mam wielmożnego pana o *czegoś* prosić.

— O cóż takiego?

— Ja chciałby wielmożnego pana prosić, żeby mnie pan powiedział to, czego ja nie wiem...

— Czego nie wiesz? — z żartobliwym uśmiechem przerwał Kamil. — Ja ciebie, panie Makower, mam za takiego rozumnego człowieka, który wszystko wie.

— Wielmożny pan żartuje — obojętnie odparł Żyd. — U nas napisano, że niema takiego człowieka i niema takiego rozumu, coby wiedział wszystko. Ja, chwalić Boga, wiem, co do mnie należy, ale to, o *czego* ja chcę wielmożnego pana pytać, do mnie nie należy.

— Więc jest jeszcze na świecie coś takiego, co do was nie należy? A ja myślałem, że wszystko już, na co spojrzeć, należy do was, Żydów.

— *Jest* takie rzeczy, na które człowiek patrzy oczyma, i takie, które delikatnym tylko rozumem zobaczyć może...

— Alboż ty, panie Makower, nie masz delikatnego rozumu?

— A skąd ja jego mógł dostać?... Ale ja chcę, żeby jego miał mój syn.

Młody Orchowski zaśmiał się lekko.

— Czy przyszedłeś do mnie po rozum dla swego syna?

— Ja przyszedłem dlatego, żeby wielmożny pan mnie powiedział, jak jemu ten rozum dać.

Obejście się Kamila, pod osłoną żartobliwości kryjące wzgardliwe niemal lekceważenie, nie zrażało Elego do dalszej rozmowy. Doświadczał on w tej chwili tego tylko, do czego z dawien dawna przywykł.

Nie można jednak zaręczyć, aby do głowy mu nie przyszło porównanie stojącej postawy, jaką zajmował o kilka kroków od rozciągniętego w fotelu młodego dziedzica, z tą, w jakiej przed dwiema godzinami znajdował się w rodzinnem miasteczku, pośród sprzyjających mu, podziwiających go współwyznawców.

Porównaniu temu towarzyszyć koniecznie musiała myśl, że tam był on *ze swoimi*, tu zaś rozmawiał z człowiekiem *cudzym*. Pomocy jednak *cudzego* człowieka tego w tej chwili potrzebował, o minę więc jego i żartobliwe słowa nie dbał.

— Wielmożny pan ciągle książki czytuje, i na wielki świat często jeździ, i sam bywał w szkołach i w uniwersytecie, to wielmożny pan wie *tego*, o co ja chcę pytać.

— No, no — żartobliwym zawsze tonem zachęcał Żyda do mówienia Kamil.

— Ja mego syna chciałby do szkoły oddać. Mój ojciec... wielmożny pan wie, stary Judel, krawiec, uszył już dla niego nawet mundurek, choć on teraz dla nikogo nie szyje... Ale ja nie wiem, czy mego syna przyjmą do szkoły, bo on jeszcze bardzo mało umie. To ja chciałby wielmożnego pana pytać, *czego* to on powinien umieć, żeby jego przyjęli, bo nasze Żydki o *tego* nic nie wiedzą. A jeszcze ja chciałby wielmożnego pana pytać, co mój Abramek będzie mógł robić, jak on szkoły skończy? czy jego potem koniecznie do uniwersytetu posyłać, czy niekoniecznie? i czego jemu... co jemu...

Zająknął się Eli. Oczy mu połyskiwały żywo; szyję naprzód wyciągał i w twarzy młodego pana topił spojrzenie proszące, ciekawe, prawie chciwe.

Kamil słuchał pośpiesznych i błagalnych słów Żyda z jednostajnym na ustach uśmiechem. Gdy Eli umilkł, wyprostował się nieco na fotelu i krótko zapytał:

— I na co ci to wszystko, panie Makower?

Żyda pytanie to jakby zimną wodą oblało.

— Jakto na co? — zapytał ciszej i z trochą zdziwienia w głosie.

— Jesteście i tak dosyć rozumni — mówił młody dziedzic Orchowa — w waszych rękach wszystko: handel, rzemiosła, a teraz i ziemia. Macie wiele sprytu i umiecie dobrze rachować, bez szkół i bez uniwersytetów.

Zdawało się, że te słowa, których słuchał z obojętną twarzą, nie czyniły na Elim wrażenia żadnego.

— Z przeproszeniem wielmożnego pana — rzekł powoli — a co to szkodzi, jeżeli tam, gdzie jest dziesięć rublów, znajduje się drugie dziesięć?

— Otóż to — zaśmiał się Kamil — chcecie nauki, aby z jej pomocą pomnożyć w dwójnasób wasze bogactwa. Chwalebny zamiar. Nie mam nic przeciw niemu. Dziwię się jednak, że żądasz, panie Eli, abym ci poradził, jaka nauka najstosowniejszą

być może dla tego celu. Naucz swego syna tak biegle rachować, jak sam rachujesz, a on z twoich dziesięciu rubli zrobi z pewnością dwadzieścia.

— *Tego* naukę *un* już ma — prostując się nieco, odparł Eli. — *Un* tak dobrze liczy, że kiedy ja jemu wczoraj powiedział: — Abramek, a czy ty przeliczysz, wiele ja jaśnie panom Orchowskim *pieniądzów* na arendę dał, a wiele oni mnie winni? to *un* pomyślał, palcami poruszał i powiedział akurat tyle, ile trzeba.

Mówiąc to, Eli miał wyraz twarzy zupełnie spokojny, zwyczajny, lekkim tylko uśmiechem zadowolenia rozjaśniony. Najbieglejszy badacz nie odkryłby w fizyognomii jego ani cienia ukrytej złośliwej myśli. Sama jednak treść słów jego nie mogła być przyjemną dla Kamila. Powiódł też dłonią po czole, z giestem pewne znudzenie objawiającym.

— Widzisz więc, panie Eli, że syn twój dość jest mądry na swój wiek, a ty sam edukacyą jego przyszłą najlepiej pokierować potrafisz.

Chwila milczenia zapanowała pomiędzy dwoma ludźmi. Kamil patrzył na książkę, którą w ręku trzymał, jakby przez to okazać chciał Żydowi, że pilno mu do niej wrócić. Eli namyślał się, patrząc w ziemię.

— To ja niczego nie dowiem się od wielmożnego pana? — wymówił, podnosząc zwolna głowę.

Na twarzy Kamila skwaszenie i znudzenie zastąpiło całkowicie uprzednią żartobliwość.

— A czegoż dowiedzieć się ode mnie możesz, panie Makower? Już też spodziewam się, że ludzie, tak dojrzali i doświadczeni, jak ty, nie potrzebują guwernerów, którzyby rządzili domowemi ich sprawami. Jeżeli zresztą chcecie wchodzić, czy tam dzieci swoje wprowadzać na drogę wyższego ukształcenia, co zresztą bardzo się wam pochwala, to już powinniście poznać przedewszystkiem zasadę, uznaną powszechnie w teraźniejszej ekonomii: że popędy do reform i postępów powinny iść z dołu, nie z góry. Jeżeli my udzielać wam będziemy rady i zachęty, będzie to popęd z góry i na nic się wam nie przyda.

Skończył i z czołem zmarszczonem patrzał znowu na karty książki. Eli z niewzruszoną twarzą słuchał wyrazów, dla niego w większej połowie niezrozumiałych. Zrozumiał to tylko, że niema poco mówić dłużej z człowiekiem, który żądania jego nie pojął, lub, pojąwszy je, przez lekceważenie, niechęć, czy leni-

stwo, spełnić go nie chciał. Stał jeszcze chwilę, aż wreszcie ukłonił się i powiedział:

— Upadam do nóg wielmożnego pana.

— Adieu, adieu! — odrzekł Kamil, podnosząc oczy z nad książki.

Eli opuszczał dworski dziedziniec powoli, tym samym zupełnie krokiem i z tym samym wyrazem na twarzy, z jakim wstępował na niego przed rozmową z Kamilem, i kiedy nie kiedy zrywał nawet, jakby dla zabawy, listek jakiś z krzaku, lub wyżej od innych wzrastającą trawę. Po bardzo tylko bliskiem, bacznem przyjrzeniu się, możnaby było dostrzedz, że po ustach jego, przykrytych rudawym wąsem, błądził cień szyderczego uśmiechu.

Kamil pozostał w napół ciemnym swym pokoju, i zagłębił się znów w czytaniu książki, ślicznym stylem napisanej, traktującej o jednem z najciekawszych zadań filozofii tegoczesnej.

Kiedy Eli wrócił do folwarcznej oficyny, Chaja spotkała go we drzwiach izby, w której za czarnym stołem siedział także Efroim, kreśląc cyfry w poliniowanej i pokratkowanej księdze.

— A co? — spytała Żydówka, patrząc na męża ciekawemi oczyma.

— Nu co? — obojętnie odpowiedział jej pytaniem mąż, zdejmując czapkę i zbliżając się do spólnika.

— Co *un* powiedział?

— Nic nie powiedział.

Efroim podniósł głowę. Czarne oczy jego żywiej błysnęły.

Chaja niespokojną była i ciekawą. Stanęła tuż za mężem, który zatrzymał się przy stole.

— Co teraz będzie z Abramkiem? — zapytał Efroim, trzymając w ręce pióro, aż po skrzydło uczernione atramentem.

— A co ma być? — odrzekł. — Za tydzień odwiozę go do N. i oddam do szkoły.

Uśmiech błogiego rozradowania rozlał się po twarzy Chai.

— Ty jego do szkoły oddasz? — raz jeszcze zapytał Efroim.

— Oddam — rzekł, siadając, Eli — tak już musi być. Już ja tak postanowił.

— Gut, gut, Eli — nagle zawołała Chaja. — Mnie serce boli, że Abramek pojedzie, ale ja chcę, żeby *un* jechał, bo za to, jak *un* wyrośnie, będzie *wielki puryc*.

W tej samej chwili, na drodze, okalającej dziedziniec fol-

warczny, głucho zaturkotały koła i dało się słyszeć rozgłośne, dwa razy powtórzone, klaśnięcie z bata. Dwaj Żydzi twarze ku oknu zwrócili. Tuż za dworem toczył się kocz otwarty, sześciu pięknymi końmi ciągniony. Zaprzęgiem tym powoził młody mężczyzna, w krótkim spencerku w kraty i w czapeczce oryginalnego kształtu, z fantazyą na bok włożonej. Obok powożącego siedział stangret bezczynny, w liberyi ze srebrnymi guzikami, w koczu zaś jechały cztery kobiety.

Tuż za powozem ukazały się dwa jeszcze konie. Na jednym z nich siedział człowiek jakiś wąsaty, w ubiorze niby kozaka, niby masztalerza, i prowadził za uzdę drugiego konia, osiodłanego i wielką białą siatką, od głowy do ogona i od grzbietu do kopyt prawie, okrytego. Było tam tedy koni wszystkich razem ośm.

Żydzi ścigali oczyma tę kawalkadę, która, minąwszy bramę, zdążała ku gankowi domu. W połowie dziedzińca powożący młody człowiek stanął na koźle, rękę podniósł, bat olbrzymiej długości rozwinął i w powietrzu, niby wystrzały pistoletowe, rozległy się dwa klaśnięcia.

— Ręczyce! — rzekł Eli. — Matka, córki, syn i *guwernantkie.*

— Aj! aj! co tu *koniów* — mówiła Chaja. — A gdzie *un*? — zapytała ciekawie.

— Kto?

— Syn, młody Ręczyc?

— *Un* tam, gdzie powinien być furman — odparł Eli.

Efroim uśmiechał się, oczyma błyskał i krzaczystemi brwiami ruszał. Wyciągnął wskazujący palec w kierunku młodego człowieka, który właśnie w tej chwili na koźle stawał i bat rozwijał.

— Sieh, Chaja — rzekł. — *Un* w szkole był, i ot, jaki z niego *puryc* zrobił się. Kiedy Pan Bóg jego stworzył panem, to *un* gwałtem lezie tam, gdzie furman powinien być... Czy tyby chciała, żeby twój Abramek takim był *purycem*?

Eli wyprostował się z uśmiechem i ręce do kieszeni włożył.

— Na co jemu tego? — rzekł. — Jak *un* będzie miał *swego kocza* i konie, to *un* na kozieł nie wlezie, tylko będzie siedział w koczu rozparty, a konie będą jego ciągnąć.

Jaśniejszy, niż zwykle, uśmiech rozświecił ciemne rysy Efroima. Podniósł na Elego spojrzenie.

— A Ręczyc będzie wtedy furmanem i siądzie u niego na koźle?

— Może — obojętnie odparł Eli i, zabierając miejsce na kanapie, zwrócił się do spólnika:

— A chcesz ty Ręczyn w arendę wziąć?

Efroim obu ręko na objął czarną swą brodę. Źrenice jego zamigotały i przenikliwem, chciwem spojrzeniem utonęły w twarzy Elego.

— A Josiel? — zapytał przeciągle.

— *Un* tobie Ręczyn ustąpi... jemu tam źle... *un* nie umie koło Ręczyna chodzić. Ty potrafisz...

Efroim głową skinął i białe zęby w uśmiechu dziwnie radosnym ukazał.

— A jak to może być? — zapytał. — Ile Josiel odstępnego chce? Ile *un* tam jeszcze lat ma siedzieć?

— Ot, jak to może być — rzekł Eli — ja tobie *tego* powiem. Chaja! *giej* do dzieci, *oni* tam czegoś płaczą.

V.

— *Figuruj* sobie tylko, moja duszko, jaką ja satysfakcyę w tych dniach miałam. Konio uprosił mnie, abym do N. jechała, bo mu tam trzeba było jakiegoś zrzeczenia się z mej strony części majątku, przypadającej mi po nieboszczyku mężu. Dlaczegożbym zrzec się nie miała? jemu to do interesów potrzebnem było, nie wiem już do jakich, bo ja do rzeczy podobnych nigdy inklinacyi nie miałam. Otóż pojechałam do N. z Różą, z Florą i naturalnie z Koniem. Figuruj sobie, że odżyłam! Nie stolica to zapewne, ale zawsze gubernialne miasto, ludzie, ulice, domy murowane i teatr. Ach, teatr! pamiętasz, kochaneczko, jakeśmy to z tobą w teatrze warszawskim bywały, kiedyś tam, kiedyś, nim cię Kajetan ode mnie porwał? Byłaś wtedy w żałobie po obojgu rodzicach, biedactwo! ale to nic nie szkodziło. Czarny kolor był ci zawsze do twarzy; ja cię nawet i teraz mam w podejrzeniu, filutko, że ubierasz się czarno, bo wiesz, że ci z tem ładnie. Nazywali cię wtedy w Warszawie piękną sierotą, pamiętasz?... A przypominasz sobie hrabiego Kaliksta?... przepadał za tobą, i byłby się oświadczył z pewnością, gdybyś posag większy miała... A propos! figuruj sobie, ten poczciwy Łozowicz przyjeżdża do nas wczoraj i mówi do mnie *avec son air penché*: — »Widziałem przeszłej niedzieli w kościele pannę Lilę Orchow-

ską. Jaka piękna czarna lilia!« Poczciwy Łozowicz! moją Florę porównał niegdyś do hesperyjskiego ogrodu, jak włożyła na głowę ten kapelusz, co to z Warszawy jej sprowadziłam, z gałęzią dojrzałych czereśni, dwiewa gałązkami winogron i marchewką, ukrytą pomiędzy trzema jabłuszkami. Naiwny kapelusik, stosowny do jej wieku, ma się rozumieć. Ale gdzie Lila? przy obiedzie jej nie było i teraz nie przychodzi? gdzież moja czarna lilia?

Tak mówiła pani Malwina Ręczycowa, siedząc na kanapie obok gospodyni domu. Twarz jej świeża, pomimo licznych zmarszczek, okrągła, pulchna, różowa, migotała uśmiechem i połyskami siwych, biegających oczu.

— Gdzie Lila? — powtórzyła pytanie, rozkładając szerokie fałdy jasnej sukni i poprawiając na ramionach szal nie mniej barwny, jaskrawo odbijający przy czarnej, półzakonnej szacie pani Leontyny.

— Lila, kochana ciociu, tak mi się dziś rozkaprysiła, że nie pozwoliłam jej wyjść do gości. Tak jest gwałtowną... upartą...

— Rozrywek-by jej trzeba, duszo moja! — przerwała pani Malwina — rozrywek koniecznie! Wierz mi, że niema lepszego lekarstwa na kaprysy, upór, nieposłuszeństwo...

— Ja znowu sądzę, ciociu, że umartwienia ciała bywają bardzo zbawiennemi.

— Nie wierz w to, kochaneczko, nie wierz ani trochę! Umartwienia nigdy do niczego nie prowadzą. Pamiętasz, jakeś, po śmierci rodziców swoich, przyjechała do mnie pod moją opiekę? Byłaś smutna, zamyślona, zwyczajnie jak piękna sierotka. Nie miałaś wtedy więcej, jak lat 15... ale ja cię prędko z melancholii wyleczyłam. Zaczęłam cię rozrywać... pamiętasz?

Pani Leontyną westchnęła.

— To prawda — rzekła zcicha — młodość moja szczęśliwą była przy tobie, droga ciociu. Teraz zato czuję taką pustkę, taki żal jakiś niewytłómaczony, takie głębokie zniechęcenie do wszystkiego!

— Rozrywek, kochaneczko, rozrywek trzebaby ci koniecznie! Któż-bo widział, aby osoba, tak młoda, jak ty, zerwała już ze światem.

Pani Leontyna podniosła twarz i wzruszyła ramionami.

— Ja młoda?

— A cóż, duszo moja, naturalnie, że młoda. Ileż ty możesz mieć lat? no... trzydzieści i jakich tam parę może.

— Kamil, ciociu, ukończył już lat 28.

— Ale co mówisz?... napadła cię jakaś mania robienia się starą! Kamil! nie ma więcej, jak lat 24.

— Cztery lata już, jak wrócił z uniwersytetu...

— A boście go w kołysce jeszcze do książki zaprzęgli. Ależ ja dobrze pamiętam... Róża moja urodziła się w siedm lat po nim, a teraz ma rok siedmnasty, Flora zaś przyszła na świat we dwa lata później... Zresztą, co tam z temi latami!

Osoby, o których dwie panie nadmieniły w rozmowie, to jest Róża i Flora Ręczycówny i Kamil Orchowski, siedziały zdala od głównej kanapy, na długim szezlongu. Kamil zajmował miejsce pomiędzy dwiema siostrami, a postawa jego niedbała i twarz rozjaśniona okazywały, że mu w tem otoczeniu bardzo przyjemnie.

Róża i Flora były wcale ładnemi pannami. Kształty ich, okryte ubraniem prawie dziecięcem, wykazywały jednak zupełną dojrzałość i lekką skłonność do tycia. Z tem wszystkiem, twarze białe i zaokrąglone, usta ponsowe, oczy błękitne, ramiona pulchne, przeglądające z poza niewinnie przykrojonych muślinów, czyniły powierzchowność ich dość ponętną.

Obie obchodziły się z siedzącym pomiędzy niemi kuzynkiem z pokrewieńską poufałością i uprzejmością szczególną. Ta tylko w obejściu się ich zachodziła różnica, że Róża siedziała poważnie, spoglądała z zamyśleniem, przemawiała powoli i z głębokim jakby namysłem; Flora zaś trzpiotała się, białymi ząbkami co chwila w głośnym uśmiechu błyskała, wachlarzem uderzała kuzyna po ramieniu, i z pod sukni, po dziecięcemu niedotykającej ziemi, zalotnie wysuwała nóżkę, niezbyt zgrabną, ale wytwornie obutą.

Trudno było na pierwszy rzut oka odgadnąć, czy różnica ta w znajdowaniu się dwóch panien pochodziła z rzeczywiście różnych ich temperamentów, czy też była skutkiem obmyślonej z góry taktyki. Kamil przechylał się widocznie ku stronie żwawszej i weselszej. Patrzał w twarz Flory oczyma, rozpromienionemi żywą snadź przyjemnością.

— Czy kuzyn ma u siebie książkę pod tytułem *Dieu et la nature?* — przemówiła Róża. — Ja zaczęłam teraz ją czytać...

— Zbyt poważna to rzecz dla pięknej kobiecej główki — zaśmiał się Kamil.

— O nie! ja tak lubię czytać... — odparła Róża.

Kamil patrzał na rączkę Flory, uwijającą się z wachlarzem około jego ramienia.

— Skąd masz ten pierścionek, kuzynko?
— Który?
— Ten z turkusem.
— Proszę zgadnąć.
— Skądże mogę wiedzieć?
— Od narzeczonego.
— Którego nie masz?
— Właśnie, że mam. Zaręczyłam się wczoraj.
— To być nie może.
— Dlaczego?
— Ja na to nie pozwolę!

Ostatnie słowa Kamil wymówił zcicha, pochwycił zarazem rączkę z wachlarzem i przytrzymał ją w swojej ręce. Flora zarumieniła się gwałtownie; chciała zaśmiać się, ale nie mogła. Westchnęła zato, a lubo znać było, że skryć to westchnienie usiłowała, Kamil je dostrzegł i, uśmiechając się ciągle, pochylony nieco, spojrzał głęboko w zmącone w tej chwili jej oczy.

Wachlarz Róży zaszeleścił rozgłośnie.

— Jak ci się podoba, kuzynie, dzieło Buckla? — zapytała.

— Nie znam go — odparł Kamil — niezadowolony, że pytanie to zmusiło go do wypuszczenia z dłoni ręki Flory i odwrócenia wzroku od spłonionych jej jagód.

— Jak można nie znać tak pięknego dzieła! Mama sprowadziła je niedawno dla mnie.

— *Figuruj* sobie, kuzynie, że ja dla tej małej muszę ogromne wydatki na książki ponosić — odezwała się z kanapy pani Malwina — Róża przepada za lekturą... stosowną do swego wieku, ma się rozumieć.

— O, ja bez czytania żyćbym nie mogła — rzekła Róża.

— Tak piękne oczy, jak twoje, kuzynko, nie powinny trudzić się wyczytywaniem brzydkich drukowanych liter — szepnął do starszej siostry Kamil.

— A jednak — odpowiedziała, okrywając go powłóczystem spojrzeniem — sam wiele umysłowo pracujesz, kuzynie.

— Tak piękne oczy — powtórzył Kamil — jeżeli już czytać koniecznie mają, to powinny czytywać o miłości...

— Kuzynie! — zawołała Flora — bądź tak grzeczny i zapnij mi bransoletę... o mało jej nie zgubiłam.

Pani Malwina, rozmawiając wciąż z gospodynią domu bardzo żywo i bezładnie, częste spojrzenia rzucała w stronę szezlongu i siedzących na nim osób. Znać było, że widziała i słyszała wszystko, co działo się tam i mówiło. Siwe, ruchliwe jej oczy,

zwracając się w tę stronę, nabierały wyrazu pewnej przenikliwości, a w uśmiechu, którego przeważną cechą była prostota i zalotność, zjawiała się linijka jakaś krzywa, przebiegła, filuterna.

— Żebyś wiedziała, moja duszo, jakie sklepy powstały teraz w N. Fiu! fiu!... Ale czy ty teraz wiesz o czem, co się dzieje na świecie? Pamiętasz, jakeśmy niegdyś razem jeździły po magazynach? Byłaś już dawno mężatką, kiedyśmy sprawiły sobie te ponsowe beduiny, pamiętasz? Ty w swojej wyglądałaś jak Cyganka, a o mnie mówili, że nabieram w niej charakteru Szkotki... Karwoni powiększył skład swój galanteryjny i śliczne ma drobiazgi. Kupiłam ich trochę i przywiozłam tu z sobą, aby ci je pokazać. Panno Michalino! bądź pani tak grzeczną i powiedz tam komu w przedpokoju, aby mi z powozu przynieśli mój worek podróżny i dwa kartonowe pudełka.

Na wezwanie to, pod oknem powstała szczupła, z bladą twarzą kobieta. Młoda była, więcej niż lat 22 mieć nie mogła, ale ani w rysach jej, powleczonych cerą znużoną, ani w postaci, przyodzianej sukienką wełnianą, ciemną, nie było uśmiechów i ożywienia młodości. Kasztanowate włosy, bujne i jedwabiste, zaczesane gładko nad kształtnem jej czołem, opadały z tyłu dwoma poprostu splecionymi i ułożonymi warkoczami.

Szła przez salon krokiem lekkim, szybkim i dość wdzięcznym, choć trochę nieśmiałym. Głowa jej była pochylona, a oczy ukryte ze spuszczonemi powiekami. Niebawem wróciła i usiadła na dawnem miejscu przy oknie, niczyjej nie zwracając uwagi i na nikogo nie podnosząc oczu. W parę minut potem ukazał się lokaj, dźwigający wielki wór, włóczką wyszywany, i parę kartonowych pudełek.

Pani Malwina rękę białą, pulchną, mnóstwem pierścionków świecącą, zapuszczała we wnętrze worka.

— Zobacz tylko, moja duszo, te antuanetki! biała z ponsowem, popielata z błękitnem, liliowa w cień... a krawaty teraźniejsze damskie widziałaś? Gdzie tam! ty biedaczko, w habicie chodzisz! Z *crêpe de Chine!* medaliony emaliowane... pamiętasz, jaką furorę robiłyśmy kiedyś na balu u K...ów naszymi medalionami w kształcie katedry kolońskiej?... Tu turkus, a tu szmaragd... dla Flory z perełkami... stosownie do jej wieku, ma się rozumieć.

Pani Leontyna oglądała ukazywane sobie przedmioty najróżnorodniejszej natury i najróżniejszego smaku z zajęciem, większem, niż można się było spodziewać po jej surowej po-

wierzchowności i wyrzeczeniu się wszelkich błahostek światowych.

— Na cóż ciocia kupiła te igielniki? aż ośm! Nie widziałam nigdy, żeby ciocia szyła cokolwiek.

— A cóż to szkodzi, kochaneczko? cóż to szkodzi? niech sobie będą! Widzisz, jakie ładne! Ten mosiężny, a świeci jak złoto! a ten błękitny, jakby z turkusu rznięty. Nic prawie nie kosztują, po parę rubli każdy... dwa razy ośm szesnaście. Pamiętasz, jak to pan Julian wyśmiewał nas niegdyś za to, że rachować nie umiemy... mówił, że drobiazgi najbardziej rujnują... ale nie wierz w to, moja duszo, nie wierz ani trochę. Ci panowie są czasem wielkimi pedantami... Oto lusterko w srebrnych ramkach... *presse papier* marmurowe i pieczątki emblematyczne.

W tej właśnie chwili, gdy pani Malwina ustawiała na stole parę tuzinów pudełeczek i, otwierając je z kolei, pokazywała pani Leontynie pieczątki z bukietami, barankami, motylami, pasterzami i innemi podobnemi godłami, otworzyły się ze stukiem drzwi saloniku i zarazem dały się słyszeć męskim głosem wymówione wyrazy:

— Ależ kasztanka kuzyny zajeździły na nic! kuleje i zdaje się, że nosacizny dostanie. Niech kuzyna jak najprędzej po weterynarza pośle, bo koń zmarnieje.

Słowa te wymówił młody, około trzydziestoletni człowiek, dość wysoki, dość szczupły, w spencerze i dalszem ubraniu, sporządzonych z materyału w wielkie kraty szare, na tle ciemnozielonem. Zbudowany był dobrze, ruchy miał niezgrabne, zamaszyste, rysy twarzy dość prawidłowe i oczy pięknie wykrojone, z ciemną, żywo błyszczącą źrenicą.

Na widok wchodzącego kuzyna, Kamil wstał z szezlongu i, z ironicznym uśmiechem, który często gościł na jego ustach, położył rękę na ramieniu młodego człowieka.

— Konrad — rzekł — zwiedził już nasze stajnie i ręczę, że miałby wielką ochotę pójść na łąkę, gdzie obecnie znajduje się stadnina.

— *Figuruj* sobie, moja duszo — zwróciła się do gospodyni domu pani Malwina — że Konio kupił w N. dwa śliczne *grispommelés*... Jak tylko przyślą mi z Warszawy kabryolet, który sobie u Rentla zamówiłam, przyjadę nim po ciebie.

— Czy wiesz, Kamilu — zawołał Konrad — że, jak Boga kocham, twoje dwa siwki akurat jakby stworzone do tych, które ja teraz w N. kupiłem... Wiesz co? handlujmy; dam ci swego

kasztana... masztalerz właśnie przyjechał tu na nim... i karosza tego, wiesz, co to z zelwiańskiego jarmarku...

— Ależ ja końmi nie handluję i trzymam je tylko dla własnej wygody — śmiejąc się, przerwał Kamil.

— *Figuruj* sobie, kochaneczko — zaśmiała się pani Malwina — że u nas na stajni 20 koni stoi... Konio ma taką pasyę do tych zwierząt, a ja z niego żartuję czasem, że *un jour* tyle ich będzie, iż dla nas miejsca w Ręczynie zabraknie.

— No! Kamilu! — nalegał Konrad — pójdźmy do stajni.

Kamil brał za czapkę.

— Bardzo to grzecznie dla jakichś tam koni opuszczać nasze towarzystwo! — szepnęła z wymówką Flora.

— Interesa przedewszystkiem — żartobliwie odparł Kamil i ciszej dodał: — Postaram się wrócić jak najprędzej.

Wyszli. Dwie panny powstały z szezlongu i zmierzały ku drzwiom od ogrodu.

— Panno Michalino, — ozwała się pani Malwina — bądźże tak grzeczną i idź do ogrodu z memi córkami. Obserwuj szczególniej Florę; ona taka żywa i roztrzepana... stosownie do swego wieku, ma się rozumieć.

Młoda dziewczyna, w wełnianej ciemnej sukni, z bladą twarzą i grubymi warkoczami, podniosła się znowu z pod okna i lekkim swoim, cichym krokiem postąpiła za odchodzącemi pannami. Pani Malwina ścigała ją wzrokiem, dopóki nie zniknęła za oszklonemi drzwiami sali.

— Ambaras mam, moja duszo, z tą dziewczyną — rzekła po chwili. — Żadnej maniery, idee dziwne, oryginał! Boję się, żeby mi oryginalnością swoją Róży i Flory nie zaraziła. Do młodych wszystko lgnie...

— Dlaczegoż ją ciocia trzyma? — zapytała pani Leontyna.

— A ot widzisz, duszo moja, rzecz jest taka. Znasz Szyłłę, *ce pauvre diable,* plenipotenta z N.? Zdaje się, że on i wam pomaga w interesach... Szyłło jest plenipotentem Konia... młodych ludzi nudzą interesa, nie można od nich wymagać, aby byli statystami... Konio winien Szylle bagatelę... coś około półtora tysiąca rubli zdaje się... za plenipotencyę, zastępstwa jakieś... nie wiem już za co, bo nudzi mię to śmiertelnie... Ale czasy ciężkie, wiesz, moja duszo, płacić długi trudno... Ta Michalina, to synowica Szyłły, wzięłam ją z jego domu...

— Ciocia więc oddalić jej nie chce z powodu jej stryja?

— A tak, tak, duszo moja. Czasy to już takie, że musimy obchodzić się z tymi ludźmi, jak z ogniem... Gdyby ją tak można

z domu do domu gdzie ulokować, byłoby gładziej... bo, koniec końców, jemu to musi być wszystko jedno, gdzie ona jest, byle u niego nie była... ale tak odsyłać...

Pani Leontyna zamyśliła się.

— O czem tak dumasz? — zapytała pani Malwina.

— Myślałam w tej chwili o tem, że mogłabym ją wziąć dla Lili.

— Jakto? chciałabyś ją wziąć do siebie! Ach, prawda, przypominam sobie, żem spotkała odjeżdżającą twoją pannę Julię. Odprawiłaś ją?

— Odprawiłam.

— Ach! duszo moja, a ja ci jej zawsze tak zazdrościłam.

— Dlaczego, ciociu?

— Nazywała się Grejs.

Na to niespodziane oświadczenie, pani Leontyna, pomimo całej zwyczajnej sobie obojętności, z niejakiem zdziwieniem na mówiącą spojrzała.

— Cóż stąd, ciociu?

— Grejs, Grejs, kochaneczko, to brzmi niby coś zagranicznego, a przytem, jakie ona miała maniery!

— Nie mogłam trzymać jej dłużej. Nie mam szczęścia do guwernantek. Lila uczy się od lat siedmiu, a nauczycielek dla niej zmieniłam już z ośm... Żadna dłużej nad dziesięć miesięcy nie była. To to, to owo. Jednej nudno, druga religii nie ma, trzecia trywialna, czwarta romansowa... słowem, biedę mam z tem taką, że mi to nawet nieraz w modlitwie dystrakcyę sprawia. O, te matki! te matki! ile one cierpieć muszą, ile przenieść trosk, niepokojów, przykrości!...

— Bo nie bierz sobie tak do serca tego wszystkiego, duszo moja... Pomiędzy nami mówiąc, o co tu tak bardzo iść może? Na guwernantki przecież córek naszych nie kierujemy... Trochę więcej, czy trochę mniej będą umiały, to wszystko jedno.

— Prawda, ciociu, ależ znowu trudno, abym Lilę zostawiła bez nauczycielki... świat-by mię zakrzyczał, że zaniedbuję jej edukacyę...

— A no, to bierz Michalinę ode mnie. Wiesz co, zrobisz mi tem nawet wielką łaskę... Mam okazyę wziąć teraz do Flory Francuzkę... figuruj sobie tylko, Francuzkę rodowitą... jest tu w sąsiedztwie. Odprawiają ją, bo edukacyę panny skończyła, mogłabym ją wziąć, ale ta mi na głowie.

Pani Leontyna myślała jeszcze chwilę.

— A więc niech ciocia bierze sobie tamtą Francuzkę, a ja pannę Szyłło dla Lili zaangażuję, jeżeli ona zgodzi się na to.

— A dlaczegoż nie ma zgodzić się, duszo moja? Alboż to może jeszcze wybierać? Byle kawałek chleba miała... Ot, wiesz, umówcie się, i ja ci ją dziś zaraz tu zostawię.

W tej chwili trzy panny wróciły z ogrodu, a jednocześnie innemi drzwiami wszedł Kamil.

— Sprzedałem Konradowi swoje siwki — rzekł młody Orchowski, zbliżając się do kobiet.

Pani Malwina uderzyła w białe dłonie.

— Ach! — zawołała — Konio ma taką pasyę do tych zwierząt... Ale gdzież on się podział?

— Poszedł na łąkę, aby stadninę naszą obejrzeć.

Pani Leontyna z niezadowoleniem patrzała na syna.

— Nie wiedziałam dotąd, że lubisz podobne afery... — zaczęła.

Ale Kamil zajęty już był dwiema kuzynkami, a raczej jedną z nich, młodszą.

Pani Malwina mrugnęła ku gospodyni domu, na znak porozumienia, i zwróciła się do guwernantki, która, stojąc u okna, zapuszczała wzrok w bujną, cienistą gęstwinę ogrodu.

— Niech panna Michalina przejdzie z nami do saloniku.

Podniosła się z kanapy, żywa, fertyczna, jakkolwiek otyła trochę, a z nią powstała gospodyni domu. Guwernantki wezwanie, chociaż niespodziane, nie zdawało się dziwić; przywykła być wzywaną, oddaloną, posyłaną bez żadnej widocznej dla siebie przyczyny. Milcząc, jak zwykle, postąpiła we wskazanym kierunku.

Trzy kobiety stanęły w wielkiej sali pod oknem. Na tle mętnej szyby zarysował się profil młodej dziewczyny, blady, nieruchomy, o ustach ściśniętych i spuszczonych oczach. Naprzeciw stanęła pani Malwina i, żywo giestykulując ręką, w puszysty wachlarz uzbrojoną, szybko a długo przemawiała to do gospodyni domu, to do guwernantki.

Pani Leontyna wtrącała też kiedy niekiedy słów parę, potem obie panie umilkły, i pytającym wzrokiem patrzały na guwernantkę.

W wyrazie twarzy młodej dziewczyny nie było ani zdziwienia, ani zasmucenia, ani uradowania. Przez jedno mgnienie oka tylko zdawać się mogło, że doświadczyła uczucia przestrachu naprzód, potem ulgi. Przestrach zjawił się na twarzy jej wtedy, gdy pani Malwina oświadczyła, iż dłużej jej trzymać

u siebie nie będzie; ulgi zaś doznała, słysząc, że pani Orchowska ofiaruje jej miejsce w swoim domu. Pochyliła głowę, na znak zgodzenia się. Pani Leontyna wyciągnęła rękę i końcami palców dotknęła jej dłoni.

— Panna Michalina dziś już zostać może w Orchowie — mówiła pani Malwina, wracając do saloniku. — Rzeczy odeślę zaraz... do Ręczyna mamy godzinę drogi.

— Może pani wolałabyś dziś jeszcze wrócić do Ręczyna? — zapytała gospodyni domu.

— Uczynię tak, jak pani zechce — odpowiedziała guwernantka.

Głos jej miał brzmienie czyste, łagodne, stłumione nieco. Czuć w nim było zupełną obojętność. Mogła jechać tam, lub pozostać tu, wedle woli tych, u których znajdowała schronienie i zarobek. Posiadała snadź długie i gorzkie doświadczenie tułaczki. Żadne miejsce nie nęciło jej zbytecznie, po żadnem nie obiecywała sobie więcej, prócz — dachu i kawałka chleba.

W kilka chwil potem całe towarzystwo zajęte było herbatą i konfiturami, które właśnie lokaj wniósł do saloniku. Przybory porcelanowe i kryształowe stały na tacach srebrnych. Były to zabytki dawnych, lepszych czasów, poszczerbione nieco tu i owdzie, lub śniedzią zaszłe, wcale jednak okazale jeszcze wyglądające.

Lokaj, który przyniósł herbatę, zatrzymał się u drzwi. Miał na sobie liberyjny surdut, wytarty trochę, ale zawsze liberyjny. Pani Leontyna, od lat dziesięciu dopiero zacząwszy wyrzekać się próżności światowych i marności ziemskich, nie miała jeszcze czasu wyrzec się ich w zupełności.

Było już po zachodzie słońca, kiedy rodzina Ręczyców opuszczała Orchów. Kocz, zaprzągnięty w sześć koni, wytoczył się za bramę, i cztery rozgłośne klaśnięcia z bata rozległy się w powietrzu. Tym razem jednak stangret już powoził panią Malwinę i jej córki, Konrad zaś jechał konno przed, a masztalerz za powozem. Za masztalerzem chłopiec stajenny prowadził dwa, nabyte od Kamila, siwe konie.

Długi ten orszak okrążył znowu nizkie ogrodzenie folwarcznego dziedzińca, ale nikt już na niego, jak wprzódy, ciekawych nie rzucał spojrzeń. Przed starą oficyną wysypała się liczna gromada włościan, mężczyzn i kobiet z sierpami, kosami, lub grabiami. Na ganku stał Efroim, z dużym workiem, napełnionym drobną miedzianą monetą. Wyjmował pieniądze, liczył je i rozdawał zbliżającym się do niego z kolei włościanom. Na

ławce rzędem ustawiono butelki z wódką. Chaja i Efroimowa, z cynowemi czarkami w rękach, krążyły pomiędzy gromadą. Włościanie pili, zapłatę za dzień roboty brali i w poufały, żartobliwy sposób gwarzyli z dwiema Żydówkami, które odpowiadały im i same często ich zaczepiały, łamanym polsko-rusińskim językiem. Efroim umawiał robotników na dzień jutrzejszy i na długi szereg dni następnych. W oknie oficyny migotało się słabe światełko.

Na kanapie, przy czarnym stole, siedział Eli. Przed nim leżała rozwarta księga rachunkowa i żółta łojówka paliła się w lichtarzu mosiężnym, zaśniedziałym, niewidzialnym prawie pod warstwą zastygłego na nim łoju. Eli kreślił w książce od prawej ku lewej rzędy cyfr i liter kruczkowatych, zygzakowatych, dla niewtajemniczonego oka przedstawiających nieodgadnięte hieroglify. Pisał z namysłem, powoli, chwilami podnosił głowę i przysłuchiwał się rozmawiającym zewnątrz głosom włościan i Żydów. Czuwał snadź pilnie nad czynnościami Efroima, nad dokonywanemi wypłatami i zawieranemi umowami.

W cieniu pod ścianą troje dzieci spało w koszach, z łozy splecionych; Abramek bosy, w spencerku bez rękawów i jarmułce na głowie, siedział skurczony w kącie na ziemi, z sennemi oczyma i otwartą gębą; w przyległej izbie, przy świetle zapalonego i za belkę pułapu zatkniętego łuczywa, rozczochrana dziewczyna nakrywała stół starą szmatą płótna i umieszczała na nim misę krupniku z kartoflami, kilka wyszczerbionych talerzy, cynowe łyżki, trochę pokrajanej surowej cebuli, szczyptę soli w papierku i bochenek razowego chleba. Była to codzienna wieczerza dwóch rodzin żydowskich. Wprawdzie na szafie, w pierwszej izbie, stał spory samowar mosiężny, przedstawiający jedyny sprzęt zupełnie czysty, jaki znajdował się w tem mieszkaniu, ale ten widocznie był tu przedmiotem, w szczególnych tylko okolicznościach używanym.

W domu głównym tymczasem, po odjeździe gości, pani Leontyna znalazła się na chwilę sam na sam z synem.

— Nie jestem wcale rada, Kamilu, z twojej dzisiejszej afery z Konradem — rzekła. — Ten chłopak i bez tego rujnuje się na konie...

Kamil siedział w niedbałej postawie na tym samym szezlongu, na którym tak wesołą rozmowę prowadził z kuzynkami.

— A dlaczegoż rujnuje się — rzekł z drwiącym uśmiechem. — Któż mu zabrania mieć głowę na karku?

— Taką on ma głowę, jak i inni — spokojnie odparła

matka — ale, jako młody człowiek, może oddawać się pewnym pasyom...

— A więc niech się im nie oddaje. Co do mnie, nie widzę, dlaczego miałbym nie sprzedać mu koni, które są mi prawie niepotrzebne, a za które zapłacił mi półtora razy tyle, ile były warte.

— Kamilu! — zawołała pani Leontyna — słuchając cię, możnaby sądzić, że to nie Kamil Orchowski, ale jakiś handlarz przemawia.

Kamil wzruszył ramionami.

— Moja mamo — rzekł — ja trzymam się tylko pojęcia, które stanowi podstawową zasadę społecznego gospodarstwa. Wymiana powinna być wolną. Nie idzie o to, jaką jest zwykła cena przedmiotu na targu, ale o to, jaką cenę względną przywiązuje do przedmiotu tego ktoś, pragnący go nabyć. Głos ludzki, naprzykład, jest zasobem naturalnym, stałej ceny nie posiada żadnej, a jednak śpiewaczka, obdarzona pięknem *soprano*, otrzymuje zapłatę ogromną, będącą w stosunku nie do rzeczywistej wartości jej śpiewu, której określić niepodobna, ale do wartości, jaką do niego przywiązują ludzie, spragnieni muzykalnych wrażeń. Pisał o tem Bastiat w swoich »Harmoniach«. Wszelka wymiana, dobrowolnie dokonana, uwalnia od wszelkiego zarzutu strony, które ją zawarły.

Tyrady tej wysłuchała pani Leontyna w milczeniu, stojąc z brwią ściągniętą i spuszczonemi oczyma. Gdy Kamil przestał mówić, westchnęła, wzniosła oczy w górę, jakby gorące błaganie zasyłała do nieba i, — odeszła.

Lila, uśpiona zrazu w pokoju matki, resztę wieczora przepędziła z ładną Brygisią, siedząc w garderobie na małym stołeczku, z łokciami opartymi o kolana i rękoma zapuszczonemi we włosy.

— Mama myśli, że bardzo mnie ukarała, nie pozwalając mi wychodzić do gości — mówiła. — Co mi po gościach, co po świecie całym, kiedy mojej najdroższej panny Julii niema!

I zanosiła się namiętnym, spazmatycznym płaczem.

— Niech się panienka uspokoi, mama usłyszy — napominała Brygisia.

— Niech usłyszy! już mnie teraz nic nie obchodzi. Ja tego nie przeżyję! tej nocy umrę!

— Jeżeli panienka będzie tak ciągle płakała, to oczy panienki od łez zupełnie spłowieją.

Lila odjęła chustkę od oczu i mocowała się ze łzami, aby je powstrzymać.

— Pamiętaj, Brygisiu — mówiła dalej, łkając — jak ja umrę, to powiedz mamie ostatnią moją wolę. Chcę być pochowaną w białej muślinowej sukni. Niech mi włosy w długie loki uczeszą, pomiędzy włosami dwie białe róże... nie, jedną różową, drugą białą... a na piersi niech mi położą fotografię panny Julii... O, moja droga, moja złota panna Julia!

Nieprędko dopiero Brygisia z wielkim trudem zdołała uprosić ją, namówić, aby poszła do swego pokoju, gdzie oczekiwała na nią nowa guwernantka. Ociągając się, z twarzą nadąsaną i od płaczu obrzękłą, Lila stanęła w progu pokoju, w którym jedna świeca paliła się na stole, a druga stała na posadzce pomiędzy małym skórzanym tłumoczkiem, a znacznie większem drewnianem pudłem. Były to rzeczy guwernantki, przed chwilą przybyłe z Ręczyna. Tłumoczek leżał zamknięty jeszcze, nietknięty, ale pudło drewniane było otwarte. Guwernantka pochyliła się nad niem i, wyjmując z niego książki różnej wielkości, w okładkach prostych po większej części, zniszczonych, układała je na półkach niewielkiej oszklonej szafki. Czynność tę spełniała cicho, spokojnie, ale z pewną systematycznością, objawiającą zamiłowanie.

Na widok książek, jaśniejszy promień strzelił z załzawionych i gniewnych oczu Lili. Zbliżyła się do guwernantki, która wejścia jej nie spostrzegła i, głosem ochrypłym od płaczu i krzyku, wyrzekła cicho:

— Dobry wieczór pani!

Guwernantka podniosła głowę i ogarnęła ją długiem spojrzeniem. Po spuszczonych najczęściej, nieśmiałych jej oczach, nigdy spodziewać się nie było można, aby umiały patrzeć tak uważnie, badawczo, przenikliwie niemal. Z przenikliwością tą jednak łączyła się łagodność i prośba, jakby mimowolna, o życzliwość, o zaufanie.

— Dobry wieczór ci, moje dziecię! — odrzekła głosem, w którego zniżonych dźwiękach czuć było pierś, nieprzywykłą do głośnego, śmiałego mówienia.

— Czy można przejrzeć te książki? — zapytała Lila.

— I owszem, będziemy je razem czytywały.

Odpowiedź ta osuszyła ostatnią łzę, wiszącą na rzęsie Lili. Zbliżyła się do szafki, w której znajdowało się już kilkanaście tomów. Brała je jeden po drugim, ale, rzuciwszy okiem na tytuł, kładła napowrót do szafki tak pośpiesznie i z takim wyrazem

twarzy, jakby parzyły jej palce. Pierwszy tom nosił tytuł: »Biblioteczka popularna nauk przyrodniczych«, drugi: »Zarys dziejów powszechnych«, trzeci: »Gramatyka polska Małeckiego«, czwarta: »Wyższy kurs geografii«. Wszystkie inne polskie i francuskie tytuły były podobnego rodzaju. Lila osunęła się przy szafce na ziemię, zakryła twarz dłońmi i znowu zcicha płakać zaczęła.

W tej chwili weszła do pokoju pani Leontyna.

— Spodziewam się — rzekła, zwrócona do guwernantki — że pannie Michalinie będzie tu wygodnie; jeżelibyś pani potrzebowała czego, proszę udać się do mnie.

Były to słowa sakramentalne, towarzyszące instalacyi każdej osoby, świeżo do domu przybywającej.

Guwernantka skłoniła się w milczeniu. Pani Leontyna powiodła oczyma dokoła; wzrok jej zatrzymał się na książkach.

— Czy wszystkie te książki do panny Michaliny należą?

— Tak, pani.

Oczy pani Leontyny wyrażały pewne zdziwienie.

— Nabycie ich musiało pannę Michalinę wiele kosztować?

Guwernantka podniosła na mówiącą spojrzenie spokojne.

— Jest to jedyny mój majątek — odrzekła.

Pani Leontyna skłoniła głową pobłażliwie.

— Pójdź teraz odmówić ze mną wieczorne pacierze — rzekła do córki, zwracając się ku drzwiom.

W godzinę potem Lila leżała już rozebrana w pościeli. Zdawało się z pozoru, że spała; w rzeczy samej jednak z pod przymrużonej, obrzękłej od łez powieki ścigała bacznie wszystkie poruszenia nowej swej guwernantki.

Michalina zdjęła z siebie wązką wełnianą suknię, włożyła natomiast biały kaftanik perkalowy i wyjęła parę podwójnych szpilek z warkoczy, które, lśniące, jedwabiste, opadały jej na plecy długimi zwojami. Potem wyjęła z teki gruby, w połowie zapisany zeszyt, położyła przy nim parę książek, a zasłoniwszy świecę od strony łóżka Lili naprędce sporządzoną z papieru zasłonką usiadła przy stole.

Pisała, spoglądała co chwila w książkę, i znów pisała, podnosiła głowę i namyślała się. Lila patrzała na nią otwartemi oczyma. Twarzy nauczycielki, za zasłonką ukrytej, widzieć nie mogła, ale widziała rękę jedną, przerzucającą co pewien czas karty książki, i drugą, biegającą z piórem po papierze. Ciekawość ją zdjęła wielka. Zsunęła się z łóżka i leciuchno, na palcach, najlżejszego nie czyniąc szelestu, przebiegła przestrzeń, dzielącą

łóżko od stołu. Stanęła za plecami guwernantki, pogrążonej w swem zajęciu, i z gorączkową prawie ciekawością spojrzała przez ramię jej na książki roztwarte i na zeszyt. Wśród wierszy, zapełniających stronice książki, pochwyciła oczyma kilka cyfr i nazwisk, wyrażających widocznie historyczne daty i wypadki. Guwernantka pisała snadź historyczne jakieś ćwiczenia.

— Co to pani takiego robi? — zapytała głośno Lila.

Niespodzianie odzywający się z za ramienia jej głos nie przestraszył guwernantki, ani zadziwił. Podniosła głowę i, zawieszając pióro nad papierem, zwróciła ku Lili twarz, która wcale inaczej wyglądała teraz, niż we dnie. Policzki jej były lekko zaróżowione, a ciemne źrenice wydawały się pełnemi promieni.

— Co pani robi? — powtórzyła pytanie Lila, ciekawemi oczyma pożerając książkę i zeszyt.

— Uczę się — z uśmiechem odpowiedziała guwernantka.

— Pani się uczy? ach, mój Boże! czyż pani jesteś dziecko, żeby się jeszcze uczyć? Jesteś pani przecie osobą dorosłą i nauczycielką!

Michalina ujęła ją zwolna za rękę.

— Później — rzekła — wytłómaczę ci to, co cię tak zadziwia, teraz idź spać.

— Nie chce mi się spać wcale — odparła Lila ze zwykłym sobie odcieniem uporu w głosie.

— Jeżeli położysz się i leżeć będziesz spokojnie, uśniesz niebawem. Człowiek powinien czasem przezwyciężać swe chęci i czynić nie tak, jak chce, ale tak, jak mu wskazuje rozsądek.

— Rozsądek? nie cierpię rozsądku! Cóż zresztą rozsądek ma do mojego spania?

— To, że bezsenność szkodliwą jest w twoim wieku. Jeżeli będziesz zasypiała późno, wyrośniesz na istotę słabowitą, wątłą, niezdrową...

— A cóż to szkodzi? Chciałabym właśnie być wątłą i słabowitą... To daleko ładniej, aniżeli mieć grubą figurę i twarz czerwoną.

— Ładniej... nie wiem... zależy to od gustu, ale szkodliwie z pewnością. Człowiek słabowity, zawsze chory, nie może być ani użytecznym, ani szczęśliwym.

Zmieszana nieco stanowczym, choć łagodnym tonem guwernantki, lecz więcej jeszcze obrażona, a najbardziej zmartwiona, Lila wróciła do łóżka. Po kilku minutach jednak podniosła znowu głowę z nad poduszki.

— Jeżeli bezsenność jest tak szkodliwą — rzekła — pocóż pani sama uczysz się po nocach?

— Ja — odpowiedziała guwernantka — muszę... powinnam.

— Ciekawam bardzo, jaka to może być powinność? — sarknęło z łóżka dziewczę.

— Powiem ci o tem później, teraz śpij!

Lila gniewnem poruszeniem zatopiła głowę w poduszki, a spojrzawszy wypadkiem na łóżko nauczycielki, które przypomniało jej ukochaną pannę Julią, zaniosła się znowu płaczem gwałtownym, choć na ten raz cichym.

VI.

Od dnia przybycia do Orchowa nowej nauczycielki minęło parę tygodni.

W pokoju Lili, przy stole, siedziały: nauczycielka, zajęta poprawianiem niekształtnego, kapryśnego pisma uczennicy, i Lila, kołysząca się niedbale w staroświeckiem krześle na biegunach i roztargnionemi oczyma dokoła pokoju wodząca.

Do sąsiedniego saloniku wszedł Mieczysław Orchowski, a ujrzawszy przez drzwi napół otwarte siostrę swą, siedzącą wraz z nauczycielką nad książkami i zeszytami, niepostrzeżony przez dwie kobiety usiadł na szezlongu, z gazetą w ręku. Zrazu pogrążył się całkiem w czytaniu, najmniejszej nie zwracając uwagi na to, co się działo w sąsiednim pokoju.

— Panno Michalino — po chwili, tłumiąc poziewanie, ozwała się Lila — czy pani kochała kiedy kogo, choć raz w życiu?

Słowa te dosięgły snadź uszu Mieczysława; uśmiechnął się i, podnosząc wzrok na twarz nauczycielki, profilem do niego zwróconą, szepnął:

— Ciekawym!

Młoda dziewczyna przez chwilę nie odpowiadała. Blady profil jej, ocieniony bogatym zwojem włosów, pochylał się wciąż nad zeszytem, ręka drobna, nieco sucha i ciemna, posuwała się zwolna z piórem po zapisanej stronicy.

— Biedne stworzenie!

Dwa wyrazy te, niewymówione wprawdzie, odmalowały się widocznie w wyrazie oczu Mieczysława.

Bieguny kołyszącego się krzesła głośniej o posadzkę uderzyły; Lila niecierpliwiła się.

— Chciałabym bardzo wiedzieć, czy pani kochała kiedy kogo? — powtórzyła.

— Naturalnie — odpowiedziała nauczycielka, głowy nie podnosząc i oczu od zeszytu nie odrywając — kochałam wiele rzeczy i wiele osób na świecie, i teraz kocham także.

— Oho! — szepnął Mieczysław.

Lila pochyliła się żywo ku guwernantce.

— Kochasz pani? — zawołała — o, jakże to dobrze! Kogo pani kochasz? powiedz mi, pani, proszę! proszę, powiedz pod sekretem! Nikomu, a nikomu nie powiem, jak mamę kocham!

Mówiła zcicha, z białym paluszkiem tajemniczo do ponsowych ust przyłożonym.

— Błaźnica! — zcicha wymówił młody człowiek, coraz więcej zaciekawiony.

— Pocóż tu tajemnica? — spokojnie i nie przerywając roboty swej, odparła guwernantka. — Kocham starą swą matkę, brata, który jest niemłodym także i bardzo nieszczęśliwym człowiekiem, rodzinę stryja, który mnie wychował...

— Ech! — z dźwiękiem srogiego zawodu w głosie zawołała Lila — ja pani nie o to pytałam. Czyż pani nikogo nie kochasz, oprócz matki, brata i stryja?

— I owszem, kocham świat i wiele rzeczy, które na nim istnieją.

— Ach! pani kochasz świat! — westchnęło dziewczę — to zupełnie tak, jak ja... ja także tak kocham, kocham ten świat, tak tęsknię do niego, tak pragnę go zobaczyć!

— Zobaczyć? alboż go nie widzisz?

— Czy go widzę? mój Boże! Alboż w Orchowie, gdzie nikt prawie nie bywa, gdzie tak cicho zawsze, szaro, smutno, choć kawałeczek świata widzieć można? Gdzież ja go tu zobaczę?

— Wszędzie, gdzie spojrzysz — powoli mówiła guwernantka. — W książkach, które opowiadają o dziejach ludzkości, lub w których ludzie uczeni opisali nam kraje nieznane, drogi i wielkości gwiazd, o miliony mil od nas odległych. Widzieć świat możesz także naokoło siebie, w postaci drzew, kwiatów, malowniczych krajobrazów, a przedewszystkiem otaczających cię ludzi, w postaci, słowem, wszystkiego, co istnieje w jakichkolwiek kształtach, choćby nawet nieożywionych, ale cząstkę świata stanowi i niezbędnie w nim jest potrzebnem.

— Och! — rzekł do siebie Mieczysław, a oczy jego coraz

uważniejszem, ciekawszem spojrzeniem okrywały twarz nauczycielki.

Lila słuchała zrazu ze zdziwieniem, niby rzeczy całkiem obcych sobie, nieznanych, potem ziewnęła głośno.

— E! wszystko to nudne bardzo! — rzekła — ja nie o takim świecie mówiłam. Oto ja teraz powiem pannie Michalinie, co to jest świat. Świat jest to wielkie miasto... ogrody publiczne, teatry, gdzie wchodzi się do loży w sukni do gorsu, w kwiatach na głowie, a panowie, którzy siedzą niżej, odwracają głowy i pytają się: kto to? kto to? To salony wielkie, wielkie, oświecone *a giorno*, a w nich pełno osób, muzyka, bal... Ach, bale! bale! Pamiętam ostatni, jaki był w Orchowie, dawno już temu; miałam wtedy lat pięć, może sześć najwięcej... Mama była jeszcze młodą i w czarnej sukni nie chodziła... i wie panna Michalina...— tu zniżyła głos i z filuterną, tajemniczą minką, raptem prawie dodała: — W mamie wtedy kochał się pewien pan, nie pamiętam już, jak się nazywał, ale na imię było mu Leopold... Tak kochał się w mamie, że coś okropnego... wszyscy to widzieli i o tem mówili... ja sama słyszałam...

— Lilo — z pośpiechem i lekkim rumieńcem na twarzy, przerwała nauczycielka — o takich rzeczach tyś wcale mówić nie powinna.

— Dlaczego nie powinnam? — zaśmiała się Lila — alboż ja taka jestem skryta, jak panna Michalina? Otóż na dowód, że nie jestem skryta, powiem pani, tylko pod sekretem, pod wielkim sekretem, że mnie samej, rok temu, ktoś podobał się bardzo, bardzo! Był to kolega Mieczysia... śliczne miał imię... Jarosław!... Powiedział mi raz, że nigdy takich pięknych oczu, jak moje, nie widział...

— Wszędzie *już* napisałaś przez *sz*, zamiast *ż* — przerwała, patrząc ciągle na zeszyt, guwernantka. — *Bóg* pisze się także przez *o* kreskowane, a *ręce* nie przez *en*, lecz przez *ę*. Piszesz bardzo nieortograficznie, Lilo.

Dziewczyna lekceważąco ręką skinęła.

— Ciekawam bardzo — zaczęła znowu — dlaczego panna Michalina nie chce nigdy mówić ze mną o pewnych rzeczach?

— O jakich, Lilo?

— O tem, naprzykład, jak będę już dorosłą panną, jak mnie ktoś pokocha, jak ja kogoś pokocham, i jak wyjdę za mąż. Przecież wszyscy mówią zawsze, że przeznaczeniem kobiety jest wyjść za mąż, a ja, spodziewam się, nie pójdę inaczej, jak z miłości... Czyż więc nie jest to także rzecz dobra i ważna?

— Zapewne — odpowiedziała guwernantka — miłość, poprzedzająca małżeństwo, jest rzeczą dobrą i ważną; abyś jednak zrozumiała, jakie jest jej znaczenie, powinnaś wprzód o wielu innych rzeczach wiedzieć, wiele innych znać i kochać.

Lila milczała chwilę, a potem rzekła:

— Już ja tego, doprawdy, wcale nie pojmuję.

— Czego, Lilo?

— Jak to można kochać taką naprzykład rzecz, jak kraj? Cóż to takiego ten kraj?... ziemia i koniec. Czyż można kochać ziemię? Albo, jak to można kochać wszystkich ludzi i, jak mi pani wczoraj mówiła, szczególniej tych, którzy cierpią? Już też zapewne, jak spotkam kiedy żebraka, to daję mu zawsze cokolwiek; ale kochać żebraków... I jakichże tam więcej ludzi kochaćby można? Sąsiedzi nasi? No, zapewne, niektórzy są dość mili, ale inni znów nieznośni. Zresztą cóż? chłopi... tacy grubi, nieobyczajni, brzydko ubrani! Żydzi... niechrześcijanie...

— Kochać trzeba także i niechrześcijan.

W tej chwili właśnie, gdy guwernantka wymawiała ostatnie słowa, z głębi domu weszła do sąsiedniego saloniku pani Leontyna. Zatrzymała się nieco w progu pokoju córki, poczem szybciej, niż to było w jej zwyczaju, przystąpiła do stołu.

— Niech Lila odejdzie stąd — rzekła — proszę iść do mego pokoju i przeczytać parę rozdziałów z Naśladowania Chrystusa. Mam do pomówienia z panną Michaliną.

Lila poskoczyła i wybiegła z pokoju.

W sąsiednim saloniku siedzący młody mężczyzna nie trzymał już w ręku gazety; przez drzwi napół otwarte, z żywem zajęciem, w którem była i ciekawość, i niespokojność pewna, spoglądał to na matkę swą, to znowu na guwernantkę, która powstała z krzesła, i zdawała się oczekiwać od pani domu pierwszego słowa zapowiedzianej rozmowy. Jakoż słowo to nastąpiło, gdy tylko czarna suknia Lili zniknęła w głębi mieszkania.

— Jestem bardzo niezadowoloną z tego, co panna Michalina przed chwilą Lili mówiła.

— Nie zdaje mi się, abym mówiła co złego — głosem lekko ośmielonym odrzekła guwernantka.

— Nie życzę sobie wcale, aby podobne przekonania zaszczepiane były w umysł mojej córki. Jesteśmy wszyscy równi sobie w obliczu Pana zastępów, ale tu na ziemi istnieją przecież różnice... stopnie, o których zapominać nie należy... Cała ta filozofia nakoniec bynajmniej córce mojej potrzebną nie jest, i nie

prosiłam o nią wcale panny Michaliny, zobowiązując ją do czuwania nad Lilą.

Nauczycielka nic nie odpowiedziała.

Pani Leontyna, po chwili milczenia, mówiła dalej:

— Nie podoba mi się i to wcale, że panna Michalina, wyszedłszy wczoraj z moją córką na przechadzkę, zachodziła z nią do chaty jakiegoś włościanina.

Michalina podniosła głowę.

— Włościanin ten, pani — rzekła — jest człowiekiem dobrze mi znajomym. Widywałam go, gdy przyjeżdżał do stryja mego z jakimiś interesami. Zubożał teraz i żona mu bardzo chora. Chciałam mu zanieść małą pomoc, poradzić w czem może. Przytem Lila mówiła mi, że nie widziała nigdy wnętrza chaty włościańskiej, sądziłam więc, że dobrze będzie, jeśli przy sposobności...

— Niema żadnej potrzeby, aby Lila widywała wnętrza chat włościańskich — przerwała pani domu — żyć przecież z tymi ludźmi nigdy nie będzie, a bardzo łatwo spotkać się tam może z nieprzyzwoitemi jakiemi widowiskami, z jaką zaraźliwą wreszcie chorobą... Poco te niepotrzebne sentymentalizmy? Jeżeli człowiek biedny, potrzebujący wsparcia, przyjdzie tu, do dworu, pierwsza mówię zawsze córce mojej, aby mu udzieliła jałmużny; ale peregrynacye do brudnych chat chłopskich nie są dla niej ani stosowne, ani potrzebne.

Guwernantka milczała; pierś jej zaczęła prędzej oddychać, niż zwykle, ale usta były zamknięte. Pani Leontyna powiodła spojrzeniem po książkach, stół okrywających, i jakby od niechcenia roztworzyła jedną z nich. Roztworzyła, spojrzała, oczy w górę wzniosła, książkę z nadzwyczajnym pośpiechem zamknęła, i głosem stłumionym, zdumienie i wstręt wyrażającym, zawołała:

— Och!

Wykrzyknik ten wywołały dwa rysunki, jakie w książce roztworzonej napotkała. Jeden z nich przedstawiał szkielet zwierzęcia jakiegoś, konia, czy wołu, drugi część wnętrzności tegoż zwierzęcia.

— Jaka to książka? — zapytała po chwili osłupienia, i czarne swe oczy, błyszczące w tej chwili oburzeniem, spuściła z górnych stref na twarz nauczycielki.

— Jest to, pani, popularny wykład zoologii.

— Ależ to nieprzyzwoite! to odrażające! Widoki podobne zabijają w kobiecie dobry gust, poczucie wstydu i delikatności!

Z prawdziwym żalem widzę, że panna Michalina znajduje się na złej, na bardzo złej drodze. Mam jednak nadzieję, że zechcesz pani osobiste swe usposobienia usunąć na stronę, a kierować się w edukacyi Lili mojemi życzeniami. Otóż raz na zawsze muszę powiedzieć pannie Michalinie, że nie życzę sobie dla córki mojej żadnych filozofii, żadnych szczególnych mądrości, które kobiecie na nic się wcale nie zdadzą. Poco tyle książek? Poco te sentymentalne wędrówki do chorych chłopek, a choćby i to całogodzinne ślęczenie nad rachunkami, którego miałam wczoraj dowód, znalazłszy Lilę spłakaną nad zeszytem z arytmetyką? Proszę panny Michaliny, abyś wszystkie te zoologie i tym podobne książki zamknęła w szafce i więcej ich stamtąd, dla córki mojej przynajmniej, nie wyjmowała. Języki, pisanie, muzyka, robótki, oto zakres dla panny Michaliny.

Po przemówieniu tem, obie kobiety milczały chwilę. Pani domu miała już odejść, gdy guwernantka uczyniła lekkie poruszenie, podniosła zwolna powieki i rzekła:

— Nie mogę, pani... niepodobna mi w kształceniu jej córki usunąć na stronę własne moje przekonania.

— Co panna Michalina mówi? — zapytała matka Lili takim tonem, jakby znaczenie usłyszanych wyrazów było dla niej całkiem niepojętem.

Guwernantka dalej mówiła cichym i przerywanym trochę głosem:

— Starałam się poznać charakter Lili, i zdaje mi się, że pojęłam, jakie są główne rysy jego i wady. Lila jest niezmiernie wrażliwą, próżną, w zachceniach swych gwałtowną i na nic nie zważającą...

— To prawda — wtrąciła pani Leontyna — to też życzyłabym sobie, abyś pani wady te wykorzenić usiłowała.

— Tak, pani. Ale dokonać tego niepodobna inaczej, jak zmieniając do gruntu kierunek, w jakim dotąd rozwijały się myśli Lili, nastręczając wyobraźni jej i temperamentowi inne przedmioty zajęcia, niż te, którymi karmiły się one dotąd. Lila czytała mnóstwo romansów.

— To nieprawda — przerwała z żywością pani domu — córka moja nie czytuje romansów żadnych.

— Owszem, pani, czytała ich wiele, bez żadnego wyboru, pomimo wiedzy pani zapewne. Czytania te, a może... może i inne jeszcze okoliczności, zajęły umysł jej wyłącznie przedmiotem jednym, dały jej pewne wyobrażenia, żądania przedwczesne. O innych rzeczach, o świecie ją otaczającym, o stosunkach ludz-

kich, o życiu, Lila nie posiada, pomimo swych lat piętnastu, najelementarniejszych nawet wiadomości. Wczoraj jeszcze, widząc kilka latających skowronków, zapytywała mnie, jakie to są ptaki, a o gwiazdach mówiła, że są to otwory w obłokach, przepuszczające przez się światło niebieskie. Nie umie rozróżnić dębu od brzozy i kłosa żytniego od pszenicznego. Pisząc po polsku, robi kilkanaście ortograficznych pomyłek na jednej stronicy, a drobną monetę, w ilości kilkunastu kopiejek, liczyła onegdaj kilka razy, nie mogąc trafić z nią do ładu.

— Do czego wszystko to zmierza? — zapytała pani Leontyna, która słów guwernantki słuchała z brwią ściągniętą i z niedowierzającym, lekceważącym trochę uśmiechem na ustach.

Michalina ożywiła się, mówiąc. Nieśmiałość jej znikła, oczy zajaśniały blaskiem, a głos, zrazu cichy i wahający się, nabrał pewności.

— Chciałam — rzekła — odwrócić umysł Lili od przedmiotów, które go przedwcześnie a wyłącznie zajmują, zaciekawiając ją do faktów naukowych, pobieżnych zapewne, bo przecież i sama nie jestem bynajmniej uczoną, ale poważnych, rzeczywistych, mogących tysiącami węzłów łączyć się z przyszłem jej życiem. Chciałam wyobraźni jej i uczuciom, które teraz zwracają się ku obrazom światowych blasków i pewnych... wyłącznych wzruszeń, nastręczyć widoki, mogące przejąć jej serce i zająć myśl szlachetną chęcią niesienia ulgi i pomocy bliźnim. Chciałam obudzić w niej rozwagę i zdolność do zastanawiania się, rozwijające się w niej samolubstwo zrównoważyć miłosierdziem, gwałtowność i płochość jej powściągnąć przyzwyczajeniem do systematycznych zajęć...

Umilkła. Na podniesionem w tej chwili jej czole świecił zapał szczerych przekonań; ciemne źrenice nabrały promiennej głębi, i patrzały prosto w twarz stojącej naprzeciw kobiety, ze spokojną śmiałością czystego sumienia i myśli pewnej siebie.

W sąsiednim saloniku, siedzący dotąd na szezlongu, młody mężczyzna powstał, uczynił parę kroków naprzód i stanął, wpatrzony, jak w tęczę, w twarz guwernantki. »Biedne stworzenie« zmetamorfozowało się w jego oczach, i stało teraz o kilka kroków od niego, w postaci kobiety dojrzałej, głęboko czującej, rozumnej.

— Bardzo to piękny programat — ozwała się pani Leontyna — ja tylko ze swej strony proszę i wymagam, aby panna Michalina wyrzuciła z niego wszystkie niepotrzebne filozofie i rozczulania się, nieprzyzwoite rysunki, a szczególniej bratanie

córki mojej z ludźmi grubymi i nieobyczajnymi. Jeżeli panna Michalina zastosuje się do wymagań moich...

— Bardzo, bardzo mi przykro — głosem cichym znowu i pochylając głowę, przerwała guwernantka — ale ja do wymagań tych w kształceniu Lili zastosować się nie mogę.

Pani Leontyna stała przez chwilę pogrążona w niemem osłupieniu.

— Masz pani do wyboru — rzekła wreszcie — zastosować się do żądań moich, albo... dom nasz opuścić.

Tym razem czoło guwernantki lekko pobladło, pochyliło się nizko. Splecione ręce jej były o stół oparte, oczy spuszczone, usta zamknięte. Na twarz jej spadł wyraz boleści i walki, postać cała wydawała się zgnębioną. Po chwili dopiero zwolna podniosła głowę.

— A więc — rzekła — odjadę...

Pani Leontyna okryła ją wzrokiem pełnym zdumienia i oburzenia.

— Dobrze — rzekła — wydam stosowne rozporządzenia, abyś pani jutro do N. odjechać mogła.

Domawiając słów ostatnich, pani Leontyna odeszła z twarzą gniewną i wzruszoną.

— Czysta bieda z temi guwernantkami! — szepnęła przez zaciśnięte zęby, nie zwracając uwagi na syna, o którego otarły się zlekka powłóczyste fałdy jej grubej, czarnej szaty.

Guwernantka przez parę minut stała nieruchoma, jakby do miejsce przykuta. Głowa jej tylko chyliła się coraz niżej, niby pod brzemieniem myśli bolesnej, lub troski ciężkiej; potem podniosła obie dłonie do twarzy.

— Cóż ja teraz uczynię? — zawołała zcicha.

W chwili tej zbliżył się ku niej Mieczysław. Wyrwana z zamyślenia odgłosem kroków męskich, zobaczyła wchodzącego do pokoju młodego człowieka i zapłonęła rumieńcem. Nie było to przecież zawstydzenie, — wszak wstydzić się nie miała przyczyny żadnej, — było to raczej wzruszenie, które, niespodzianie doznane, silnie wybuchnęło na twarz jej bladą ogniem rumieńców.

Mieczysław wyciągnął do dziewczyny zapłonionej i nieruchomej dłoń otwartą.

— Dziękuję pani — rzekł głosem zniżonym od wzruszenia — za zajęcie, które okazałaś mej siotrze, i żałuję bardzo, że nie będzie ona korzystała z przewodnictwa tak rozumnego, tak serdecznego.

Błysk nieopisanej błogości oświecił na chwilę twarz Michaliny. Nie przywykła ona do słów uznania i sympatyi, a słowa podobne, wychodzące z ust Mieczysława, posiadały może dla niej wagę szczególną. Oczy jej podniosły się na twarz młodego człowieka, napół rozpromienione, napół zmącone smutkiem. Snadź w sierocej, tułaczej jej doli radość każda nawet smutną swą miała stronę.

— Ja to raczej dziękować panu powinnam — wymówiła zcicha — byłeś pan dla mnie bardzo dobry... w Ręczynie...

— Ach, pani! — zawołał Mieczysław, wracając do zwykłego sobie wesołego i otwartego sposobu mówienia — ja wtedy jeszcze pani nie znałem... żebym ją wówczas znał tak, jak dziś poznałem, byłbym cioci i Konradowi surowszą jeszcze wypowiedział prawdę.

Po bladych ustach guwernantki przesunął się uśmiech. Mieczysław patrzył w nią wciąż, jak w tęczę, a patrzenie to zdawało mu się sprawiać niewymowną przyjemność.

— Niczegobym więcej nie pragnął — rzekł po chwili — jak stać się pani w czemkolwiek użytecznym. Bieda tylko, że nie wiem zupełnie, cobym takiego mógł uczynić...

— Dziękuję, bardzo dziękuję panu — z wyrazem wdzięczności rzekła guwernantka. — Jedyną rzeczą, której pragnę, jest znalezienie znowu w domu jakim miejsca nauczycielki.

— Pani więc nie chciałabyś odjechać do stryja? rozumiem to trochę. Znam pana Szyłłę: zajmuje się on interesami mego ojca...

— O! — z niezwykłą sobie żywością przerwała Michalina — nie myśl pan tylko nic złego o stryju moim... jest on dla mnie bardzo dobrym: wychował mnie... stara matka moja znajduje u niego dach i kawałek chleba... ale, jak pan wiesz, sam jest dalekim od zamożności, dzieci ma kilkoro, a w mieście z tak liczną rodziną utrzymać się bardzo trudno. Byłabym im ciężarem...

Mieczysław stał przez chwilę zamyślony.

— A! — zawołał, uderzając się dłonią po czole — zdaje mi się, że będę mógł służyć pani... Słyszałem... obiło się coś o uszy moje, że państwo Łozowiczowie z Łozowej starają się o nauczycielkę dla swych dzieci.

I znowu rumieniec, lubo słabszy, niż wprzódy, okrył zmieszaną nagle twarz Michaliny.

— Państwo Łozowiczowie? — rzekła zwolna — ci sami zapewne, w których domu mieszka brat mój, Paweł Szyłło.

— A więc pan Paweł jest bratem pani? Widziałem go parę razy w Łozowej, ale zblizka nie znam, bo u Łozowiczów bywam rzadko.

Wiadomość o tem, że ów pan Paweł jest bratem młodej nauczycielki, zmieszała też widocznie i Mieczysława.

— Może pani u Łozowiczów przykro będzie... — zaczął po chwili z wahaniem.

Michalina zdawała się walczyć z sobą przez chwilę.

— Owszem — rzekła — przyjęłabym miejsce w Łozowej...

— A więc ja tam dziś jeszcze pojadę, i jeśli nikt pani nie uprzedził, pani Fabianowa albo pan Fabian przyjadą tu jutro.

— Dziękuję panu, bardzo dziękuję! — wymówiła guwernantka.

Splecione i o stół oparte ręce jej podniosły się giestem niewymownej wdzięczności, a spojrzenie, łzą zwilżone, utkwiło na mgnienie oka w twarzy Mieczysława, i wnet ukryło się za spadającą szybko, drżącą zasłoną powiek. Mieczysław stał nieruchomy, jakby odejść trudno mu było; po chwili dopiero skłonił się przed guwernantką z grzecznością, pełną szacunku, i odszedł zamyślony, wzruszony.

Pani Leontyna tymczasem, wróciwszy po rozmowie z guwernantką do pokoju swego, nie znalazła tam Lili. Rzuciła okiem dokoła i bliżej przyjrzała się książce jednej, w czarny aksamit oprawnej i srebrnemi klamrami spiętej. Było to »Naśladowanie Chrystusa«, z którego parę rozdziałów przeczytać zaleciła swej córce.

— Ani jej nawet dotknęła! — wyrzekła do siebie matka Lili z głębokiem, gniewnem prawie niezadowoleniem. — Jaki to charakter! jaki charakter! Co ja z tą dziewczyną pocznę!

Lila ani dotknęła w istocie książki w żałobnej oprawie. Wchodząc do pokoju matki, rzuciła wprawdzie na książkę tę przelotne spojrzenie, ale wnet wzrok odwróciła, układając ponsowe swe usta w kształt, żartobliwe nadąsanie wyrażający.

— O! — zawołała do siebie — mam już tego dosyć... rano, wieczorem i... za pokutę.

Skoczyła ku etażerce i podniosła ręce ku hebanowej szkatułce, błyszczącej złoconym napisem: *mes souvenirs.* Z piersi jej wyrwał się okrzyk swawolnej radości. Trafem jakimś, przez zapomnienie pani Leontyny, w zameczku drogocennej skarbnicy tkwił złoty kluczyk. Lila usiadła na ziemi, ze szkatułką posta-

wioną na kolanach, z uchem czujnie pochylonem. Z głębi szkatułki podniosła się ku twarzy jej woń delikatna. Gdyby określenie, stosujące się do barw, stosowało się także i do zapachów, woń tę możnaby nazwać spłowiałą. Pierwotne powstanie swe datowała snadź od lat wielu, ale, wskutek szczelnego zamknięcia w szkatułce, nie znikła, tylko stała się nieokreśloną jakąś, wątłą. W rękach Lili, drżących trochę od niecierpliwości, ciekawości i pośpiechu, ukazywały się kolejno kolorowe i białe ćwiartki papieru, w formę listów składane, kwiatki i drobne bukieciki zasuszone, i strzępki wstążek, zawinięte w papier, z nadpisami, lakonicznie wyrażającymi daty i nazwiska miejsc różne. Barwy papierów i wstążek były spłowiałe, zasuszone kwiaty przemawiały tęsknym językiem wspomnień jakichś, radości znikłych, miłości zgasłych...

Cała dusza dziewczęcia, pamiątki te rozpatrującego, zbiegła się w oczy. Rozwijała ćwiartkę po ćwiartce i pożerała znajdujące się na nich wyrazy rozpalonym wzrokiem. Z ust jej wyrywały się kiedy niekiedy lekkie okrzyki.

— A! — wołała — »*Vôtre Leopold*« to ten pan z balu! Za cóż on mamę tak strasznie przeprasza? *Pitié, madame, pitié et pardon!* Jak to brzmi dziwnie jakoś! A tu kto?... hrabia Kalikst! Korona hrabiowska w górze. Ślicznie to być naprzykład hrabiną! O, biedny ten hrabia! jaki on czegoś zrozpaczony!... A tu co?... zaproszenie do loży w teatrze od jakiejś pani Hortensyi. »*Le baron Herman y sera aussi, il est amoureux fou, ce pauvre baron*«. W kimże on był tak zakochany, ten baron? W mamie naturalnie!

Przejrzała połowę skarbów; reszty już nie tknęła, lękając się, aby jej kto przy tem zajęciu nie zeszedł. Wstała, szkatułkę na zwykłem miejscu postawiła, ręce ku czołu rozpalonemu wzniosła, i zawołała z wybuchem:

— Dobrze to teraz mamie mówić o znikomości blasków światowych i próżności rzeczy ziemskich, kiedy sama bawiła się niegdyś... tak była kochaną... uwielbianą...

Rozmarzona i w stan dziwnego jakby upojenia wprawiona, opuściła pokój matki. Po chwili znalazła się w garderobie. Tu oczekiwała na nią niecierpliwie Brygisia.

— Mam list do panienki — rzekła. — Walenty dziś jeździł na pocztę i przywiózł.

Dziewczę rzuciło się ku służącej z ciekawością i pośpiechem.

— Od kogo? od kogo? — zawołała.

— Od panny Julii zapewne — odparła garderobiana — od kogoż innego mógłby być... Panna Julia przecież przyrzekła do panienki pisywać.

Lila, z wyrazem zawodu na twarzy, wzięła list z rąk służącej. Osoba, którą przed dwoma tygodniami tak namiętnie kochać zdawała się, której odjazd opłakała tak gorzko i rozpacznie, stała się już dla niej zupełnie obojętną.

Straszna to natura, po której, jak wichry po wydmach, przelatują podmuchy wyobraźni, niszcząc dziś, co istniało wczoraj, przeszkadzając wzrostowi wszelkiemu, wysilając się jałowo, szalejąc bezsilnie. Na wydmach usypują groble, budują tamy... ale co czynić z naturą ludzką, podobną do wydmy, na igraszkę wichrów wystawionej? Powiedziała o tem matce Lili biedna, blada guwernantka...

Panna Julia donosiła dawnej swej uczennicy, że poznała w N. jakąś panią, która ją z sobą na Wołyń zabiera.

— O! — zawołała Lili — jaka ta panna Julia szczęśliwa! jakbym ja chętnie pojechała na Wołyń! To tak daleko!...

VII.

Na bryczce, wjeżdżającej w bramę obszernego i niegdyś zamożnego snadź dworu, siedziało dwoje ludzi: kobieta i mężczyzna. Kobietą była Michalina Szyłłówna, odprawiona guwernantka Lili, mężczyzną pan Fabian Łozowicz, właściciel Łozowej, majątku, o dziesięć wiorst od Orchowa położonego.

Z za woalki, opuszczającej się ze skromnego, czarnego kapelusza, twarz Michaliny wyglądała bladą i zwiędłą. Była znowu cichą, nieśmiałą, zasmuconą i ulęknioną niemal ciągłemi zmianami położenia swego guwernantką, biednem stworzeniem, słowem, niby liść drobny, rzucony w przestrzenie bez stałego punktu oparcia, na wolę kaprysów ludzkich, na chłody serc i ścian obcych, na młodość bez promieni, z daleką perspektywą — starości bez chleba.

Towarzysz Michaliny, pan Fabian Łozowicz, był mężczyzną na dobrych lat czterdzieści wyglądającym, nizkim, krępym trochę, ze ściągłymi, rumianymi policzkami, nosem dużym i ustami okrytemi wąsem niepewnej, płowawej barwy. Oczy miał błękitne, z pod okrągło wykrojonej i drgającej lekko powieki patrzące, a w nich wyraz normalnego, jakby w naturę wrosłego

zachwytu, połączonego z ciągłem roztargnieniem. Twarz ta, nie odznaczająca się bynajmniej wyrazem rozumu lub siły moralnej, nie odrażała jednak niczem złem, ani nawet podejrzanem, a panowało nad nią czoło o dość szlachetnych zarysach, z rojem zmarszczek drobnych i gęstych, z olbrzymią łysiną, powyżej wiankiem, krótko przystrzyżonych, siwiejących włosów otoczoną.

— »Oto mój dom ubogi, też pochyłe ściany; ten piec niepolewany...« — zadeklamował pan Fabian, wprowadzając młodą nauczycielkę do wnętrza swego domu.

Prawdę mówiąc, wydeklamowany wiersz niezbyt wiernie określał trzy dość duże, widne pokoje, które przedstawiały się oczom Michaliny. Ściany wprawdzie tam może i pochylały się trochę, bo dach był stary i źle utrzymany; ale, pokryte smakownem obiciem, z kilkunastu obrazami w złoconych ramach, kilku sporemi zwierciadłami, z festonami białych firanek u drzwi i okien, wyglądały świeżo, wdzięcznie, a nawet i błyszcząco. W większym z bawialnych pokojów, przy jednej ścianie stał fortepian, przy drugiej znajdowało się pianino, obok fortepianu umieszczone były, na stosownych podstawach lub stoliczkach, skrzypce, wiolonczela, flet, mnóstwo nut, oprawnych w grube księgi i nieoprawnych; przed jednem z okien nakoniec, na postumencie rzeźbionym, wznosiła się arfa ze szczytem złocistym, ponsową wstęgą opasanym.

Michalina zdjęła kapelusz i, usiadłszy na pierwszem lepszem krześle, przyglądała się pokojom, w najgłębszej ciszy pogrążonym. Pan Fabian zaraz ode drzwi postąpił do fortepianu, i szczególnie pieczołowitym wzrokiem obejrzał rozstawione dokoła niego instrumenty muzyczne.

— Chwała Bogu! — zawołał — wszystko na swojem miejscu i nietknięte... Czasem mi tu dzieciaczki moje figielki różne płatają, gdy odjadę, ale dziś nie... przypilnowała je widocznie kochana moja Adzia... Ale gdzie jest Adzia?

Zwrócił się do Michaliny:

— Niech pani będzie łaskawa nie brać za złe mojej żonie, że nie wyszła na spotkanie pani... najlepsza to pod słońcem kobieta, złote serce! ale taka z niej gospodyni! Już to powiadam pani, że kobiety mają w sobie jakieś szczególne usposobienie do zatapiania się w drobiazgach... Oj, te drobiazgi! te drobiazgi! Nie mówię o tem dlatego, aby się uskarżać... najlepsza to kobieta, serce złote, za mnie, za aniołki nasze oddałaby duszę; ale każda rzecz tak ją obchodzi, irytuje, tak zajęta ciągle, zakłopotana,

zmartwionu to tem, to owem, że nie mogę z nią dzielić nigdy uczuć swych i myśli... Taka samotność duchowa to rzecz bolesna bardzo... nieprawdaż, pani? Ale cóż robić?... małżeństwo jest grobem miłości i poezyi.

Michalina wydawała się zmieszaną nieco temi niespodziewanemi zwierzeniami i, nie widząc snadź potrzeby odpowiadania na nie, milczała. Panu Fabianowi, przez wzgląd na świeżo przybyłą do domu osobę, przykrą widocznie była długa nieobecność żony.

— Gdzie jest pani? — zapytał, otwierając napół drzwi do przedpokoju.

— A do śpichrza, zdaje się, poszła, czy co — odpowiedział z wnętrza przedpokoju głos męski, nieprzyjemnie dźwięczący nadąsaniem i zuchwalstwem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi, z bawialnego pokoju w głąb' domu wiodące, i ukazała się w nich wysoka, szczupła kobieta. Nie zaraz jednak postąpiła naprzód, ale zatrzymała się chwilę w progu i, zwracając twarz ku pokojowi, który opuszczała, jakby w dalszym ciągu rozpoczętej jakiejś rozmowy, mówiła:

— No! już ty tylko cicho bądź! gęby umiecie szeroko otwierać, ale żeby czego dopatrzyć, dopilnować, to nie... Pańskie dobro niech przepada, co wam do tego.

Pan Fabian cichym krokiem, z twarzą zmieszaną, gładząc kiedy niekiedy zlekka łysinę, zbliżył się ku mówiącej.

— Duszko! — rzekł nadzwyczajnie łagodnym głosem — panna Szyłłówna przyjechała.

Kobietę słowa te stanowczo już ku bawialnym pokojom zwróciły. Zamknęła drzwi i, nie mówiąc do męża ani słowa, szła naprzód krokiem prędkim, objawiającym, że przyzwyczajenie do pośpiechu i zniecierpliwienie w stan normalny u niej się przemieniły.

Im dalej postępowała, tem silniej w pokojach ładnie przybranych uczuwać się dawała woń jakaś dziwna, a niezbyt przyjazna, podobna zupełnie do tej, jaką wydaje z siebie na oścież otwarta śpiżarnia. Znać było, że zabiegła gospodyni tylko co właśnie była w śpichrzu, i rękę po samo ramię w jakimś worze, mąką napełnionym, zanurzyła.

Krynoliny w ubraniu pani Adeli nie było ani śladu, pomimo, że w porze owej, toaletowy ten przyrząd najdespotyczniej w świecie kobiecym panował; pod szyją miała wywinięty na suknię gruby, płócienny kołnierz od nocnej koszuli, a na głowie

muślinowy czepeczek wątpliwej białości, w połowie tylko zakrywający włosy pięknej, płowej barwy, z tyłu głowy splecione w dwa grube, roztargane warkocze.

Z rysów twarzy jej poznać można było, że nie miała więcej, jak lat trzydzieści parę, i że niegdyś musiała być bardzo przystojną, jeżeli nie piękną; ale żółtość cery, zmarszczki na czole i wokoło oczu, spłowiałe źrenice błękitne i wązka linia ust zaciśniętych, czyniły twarz tę przedwcześnie zwiędłą, wyrazem zgryźliwego niezadowolenia i nerwowej niecierpliwości nacechowaną.

— A! panna Szyłłówna! — zaczęła pani domu, zbliżając się ku guwernantce, która powstała, oddając ukłon. — Bardzo to dobrze, żeś pani już raz przyjechała. Od dwóch miesięcy nie mamy nikogo przy dzieciach, i ja sama pilnować ich jestem zmuszona. Wszystko na mojej głowie: i dom, i dzieci... od świtu do nocy chodź tylko, dysponuj, wydawaj, pilnuj tych łajdaków, co to na pańskie dobro, jak kruki, zlatują się... to już doprawdy i sił nie wystarczy długo...

Mówiła to wszystko, stojąc i nerwowym ruchem wstrząsając pękiem kluczy, u pasa jej wiszącym. Pan Fabian z pomieszaniem spoglądał na guwernantkę.

— Ależ, duszo! — zaczął nieśmiało, rękę ku łysinie podnosząc — pocóż bo tak irytujesz się każdą rzeczą?

— Poco irytujesz się? a cóż mam robić? Czy tak, jak ty, po całych dniach zajmować się sztukami? Zapewne, niech wszystko w domu przepada, niech zabierają, rozkradają, rwą, roznoszą! Chwała Bogu, już i tak niewiele zostało do rozkradzenia, i żeby nie ja, jużby przez te twoje sztuki Łozowa dawno z dymem poszła.

— Ależ, duszo! — przerwał znowu pan Fabian — panna Szyłłówna...

— I cóż? panna Szyłłówna będzie u nas domową osobą, i bieda nasza sekretem dla niej nie pozostanie. Choćbym ja milczała, to powie jej o wszystkiem braciszek jej, który ośm lat z całą swoją familią u ciebie na rezydencyi siedzi.

— Adziu! — z pewną energią zawołał pan Fabian — pan Paweł jest moim kolegą szkolnym, i tem, że mieszka u mnie, robi mi największą przyjemność.

— Przyjemność! przyjemność! — ciszej już, niż wprzódy, zmiarkowawszy snadź, że popełniła niedelikatność wielką, szemrała Adzia — tobie wszystko przyjemność robi... Zapewne, albo ty

w co wierzysz kiedy?... pofatygujesz się dokądkolwiek?... Wszystko na mojej głowie... szesnaście osób do stołu siada...

— Adziu! duszko! panna Szyłłówna aniołków naszych nie widziała jeszcze. Gdzie one są?

— A po ogrodzie gdzieś latają te twoje aniołki... Oj, aniołki! rady sobie z tymi aniołkami dać nie mogę! Z Józia robi się wisus taki, że jeśli dłużej w domu posiedzi...

— Proszę pani masła do zacierki — ozwał się od strony zamkniętego pokoju głos kuchcika, który, z rondelkiem i łyżką drewnianą w ręce, w progu drzwi napół otwartych stanął, głowę rozczochraną naprzód wysunął i wytrzeszczone oczy w panią domu wlepił.

Pani Adela, wstrząsając kluczami, zwróciła się ku drzwiom.

— Duszko! — zawołał na nią pan Fabian — przyślijże tu nasze dziatki... niech się poznają ze swoją przyszłą przewodniczką.

— Otóż to tak zawsze — mówił dalej pan Fabian do Michaliny, gdy pani Adela drzwi za sobą zamknęła — irytuje się, gderze, Bożego świata za krupami i masłem nie widzi... A czy wie pani, jaka to była osoba śliczna, idealna, kiedym się z nią ożenił! Grywała na fortepianie całemi godzinami, pielęgnowała kwiatki, a większej przyjemności dla niej nie było, jak przechadzać się ze mną przy świetle księżyca i rozmawiać o rzeczach pięknych, wzniosłych, poetycznych... Teraz, czy jest w niej choć ślad tego wszystkiego? Tak to, tak dzieje się na świecie! Kobieta — to Sfinks, tajemnica, a małżeństwo — to loterya...

Drzwi otworzyły się z łoskotem, i do bawialnych pokoi weszło, wbiegło, wpełzło siedm domowych aniołków.

Pan Fabian przedstawił dzieci młodej nauczycielce.

— Oto jest — mówił — najstarszy mój syn, Apolinary. Skończył w N. trzy gimnazyalne klasy, ale od roku jest już w domu. Martwiłem się zrazu tem, że uczyć się nie chciał, ale pocieszyły mnie odkrywające się w Apolku ogromne zdolności muzyczne. Czy wie pani, że grywa on już na skrzypkach najtrudniejsze koncerty Berriota? Daję mu lekcye muzyki sam tymczasem, potem mam zamiar oddać go do konserwatoryum muzycznego. Będzie z niego kiedyś drugi Paganini... A to Józiek, drugi z rzędu syn mój, wisus wielki, jak tylko co go nazwała żona moja, ale serce złote. Czy uwierzysz pani, że wczoraj, zobaczywszy przez okno żebraka, wybiegł i oddał mu swój chleb z masłem... Ludka to przyszła uczennica pani... wielką ma zdolność do rysunku... Przeszła już usta, oczy i doszła do nosów.

A to Elżusia, na święty Jan sześć lat skończyła... zabawny aniołek, ma szczególną zdolność do układania wierszy. Tydzień temu może, mówiłem przy stole, że lubię bardzo głos kukułki... maleństwo zaraz końcówkę tę pochwyciło: »kukułka — bułka, papo!« zawołała...

Śmiał się pan Fabian, śmiały się chórem i dzieci, z wyjątkiem najstarszego chłopca, który powagę niewzruszoną zachował, oraz małej poetki, stojącej przed ojcem w postawie tryumfującej laureatki. Po chwili pan Fabian kończył akt prezentacyi.

— Staś — mówił — ma cztery lata niespełna; to nasz tancerz domowy... elastyczny taki, iż zdaje się, że kości w nim niema. Marynia, dwa lata dopiero skończyła, a rwie się już do farb moich i pędzla, jak tylko je zobaczy, tak, że schować je przed nią trudno. Tem zaś maleństwem (tu zbliżył się do niemowlęcia, na rękach piastunki wniesionego) obdarzył mnie Pan Bóg przed pięciu miesiącami.

Wziął niemowlę z rąk piastunki i stanął przy oknie, tuż obok arfy. Najmłodszy aniołek rączkami za struny arfy pochwycił i tak silnie je szarpnął, aż wydały jęk przeciągły.

— Czy widzisz pani — rzekł pan Fabian, zwracając twarz ku Michalinie — i ten drobiazg nawet ma już jakiś pociąg do muzyki... moja krew... moja!...

Apolek tymczasem wydobył skrzypce z futerału i zaczął, od niechcenia niby, smyczkiem po strunach wodzić; Ludka, stojąc przed klawiaturą fortepianu, akordy oderwane uderzała; tancerz Staś z malarką Marynią wyskakiwali po pokoju, a Julcia, niemowlę, targała coraz silniej struny arfy.

— Adziu! duszko — dodał uszczęśliwiony ojciec, spostrzegając wchodzącą żonę — pójdź, zobacz, jak aniołki nasze popisują się!

— A popisują się, to prawda! — odparła pani Adela. — Apolek zniszczył już zupełnie swój przeszłoroczny mundurek, a Staś drugą drze w tym miesiącu parę bucików. Proszę państwa na kolacyę.

— Czy, duszko, wszyscy już tam zeszli się?

— A zeszli się. Czemuby nie mieli zejść się? Na jedzenie schodzą się prędko.

W sali jadalnej, nad obszernym stołem, mającym na sobie szesnaście nakryć, spuszczała się od sufitu wielka lampa, i obficie oświetlała siedm osób, które stały tam, każda przy swojem

krześle, w chwili wejścia państwa Fabianostwa, Michaliny i dzieci.

Z pomiędzy osób tych wyróżniał się, od pierwszego zaraz spojrzenia, mężczyzna czterdziestoletni, wysoki, barczysty, z gęstym, czarnym włosem, z ogorzałą, o grubych rysach twarzą, z wielkiemi rękoma i wąsem tak długim, że aż za czerwone i odstające ucho zakręconym. Do niego to naprzód, zaraz z progu jadalnej sali, zwrócił się pan Fabian.

— No, panie Pawle! — zawołał — czy wiesz, kto dziś do naszej chaty zawitał? No, patrz dobrze, poznasz, czy nie poznasz?

Mówiąc to, mrugnął figlarnie i wskazywał wzrokiem na Michalinę, która, z rumieńcem na twarzy, wzruszona, zmieszana, zatrzymała się przy drzwiach. Ogromny mężczyzna postąpił parę kroków, szeroko otwierając oczy.

— A! panna siostra dobrodziejka! dalibóg! no, proszę! — posypały się z ust pana Pawła wykrzykniki. — Słyszałem-ci ja niby troszeczkę... zdaleka... że pan Fabian po jakowąś guwernantkę pojechał, ale żeby to być miała moja panna siostra, przez mózgownicę mi nie przeszło... Myślałem, że przebywa w Ręczynie...

— Alboż to państwo tak dawno nie widzieliście się ze sobą? — zapytała sucho pani Adela, zbliżając się do stojącej na stole olbrzymiej wazy.

— Sześć latek, pani dobrodziejko moja, sześć latek upływa na przyszłe Boże Narodzenie, odkąd krokiem nie ruszyłem się z Łozowej — odparł pan Paweł. — Koleje losu, pani dobrodziejko, rzucają ludziskami, jak piłkami... jedną tu... drugą het, o sto mil...

Mówił to wszystko tonem rubasznej żartobliwości, ale oczy jego nie odrywały się ani na sekundę od zapłonionej twarzy młodej dziewczyny, która, drobną swą dłonią silnie objęła grubą, wielką jego rękę.

— Ot, panna siostra i synowców swoich nie zna jeszcze; proszę tedy patrzeć. Oto mój Walek... w dęba chłop wyrósł; a ot Jadwisia... to ta córeczka, którą, nieboszczka moja, świeć Panie nad jej duszą, dwuletnią odumarła.

Mówiąc to, wskazywał z kolei na słusznego, chudego chłopca, z bladą, nieprzyjemną twarzą, i w mizernem wielce ubraniu, a potem na podrastającą dzieweczkę, trzynastoletnią może, jasnowłosą, bladą także i, równie jak brat, w ubogą jakąś sukieneczkę przyodzianą.

— Później już państwo skończycie sobie tę rekomendacyę — przerwała pani Adela. — Siadajcie do stołu, bo wszystko ostygnie.

To *wszystko*, o którem mówiła pani domu, składało się z wazy pszennej zacierki, z dwóch półmisków, napiętrzonych stosami zawijanych zrazów, i z dwóch innych, pełnych pieczonych kartofli. Była to wieczerza niezbyt wybredna, ale obfita i mogąca nakarmić kilkanaście zgłodniałych organizmów.

Pani Adela stała przy wazie i nalewała zacierkę na talerze, które roznosił siedzącym przy stole osobom, niby lokaj, w gruncie zaś lokajczyk, niezgrabny, niechętny, butami grubymi niemiłosiernie stukający, a poczynający stąpać na palcach wtedy tylko, gdy zbliżał się do krzesła gospodyni domu.

Pani Adela, spełniając gospodarską swą czynność, wyraz twarzy miała kwaśny.

— Otóż ja, duszko — zaczął pan Fabian — kontynuować będę rekomendacyę... Nic to, nic, duszko! jeść dlatego będę. Dwóch robót razem robić nie można, ale gadać i jeść razem nic nie przeszkadza... Trzeba przecież, aby panna Szyłłówna poznała naszych kochanych gości...

— Goście! — szepnęła nad wazą pani domu — piękni goście, co po dziesięć lat siedzą.

— Oto — ciągnął pan Fabian, wskazując dwie, obok żony jego siedzące kobiety — oto kuzynki nasze: pani Eustachia Konaszewiczowa i panna Antonina Łojwiczówna.

Pani Eustachia, osoba lat średnich, tuszy dobrej, z filutkami na skroniach i w pocerowanej, ale jedwabnej sukni, skinęła głową ku guwernantce z wysoka i poważnie; panna Antonina zaś, szczupła osóbka, dość młoda jeszcze, lecz z chorobliwą cerą, złośliwemi, czarnemi oczkami i twarzą, obwiązaną białą chustką, od fluksyi zapewne, uśmiechnęła się kwaskowato.

— Tu znowu — skończył pan Fabian — widzisz pani zacnego pana Wiktoryna Szczepalskiego, wirtuoza flecistę, niegdyś sąsiada naszego, a dziś gościa...

Wiktoryn Szczepalski, człowiek z siwymi włosami i wąsami, ale czerstwy jeszcze, rumiany, z figurą dobrze zaokrągloną i z głupowatym uśmiechem na tłustych wargach, podniósł się lekko z krzesła i, jakby nie wiedząc sam, co mu czynić wypadało, mętnym wzrokiem potoczył dokoła.

— A mnie to pan dobrodziej nie zarekomendujesz? — ozwał się z za szerokich pleców pana Pawła głos jakiś dyszkantowy, jowialnością nacechowany.

— A jakże! — zawołał pan Fabian. — Pan Karol Solski, były kolega mój szkolny, tak jak i Paweł. Rozwesela wieczory nasze sztukami, w których dokonywaniu jest mistrzem...

— Utrzymuję tradycyę po Pineltim — zawołał cieniutkim dyszkantem mały, blady człowiek, z twarzą ogoloną starannie, lecz w surducie na łokciach podartym.

— A to już ja chyba, panie dobrodzieju, ujmę się za naszym panem Hryhorym — ozwał się pan Paweł, podnosząc twarz z nad dymiącego się talerza i olbrzymie wąsy swe, zupą ubielone, z nad ust odgartując. — Dlaczego to pan tak go w rekomendacyi swej pominąłeś? Słowik to przecież łozowickiego dworu.

Pan Fabian wskazał Michalinie siedzącego pomiędzy nim a panem Pawłem człowieka w pełnej sile wieku, z ciemną, czarnooką twarzą południowca, z czarnymi wąsami tak bujnymi, jak wąsy pana Pawła, nie ku uszom tylko podniesionymi, lecz na pierś, w kształcie dwóch grubych i długich wiechci, opuszczonymi, w świcie szarej, nienowej, fantastycznie jakoś taśmami oszytej i naszytej.

— Pan Hryhory Oroszczenko, ukrainiec rodowity... Przybył tu w nasze strony na łowczego do dóbr księcia K. Że jednak zabijanie zwierząt niewinnych z dobrocią serca jego nie zgadzało się, przyjechał do mnie na czas jakiś z teorbanem swoim...

— *Pryjichaw i siw u waspana, bo u mene ny chatynki, ani szczastja, any żynki!* — z ukraińska ozwał się pan Hryhory.

— Widzisz więc pani — dodał pan Fabian, składając łyżkę i zwrócony wciąż ku guwernantce — widzisz więc pani, że, jak mówi poeta: *Gdy dni nam płyną w braterskiem kole...*

— *O piwko prosić sobie pozwolę!* — dokończył pan Paweł do rymu, pochylając się nad stołem i, z wyrazem żartobliwej nieśmiałości, wlepiając wzrok w gospodynię domu. Na stole stały cztery karafki z piwem.

— Nalej piwa do szklanek! — zwróciła się do lokajczyka pani Adela.

Niezgrabny chłopiec z wiecznie rozjątrzoną miną, krążył wokoło stołu z karafką w ręce. Pan Paweł, trzymając szklankę w górę wzniesioną, w miarę, jak płynu ciemnego do niej przybywało, wołał:

— Do... do... do...

Lokajczyk nalewać przestał.

— Do... do... dolej! — skończył pan Paweł.

Dowcip ten pobudził do głośnego śmiechu wszystkie dzieci, z wyjątkiem poważnego Apolka, i wszystkich rezydentów, z wyjątkiem pani Konaszewiczowej, która wzgardliwie na dowcipkującego spojrzała, i szklankę swą z giestem pełnym dystynkcyi ku lokajczykowi wyciągnęła.

— Proszę o piwo! — wyrzekła, każdą zgłoskę z osobna wymawiając, jak to czynić zwykli wielcy panowie i wielkie panie.

Panna, z białą chusteczką dokoła żółtej, chudej twarzy, uśmiechnęła się kwaskowato.

— Nie pojmuję — rzekła — jakim sposobem osoba tak delikatna, jak pani Eustachia, może pić piwo.

Wypowiedziała to tak prędko, że głoski zdawały się w jej ustach gonić jedna drugą ze szczególną zawziętością i zjadać się wzajemnie.

— Nie pojmuję — odparła zaczepiona, dzieląc starannie wymawiane sylaby — jakim sposobem osoba tak poważna, jak panna Antonina, może wtrącać się w to, co do niej nie należy.

Obie panie zwróciły się ku sobie. Czarne małe oczki panny Antoniny biegały i błyskały; pani Eustachia pulchne policzki wydęła i powieki wzgardliwie zamrużyła.

— Czy pani myślisz, że ja jestem jakaś sobie pierwsza lepsza?... — zaczęła bardzo szybko panna Antonina.

— Czy pani myślisz, że ja pozwolę na to, aby mię ktoś zaczepiał?... — wtórowała bardzo powoli pani Eustachia.

Rozpoczynającą się burzę tę powstrzymał śmiech chóralny, przy stole wybuchający. Panna Antonina zaniechała frazesu, którym dowieść postanowiła pani Eustachii, że nie jest wcale »jakąś tam pierwszą lepszą« i, odwróciwszy się tylko od sąsiadki, o ile można było najgrzeczniej, zapytała ciekawie:

— Co to? co to? czego się państwo tak śmiejecie?

Śmiech spowodowany był *sztuką*, którą urządził pan Karol Solski, człowiek blady, mianujący się następcą Pinettego. Ofiarą *sztuki* tej okazał się pan Wiktoryn Szczepalski, wirtuoz-flecista, który siedział zazwyczaj nieruchomy, uśmiechnięty, z oczyma gapiowato w przestrzeń utkwionemi. Owóż, gdy tak siedział, następca Pinettego zcicha i zręcznie szklankę jego z przed talerza pochwycił i duszkiem ją, za plecy jej właściciela ukrywszy się, wychylił. W minutę potem wirtuoz-flecista, napatrzywszy się do syta na przeciwległą ścianę, po szklankę swą sięgnął, a ujrzawszy ją próżną, zdumionym wzrokiem dokoła powiódł. Śmiech i wrzawa powstały. Na biednego wirtuoza posypały się żarciki

rezydentów. On przyjmował je spokojnie, ze zwykłym sobie śmiechem. Przywykł snadź do roli kozła ofiarnego, przeznaczonego na dostarczanie trefnisiowi tematów do żartów i konceptów.

— Proszę o zrazy! — patrząc przez ramię posługującego chłopca, ozwała się pani Eustachia.

— Dziwna rzecz, — natychmiast i wzruszając ramionami, trzepać zaczęła panna Antonina — jak to można tak dużo jeść!

— Dziwna rzecz, — wycedziła wnet pani Eustachia — jak można tak wiele gadać!

— Co tu dziwnego, że pani Konaszewiczowa tyje, kiedy taka łakoma.

— Co to dziwnego, że panna Łojwiczówna tak chudnie, kiedy taka zła.

I znowu zwróciły się ku sobie twarzami.

Wybuch burzy powstrzymał jednak dany przez gospodynię domu znak wstawania od stołu.

— Proszę pani świecy do garderoby — zabrzmiał piskliwy głos kobiecy z za uchylonych nieco drzwi przedpokoju.

— A dlaczegoż wprzódy nie braliście? czyś nie widziała, żem przed godziną była w śpiżarni?

Z temi słowami i głośnem brząkaniem kluczy pani Adela zniknęła w głębi domu, całe zaś towarzystwo przeszło do bawialnych salonów.

W salonie paliła się przed kanapą lampa, na fortepianie stały dwie zapalone świece. Przy lampie na fotelach zasiadły dwie zażarte, jak się zdawało, antagonistki, pani Eustachia i panna Antonina. Dobyły z kieszeni zawinięcia sporych rozmiarów i, wyjąwszy z nich różne przybory do robót ręcznych, oddały się im w milczeniu. Michalina zbliżyła się do dwóch kobiet.

— Czy można wiedzieć, jakiemi to robótkami panie się zajmują? — zapytała uprzejmie.

Pani Eustachia wydęła policzki, przymrużyła oczy i wycedziła:

— Haftuję sobie żabot i mankiety!

— Nie pojmuję, — zaczęła wnet trzepać panna Antonina — jak to można przez całe życie myśleć tylko o elegancyach.

— Nie pojmuję, — odcedziła pani Eustachia — jak można przez całe życie sporządzać aparaty kościelne.

— Pani robi coś do kościoła? — zapytała guwernantka, usiłując zakląć powstającą burzę.

— Szlaczek do komeżki dla księdza proboszcza orchowskiego kościoła — zatrzepała panna Antonina.

Pan Fabian przechadzał się tymczasem po pokoju otoczony dziećmi.

— Cóż, kochany panie Pawle, — rzekł, widząc wchodzącego Szyłłę — pokażesz nam może Czumaka?

— Czumaka! Czumaka! — proszę pokazać Czumaka! — wołały dzieci.

Pan Paweł siadł przy stole, na którym paliła się lampa, profilem do pokoju zwrócony, z czołem na dłoń pochylonem i gęstymi, czarnymi włosami na twarz opadającymi. Dobrą minutę przesiedział tak wśród ciszy powszechnej, w postawie zgnębionej, znękanej, aż zadeklamował znane żale Czumaka, tułacza:

»O ja Czumak nieszczęśliwy...
Biedny, głodny, ledwie żywy«...

Głos jego basowy, z olbrzymiej piersi wychodzący, przybierał coraz jękliwsze, płaczliwsze tony, aż nakoniec zerwał się pan Paweł z siedzenia i, wyskoczywszy na środek pokoju, począł, nie przerywając deklamacyi, ale tylko ton jej zmieniając, naśladować fantastyczny ludowy taniec Czumaków. Dzieci klaskały w drobne ręce i śmiały się do rozpuku ze skoków pana Pawła; reszta towarzystwa uśmiechała się z widocznem zadowoleniem.

Michalina pochylała zrumienione do szkarłatu czoło i pod spuszczoną powieką kryła napływające do oczu jej łzy. Solowy taniec ów trwał dość długo, aż pan Paweł, zziajany, z kroplistym potem na czole, usiadł na uprzedniem miejscu i w uprzedniej postawie. Wypadkiem czy umyślnie spojrzał na siostrę, a w tejże chwili głos jego zniżył się o parę tonów, zabrzmiał dźwiękami smutnymi, onieśmielonymi nagle i umilkł... Umilkłszy, pan Paweł zerwał się z krzesła, i prędkim krokiem, nie oglądając się w prawo ni w lewo, poszedł w najbardziej zacieniony kąt pokoju.

— Papo!... — ozwał się, przystępując do ojca, najstarszy syn domu, drugi Paganini w zarodku — a kiedy będzie nasz kwartet?

— Masz słuszność, Apolku, zagrajmy kwartet! — odparł pan Fabian i ruszył ku wiolonczeli.

— Czy pani Eustachia będzie łaskawa akompaniować nam na fortepianie? — zapytał.

Dama w pocerowanych jedwabiach podniosła się z miną bóstwa, zstępującego na żądanie ludzkie z niebieskich wysokości, i tryumfujące spojrzenie rzuciwszy na pannę Antoninę, posunęła ku fortepianowi, przy którym stali już uszykowani, jak należy: pan Fabian z wiolonczelą, Apolek ze skrzypcami i pan Wiktoryn z fletem.

Pan Fabian grał na wiolonczeli z wprawą i przejęciem się; zatonął cały w muzyce, twarz jego zapłonęła rumieńcami, a oczy rozgorzały blaskiem nieudanego zachwytu.

Przy pierwszych zaraz taktach kwartetu weszła do salonu i pani Adela. Niosła ze sobą koszyk ze skarpetkami i pończochami, większych i mniejszych rozmiarów. Usiadła przy lampie, naciągnęła na rękę jedną z przyniesionych pończoch i pogrążyła się w jej cerowaniu.

Kwartet skończył się. Pan Fabian, orzeźwiwszy się nieco z muzykalnych wrażeń, pocałował w czoło syna-artystę i zwrócił się ku żonie.

— Cóż, duszko? jakże ci się dziś podobała gra Apolka?

— Lepiejby było, żeby do szkół jechał — sarknęła pani Adela, nie podnosząc oczu z nad wielkiej dziury w pończosze, którą starannie zasnuwała bawełną.

— Otóż to tak zawsze! — szepnął pan Fabian do Michaliny — samotność duchowa zupełna... a jednak jaka to była niegdyś idealna osoba!... Panna Lila Orchowska musi grać bardzo pięknie? — nieprawdaż, pani?

Odpowiedź guwernantki zgłuszyły dźwięki teorbanu i nieuczony widocznie, dość dźwięczny jednak w istocie i przyjemny głos pana Hryhorego, który przeciągle i tęsknie zawiódł:

»Ne chody, Hryciu, na weczernyciu...«

* * *

Tak towarzystwu temu zszedł czas do samej prawie północy. O tej dopiero porze otworzyły się drzwi, hermetycznie w ciągu dnia zamykane, i żeńska połowa publiczności łozowieckiej przeszła w głąb domu. Było to przejście ze świateł Empyreum w ciemności Erebu.

Wobec trzech bawialnych salonów, pokoje, resztę mieszkania składające, wyglądały jak brudna, podarta, zatłuszczona pod-

szewka kosztownego i bogatymi haftami przyozdobionego stroju. Czego bo tam nie było! W pierwszym zaraz pokoju, sypialni pani domu, stały pod ścianami wielkie kosze, vulgo *kotuchy*, w których kury wysiadywały na jajach. Przy wniesieniu świec śpiące ptaki te obudziły się z przestrachem, zatrzepotały skrzydłami i w głośny alarm uderzyły. W pobliżu łoża pani Adeli mieściły się beczułki jakieś i woreczki, napełnione kosztowniejszymi zapewne śpiżarnianymi zapasami; dalej na dwóch krzesłach umieszczone stały płótnem przykryte nieczułki z podchodzącem ciastem; złamane krzesło zalegało kąt jeden pokoju, w drugim leżał wysoki stos przygotowanej do prania bielizny. Ściany tam były szare, szyby w oknach popękane, stoły poobleWane, podłoga brudna...

Michalina, wszedłszy do przeznaczonego jej pokoju, zapytała służącej o dokładne wskazówki co do położenia oficyny i drzwi, któremi wchodzi się do pokoju jej brata. Zaledwie sługa odeszła, wyjęła z tłumoczka swego wielką wełnianą chustkę i miała już zarzucić ją sobie na plecy, gotując się do wyjścia, gdy z izdebki, w której sypiało niemowlę-Julcia, wsunęła się na palcach, z zapalonym ogarkiem świecy w ręku, pani Adela.

— Jak to dobrze, że pani jeszcze nie śpi, — rzekła, gasząc świecę i stawiając lichtarz na stole — chciałam z panią pomówić trochę.

Zbliżyła się do każdego z trzech małych łóżek, poprawiła kołdrę przykrywającą Marynię, odgarnęła włosy z czoła Elżusi, popatrzyła z radością na różową, ładniutką twarzyczkę Ludki i usiadła na krześle przy łóżku guwernantki, która spoglądała na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

— Chciałabym — zaczęła łagodniejszym nieco, niż zwykle, głosem — przeprosić panią za to, że ją niegrzecznie może trochę przyjęłam; ale jestem ciągle tak zirytowana, zgryziona...

— O pani!... — zaczęła Michalina.

Ale pani Adela mówić jej nie pozwoliła.

— Niech pani nie robi ceremonii żadnych. Wiem dobrze, iż wyglądam, jak dziwoląg, i podobać się ludziom nie mogę. Nie chciałam jednak umyślnie wyrządzać pani przykrości, byłam tylko dziś więcej, niż zwykle, zmartwiona i zirytowana... Wystaw sobie pani, widziałam zrana na własne oczy, jak ekonom z parobkiem żyto nasze ze stodoły wynosił, na wóz pakował i pod sekretem do miasteczka posyłał... Co pani na to powiesz?

Guwernantce trudno było widocznie zdobyć się na zdanie w tak obcym dla niej przedmiocie.

— Cóż pani powiedziała o tem panu Łozowiczowi? Możeby... — zaczęła, wahając się i dlatego tylko, aby coś powiedzieć.

Pani Adela uśmiechnęła się z goryczą.

— Czyż pani myśli, że takie rzeczy mego męża obchodzą? Gdzie tam! on wyobraża sobie, że każdy człowiek bez wyjątku jest świętym. Gdyby ktokolwiek w biały dzień surdut z niego zdjął, to powiedziałby jeszcze: »ech! co tam! może mi się tylko tak wydało!« Ach! żebyś pani wiedziała, co się tu u nas dzieje! Majątek piękny, bardzo piękny! Ale cóż z tego? Póki była pańszczyzna, szło jeszcze jako tako, ale odkąd za pieniądze wszystko nabyć trzeba, stodoła co rok pusta prawie, inwentarz przepada, grosz grosza nie dogoni, długi rosną... a on na nic nie spojrzy. Jeżeli pójdzie kiedy w pole dla oczu ludzkich, to chodzi z nosem w górę podniesionym, przypatruje się obłokom i w głowie wiersze układa, albo widoków pięknych szuka, żeby je malować... Najczęściej zaś w gabinecie swoim przesiaduje, pisze, maluje, czyta poezye, czasem w ogrodzie kwiaty sadzi, ot i cała jego robota... A tu wszystko we dworze wali się, pole chwastami zarasta, majątek topnieje.

Umilkła na chwilę. Oczy jej z wyrazem smutku w ziemię patrzyły.

— Siedmioro dzieci, — mówiła dalej po chwili — na co on je wykieruje? Mnie serce kraje się, gdy myślę o tem, jaka to przyszłość czeka te biedne dzieciaki...

Westchnęła ciężko pani Adela i po chwili dodała:

— Niech pani, broń Boże, nie myśli, żebym ja o tem wszystkiem mówiła przez brak przywiązania lub szacunku dla Fabiana. Najlepszy to, najszlachetniejszy pod słońcem człowiek, złote serce... Ot naprzykład, widziałaś pani, ilu tu ludzi żywi się koło nas... niech pani tylko nie myśli, że wymawiam jej pana Pawła, broń Boże! Gdy jestem zgryziona, powiem czasem na tych biedaków to i owo, ale w gruncie żal mi ich... wszak oni garną się do naszego domu, jak pszczoły do ula... Tyle teraz nędzy po świecie, przez te wszystkie zmiany i zaburzenia: a ileż pani znajdziesz w okolicy domów takich, któreby, jak nasz, tuliły do siebie biednych ludzi?

Podniosła przy tych słowach twarz, a oko jej, posępne przed chwilą, błysnęło dumą.

— To też — ciągnęła dalej — niema w okolicy człowieka, któryby nie wiedział, że Łozowa jest przytułkiem sierot i nieszczęśliwych, że Fabian Łozowicz to może ostatni z tych oby-

wateli naszych, co to nie dla siebie tylko żyli, ale i dla bliźnich. A na mnie choć mówią czasem, że jestem skąpa, gderaczka, to jednak nikt nigdy nie widział i nie słyszał, abym męża swego od dobrego uczynku odwodziła. Dopełnia też on tych dobrych uczynków za siebie i za innych... Żebraka żadnego nie opuści, aby go wedle możności nie obdarzył... Złote serce, mówię pani, najlepszy, najszlachetniejszy człowiek, i wszystko byłoby dobrze, gdyby nie te *sztuki*, poza któremi Fabian świata Bożego nie widzi.

Westchnęła znowu, pomilczała chwilę, a potem mówiła dalej:

— Niech pani nie myśli, że ja zawsze taką byłam, jak teraz... Boże kochany! każdy miał swoją młodość i swoje złudzenia; i ja je miałam... Grałam niezgorzej, poezye czytywać lubiłam, w kwiaty stroiłam się, świat wydawał mi się różowym, jak centyfolia, a życie wesołem, jak bal. Ale potem dzieci przybywały, potrzeby rosły, a tu uważam, że źle! kradną, rozrywają, majątku coraz mniej. Wzięłam się więc sama do gospodarstwa, do śpiżarni, do kuchni: chowam, zamykam, pilnuję, rządzę; a przez to jako tako dziury łatam. Gdyby nie to, że ja się tak domem zajęłam, jużbyśmy chyba dotąd Łozową z torbami opuścili; ale przyjdzie to kiedyś, bo jakże ja, słaba kobieta, bez męskiej pomocy powstrzymać mogę ruinę majątku?

Umilkła pani Adela i Michalina milczała także parę minut. Tym razem jednak z twarzy młodej nauczycielki poznać można było, że otrzymane zwierzenie się wzbudziło w niej żywe współczucie i nasunęło jej wiele myśli.

— Przepraszam panią, — rzekła łagodnie i trochę nieśmiało — że poważę się wyrazić zdanie swoje.... Nie jestem zbyt doświadczoną, ale... pani ośmiela mię okazywanem mi zaufaniem. Otóż zdaje mi się, że może korzystniej byłoby, dla spokojności pani, dla dobra jej rodziny, gdyby pani sama z wrodzoną energią swą i pracowitością zastąpiła pana Łozowicza w gospodarstwie męskiem...

Pani Adela słuchała słów tych z wyrazem głębokiego zdumienia w oczach.

— Ach moja pani! — rzekła — jak to znać, że jesteś młodą jeszcze i niedoświadczoną osobą! Jakże pani możesz wymagać, aby kobieta trudniła się męskiem gospodarstwem? Czyś pani widziała kiedy co podobnego? Rola, stodoła, obory, to zajęcie męskie... kobieta może dopatrzyć tego tylko, co dzieje się w domu.

Kobieta, kochana panno Michalino, nie powinna nigdy przekraczać granic, dla siebie naznaczonych.

Michalina nic na to wszystko do odpowiedzenia nie znalazła. Po chwili jednak ozwała się znowu:

— Jeszcze jedną rzecz chciałabym powiedzieć... Czy pani pozwoli?

— O, i owszem, i owszem! proszę mówić! Nie jestem taką złą, jak się wydaję.

— Zdaje mi się, że wszystkie te osoby, które u państwa mieszkają i tyle im wydatków przyczyniają — mówię tu także i o bracie swoim — mogłyby poszukać sobie gdzieindziej jakiego zajęcia.

— O, panno Michalino! — przerwała, powstając, pani domu — nie spodziewałam się nigdy, aby osoba tak młoda, jak pani, miała tak suche, zimne, egoistyczne pojęcia. Nie! jestem ja sobie może skąpa, gderaczka, bo taką zrobiły mię okoliczności; powiem czasem komu niegrzeczność, sarknę na rezydentów, ale z idealnej młodości mojej pozostało przynajmniej to jedno, że od domu swego nie odepchnę nigdy żadnego człowieka, który szuka w nim schronienia... Będziemy może kiedyś sami w biedzie... cóż robić? Pan Bóg wynagrodzi może dzieciom naszym to, co my dla biednych ludzi czynimy. Tymczasem niech sąsiedzi nasi, co to dla siebie tylko żyją, patrzą na Łozowiczów i widzą, że nasz dom jest ostatnim może z tych obywatelskich domów naszych, co to nie dla siebie tylko żyły.

Powiedziawszy to z pewnem uniesieniem w głosie i wyrazie twarzy, pani Adela skinęła guwernantce głową.

— Dobranoc pani! — rzekła — i znowu do łóżeczek dziecięcych z kolei przystępowała. Nad każdem z nich pochyliła się i uśpione dziewczynki w rumiane twarzyczki całowała. Zapaliła potem swój ogarek i, idąc ku drzwiom, zwróciła się jeszcze do Michaliny.

— Czy wiesz pani, — rzekła — że wychodzi u nas na tydzień pud masła i głowa cukru? Mięso sprowadzamy z miasteczka całemi sztukami, od dwóch lat już na kredyt, dzięki Bogu! Oj! będzie kiedyś bieda, będzie!

Odeszła... Michalina siedziała chwilę zamyślona, potem zazarzuciła na głowę chustkę i wśród ciemności, zalegającej dziedziniec, podążyła szybko ku blizkiej oficynie. W oknach tam już było ciemno — w jednem z nich tylko błyszczało małe światełko. Michalina, kierując się wskazówkami, od służącej otrzymanemi, poznała, że było to okno pokoju jej brata. Omackiem znalazła

drzwi, z brzegu zaraz małego korytarzyka umieszczone, i zastukała do nich zlekka.

— A któż tam jak mara włóczy się po nocy? czy nie pan Hryhory czasem? Proszę, proszę! — ozwał się z wnętrza pokoju głos pana Pawła.

W niewielkiej izbie, z brudnemi ścianami i skąpem, prostem bardzo umeblowaniem, siedział przy stoliku pan Paweł. Nie miał na sobie surduta, tylko kamizelkę, z której wyłaniały się rękawy grubej koszuli. Surdut leżał na kolanach swego właściciela, który, w jednej ręce trzymając jego połę, drugą pilnie i z nadzwyczajną uwagą łatał kawałkiem sukna znajdującą się w niej dziurę. Ogromna ręka jego, uzbrojona w igłę, długą nitką nawleczoną, niezgrabnym ruchem wybiegała ponad schyloną głową.

Nie podniósł głowy i nie przerwał roboty swej wtedy nawet, gdy otworzyły się drzwi od korytarza.

— Czego łazisz po nocy, panie Hryhory? — zapytał.

— To ja przyszłam, Pawle — ozwała się Michalina.

Szyłło porwał się z krzesła.

— Michasia! — zawołał głosem wcale innym, niż ten, którym mówił wprzódy.

Z wielkim pośpiechem przywdział surdut i przysunął do stołu drugi stołek.

— No proszę! — mówił — ktoby się to spodziewał, że przyjdziesz do mnie, Michasiu! Myślałem, że wstydzisz się mnie; nie chciałem nawet mówić z tobą przy ludziach. No, siadajże, siadaj!

Ale ona nie zaraz usiadła. Ujęła obie ręce brata w drobne swe dłonie i długo patrzyła mu w twarz smutnym, głębokim wzrokiem. On także patrzył na nią, aż obojgu łzy w oczach stanęły.

— Cóż tam dzieje się z matką? — zaczął Szyłło, usiadłszy. — Sześć lat nie widziałem już starej, od tej wigilii Bożego Narodzenia, którą — pamiętasz — jedliśmy razem u stryja Augustyna...

— Matka nasza mieszka zawsze u stryjostwa, którzy są dla niej bardzo dobrzy... ale oni sami biedni.

— Wiem, wiem! dzieci gromada. Ha, cóż robić? i ciebie, Michasiu, sześć lat już nie widziałem; zmieniłaś się, zmężniałaś!...

— Postarzałam, Pawle, — ze smutnym uśmiechem przerwała młoda dziewczyna — nic dziwnego. Od owej właśnie pory

przestałam chodzić na pensyę i, choć po prawdzie nie skończyłam jeszcze była edukacyi, poszłam w świat... Miałam wtedy lat szesnaście, a sześć lat jestem już nauczycielką. Byłam w siedmiu sąsiednich domach... ten jest ósmy.

— Pi! — syknął pan Paweł — nie udaje ci się widać. Dlaczego?

— Dla różnych przyczyn. Z początku nic prawie nie umiałam sama... odprawiono mię więc, bo dzieci nie korzystały... Potem... kiedym się własną pracą poduczyła już trochę, tak jakoś trafiałam... Ale mówmy o tobie, Pawle, poco ty tu siedzisz... ty i dzieci twoje?

Pytanie to zadawała zcicha, z widoczną obawą obrażenia brata, ale zarazem z postanowieniem stanowczego z nim rozmówienia się.

Szyłło pochylił głowę i milczał chwilę.

— Czego ja tu siedzę? — powtórzył. Ot siedzę... bo cóż mam robić? Licho mi nadało sprzedać folwarczynę. Zdawało mi się, że mogę co lepszego kupić, dobry interes, jak to mówią, zrobić... Tymczasem nic nie kupiłem i nic nie zrobiłem, a pieniądze rozchwytali ludzie.

— Wiem; część ich pożyczyłeś Ręczycom, część Orchowskim.

— A część rozeszła się.

— Musieli ci przecież odesłać.

— Licha tam! Ręczyc miał ośmnaście lat, jak pożyczył, a teraz ma dwadzieścia ośm i jeszcze nie oddał... Co się zaś tyczy Orchowskich, Bóg-że ich wie, u kogo dopominać się teraz. Ojciec pono umierający, nikogo nie widuje... synów nie znam...

— I nie upominasz się u Ręczyca o należność?

— Sześć lat ani pisnąłem. Co robić? będzie może dla dzieci.

— A jednak, — rzekła Michalina — gdyby ci te pieniądze oddali przed sześciu laty, nie byłbyś tutaj, zrobiłbyś z sobą cokolwiek.

— Naturalnie, że zrobiłbym. Nadarzał się dobry kawał ziemi z łąką i lasem. Chciałem nabyć, ale nie było za co; siadłem więc tu...

— I dobrze ci z tem? — bacznie patrząc na brata, zapytała Michalina.

— At! — rzekł — niema co grzeszyć. Dobrze jeść i pić dają, i dachu nad sobą kawałek ma człowiek. Co się zaś tyczy

odzienia, łatam je, jak mogę, a czasem poczciwe Fabianisko przyrzuci coś dla mnie, lub dla Walka...

— Pawle! — nie mogąc powstrzymać się dłużej, zawołała młoda dziewczyna — ależ to dola żebracza! położenie poniżające!

Szyłło szeroko otwartemi oczyma w twarz siostry spojrzał. Milczał chwilę, a potem machnął ręką i rzekł:

— Ot, ja już i zapomniałem o tem wszystkiem. Dziś dopiero, kiedy *pokazywałem* Czumaka, a ty, Michasiu, spojrzałaś na mnie temi oczyma swemi, które mi dawne czasy przypominają...

Przerwał sobie nagle i, odwróciwszy się, palcami łojówkę objaśnił.

Chwila milczenia zapanowała pomiędzy siostrą i bratem. Michalina ozwała się pierwsza:

— Pawle! musisz mi dać słowo, że dla honoru własnego, dla przyszłości dzieci swoich, postarasz się zmienić położenie swe na inne.

Szyłło milczał. Grube rysy jego powlokły się wyrazem tajemnego niezadowolenia.

— Widzisz-bo, — zaczął — na starość ruszać się z miejsca trochę już ciężko.

— Jesteś jeszcze w pełnej sile wieku. Wiem od matki naszej, że nie masz więcej, jak lat czterdzieści.

— Ech! matka zapomina — kurcząc się i garbiąc, przerwał pan Paweł. — Mam już pięćdziesiąt dobrych... niezdrów jestem... w służbę mi iść nie pora, a zresztą, kto z dziećmi mię przyjmie?

— Upomnij się u Ręczyca o swoje dobro.

— Kiedyż-bo widzisz, Michasiu — kurcząc się coraz bardziej, rzekł Paweł. — Do Ręczyca trzebaby jechać... a ja się już stąd sześć lat krokiem nie ruszałem.

Człowiek ten atletycznej budowy rozleniwiał na łaskawym chlebie tak strasznie, że przerażała go myśl o dwumilowej drodze.

Michalina posunęła stołek swój, siadła tuż przy nim i ramionami opasała mu szyję.

— Pawle! — mówiła zcicha — uczyń to, spróbuj! Pomyśl, jaką radość sprawiłbyś matce naszej, gdybyś zdobył sobie znowu jakiekolwiek, byle niezależne, nieupokarzające położenie... Możebyś mógł nawet kiedy ochronić ją od przebywania pod dachem ludzi dobrych, ale dla niej prawie obcych... Ja nie zaciążę nad

nowym bytem twoim... umiem już dziś więcej, niż umiałam, i mam nadzieję, że z czasem wyrobię sobie w zawodzie swoim przyszłość lepszą... Ale dla matki naszej, dla dzieci twoich uczyń to, postaraj się!...

Głos jej łagodny, miękki, a jednak energią gorącej prośby dźwięczący, stopił się w pocałunku, który usta jej kształtne i blade złożyły na ogorzałem czole brata. Przybliżyła twarz swą do jego twarzy i wzrok zanurzyła w głębiach zmęczonych jego źrenic.

Paweł opuścił na dłonie czoło i milczał długo.

— No, — rzekł po chwili — zobaczymy! Trudno to wprawdzie... ale matka...

Westchnął z głębi piersi. Michalina trafiła słowami swemi w nieuśpioną jeszcze strunę jego serca. Nie obchodził go już honor, nie obchodziły dzieci własne, ale wzruszyło go wspomnienie matki.

— Święta to kobieta... — mówił stłumionym nieco głosem. — Kiedym sprzedawał swój folwark, myślałem, że zaraz drugi kupię i znowu wezmę ją do siebie... Ale stało się inaczej... zostało matczysko u ludzi cudzych... i ja u cudzych... i ty, Michasiu, u cudzych.

— Ja, Pawle, pracuję i na chleb swój zarabiam — szepnęła dziewczyna.

Szyłło ręką po oczach zwilżonych powiódł.

— Trzeba jechać! — rzekł.

Michalina ramionami oplotła znowu szyję brata i uśmiechnęła się do niego tak, jak tylko prawdziwie dobre, kochające istoty uśmiechać się umieją.

* * *

O godzinie szóstej rozlegało się już w łozowskim domu głośne stukanie drzwiami, zgrzytanie kluczy w zamkach i tym podobne gospodarskie odgłosy, którym towarzyszyły wołania pani Adeli na służbę. Lokajczyk wyszedł z przedpokoju, obarczony szczotkami i ścierkami, i, z głośnem stukaniem, a cichym szeptem niezrozumiałych wyrzekań, froterował posadzki i ścierał pył w bawialnych salonach. Dziewczęta w garderobie rozpalały ogień na kominie, przystawiając do niego wodę i mleko; z folwarku przywlokła się wieśniaczka, dźwigając różne garnce, kwarty, kwaterki, koszyki, koszyczki; kucharz z zaspanemi oczyma wszedł także do garderoby i rzucił na podłogę stos

rondli. Wszyscy w domu, oprócz najmłodszych dzieci i pana Fabiana, byli na nogach.

Michalina weszła do garderoby i zobaczyła panią Adelę, stojącą przy otwartych drzwiach śpiżarni, w białej spódnicy, w nocnym czepku i watowanym długim kaftanie. Panna Antonina, w rannym także i równie zaniedbanym stroju, czyściła przy oknie klatkę, w której kącie senne jeszcze tuliły się dwa kanarki. Pani Eustachia, ubrana w negliż biały, wytoczyła się również ze swego pokoju i, zwracając się do garderobianych, wycedziła z powagą:

— Proszę o kawę!

Michalina uprzejmie pozdrowiła dwie kobiety i zbliżyła się do gospodyni domu. Rezydentki ścigały ją wzrokiem, pełnym niechęci.

— Osoby te — trzepała cichutko panna Antonina — mogłyby poszukać sobie gdzieindziej jakiego zajęcia!... To egoistka, bez serca!

— To prawda — szepnęła również cicho pani Eustachia — komu to świat reformować? Guwernancisko jakieś?

Z szeptów tych można było się domyślić, że obie antagonistki złączyły się tym razem, i że podsłuchać musiały wczorajszą rozmowę pani Adeli z Michaliną.

Dla pani Adeli pora dzienna była porą zgryzot, irytacyi, prac ciężkich i nieustannych. W tej chwili ścigała ona wzrokiem poruszenia kucharza, który napełniał w śpiżarni rondle swe wiktuałami.

— Może pani pozwoli, abym ją w czem wyręczyła — uprzejmie do pani domu przemówiła guwernantka. — Ludka porządkuje swoje książki i nie potrzebuje mię jeszcze w tej chwili...

Pani Adela spojrzała na mówiącą podejrzliwie nieco i wymówiła sucho:

— Dziękuję!

Michalina odeszła. Dwie rezydentki ruszyły się z miejsc swych jednocześnie, jakby sprężyną poruszone, i zbliżyły się, każda z innej strony, do pani domu.

— Poco *ona*, proszę pani, wtrąca się w to, co do niej nie należy? — trzepać zaczęła panna Antonina. — Zapewne, zapewne! chciałaby wziąć klucze w swoje łapki, żeby braciszkowi i jego dzieciom przysmaczków dostarczać! W nocy, słyszę, do braciszka chodziła.

— Chodziła? — z zajęciem szczególnem zapytała pani domu.

— A chodziła... zmowy jakieś, konszachty...

— Co do mnie — ozwała się z powagą pani Eustachia — nie mam zwyczaju robić tak nizkich przypuszczeń, jak pewne osoby, które są bardzo nabożne, ale rade każdemu łatkę przypiąć. Przez przyjaźń tylko dla domu, w którym przebywam, powiedzieć muszę, że ta panna guwernantka będzie bardzo, bardzo kosztowną...

— Dlaczego ma być kosztowną? — z niespokojnością zapytała pani domu.

Ale pani Eustachia miała tajemniczą minę prorokini, nie życzącej sobie wcale odkrywać przed ludźmi źródeł, z których przepowiednie swe czerpie. Wzniosła oczy i wskazujący palec w górę, westchnęła i powtórzyła:

— Już ja pani to tylko mówię, że ta panna guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!...

W godzinę potem Michalina siedziała w swoim pokoju przy stole, otoczona czworgiem dzieci.

Ludka i Józio usadowili się po obu stronach nowej swej guwernantki, Elżusia i Staś u jej kolan na stołeczkach. Pomiędzy dziećmi a nową guwernantką zdawała się panować zgoda najzupełniejsza i dobra już znajomość. Michalina postępowaniem swem okazywała niemałą biegłość w zawodzie nauczycielskim. To też Józio nawet, ów wisus nieposkromiony, wedle zdania jego matki, pisał i czytał z ochotą.

Ludka, ucząc się zcicha zadanej sobie lekcyi, zarzuciła na szyję guwernantki drobne swe ramię; Staś i Elżusia powtarzali francuskie wyrazy, z główkami opartemi o jej kolana i uśmiechniętemi oczkami, utkwionemi w twarz guwernantki.

Po ogrodzie tymczasem przechadzał się pan Fabian po ścieżkach wężykowatych, z książką, której jednak nie czytał. Były to poezye wielkiego wieszcza jakiegoś; ale mąż pani Adeli sam w tej chwili układał w myśli wiersz pod tytułem: »*do czarnej Lilii*«. Kiedy niekiedy zrywał kwiaty i wiązał z nich ogromny, bardzo piękny bukiet.

Trwało to dobrą godzinę, poczem pan Fabian znikł z ogrodu i przesiedział zamknięty w gabinecie swym do godziny pierwszej po południu. W porze tej wyszedł na ganek z małą różową kopertą w jednej ręce, a ogromnym bukietem w drugiej, i zawołał przechodzącego właśnie przez dziedziniec stajennego wyrostka.

— Siądź na konia — rzekł, oddając wyrostkowi liścik i bukiet — i jedź do Orchowa. Tam pójdziesz do domu, w którym państwo sami mieszkają... rozumiesz? poproś, żeby wyszła do ciebie panna Lila Orchowska i oddasz jej ten list i ten bukiet.

Kwadrans jeszcze nie upłynął, gdy stajenny chłopak opuszczał konno Łozową z różową kopertą w kieszeni świtki i pięknym bukietem w ręce. Różowa koperta zawierała wiersz zatytułowany: »Do czarnej Lilii«, zaczynający się temi słowy:

»Jak jutrzenka różowa w poranku świetlistym,
Tak oczy twe jaśnieją ogniem cudnym, czystym;
Jako wysmukła lilia, w niebo zapatrzona,
Tak postać twa dziewicza czarem obleczona.
Gdy bieg życia wspaniałe wdzięki twe rozwije,
Królową serc okrzykniem dziewicę Lilię«.

Strof podobnych było sześć. Pan Fabian opiewał w nich na różne tony młodzieńcze wdzięki Lili i przepowiadał im najświetniejszą przyszłość. Była to pierwsza ofiara, po owym już panu Jarosławie, zapalona na ołtarzu piękności młodej dziewczyny przez człowieka, który miał na głowie ogromną łysinę, a w domu »żonę ze złotem sercem i siedm aniołków«. Mniejsza jednak o to! był to zawsze hołd, było to pierwsze słowo uwielbienia, które zawrócić miało marzącą główkę Lili.

Michalina kończyła już lekcye swe z dziećmi, gdy po domu całym rozległy się wykrzyki: »ktoś jedzie! goście! goście!«

Michalina spojrzała w okno i szkarłatny rumieniec na twarz jej wytrysnął. Przed gankiem, z bryczki małej, we dwa konie zaprzężonej, wyskoczył Mieczysław Orchowski.

Ręka młodej guwernantki, trzymająca pióro nad zeszytem, drżała chwilę, w ustach jej urwało się w połowie wyrazu opowiadanie o dalekich morzach i pływających po nich okrętach, którego dzieci słuchały z nadzwyczajną uwagą. Po krótkiej jednak chwili, zaczęła znowu opowiadać i poprawiać ortograficzne błędy w pisaniu Ludki.

W salonie pan Fabian bawił młodego gościa, pokazując mu liczne albumy, bardzo w istocie smakowne i zajmujące, pełne przeróżnych rysunków, fotografii i poezyi. Mieczysław oglądał albumy, lecz oczy jego co chwila zwracały się w stronę drzwi, hermetycznie zamykających głębie mieszkania.

— Niech pan będzie łaskaw nie obraża się, — rzekł, spo-

strzegłszy się, pan Fabian — że żona moja nie pojawiła się dotąd... Ona taka zajęta domem i naszymi aniołkami!

Mieczysław skłonił się i wymówił kilka słów uprzejmych; ale Bóg tylko widział, jak niepodobnego wcale do pani Adeli zjawiska oczekiwał od tych zamkniętych drzwi, na które, pomimo przemówienia pana Fabiana, nie przestawał rzucać częstych spojrzeń. Na twarzy jego coraz żywsza zjawiała się niecierpliwość, gdy nakoniec weszła pani Adela, a Grześ, ubrany w nowy surdut, oznajmił podany obiad.

Wtedy dopiero z głębi domu doszły do salonu dźwięki dziecięcych chóralnych głosów, a we drzwiach, otoczona małem gronkiem, czepiającem się rąk jej i kibici, ukazała się młoda dziewczyna, w ciemnej wełnianej sukni, z bladą twarzą, okoloną bogactwem ciemnych warkoczy.

Oczy Mieczysława strzeliły takiem uczuciem, jakiego doświadcza człowiek w chwili spełnienia się gorących jego życzeń. Pragnął ją widzieć... przyjechał tu dlatego tylko, aby ją widzieć! Mówiły to oczy jego, uśmiech uspokojenia, który przesunął się po jego ustach, i lekki rumieniec, który zabarwił mu czoło. Powiedziało to zresztą wzruszenie żywe, z jakiem spotkał idącą zwolna wśród dzieci guwernantkę, z szacunkiem głębokim podając jej rękę.

— Tak pragnąłem zobaczyć, jak się tu pani zainstalowała.. — rzekł, i nie dokończył.

Oczy jego spotkały się ze wzrokiem młodej dziewczyny, wzruszonym, głębokim, a dłoń, nieposłuszna woli, zamknęła się silnie wkoło drobnej jej ręki.

— Czy pani widzi? — zatrzepała panna Antonina, na ucho pani domu — wszak to oni romansują z sobą na dobre... *Ona* może stamtąd dlatego i wyleciała tak prędko! Święty Boże! Święty mocny!

— Już ja pani to tylko mówię — cedziła zcicha z innej strony pani Eustachia — że ta guwernantka wiele, wiele kosztować państwa będzie!...

VIII.

Jak jasna gwiazda na horyzoncie, tak wśród szerokiej okolicy nadniemeńskiej błyszczał białym pałacykiem swym dwór ręczyński. Pałacyk zbudowany był z woli pani Malwiny, która, późno bardzo wyszedłszy za mąż, wprędce owdowiała i własną

się wolą w świecie rządziła; miał on trzy piętra, kilka wieżyczek, cztery wysokie balkony i mnóstwo krętych schodów. Jaki to był styl architektoniczny, nie rozpoznałby żaden z najznakomitszych mistrzów budownictwa; pani Malwina jednak była z niego zupełnie zadowolona i, odkąd pałacyk zbudowanym został, nie mówiła inaczej do znajomych swych, jak: »przyjechałam do swego pałacu«, »stałam na balkonie swego pałacu« i t. p.

Miejsce, w którem wznosił się ów pałac, było piękne i malownicze. U stóp dość wysokiego wzgórza, pokrytego sadami i ogrodami, naprzeciw okien pałacyku płynął Niemen, a za nim rozciągał się widok szeroki na pola, wioski, okoliczne dwory i miasteczka. Wokół wielkiego dziedzińca stały gospodarskie budowle obszerne, murowane z kamienia i dlatego może dość świeżo jeszcze i silnie wyglądające. Ocieniały je dwa rzędy starych drzew kasztanowych, za niemi zaś znajdował się kawał łąki, w wielki krąg ujętej nizkiem ogrodzeniem.

Dzień był październikowy, pogodny, godzina południowa, gdy w owym kręgu łąki, twardej i równej, Konrad Ręczyc przypatrywał się bieganiu na linie ulubionych swych koni. W środku objętej ogrodzeniem przestrzeni stał masztalerz, trzymając powróz, na którym uwiązany piękny koń czystej krwi angielskiej, z grzywą i ogonem na wiatr puszczonemi, zakreślał ogromne koła. Konrad, w palonych butach i kraciastym spencerze, przypominającym krojem swym ubranie dżokejów, stał, oparty plecami o ogrodzenie i, z uśmiechem zadowolenia na ustach, ścigał wzrokiem bieg konia; ile razy zaś ten w pędzie swym zbliżał się do niego, rozwijał trzymany w ręku bicz kilkołokciowej długości, który przerzynał powietrze z przeciągłym gwizdem i wydawał w końcu klaśnięcie głośne, konia do zdwojenia szybkości biegu pobudzające.

Niedaleko miejsca tego, szerokie wrota jednej z murowanych budowli na oścież były otwarte, a wkoło nich uwijało się gorliwie pięciu stajennych ludzi, wyprowadzając ze stajni konie różnej wielkości i maści, które zmieniały się, przybywały, odchodziły, aż nakoniec skończyło się bieganie i rozpoczęło ujeżdżanie młodych koni, lub przejeżdżanie starszych, już wyćwiczonych, którą-to czynnością zajmowali się sam pan, masztalerz i dwóch stajennych.

Konrad, zbliżywszy się podczas jazdy ku dziedzińcowi, zobaczył zakręcający na dziedziniec jednokonny wózek, a na nim siedzących dwóch Izraelitów.

— Jacy to Żydzi? — zapytał masztalerza.

Masztalerz przymrużył oczy dla lepszego widzenia i odparł:

— Zdaje się, że to dzierżawcy Orchowa: Eli Makower i Efroim Lejbowicz.

Konrad zasępił się nagle. Miał snadź powody obawiać się izraelskich gości, a choć z dwoma przybywającymi nie łączyły go dotąd żadne interesa, to jednak, gdzie Żyd się ukaże, tam zawsze dopominanie się o dług jest prawdopodobne... choć także i zaciągnięcie pożyczki możebne...

Ostatnia ta myśl uspokoiła snadź nieco syna pani Malwiny, bo, raźnie zeskoczywszy z konia, a bicz zamieniwszy na szpicrutę ze złoconą gałką, przeskoczył ogrodzenie ujeżdżalni i szybkim krokiem zmierzał ku pałacowi.

Wózek tymczasem pokornie zatrzymał się na uboczu, w pobliżu bramy, a przybyli nim Izraelici, jeden z małym rudawym zarostem, drugi z wielką, czarną jak smoła, brodą, porozmawiawszy z sobą pocichu, zaczęli iść w takim kierunku, aby w połowie dziedzińca spotkać się z panem domu.

Konrad szedł szeroką, żwirowaną drogą, zamaszystym krokiem, wywijał szpicrutą i pogwizdywał zlekka. Żydzi posuwali się wązką ścieżyną, wśród murawy dziedzińca wydeptaną, stąpali powoli i cicho, jakby obawiając się przejściem swem szkodę jaką wyrządzić. Eli przodował: trzymał się prosto i z powagą, rękę do rudej bródki podnosząc; Efroim, przygarbiony, z pod brwi strzępiastych badawcze dokoła rzucając spojrzenia, ręce zatapiał w kieszeniach chałata.

— Dzień dobry jasnemu panu! — pozdrowił Eli, gdy kilka już tylko kroków dzieliło go od Konrada.

Efroim nie rzekł nic, ale ukłonił się daleko niżej od Elego. Wysoka postać jego, barczysta i przygarbiona, nabierała w ukłonie elastyczności szczególnej.

— Dzień dobry! dzień dobry! a skąd to? — odparł, zatrzymując się, Konrad.

— My posesory z Orchowa...

— Wiem, wiem!... A co panowie powiecie?

— My do jasnego pana z interesem.

Odpowiedzi tych udzielał Eli. Efroim ust nie otwierał, a tylko oczy jego czarne tonęły coraz głębiej w twarzy dziedzica Ręczyna.

— Jakiż to interes? — zapytał Konrad, z trochą niespokojności w głosie.

— To jest taki interes, którego trzema słowami opowie-

dzieć nie można. My chcieliby z jasnym panem na osobności pogadać...

— Dobrze, proszę do pokoju!

Zmierzali wszyscy trzej ku pałacowi. Gospodarz domu szedł przodem, Żydzi postępowali z tyłu, milcząc i rozglądając się dokoła.

— Jasny pan coś buduje? — przerwał milczenie Eli, i wskazał na budowę obszerną, napół już z drzewa wzniesioną, około której dokończenia krzątali się ludzie, zgrzytały piły, stukały topory.

Konrad spojrzał na punkt wskazany.

— A tak, — rzekł — to będzie stajnia.

— Piękna będzie stajnia! — zauważył Eli.

Efroim skośne spojrzenie rzucił na jedną stajnię murowaną i końmi napełnioną, na drugą budującą się i na ich właściciela, i szybki, jak błyskawica, kręty uśmiech przewinął mu się po ustach.

Z obszernej sieni, która byłaby ładna, gdyby nie szpeciły jej posążki i lusterka najgorszego smaku, pan domu i dwaj przybyli weszli do sali jadalnej, błyszczącej od złoconych obić, woskowanych posadzek i politurowanych mebli. Tu Konrad zatrzymał się, usiadł na jednem z krzeseł, dwa inne zaś, w bliskości drzwi stojące, izraelskim gościom swym wskazał.

— Siadajcie, panowie — rzekł. — Jakiż tam interes?

Żydzi usiedli, a Eli pierwszy głos zabrał:

— Prawdę mówiąc, ja tu nie miał potrzeby przyjeżdżać sam; to nie mój interes, tylko mego szwagra i spólnika, Efroima Lejbowicza.

Mówił to powoli, z uśmiechem i, nie odwracając głowy, wskazał ręką umieszczonego za plecami swemi towarzysza.

— *Un* chciałby u jasnego pana majątek w arendę wziąć... Czy jasny pan *puści* jemu Ręczyn w arendę?

— Jakże ja mogę — odparł — mówić z wami o dzierżawie Ręczyna, kiedy kontrakt Josiela skończy się ledwie za rok?...

Eli głową przytwierdzająco kiwał.

— Nu — rzekł — albo my o *tego* nie wiemy? A jeżeli Josiel ustąpi nam ten rok?... Jasnemu panu wszystko jedno, byle *un* do jasnego pana pretensyi żadnej nie miał.

— Jakto? chcecie wziąć Ręczyn na rok jeden?

— Na rok? — powtórzył Eli — kto to arenduje majątki na rok? Jeżeli między jasnym panem i Efroimem stanie zgoda, to

un u jasnego pana Ręczyna inaczej nie weźmie, jak na dziewięć lat... nu, niech na sześć...

— Na sześć! na dziewięć! — zawołał Konrad żywo, powstając z krzesła. — Ho, ho! jak to wam łatwo powiedzieć! Trzebaby chyba waryatem być, żeby na tak długi czas majątek w wasze ręce oddawać. Josiel trzy lata dopiero w Ręczynie gospodaruje, a co on już z tym majątkiem zrobił! Ziemię mi niszczy... budowli nie naprawia... łąk nie czyści... Na dziewięć lat! Jak Boga kocham, to śmieszna nawet propozycya. Na ten jeszcze rok bierzcie sobie Ręczyn od Josiela, to już nie moja rzecz; ale później nie wydzierżawię... jak Boga kocham, nie wydzierżawię! Będę sam gospodarował i pokażę wam wszystkim, co to Ręczyn, i czy ja tyle będę z niego miał, ile mi Josiel płaci.

Mówiąc to, szerokimi krokami przebiegał salę, rozmachywał rękoma, a głos i wyraz jego twarzy świadczył o silnem postanowieniu utrzymania się przy wypowiedzianych zamiarach.

Żydzi milczeli; Eli z zamyśleniem patrzał w ziemię, a Efroim, z postacią naprzód podaną i otwartemi nieco usty, ścigał pilnie wzrokiem każde poruszenie pana domu.

Eli pierwszy znowu przerwał milczenie.

— Przepraszam jasnego pana, że ja ośmielę się jeszcze dwa słowa tylko w tym interesie powiedzieć. Ale, jak to mówią: kupić, nie kupić, potargować wolno... co to szkodzi? Otóż ja jasnemu panu to tylko chciałbym powiedzieć, że Efroim nie taki gospodarz, jak Josiel... Josiel dobry człowiek, ale biedny; u niego z pieniędzmi kuso, i dlatego *un* rzuca się, jak ryba w wodzie, a gospodarstwo może i nie tak idzie, jak trzeba. Efroim, dziękować Bogu, ma za co gospodarstwo prowadzić... *un* jasnemu panu zaraz sto pięćdziesiąt sztuk bydła do majątku wprowadzi, a arendę może choćby i za dwa lata z góry jasnemu panu zapłacić...

Początku mowy Żyda Konrad słuchał z widoczną niecierpliwością, nie przerywając przechadzki swej po sali i uśmiechając się z lekceważeniem; końcowe przecież mowy tej wyrazy wywarły na niego wpływ widoczny. Stanął, ręce w tył założył, i pochylony ku Żydom, powtórzył:

— Za dwa lata z góry? No, no, każdy z was tak mówi, gdy chce interes zrobić; ale jak przyjdzie co do czego, zaczyna się jęczenie, narzekanie...

— Nu — przerwał Eli — na co tu jęczenie? kiedy jasny pan chce, to my jasnemu panu zaraz zadatek dać gotowi... Ile jasny pan żąda?

Konrad, z pochyloną głową i rękoma w tył założonemi, puścił się na zamaszystą swą po sali przechadzkę. Żydzi milczeli, jak wprzódy.

— Nie! — rzekł po chwili pan domu, stając i jakby wewnętrzną jakąś chwilową walkę stanowczo rozstrzygając — nic z tego nie będzie, moi kochani. Mnie majątku szkoda... sam gospodarzyć będę. Wy nigdy nie możecie mi dać tego, co ja z Ręczyna mieć muszę. Do zobaczenia!

Skinął głową na znak pożegnania i miał już odejść w głąb domu, gdy milczący dotąd Efroim powstał z krzesła, jak sprężyną ruszony, i rzekł:

— Za pozwoleniem jasnego pana, ja jeszcze tylko słówko powiem. Jasny pan zgodzi się, czy nie zgodzi... wola jasnego pana, ale ja powiem... Ja tu już zadatek przywiózł ze sobą. Kontrakt napiszemy później... My jasnemu panu wierzymy i wiemy, że jasny pan nie będzie chciał tego, co nie może być... Ja te same warunki przyjmę, co Josiel, a *pieniądzów* dam więcej... Tymczasem ja zadatek przywiózł... dwa tysiące *rublów*. Jeżeli jasny pan żąda, to ja te dwa tysiące gotówką zapłacę; a jeżeli jasny pan chce dla mnie bardzo już wielką łaskę zrobić, to weźmie tylko tysiąc dwieście, a za ośmset ja jasnemu panu czterech *koniów* dam... ale takich koniów... karetnych... ja ich u księcia R. za dług wziął, i teraz nie wiem, co z nimi robić...

— Któreż to konie księcia? — przerwał Konrad — te, którymi on sam jeździł, czy może te, co zawsze do kocza zaprzęgali, kiedy księżniczki jechać miały?

— *Un* nimi nie jeździł wcale, i do kocza ich jeszcze nie zaprzęgali, bo to konie młode, ze stadniny.

— Ze stadniny księcia? — zawołał Konrad — a to, jak Boga kocham, osobliwość! Czy nie po Turczynce, co to na wyścigi do Warszawy chodziła?

— Po Turczynce — odpowiedział Efroim, przytwierdzająco głową kiwając — i po *tego ogiera*, co to jego książę skądciś sprowadził.

— Po Białonogim! — zawołał Konrad. — Ależ to, jak Boga kocham, rzecz dziwna, że książę je tobie oddał! One u ciebie zmarnieją. Czy nie nakrywasz ich na noc derkami?

Dobył cygarnicy ozdobnej z kieszeni surduta i, wyjąwszy z niej dwa papierosy, jeden zapalił sam, drugi podał Efroimowi. Efroim wziął papieros, nie zapalił go jednak, lecz, mówiąc pośpiesznie: »dziękuję jasnemu panu!« oddał Konradowi zwykły swój, nizki, elastyczny ukłon.

— Siadaj, siadaj, panie Efroim! — rzekł pan domu, którego twarz wyrażała w tej chwili wielką uprzejmość i jak najlepszy humor. — Gdzież u ciebie stoją te konie? czy w Orchowie? Ale tam stajni bodaj porządnej niema. Trzebaby im podściółki z cienkiej słomy, bo jeżeli one po Białonogim i Turczynce, to muszą być delikatne w lędźwiach i miękkie w kopytach...

Nagle, jakby przypomniał sobie coś, wyjął z cygarnicy trzeci papieros i zwrócił się z nim ku miejscu, na którem poprzednio siedział Eli. Ale Elego w sali już nie było. Zaraz przy pierwszych słowach Efroima o zadatku, mającym być w części uiszczonym w postaci koni, zamienił on ze spólnikiem swym szybkie spojrzenie i powoli, na palcach, najmniejszego nie czyniąc szelestu, wysunął się z sali przez drzwi najbliższe.

Niedarmo Eli przez lata długie był naprzód faktorem, potem kupcem, handlującym zbożem i drzewem. Znał on okoliczne dwory szlacheckie, jak własne swe mieszkanie; wiedział, gdzie w nich położone są pokoje panów i apartamenty pań, w której stronie domu znaleźć można służbę męską lub żeńską.

Opuścił sień pałacową, wyszedł na dziedziniec krętymi schodami i dostał się na jeden z czterech bocznych balkonów. Tu znalazł drzwi napół oszklone, które otworzył zwolna i bez łoskotu, a przestąpiwszy próg, stanął w dużym, widnym pokoju, napełnionym od sufitu do podłogi szafami i komodami. Była to garderoba, a w niej dwie panny-służące, siedząc u okien, haftowały, trzy inne prasowały muśliny, żagnoty i koronki, szósta zaś, najniżej snadź w hierarchii garderobianej położona, w spódnicy brudnej i zgrzebnej koszuli, stała przed ogniem, wyjmując z niego rozpalone do czerwoności dusze, i podawała je prasującym. Prócz tej ostatniej dziewczyny, służące pałacowe w Ręczynie były prawdziwemi *pannami*, ładnemi, zręcznemi, gustownie i fertycznie ustrojonemi.

Eli zatrzymał się przy progu, powiódł oczyma po licznem gronie niewieściem i z uśmiechem wymówił:

— Dzień dobry panienkom!

Panny haftujące podniosłe na niego oczy.

— Ach, pan Eli! — wyrzekła jedna z nich uprzejmie — skądże to Pan Bóg prowadzi?

— Kto to panu Elemu pozwolił tu wchodzić? tu mężczyznom wstęp wzbroniony! — pogroziła druga.

— Może pan Eli cukierków nam przywiózł, tak jak trzy lata temu, kiedy to u pani zboże kupował...

— Pan Eli przyrzekł wtedy, że wystara się dla nas o kawalerów. Gdzież ci kawalerowie?

Szczebiotałyby dłużej jeszcze, rade, że obca twarz jakaś przerwała haremową monotonność ich życia; lecz Eli, który od początku rozmowy postąpił w głąb pokoju i stanął przed ogniem, wygodnie o komodę oparty, zawołał:

— Ny, ny! jak panny będą tak gadać ciągle, to ja do końca świata nie będę mógł nic powiedzieć. Niech panny trochę pomilczą, to ja na *wszystkiego* odpowiem. Cukierków ja nie przywiózł, bo niema jeszcze za co. Jak będzie za co, to ja przywiozę. A jaka przyczyna mnie tu przyprowadziła? Nu, jaka ona może być? tylko ta, że chciałbym widzieć się z jasną panią.

— Pani jeszcze nie ubrana — rzekła jedna z panien haftujących.

— A na co mnie ubranie jasnej pani? niech ona sobie będzie nieubrana, żeby ja tylko mógł z nią pogadać.

— Czy pan Eli ma jaki interes?

— Kiedy ja tu przyjechał, to z interesem. Ja na spacer nie jeżdżę.

Żyd stał przed kominem, poły odświętnego snadź, bo czystego, połyskującego chałata rozgarnął, i kolana sobie przed ogniem wygrzewał. Jedna z panien zaszeleściła suknią i z garderoby wybiegła do pani. Po chwili wróciła.

— Niech pan Eli idzie — rzekła. — Czy pokazać drogę?

— Na co ją pokazywać? — rzekł Żyd, od komina odstępując — nie raz ja tu już był i nie dziesięć razy.

Pani Malwina, w białym negliżu, obficie przystrojonym w hafty i różowe kokardy, siedziała na małej kanapce, umieszczonej w saloniku, któryby na pierwszy rzut oka wziąć można było za magazyn drobiazgów, tyle tam znajdowało się sprzętów i sprzęcików najrozmaitszego rodzaju: poduszek w przeróżny sposób wyszywanych, taborecików z włóczkowymi kotkami i pieskami, ekranów z pasterzami i rybakami, obrazków, sztychów, zwierciadeł i zwierciadełek na ścianach, flakonów, dzwonków, posążków z gipsu, z porcelany, ze szkła, na stołach i stoliczkach. Samych lamp było tam ze sześć, a na każdej z nich wisiało po parze ażurowych przykryć.

Wszystko to razem tworzyło całość bardzo niełądną, bardzo niegustowną, przedstawiającą sumę wartości, tak estetycznej, jak materyalnej, żadną prawie, sumę zaś kosztów, na zgromadzenie szczegółów i szczególików tych poniesionych, ogromną. Przez drzwi, napół tylko zamknięte od sąsiedniego pokoju, sły-

chać było rozmawiające z ożywieniem po francusku głosy kobiece, w pobliżu zaś drugich drzwi, niedalej jak o parę kroków od nich, stał Eli, z rękoma w tył założonemi, i słuchał bardzo uważnie szczebiotania pani domu.

Zaraz po przywitaniu, zapytał ją o zdrowie.

— Ach, mój Elku kochany! (pani Malwina, po dawnej znajomości, używała w rozmowie z nim zdrobniałej formy imienia), remarkuj tylko sobie, jakie to może być zdrowie, kiedy się siedzi na wsi, jak na pustyni! Migrenę miewam codzień prawie... a co wieczór tak mnie dusi poziewanie nerwowe, że nie mogę sobie miejsca znaleźć w całym pałacu... Wczoraj szczególniej dostałam takiego ataku, że... remarkuj sobie, o ósmej godzinie położyłam się do łóżka... Jakie tam może być zdrowie, Elku kochany, na pustyni...

Mówiła to wszystko z wielkim zapałem, przerywając sobie śmiechem i westchnieniami i giestykulując żywo pulchnemi rączkami, w których trzymała kłębuszek jakiś z cieniutką bawełną i srebrne widełki, przeznaczone widać do robienia szlareczki, czy koroneczki.

— Przepraszam jasną panią — zaczął Żyd powoli i z przyjemnym na ustach uśmiechem — ale ja muszę pani powiedzieć, że kiedy jasna pani choruje i tego poziewania dostaje, to jasna pani sama temu winna... Dlaczego jasna pani nie szanuje się?...

Pani Malwina szeroko od zdziwienia oczy otworzyła.

— Ależ ja szanuję się, mój Elku, szanuję się tak, że już więcej nie można! Figuruj sobie, że od miesiąca krokiem nie ruszyłam się z pałacu... chyba karetą... Codzień na noc biorę krople laurowe... piję oranżadę i nic nie jem, prócz piersi od jarząbka i konfitur.

— Nu, — rzekł Eli — czy to jasna pani tak szanować się powinna? Te krople, o których jasna pani mówi, i te jarząbki dobre, ale jasnej pani czego innego potrzeba... Jasnej pani do Paryża trzeba na mieszkanie wyjechać, to tam zaraz i doktory dobre, i weselej, i poziewanie-by ustało..

— Ach, mój Elku! — krzyknęła pani Malwina, podskakując na kanapie i wypuszczając z rąk kłębuszek — co też ty mówisz! co też ty sobie imaginujesz! Ja do Paryża na mieszkanie?... Wy o paryskich bulwarach i wyobrażenia nie macie!.. Co wieczór tak tam jasno, że szpilki można zbierać po ulicy. Ale czy to teraz takie czasy, mój Elku, żeby do Paryża na mieszkanie jechać?... Ja Koniowi codzień prawie mówię: Jedź do Paryża! słyszane to rzeczy, aby młody człowiek *comme il faut* Paryża

nie widział? Ale on wybiera się, wybiera, a potem... bęc! coś na niego spadnie, i znowu jechać nie może.

— Nu, — przerwał Eli — a co takiego na jasnego panicza spada?

— A cóż, jeśli nie kłopoty, mój Elku. Czasy ciężkie! Konrad ma taką pasyę do tych koni!... ot i teraz stajnię dla nich buduje... czy myślisz, że to mało kosztuje? Jak tu przy tem wszystkiem o Paryżu jeszcze myśleć?

— Nu, to niech jasna pani choć do N. wyjedzie.

— Do N.? Ależ figuruj sobie, moja duszo, ile to ekspensów pociągnie. Trzeba mieszkanie nająć, stosowne naturalnie meble z Warszawy sprowadzić, a i toaleta zaraz inna.

— Co to jasnej pani o to biedować? Już ja jasnej pani mówię, żeby ten interes tylko zrobić, co ja radzę...

Pani Malwina obie ręce do uszu podniosła.

— Elku! — zawołała żałośnie — nie mów mi nic o interesach; ja do nich nigdy żadnej inklinacyi nie miałam!... Oj, poziewanie!

— Nu, — rzekł Eli z uśmiechem — ja tylko kilka słów powiem... Tu jest jeden Żydek, mój szwagier, co chce od jasnego pana Konrada Ręczyn w arendę wziąć... *Un* każdego roku wyprawia zboże do Królewca i sam jeździ...

— Do Królewca jeździ? co rok? — z nagłem zainteresowaniem się zawołała pani Malwina.

— Każdego roku zboże do Królewca posyła, a czasem to i sam jeździ. Jakby *un* Ręczyn w arendę *wziuł*, to *un* jasnej pani mógłby zawsze wszystkiego z Królewca przywozić.

— A w tym roku pojedzie?

— Dlaczego nie ma jechać?

— A, mój Elku kochany! jaki ty dobry jesteś, że mi o tem powiedziałeś! Tyle mi rzeczy potrzeba! Jak twój szwagier będzie się wybierał, to ci dam regestrzyk... zobligujesz mnie mocno... A kiedy on pojedzie?

— *Un* zawsze na wiosnę jedzie.

Rozradowana twarz pani Malwiny zasępiła się trochę.

— Na wiosnę? — powtórzyła z lekkiem westchnieniem. — Widzisz-bo, mój Elku... na wiosnę jakoś najtrudniej... remarkuj sobie, rzecz śmieszna... Dawniej przednówki u chłopów bywały, a teraz bywają i u nas... Żeby tak twój szwagier zrobił to dla mnie i pojechał w jesieni...

— *Un* w jesieni jechać nie może, ale jeżeli *un* Ręczyn w arendę weźmie, to da teraz *dwa tysiące* zadatku, i jasna

pani pojedzie na zimę do N., a na wiosnę *un* arendę za dwa lata zapłaci, to przednówka nie będzie. Trzeba tylko, żeby *un* Ręczyn w arendę *wziuł*.

— To niech bierze, duszo moja! — zawołała pani Malwina — niech bierze!

— A jak *un* ma wziąć, kiedy jasny pan Konrad *puścić* nie chce?

— Konio nie chce? Dlaczego nie chce?... Co rok do Królewca jeździ!... mogłabym wyjechać do N. na mieszkanie, meble z Warszawy sprowadzić... figuruj sobie, że teraz najmodniejsze niepoliturowane...

— Jasny pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce — zcicha, do przedmiotu rozmowy szczebioczącą kobietę zwrócił Eli.

— Dlaczego nie chce? on chyba tak sobie kaprysi... Ach, mój Elku! do N. na zimę! Niech tobie Pan Bóg wynagrodzi!

— Jasny pan Konio Ręczyna *puścić* nie chce — powtórzył Żyd.

Pani Malwina poskoczyła z kanapki.

— Jakto nie chce? dlaczego nie chce? Oj, poziewanie moje, poziewanie!

— Niech jasna pani z jasnym panem Koniem pogada.

— Idę, idę, mój Elku! pomówię z Koniem. A nie widziałeś czasem, gdzie on jest?

— *Un* tam w sali z moim szwagrem rozmawia.

— Idę, idę, i muszę zobligować go, żeby to zrobił. Parę koni trzymać będę w N... Kabryolet od Rentla... Dwie sztuki weby... aksamit dla Róży... batyst królewiecki...

Ostatnie wyrazy mówiła już za drzwiami sąsiedniego pokoju.

Eli tymczasem, opuściwszy apartament pani domu, spotkał się u stóp krętych wschodków z idącym naprzeciw niemu Efroimem. Żydzi spojrzeli na siebie, i błyskawiczne uśmiechy przeleciały im po ustach. Wnet jednak stali się poważnymi bardzo i, zwolna krocząc wązką ścieżyną ku folwarcznym zabudowaniom, zamieniali zcicha tylko wymawiane słowa.

— No cóż?... — zapytał Eli.

— A cóż? — odpowiedział Efroim — powiedział, że pomyśli i z matką pogada... Kazał poczekać u Josiela. A ona?

— Ona? poszła pogadać z synem... Skąd tobie, Efroim, przyszły na myśl te konie?

— A skąd tobie przyszło na myśl *do niej* iść?

Eli skinął głową.

— Nu, — rzekł — już ja *ją* dobrze znam, a ty *jego* pierwszy raz dziś widział.

Efroim ukazał znowu w szybkim uśmiechu białe zęby.

— Ja dziś z *nim* pierwszy raz gadał, ale ja *na niego* dawno już patrzę, a dziś, jak zblizka popatrzyłem... no...

Przerwał sobie i po chwili dodał:

— Na nich trzeba tylko dobrze popatrzeć, a potem, to już tylko...

Uczynił taki ruch palcami, jakby miał pochwycić coś w powietrzu, i umilkł.

Eli pokiwał głową.

— Głupie ludzie! — rzekł.

— A jakie pyszne! aj, aj! — z ironią dodał Efroim.

— A czemu *oni* nie mają być pyszne? *hörste* — wymówił Eli i, zatrzymując się nagle, dodał: — *Sieh!*

Z ostatnim wyrazem rękę przed siebie wyciągnął i wielki krąg w powietrzu nią zakreślił, jakby wskazując liczne, otaczające przedmioty.

Z miejsca, na którem stali dwaj Żydzi, można było ogarnąć cały dwór ręczyński i znaczną część otaczającej go przestrzeni.

Nad dachami pięknych, murowanych budowli zwieszały się gałęzie rozłożystych kasztanów; pałacyk, w lekkich i wdzięcznych, jakkolwiek dla oka znawcy niepoprawnych zarysach, wznosił się na tle nieba błękitnego i złocistej teraz, ogrodowej gęstwiny; za sztachetami biegły pola równe, szerokie, pasami łąk i lasów poprzerzynane; na folwarcznym dziedzińcu ryczało bydło, a z za ogrodu dolatywał poważny szum Niemna.

Dwaj Żydzi wodzili dokoła wzrokiem, w którym zapalały się coraz liczniejsze, coraz żywsze i migotliwsze światła.

— Aj, aj! — westchnął Eli — żeby to ja miał to wszystko, czy jaby tak z rąk wypuszczał, jak ten głupi?

Pięści Efroima ściskały się powoli i silnie.

— Głupi ty sam, Eli! — wyrzekł przez zaciśnięte zęby. — A czy ty kiedy widział, żeby Żyd miał takie dwory i takie ziemie? Żydzi tego nigdy nie mieli, im tego nie wolno mieć...

— Niech biorą to, co im wolno — uśmiechnął się Eli, wracając do zwykłego sobie spokoju.

Z ostatniemi słowy, przekroczył próg folwarcznej oficyny, a za nim postąpił Efroim.

Nie upłynęło pół godziny, gdy chłopak kredensowy przybiegł z pałacu.

— Panie Josiel! — zawołał — pan prosi pana Josiela i tych kupców, co tu dziś przyjechali.

Trzej Izraelici znaleźli pana domu, przechadzającego się po sali jadalnej i bardzo zamyślonego.

— Siadajcie panowie — rzekł Konrad na widok wchodzących. — Namyśliłem się... pomówiłem z moją matką... Bierzcie już Ręczyn, czy co... ale ja na dłużej nie oddam, jak na trzy lata.

— Przepraszam jasnego pana — wtrącił Efroim, ze zwykłym sobie, nizkim, szybkim ukłonem — ja na trzy lata nie wezmę...

— No, to ruszaj sobie, mój kochany, z Panem Bogiem. Ja na dłużej nie zaprzedam Ręczyna. Jak Boga kocham, nie zaprzedam! Cóż to? czy ja całe życie mam tylko patrzeć, jak wy mi tu gospodarować będziecie pod nosem? A jaż to sam kto jestem?

— Jasny pan jest jasnym panem — wtrącił z nowym ukłonem Efroim. — Co to jasnemu panu szkodzi, że my będziemy pracowali, a jasny pan będzie tylko od nas brał gotowych pieniądzów?

— Dziękuję! — zawołał Konrad. — Zniszczycie mi majątek. Czy to ja waszego gospodarowania nie znam? Chcecie, to bierzcie na trzy lata; na dłużej, jak Boga kocham, nie oddam.

Mówił to z pewnem wzburzeniem i wyrazem silnego postanowienia na twarzy. Eli zwrócił się ku spólnikowi i spojrzał na niego znacząco. Efroim sięgnął do kieszeni chałata, i wyjąwszy z niej sporą paczkę asygnat, podał je Elemu, który z pieniędzmi w ręku zbliżył się do stołu.

— Nu, — rzekł z uśmiechem — niech jasny pan nie gniewa się. Wszystko to można zrobić tak, żeby i jasny pan był kontent, i Efroim nie odjechał stąd z niczem. Moja rada taka. Na co teraz o warunkach gadać? Do wiosny jeszcze daleko, a nim ona przyjdzie, i jasny pan namyśli się, i Efroim namyśli się. My tymczasem jasnemu panu zadatek damy, a jasny pan *takiego* tylko nam *zaręczenia* napisze, że, jeżeli na wiosnę zgoda będzie z Efroimem o warunki kontraktu, to Ręczyn zostanie przy nim, a pieniądze przy jasnym panu, a jeżeli zgoda nie będzie, to jasny pan *pieniądzów* jemu odda, a on pretensyi żadnej mieć nie będzie. A co, czy ja nie dobrze poradził?

Mówiąc tak, rozkładał na politurowanym stole storublowe asygnaty.

— Nu! — zawołał Efroim, jakby po namyśle — gut! Niech

tak będzie, jak Eli powiedział. Niech moje pieniądze u jasnego pana leżą, to ja zawsze będę miał pierwszeństwo, a jasny pan niech mnie *takiego* kartkę napisze.

Propozycya była, z pozoru sądząc, arcy-niewinną, i bardziej dla *jasnego pana*, niż dla Żydów, dogodną. Zechce po kilku miesiącach wydzierżawić majątek — to wydzierżawi go; nie zechce — to odda tylko pieniądze, a z majątkiem uczyni, co mu się będzie podobało.

O procentach nawet od umieszczonego w ten sposób kapitału Żydzi nie wspominali ani słowa. W dodatku asygnaty storublowe, które Eli rozkładał na stole, były takie powabne!...

Nagle Żyd przerwał sobie liczenie asygnat.

— Czy jasny pan każe *dwa tysiące* rubli przeliczyć, czy tysiąc dwieście, a za resztę tych koniów?

— Hej! Karol! — zawołał — Konrad na lokaja — papieru i kałamarza.

Nie zaprosił izraelskich gości swych do gabinetu, tak, jakby to uczynił każdy z okolicznych dziedziców, ale przyrządy do pisania przynieść kazał do sali jadalnej; uczynił to zaś dla tej prostej przyczyny, że, w niezmiernie tylko wyjątkowych i rzadkich wypadkach spełniając akt czytania i pisania, pokoju oddzielnego w tym celu nie posiadał.

Z wyszukaniem też papieru i atramentu zachodzić musiała w pałacu ręczyńskim trudność niejaka, bo, wysłany po te przedmioty lokaj długo nie wracał, aż nakoniec przyniósł na srebrnej tacy ćwiartkę welinowego papieru i kałamarzyk damski malutki, ze złoconym czubkiem.

Konrad napisał żądany dokument. Pisał długo i z widoczną trudnością. Kaligrafia i ortografia jego objawiały zarówno człowieka, który miał szczęście ukończyć, co najwyżej, cztery gimnazyalne klasy, i studyów naukowych, tam rozpoczętych, nigdy już dalej nie prowadził.

Dla Żydów przecież było to rzeczą zupełnie obojętną, jak i na czem był pisany dokument, który bardzo błogie wzbudzał w nich snadź nadzieje, bo, opuszczając pałac, mieli miny ludzi co dobry zrobili interes.

Na twarzy Elego, spokojnej zawsze i poważnej, najmniej odbijały się wewnętrzne uczucia, ale czarne oczy Efroima błyskały i śmiały się, gdy zstępował ze wschodów ganku, a Josiel miał także uśmiech zadowolenia na ustach.

Josiel nie był wcale podobny do dwóch swych współtowarzyszy. Z powierzchowności jego odgadnąć można było

jednego z bardzo nielicznych Izraelitów, w których flegmatyczny charakter i pewna wrodzona życzliwość ku ludziom równoważyły, a nawet przeważały, pociąg do spekulacyi pieniężnych i żądzę zysku. Nie odrzuciłby zapewne zarobku, ale nie chciał okupywać go kosztem kłopotów i niebezpieczeństw, ani zdobywać go cudzą krzywdą. Dla tego to wszystkiego Ręczyn był mu stanowiskiem niedogodnem, które z pomocą przyjacielskiego pośrednictwa Elego usiłował zdać na Efroima.

— *Un* sobie lepiej tu poradzi od ciebie — rzekł Eli z uśmiechem, wskazując na szwagra i zasiadając na ławie w izbie Josiela.

— Dziękuję, Eli — rzekł — dziękuję! Żeby nie ty, możeby ja sam nie dał *jemu* rady.

Ścisnęli sobie dłonie. Posępna nieco twarz Efroima rozjaśniła się życzliwym uśmiechem, a w głosie jego szczera była wdzięczność.

— Ot co tam! — odparł Eli — albo ty nie mój szwagier? albo ty nie *nasz*?

Wyraz *nasz* ze szczególnym wymówił przyciskiem: dźwięczało w nim głębokie i żywe poczuwanie się do solidarności, do obowiązków pewnych względem wszystkich tych, których wyraz ten ogarniał.

— Ale — dodał — tyby i beze mnie poradził sobie. Kto *tych koniów* wymyślił?

Zaśmieli się wszyscy trzej.

— Nu, — rzekł rozweselony Efroim — ja wiedział zaraz, że jak ja o koniach jemu powiem, to *un* będzie mój. Ale, jak *un* zaczął potem krzyczeć, że na sześć lat majątku nie *puści*, to już ja i sam nie wiedział, co robić.

— A ja wiedział — rzekł Eli. — Trzeba było tylko, żeby un pieniądze wziął. Wziąć to łatwo, ale oddać!...

— A jak odda? — zagadnął Efroim, chwytając się za czarną brodę.

— Aj, aj! już ty o to spokojny bądź! Jemu nie do oddawania idzie, tylko do brania. Im na wiosnę tyle pieniądzów będzie trzeba, że i na dziesięć lat majątek puszczą, a tego, co wzięli, nie oddadzą...

— A za posiewy, co ja zrobił? — zagadnął Josiel.

— Nu, o to już wy z Efroimem pogadajcie, mnie do tego nic.

Żona Josiela postawiła na stole przed trzema rozmawiają-

cymi chleb, sól, dwa śledzie na wyszczerbionym talerzu i trochę prostej wódki w butelce.

Eli wódki nie tknął, ale śledzia jadł i chlebem przekąsywał. Zarazem w milczeniu i uważnie słuchał ożywionej rozmowy, która wszczęła się pomiędzy Efroimem i Josielem. Rzecz szła o zwrócenie temu ostatniemu kosztów, na gospodarstwo w Ręczynie wyłożonych. Josiel wyliczał je inaczej, a Efroim inaczej.

Przez dobry kwadrans trwało wzajemne przekonywanie się, za pomocą szeregu liczb, wymawianych i na palcach ukazywanych, poczem chciwa i namiętna natura Efroima zaczęła brać górę nad flegmatycznością i skłonnością do ustępstw Josiela. Kiwał głową, wzdychał, za włosy się chwytał, opór niejaki stawiał jeszcze; ale Efroim obrotnym językiem i natarczywymi gestami przypierał go do muru. Nagle Eli wstał z ławy i, podchodząc do sprzeczających się, wymówił zwolna:

— *Still*, gadaliście długo i ja wam nie przeszkadzał; teraz ja powiem słowo.

Dwaj targujący się umilkli i pytające oczy w mówiącego wlepili.

— Ty, Efroim — mówił Eli — racyi nie masz. Twoje liczenie niesprawiedliwe, a Josiela sprawiedliwe. Dlaczego ty chcesz jemu niesprawiedliwość wyrządzić? *Un* taki człowiek, że z nim wszystko można zrobić: leniwy, targować się nie lubi, i wszystkiego boi się. Z tego korzystać nie można; trzeba zawsze podług sprawiedliwości robić.

Mówił to z wielką powagą i spokojnie, lecz przenikliwe oczy swe z wyrazem pewnej wyższości wlepił w twarz Efroima. Byłże to ten sam człowiek, który przed kilku kwadransami tak zręcznie, tak bez skrupułu wyzyskiwał słabości mieszkańców pałacu; który przed chwilą jeszcze z takim radosnym i wzgardliwym uśmiechem zadzierzgnął jedno z oczek matni, przeznaczonej na oplątanie pana pałacu tego, w celach nie zgadzających się bynajmniej z pojęciem sprawiedliwości?

Teraz, jako przyjaciel, jako rozjemca dwóch sprzeczających się ludzi, zalecał im sprawiedliwość, naganiał korzystanie z cudzych słabości. Miał więc pewne zasady moralne, pewne pojęcia o tem, co słuszne, lub niegodziwe, według których układać się powinny prawe i życzliwe stosunki pomiędzy ludźmi. Szło tylko o stosowanie tych zasad i pojęć. Stosował on je do spraw, zachodzących pomiędzy spółplemiennikami swymi... dalej rozpoczynał się zakres zjawisk, obowiązków, o których nie powie-

działy mu nic, ani ta edukacya, jaką przed wrotami zajezdnych karczem otrzymał, ani ta, co pod dachem ojca Judela uczyła go miłości i sprawiedliwości dla *swoich*.

Kwadrans przeszło Eli dowodził milczącemu Efroimowi słuszności żądań Josiela.

Efroim milczał zrazu, ręce trzęsły mu się trochę, i oczy niespokojnie biegały.

— A cóż, — rzekł nakoniec — niech tak będzie, jak ty mówisz, Eli. Ty jesteś sprawiedliwy człowiek, ja o tem wiem, bo nie rok jeden i nie dziesięć lat z tobą interesa robię. Ty dla każdego serce gotów wyjąć i pod nóż dać. Ja Josiela rachunek przyjmuję.

Josiel wyciągnął ku Elemu dłoń otwartą.

— Dziękuję, Eli — rzekł — ty mnie dopomógł. Ale czy to pierwszy raz?

— Nu, nu, — rzekł Eli — niema o czego gadać, tak powinno być, mnie już tak mój stary nauczył, kiedy ja ot taki maleńki był.

— Wypijmy na zgodę! — rzekł Josiel, ujmując butelkę i kieliszek.

— Wypijmy — potwierdził Efroim.

Wychylili obaj po pół kieliszka gorzałki, Eli brzegi warg tylko umoczył w płynie. Ogarnęło go z nagła zamyślenie jakieś; stał wyprostowany i wzrok rozjaśniony utopił w przestrzeni. Czuł się człowiekiem ważnym w sferze swojej i dobrą rolę spełniającym.

Powiedziano mu, że jest sprawiedliwym, że dla braci swoich serce-by wyjął i pod nóż położył: słowa te rozlały się po piersi jego, jak krople najsłodszego miodu, i uderzyły w głowę falą takich uczuć, które czoło, choćby najbardziej nawykłe do schylania się, podnoszą w górę.

* * *

W pałacu, pomiędzy matką i synem, toczyła się ożywiona rozmowa. Pani Malwina siedziała znowu na kanapie, wśród tysiąca drobiazgów; Konrad chodził po pokoju, z twarzą trochę markotną.

— Widzi-bo mama — mówił — martwi mnie to, że będę musiał znowu Ręczyn na trzy lata oddać. Zrujnują majątek do szczętu...

— Nie wierz w to, kochaneczku, nie wierz ani trochę —

perswadowała matka — poco go mają rujnować? Zresztą, cóż robić? takie już czasy nastały, że musimy oddawać się w ich ręce. Oni jedni tylko mają pieniądze...

— Myślałem,— przerwał młody człowiek — że za rok wezmę się sam do gospodarstwa.

— Myślałeś tak, kochaneczku? dobrze, bardzo dobrze! jesteś statecznym młodym człowiekiem i nie masz żadnych brzydkich pasyi... Ale, widzisz, człowiek nie powinien żyć dla siebie tylko... masz matkę i siostry...

— Zdaje się, — rzekł Konrad, stając — iż nie zapominałem nigdy o tem, że mama jest tu pierwszą osobą, a ja drugą.

— Uchowaj Boże, Koniu! nie zapominałeś, nie. Ale figuruj sobie, że ja tu dłużej za nic w świecie siedzieć nie mogę.

— A gdzież? — zapytał Konrad.

— Na mieszkanie do N. wyjadę.

Konrad przerwał znowu swą przechadzkę, stanął i w twarz matki oczy wlepił.

— Do N.? — rzekł — ależ to będzie dużo kosztować.

— Bagatela, kochaneczku, bagatela! Zrobimy ekonomię... Sześć pokoi, remarkuj sobie, tylko sześć pokoi... pokoików... byle pomieścić się... garnitur mebli z Warszawy... parę koni nam dasz, kabryolet od Rentla... Paulinę, Marylkę, Dorosię, Karola, Grzegorza i Jana weźmiemy z sobą... tylko ich... remarkuj sobie... nikogo więcej...

— A ileż na to wszystko pieniędzy trzeba? — zapytał Konrad głosem, wewnętrzną niepewność jakąś zdradzającym.

— Bagateli, kochaneczku, bagateli! daj mi tymczasem to, co dziś od tych Żydów wziąłeś...

— Ależ ja nie mogę, moja mamo! mnie samemu potrzeba. Lejzor dopomina się o dług swój...

— Lejzor poczeka... Ach, poziewanie moje, poziewanie! Jestem chora okropnie!... A Róża i Flora, figuruj sobie sam, czy to będzie ładnie, jeżeli staremi pannami zostaną?

— Ależ, moja mamo! muszę tym robotnikom zapłacić, którzy stajnię budują...

— Poczekają, poczekają... zostaw sobie zresztą cokolwiek... daj mi tysiąc rubli... remarkuj sam... tylko tysiąc...

Konrad, z rękoma w tył założonemi i głową w dół zwieszoną, chodził znów po pokoju. Pani Malwina ścigała go wzrokiem, w którym, z za zwykłej jej lekkomyślności, przeglądał teraz pewien spryt najniższego gatunku.

— Mój Koniu! — zaczęła ze szczególną powagą — ja je-

stem matką, a ty jesteś synem... Figuruj sobie tylko, co to jest matka, a co syn... Życie ci dałam; po śmierci nieboszczyka ojca, kiedyś ty jeszcze ot taki był maleńki, majątkiem sama rządziłam... pałac ten zbudowałam... żeby nie ja, pałacu-byś tego nie miał... alteracyi ci żadnej nigdy nie sprawiłam... pasyi twojej do tych zwierząt na drodze nie staję... Miejże i ty dla mnie wdzięczność!... Pierwszej młodości już nie jestem, potrzebuję zdrowie swoje i humor podtrzymać.

Konrad stanął znowu na środku pokoju.

— Moja mamo, — rzekł — czy ja na mamę kiedy narzekałem? czy nie jestem przywiązanym i wdzięcznym synem? Mama była dla mnie bardzo dobrą, i ja z powodu mamy żadnego nigdy zmartwienia nie miałem.

— A widzisz, kochaneczku, a widzisz!

Konrad pugilares z kieszeni wyjął i paczkę asygnat sto-rublowych na stole położył.

— Mama jest tu pierwszą osobą — rzekł — a ja drugą. Niech mama robi sobie, co chce, ja mamie sprzeciwiać się nie mogę.

Pani Malwina krótkie swe, pulchne ramiona wyciągnęła i szyję synowską niemi objęła.

— Niech ci to Bóg wynagrodzi — rzekła, całując syna w czoło. — Dobry syn z ciebie, kochaneczku! Daję ci za to macierzyńskie błogosławieństwo... a ty wiesz, Koniu, co to błogosławieństwo macierzyńskie.

Ostatnie słowa uroczystym głosem wyrzekła, i wskazujący palec prawej ręki w górę podniosła. Konrad lewą jej rękę do ust przycisnął.

— Dziękuję mamie — rzekł. — Mam nadzieję, że błogosławieństwo to uratuje mnie od wszystkiego złego.

— Uratuje, kochanku, z pewnością uratuje!

Po tych wyrazach, matka i syn wydobyli się z wzajemnego uścisku. Oboje mieli łzy rozczulenia w oczach.

Nastąpiła chwila milczenia. Konrad chodził znowu po pokoju, a pani Malwina chowała pieniądze do szkatułeczki. Konrad westchnął głośno.

— Jestem trochę niespokojny — rzekł.

— A czego, kochaneczku? — zapytała matka.

— O interesa te... niech ich dyabli...

— Nie mów mi tylko nic o interesach, kochanku. Co tam za interesa? jakie interesa?...

— Ale, bo widzi mama... może być kiedyś źle.

— Co źle? nie wierz w to ani trochę. Słuchaj tylko matki, która chce twego szczęścia.

— Więc cóż mam czynić?

— Staraj się o kuzynkę, staraj się...

— O Lilę?

— A tak, o Lilę.

— Ależ to jeszcze dziecko.

— Nie wierz w to ani trochę. Za rok będzie dorosłą panną. Kajetan pewno jej testamentem sumę posagową zapewni, a zresztą i bracia jej nie skrzywdzą... Kamil... no, nie wiem... wiesz, że życzę sobie, aby się z Różą naszą ożenił... a Mieczysław, znasz go... *avec ses sentiments chevaleresques*, siostry nie skrzywdzi.

— At! — przerwał Konrad — już to ożenienie się... niech je tam...

— Dlaczego, kochanku? dlaczego? wszyscy żenią się... Czy obserwowałeś Lilę?

— Ot, przyznam się mamie, że i nie patrzyłem na nią do tego czasu.

— To źle, to bardzo źle! powinieneś już *lui faire la cour*, bo potem kto inny gotów podskoczyć... Dziewczyna, jak obraz... piękna będzie!

We drzwiach pokoju stanął lokaj.

— Jakiś Paweł Szyłło przyjechał — rzekł — i chce się widzieć z panem.

Konrad cmoknął z niezadowoleniem i ociągał się z odejściem.

— Cóż to za figura, ten Szyłło, i czego on chce od ciebie? — zapytała pani Malwina, układając w szkatułce koroneczki i wstążeczki.

— A to ten szlachcic, mamo, od którego mama pieniędzy pożyczyła, kiedy to jeszcze dom nasz nie był skończony.

— Pałac — poprawiła pani Malwina. — A, przypominam sobie! oblig podpisałeś z opiekunem jeszcze. Ach!... moje pozlewanie!... Czegoż ten szlachcic chce od ciebie?

Odpowiedzi nie było, bo Konrad, z brwią zmarszczoną i wzrokiem wbitym w ziemię, pokój opuścił.

W sali jadalnej Paweł Szyłło oczekiwał na audyencyę u młodego dłużnika.

— A! — rzekł, wchodząc Konrad — dzień dobry panu! Jakże się pan miewa? kopę już lat pan u nas nie był. Cóż słychać w Łozowej, jak zdrowie państwa Fabianostwa?

Mówił to z przymuszonym uśmiechem na ustach, które krzywiły się mimowoli; usiadł i gościowi w pobliżu siebie miejsce wskazał.

Szyłło, ubrany w surdut odświętny, na którym znajdowała się jedna tylko łata, i to u spodu rękawa, w butach grubych, starannie oczyszczonych, w szerokiej chustce wełnianej, długimi końcami na staroświecką atłasową kamizelkę spadającej, ukłonił się, usiadł i kilka pierwszych słów powitania z wyraźnem zmieszaniem wymówił.

— Prawdę pan dobrodziej powiedziałeś, że kopa lat, jakem ja tu nie był... Ot, nie chciałem o swój drobiazg dokuczać... Teraz jednak przyjechałem do pana dobrodzieja z prośbą...

— Cóż takiego? cóż takiego? — zapalając papieros i otwartą cygarnicę gościowi podając, wymówił Konrad.

— Ot, czy nie mógłbym już teraz z łaski pana dobrodzieja do swojej własności powrócić?...

Obracał w ręku papieros, nie zapalając go, i z trochą niepokoju patrzył w twarz dziedzica Ręczyna.

— Cóż to? — zaczął Konrad, jąkając się i spuszczając oczy — pan chce... pan wymaga... abym panu...

— Broń Boże, nie wymagam, panie dobrodzieju; chciałem tylko prosić, czybyś pan nie mógł mi kapitaliku mego teraz zwrócić... Dziesięć lat już mija, odkądem swą folwarczynę w złą godzinę jakąś sprzedał, a kapitalik za nią wzięty u pana dobrodzieja i u panów Orchowskich ulokowałem... Nie byłem dokuczliwy, nie łaziłem, nie stękałem... i teraz możebym sam, ot tak z własnej intencyi, tu nie przyjechał... ale mam starą matkę, chciałbym ją wziąć do siebie... mam dzieci... syna, który mi, panie dobrodzieju, w dęba urósł... trzebaby go do gospodarstwa przyłożyć, jaką choćby dzierżawinę wziąwszy... a tu bez pieniędzy ani rusz...

Konrad powstał żywo z krzesła i zaczął, według zwyczaju swego, przechadzać się po sali. Szyłło wodził za nim oczyma z niepokojem widocznym.

— Mój panie Szyłło, — rzekł po chwili Konrad, przed gościem swym stając — ja dalibóg nie wiem, co już mam panu powiedzieć. Pieniądze się panu należą... nie przeczę... tylko... że ja, panie Szyłło, pieniędzy dalibóg teraz nie mam.

Szyłło głowę pochylił.

— Ot, — rzekł — człowiek już sobie wszystko tak ułożył, na duchu wzmógł się... bo to, panie dobrodzieju mój, nie łatwo na duchu wzmódz się komuś, kto od tylu już lat łaskawy chleb

jada. Byłbym tak i dłużej żył jeszcze, ale siostra przyjechała i rzekła: wzmóż się, Pawle, na duchu! Otóż wzmogłem się i o kawał gruntu do wydzierżawienia z chatą rozpytałem i, znalazłszy go, do pana dobrodzieja przyjechałem. No, ale widzę, że mi gwiazda moja źle przyświeciła i że do łaskawego chleba wrócić wypadnie.

Mówił to głosem przerywanym i goryczą pewną przebrzmiewającym. Konrad chodził po sali, zawstydzony trochę i rozgniewany.

— Mój panie Szyłło, — rzekł — cóż ja zrobię, kiedy nie mam? jak Boga kocham, nie mam!

— Możeby choć procenciki pan dobrodziej teraz mógł oddać. Uzbierało ich się latami może na jakie tysiąc rubelków lub więcej... Na pierwszy rok starczyłoby, a potem jak Bóg zrządzi...

Konrad stał na środku sali i myślał.

— Zaczekaj trochę, panie Szyłło — rzekł po chwili i, śpiesznie wyszedłszy z sali, szerokimi krokami ku pokojom matki podążył.

— Mamo! — zaczął, wchodząc do składu drobiazgów — ten Szyłło dopomina się o swoje pieniądze... jak Boga kocham ma racyę... Dziesięć lat już mu kapitał trzymamy... Nie wiem sam, co to takiego, ale mi człowieka tego żal... chciałbym mu oddać?

— A to oddaj mu, duszo moja, oddaj, kiedy chcesz! albo ja ci zabraniam oddać? — zawołała pani Malwina, która mowy syna wysłuchała z widoczną niecierpliwością.

Konrad szeroko oczy roztworzył.

— Jakże ja oddam, — rzekł — kiedy nie mam pieniędzy? Mama najlepiej wie, że nie mam.

— To nie oddawaj, duszo moja — odparła matka — nie oddawaj i powiedz mu, żeby sobie pojechał.

— Wstyd to trochę, jak Boga kocham — ciszej zauważył syn.

Pani Malwina ołóweczkiem w srebro oprawnym coś na kawałku papieru kreśliła.

— Sztuka weby najcieńszej... — szeptała — aksamit dla Róży... biureczko z różanego drzewa... dywaników cztery...

Układała regestrzyk sprawunków do Królewca.

— Mamo! — rzekł Konrad.

— A co tam, kochaneczku? dystrakcyę mi robisz...

— Możeby te tysiąc rubli, które mama wzięła na nowe meble i wynajęcie mieszkania w N., oddać tymczasem Szylle.

Przerwało mu poruszenie się nagłe pani Malwiny z kanapki.

— Koniu! — zawołała, rękoma trzęsąc — nie mów ty mi o interesach ani słowa! Podaj mi ze stoliczka flakon z toaletowym octem i idź sobie precz!

Konrad podał flakon pośpiesznie i, wzdychając głośno, miał się ku odejściu. Matka rzuciła za nim spojrzenie takie, jakby go pożałowała.

— Słuchaj, kochaneczku — rzekła — nie bądźże dzieckiem! Kto to teraz długi płaci? czasy ciężkie! Niech ten Szyłło kontentuje się tem, że pieniądze jego nie przepadną. Powiedz mu, że sami ledwie mamy żyć z czego...

Ale Konrada już nie było w pokoju.

— Mój panie Szyłło, — rzekł dziedzic Ręczyna, wchodząc do sali jadalnej — już na to nic nie poradzę... pieniędzy niema... Czy to teraz takie czasy, żeby długi płacić?... Pan powinieneś kontentować się tem, że pieniądze pańskie nie przepadną...

Szyłło wstał z krzesła.

— Ha, — rzekł — cóż robić? Człowiek zgrzeszył ciężko, ojcowiznę swą bez potrzeby sprzedając, i teraz pokutować musi. Ale za co stara moja matka, moje dzieci pokutować mają? No, za moje grzechy zapewne.

Ukłonił się i, otrzymawszy od przechadzającego się znowu po sali Konrada wzajemny ukłon, miał się ku odejściu. Przy drzwiach stanął znowu.

— Kiedyż mogę spodziewać się?... — zaczął.

Konrad wybuchnął.

— Ależ na wiosnę, kochany panie, na wiosnę wszystko co do grosza oddam... jak Boga kocham, oddam!... Pan myślisz może, że ja nie chcę oddać, ale mylisz się bardzo. Ja serce-bym swoje wyjął, żebym mógł, i oddał panu; ale cóż ja zrobię, kiedy nie mam?

Przy ostatnich wyrazach głos jego wpadł w ton niemal żałosny.

— Poczekam więc — rzekł Szyłło i wysunął się za drzwi.

Na dziedzińcu przy bramie, obok wózka Elego i Efroima, stał inny jednokonny wózek Pawła Szyłły. Rezydent łozowskiego dworu, z czapką nizko na oczy nasuniętą, umieścił się w skromnym ekwipażu swoim i ruszył za bramę. Ćwierć wiorsty zaledwie przebył, gdy zajechała mu drogę pełnym kłusem pędząca zgrabna najtyczanka. Siedział na niej Kamil Orchowski. Szyłło

poznał jadącego, konika swego z drogi pokornie zwrócił i czapką ukłon dość nizki oddał.

— Ot i ten — rzekł do siebie — część mego dobra na swoich plecach wiezie!

Obejrzał się za najtyczanką i konia zatrzymał.

— Możeby wrócić i pomówić z nim... przy okazyi?... Nie trzebaby już ciągnąć się do Orchowa.

Ściągnął lejce, jakby miał wracać; lecz w tejże chwili popędził naprzód.

— Nie chce się jakoś — szepnął — ambaras... a zresztą nie wypada turbować go, kiedy w gościnę pojechał... Ej, z Bogiem naprzód, pora człowiekowi odpocząć w chacie.

Lenistwo przemogło... pojechał dalej. O parę wiorst od dworu ręczyńskiego, w pobliżu wsi dużej i ludnej, przy drodze była karczma. Przed wrotami jej stał, fajkę paląc, Żyd arendarz.

— Dzień dobry, panie Chackiel! — zawołał Szyłło, gdy wózek jego zrównał się z karczmą.

— Dzień dobry Jegomości. Skąd Pan Bóg prowadzi?

Fizyognomia Żyda, dawnego znajomego, do gawędki zapraszała. Paweł zatrzymał konia.

— Cóż tu u was słychać, panie Chackiel?

— A co ma być słychać? nowina wielka! posesorów nowych będziemy mieli! Josiel arendy odstąpił Efroimu a Jasny Pan Konrad *wziuł* dziś od niego zadatku dwa *tysiąców*... Żona moja we dworze była i Josielowa jej o *tego* gadała.

Szyłło siedział na wózku, jak skamieniały.

— Dwa tysiące rubli wziął? — zawołał nagle — dziś... dziś? Człowieku! to być nie może!

— Nu, dlaczego nie może być, kiedy jest. *Un* za ośmset *rublów* od Efroima cztery koniów kupił, a ona... nu, matka... za reszte do N. na mieszkanie pojedzie... Mojej żonie Dorotka, ta panna służąca, co to faworytka samej pani, o *tego wszystkiego* gadała.

Żyd mówił dość długo o różnych szczegółach, powziętych we dworze przez żonę jego z ust Josielowej i Dorotki, a Szyłło siedział na wózku wciąż jak skamieniały, z głową na pierś zwieszoną, z rękoma opuszczonemi na kolana. Siedział i dumał... Nagle zmarszczył czoło i wykrzywił usta tak, jakby mu się niespodziewanie coś niewymownie niesmacznego na podniebienie dostało.

— A niechże ich siarczyste!... — krzyknął.

Nie dokończył. Ręką machnął, z wózka zeskoczył i głosem podniesionym zawołał:

— Panie Chackiel! daj kieliszek gorzałki, a tęgiej, bo jeżeli robaka nie zapiję, dalibóg trupem chyba padnę.

I krokiem ciężkim, jakby mu stopy ołowiem napuszczono, milcząc, lecz pięście ściskając, powlókł się za arendarzem do karczmy.

Kamil tymczasem gościł już w pałacu. Róża, która, ujrzawszy najtyczankę kuzyna na dziedzińcu, wnet pochwyciła do ręki książkę, bawiła go wymienianiem tytułów rozlicznych dzieł i czynionemi o nich na los szczęścia uwagami. Ale Kamil przekładał widocznie nad uczoność starszej siostry filuterne spojrzenia, żwawe ruchy, wabne uśmieszki i białe ząbki młodszej. Siedział na kanapie, wygodnie rozparty i cichą rozmowę, uśmiechami przeplataną, prowadził z Florą.

Pani Malwina w trzecim pokoju pisała regestrzyki, jeden po drugim. Nagle uchyliła się spuszczona portyera i do składu drobiazgów wbiegła Róża. Łzy miała w oczach i szkarłatne rumieńce na twarzy. Wbiegła i, rzuciwszy się na fotel, ręką oczy zakryła. W drugiej ręce trzymała książkę.

— A to co? — zapytała z niezadowoleniem pani Malwina. — Czegożeś przyleciała, jak waryatka? Ja siedzę tu, żeby wam nie przeszkadzać... żebyście się porozumieli... żebyś go dla siebie zobligowała, a ty...

Panna rękę od oczu odjęła i na matkę spojrzała wzrokiem, błyszczącym łzami i iskrami.

— Dziękuję mamie — zawołała z wybuchem — już ja tego dłużej nie zniosę... Kamilowi Flora podobała się i ona powiedziała mi onegdaj, że go kocha. Niechże się sobie kochają, ja im przeszkadzać nie chcę! Poco te komedye? poco to czytanie?... Dość tego!

Pani Malwina, zdumiona naprzód, wzruszyła potem ramionami i rzekła:

— At, dzieciństwo! kaprysy! figuruj sobie, moja duszo, że jesteś waryatką.

W tym samym czasie Kamil, znalazłszy się sam na sam z Florą, ujął ją za rękę i głęboko spojrzał jej w błękitne oczy. Dziewczyna zapłonęła szkarłatem.

— Nie zapomnisz o mnie, kuzynko, mieszkając w N?

— Jak możesz przypuszczać coś podobnego, kuzynie?

— Będziemy widywali się daleko rzadziej...

— Czy nie przyjedziesz do nas? — zapytała szeptem i smutnie.

— Albożbym mógł wyrzec się dobrowolnie widzenia tak prześlicznej istotki, jak ty jesteś, Floro?

Słowa jego były lekceważące, choć miały oznaczać czułość; wzrok, którym okrył postać młodej, hożej dziewczyny, ubliżał jej, jakkolwiek objawiał namiętne wzruszenie. Ale Flora nie znała się widać na znaczeniu słów i na tych stopniach uczucia, tak nizkich, że aż uwłaczających... Ręka jej, ściskana w dłoni młodego mężczyzny, drgnęła... Oczy ich spotkały się... kibić Flory znalazła się opasaną ramieniem Kamila, który pochylił się i pocałował purpurowe jej usta...

— Kamilu! — szepnęła dziewczyna, blada i drżąca — kocham cię!

Podniosła rękę do czoła i zawołała, zcicha jeszcze, ale namiętnie:

— Kamilu! czuję... czuję, że kocham cię bardzo... nad wszystko... na śmierć i życie!...

Była w tej chwili prawie piękną. Na twarzy jej bladej, w oczach łez pełnych, w głosie drżącym panowały moc i szczerość uczucia.

— Pocóż tak tragicznie? — uśmiechnął się Kamil — na śmierć i życie! Któż widział, aby tak śliczne, młode usteczka mówiły o śmierci? Słuchaj, Florciu! miłość to chwila... trzeba ją chwytać co prędzej, bo ucieczе...

I jakby czynem dowieść chciał własnego zdania, przycisnął do ust białe paluszki Flory.

IX.

W Łozowej życie płynęło zwyczajnym trybem. Wieczory wszystkie, tak, jak i ów pierwszy, który po przybyciu Michaliny nastąpił, liczne domowe towarzystwo spędzało wspólnie, zabawiając się muzyką, rymowaniem, pokazywaniem Czumaków i Turków, naśladowaniem skrzeczenia żab i piania kogutów, *sztukami*, przez pana Karola dokonywanemi, opowiadaniem nakoniec różnych zabawnych i zadziwiających wydarzeń z życia figlujących studentów, sławnych kłamców, lub cudownych myśliwych.

Zabawy te urozmaicały się niekiedy tak zwanemi prześla-

dowaniami, zwróconemi ku panu Wiktorynowi, za to niby, że przysiada się do pani Eustachii, lub ku panu Pawłowi, że ma się do panny Antoniny. Towarzystwo całe śmiało się z idyotycznego zakłopotania jednego z mniemanych konkurentów, z sentymentalności i żartobliwych min drugiego; pan Fabian zaś z rozrzewnieniem spoglądał na dobry humor swej czeladki i wesołe twarzyczki swoich aniołków. Uznawał się i czuł patryarchą gromady tej, a rola ta schlebiała w najwyższym stopniu romantycznej jego wyobraźni.

— O! — mówił, spoglądając na śmiejące się dokoła twarze — jakże to słodko rozlewać dokoła siebie radość i szczęście!

W zabawach tych dwie tylko osoby udziału nie brały nigdy. Pani Adela, nadąsana najczęściej, niekiedy na ból głowy, z irytacyi pochodzący, chora, czasem smutna głęboko i ponurym wzrokiem drobne postacie dzieci swych ścigająca, siadywała przy lampie, cerując pończochy, lub naprawiając stare sukienki i koszulki; Michalina zaś przeglądała w milczeniu liczne albumy, albo usuwała się do innego salonu z Ludką, Józiem i robotą w ręku, ucząc i bawiąc razem dzieci opowiadaniami, których one słuchały z radością i zajęciem.

Ilekroć guwernantka wyłączyła się w ten sposób z zebranego grona, w mgnieniu oka pomiędzy dwiema rezydentkami następowało chwilowe, dla wspólnych celów, zjednoczenie.

— Wielka pani... obcować z nami nie raczy... — trzepała panna Antonina. — Już ja pani mówię, że ona ma złe serce...

— A ja pani to tylko powiadam — cedziła pani Eustachia — że ta panna guwernantka wiele... wiele państwa kosztować będzie!

Wśród sprzecznych pomiędzy sobą, a dziwacznych, próżniaczych, więc złośliwych, upokorzonych położeniem swem, a więc upokarzać wzajem lubiących, żywiołów, które dom ten napełniały, położenie młodej osamotnionej dziewczyny nie było łatwe.

Ale nie brakło jej zajęcia, w którem topiła wszelkie nieprzyjemne wrażenia, wszelkie może troski i tęsknoty, w sierocem milczeniu przenoszone. Wynalazła ona w dniu godzinę wolną, w której zaczęła uczyć czytania i pisania dwunastoletnią synowicę swą, Jadwisię; potem przyszło jej na myśl, że w tej samej godzinie uczyć mogłaby także i Walka.

Z tą myślą udała się dnia pewnego do oficyny, służącej za pomieszkanie rezydentom.

Miała właśnie wejść do izby brata, gdy z za przeciwległych drzwi doszło jej ucha niewyraźne jakieś bąkanie, niby czytanie, niby sylabizowanie. Poznała głos siedmnastoletniego synowca swego. Ktoś tam za drzwiami czytać go uczył.

Michalina zatrzymała się przez chwilę w korytarzyku i słuchała. Głos, bąkający bajkę jakąś z elementarza, umilkł. Inny za to głos odezwał się:

— No, Walku, a teraz trochę arytmetyki...

— Trzy razy sześć — zaczął Walek — ośmnaście... cztery razy sześć...

Ziewnął głośno i przeciągle.

— Dość już tego! — zawołał.

— Jeszcze trochę, no, jeszcze trochę! — perswadował mu pan Wiktoryn.

Michalina opuściła oficynę.

— Ktoby się tego spodziewał? — szepnęła do siebie.

W istocie, ktoby się spodziewał, żeby wirtuoz-flecista, z okrągłą swoją figurą i napół idyotycznym uśmiechem, rozlanym na pulchnej, rumianej twarzy, jedną z sześciu godzin, pozostających mu w ciągu doby do spania, poświęcał dobrym uczynkom?

Michalina czuła ku niemu życzliwość i wdzięczność. Przy pierwszej sposobności zbliżyła się do najstarszego z rezydentów.

— Dziękuję panu za Walka, — rzekła — serdecznie dziękuję!... uczysz go pan czytać i rachunków...

Pan Wiktoryn zmieszał się niezmiernie.

— Niema za co, pani dobrodziejko, — wyjąkał — niema za co... chłopiec rośnie, na las patrząc...

Westchnął. Westchnienie to zaciekawiło Michalinę. Przywykła widzieć pana Wiktoryna z uśmiechem wiecznej błogości na ustach.

— Pan miałeś rodzinę? — zapytała nieśmiało.

Uśmiech pana Wiktoryna zniknął bez śladu.

— Jednego tylko syna miałem, pani dobrodziejko...

— I cóż?

— Ha, wyrósł, tak samo na las patrząc, i...

Tu ręką machnął.

— Poszedł gdzieś w świat... ani wiem, gdzie się obraca.

Stał chwilę w milczeniu, z głową spuszczoną, potem rzekł jeszcze:

— Myślałem, bywało, że na starość głowę do niego przytulę; ale ot... niema go.

Po rozmowie tej, pan Wiktoryn przez cały wieczór nie zdrzemnął się ani razu, nie śmiał się ze sztuk pana Karola, a gdy z Apolkiem i panem Fabianem odgrywać zaczął tercet jakiś, z fletu jego wydobywały się tony głośniejsze, niż zwykle, skarżące się niby na coś, a z nad wydętych rumianych policzków szare, małe oczki, wlepione uporczywie w twarz Michaliny, zdawały się wciąż powtarzać: niema go! niema go!

Każdy zresztą z ludzi tych, tak niedołężnych i komicznych, łaskawym chlebem tak rozpróżniaczonych i poniżonych, posiadał za sobą historyę jakąś, bolesnych przejść i strat niepozbawioną. Każdy z nich niegdyś miał ognisko domowe, serca, które go kochały, cele jakieś przed sobą, nadzieje i małe ambicye. Każdy przyjechał tu zrazu na dni, tygodni kilka, ot tak, dla odpoczynku, dla upatrzenia sobie nowej drogi, nowego miejsca na świecie.

Miłosierdzie państwa Fabianostwa utuliło pod skrzydłem swem wszystkie te troski, te lenistwa, i ludzi, którzy mieli jeszcze zamiar gdzieś iść, czegoś szukać, coś robić, rozciągnęło na wygodnem łożu dworskiej rezydencyi.

Pewnego dnia Michalina zauważyła, że pani Eustachia podnosiła głowę mniej wspaniale, niż zawsze, oczu nie przymrużała, policzków nie wydymała, a wszedłszy zrana do garderoby, powieki miała, jakby od płaczu, nabrzękłe.

— Czy pani nie czuje się dziś cierpiącą? — życzliwie zapytała młoda nauczycielka.

Rezydentka podniosła na nią wzrok, przyćmiony wilgocią.

— Nie, — odparła — nie jestem cierpiącą; ale dziś właśnie rocznica ślubu mego z nieboszczykiem moim mężem... Trzydzieści jeden lat temu, przymierzałam o tej porze ślubną suknię, a lokaj przyniósł mi od niego bukiet, jak dziś pamiętam, z róż i jaśminu... bo było to w maju...

Patrzała znowu w ogień i dumała. Podarte hafty negliżu zwieszały się niedbale na znękanej jej postaci, twarz z pod siwiejących włosów, nieuczesanych jeszcze, wyglądała zżółkła i zmarszczona, na ustach zwiędłych błądził wyraz goryczy. Jakże daleko, daleko teraz był od niej maj ów, o którym wspominała... maj młodości i miłości, ze ślubną suknią i bukietem róż, od narzeczonego jej przysłanym!

Innego dnia znowu, pani Adela była w szczególnie kwa-

śnym humorze, a złość swą, wznieconą przez kucharza i Anulę, spędzała na pannie Antoninie.

Młodsza z rezydentek słuchała wszystkiego cierpliwie, w milczeniu, z zaciśniętemi mocno ustami i żółtszą jeszcze, niż zwykle, cerą twarzy. Na obiad nie przyszła, wymawiając się bólem zębów: po obiedzie zaś, Michalina, wracając z dziećmi do swego pokoju, przez jej pokój przechodzić musiała. Rezydentka klęczała przed ołtarzykiem, obwieszonym paciorkami, wstążeczkami, pawiemi piórami i muślinowymi festonikami. Modliła się żarliwie, tak żarliwie, że aż napół głośno.

— Ojcze niebieski! — mówiła — jeżeli wola Twoja, daj mi, choć na koniec życia, chatkę własną... chatkę maleniczką choćby, ale własną... a jeżeli, Panie, wola Twoja nie zgadza się z moją, zabierz mnie prędzej do siebie i z matką moją połącz!...

Przy wspomnieniu o matce, małe, czarne oczki rezydentki opuściły ołtarzyk i, łzami zaszłe, pobiegły za okno, ku szarym obłokom.

W dniu, w którym pan Paweł pojechał do Ręczyna, w celu dopomnienia się o swe dobro, Michalina objawiała przy lekcyi z dziećmi niezwykły stan niespokojności. Rumieńce wybiły się na jej twarz bladą, a oczy wciąż mimowoli zwracały się ku oknu. Z niecierpliwością oczekiwała powrotu brata.

Wieczór zbliżał się, gdy nakoniec zobaczyła jednokonny wózek, wjeżdżający w bramę i kierujący się ku oficynie. Zarzuciła chustkę na ramiona, wybiegła z domu i stanęła przed wejściem do oficyny, jednocześnie z Pawłem, który zsiadał z wózka dłużej, niżby należało.

— Cóż, Pawle? — zapytała z pośpiechem, lecz cofnęła się, zdziwiona i przelękniona wyrazem twarzy brata.

Policzki Pawła rozognione były, oczy błędne i przykro świecące, z ust, głupkowato uśmiechniętych, rozchodziła się mocna woń trunku.

— Cóż, Pawle? — powtórzyła ciszej, wchodząc za przybyłym do izby i zatrzymując się przy progu.

Wybuch grubego śmiechu rozległ się po izbie.

— A cóż, panno siostro? — zawołał Szyłło — moja prawda, czy twoja? trzeba było jeździć, czy nie trzeba?... Wiesz, co mi dali? figę! figę!

Śmiał się wciąż i oczyma napół tylko przytomnie po izbie wodził.

— Hej! — krzyknął — ludzi słuchaj, a swój rozum miej.

Poco to było leźć do panów?... mają, ale nie płacą... daj im Boże za to zdrowie! Człowiek będzie znowu siedział, jak u Pana Boga za piecem... Chleb tu smaczny i kąt ciepły... jedz, pij, śpij i dobrodziejom dziękuj!

Stanął, wyprężył się, podjął poły surduta i, zawiódłszy z całego gardła:

— Oj! ja Czumak nieszczęśliwy.

Puścił się po izbie w pląsy, podskoki i przysiadania.

— Tato pijany! — zawołał Walek, wpadając z korytarzyka.—Panie Szczepalski! panie Solski! panie Hryhory! pójdźcie-no, zobaczcie! Tato pijany, Czumaka tańczy!

Michalina wybiegła z oficyny. Uszła kilkanaście kroków, stanęła przy wielkiem, grubem drzewie, rosnącem na dziedzińcu, i o pień jego wilgotny od deszczu, który tylko co padał, czoło oparła.

Zwiędłe liście i bujne krople wody spadły na jej włosy, wiatr wieczorny podnosił brzegi jej chustki i chłodem przenikał ciało... ona tego nie czuła.

Do ucha jej dochodziły z głębi oficyny nieprzytomne śpiewy i tupanie nogami jej brata; z niemi łączyły się śmiechy rezydentów zgromadzonych na widowisko, z których najgłośniejszym był śmiech własnego syna jego...

— Boże mój! — szepnęła dziewczyna — czyż niema już na to rady żadnej? czy koniecznie zginąć oni muszą? czy nigdy już wstydowi temu końca nie będzie?

Wysileniem woli oderwała czoło od wilgotnego drzewa i, owijając się chustką, biegła ku gankowi domu. Była tak pogrążona w bolesnych myślach swych i uczuciach, że nie słyszała tętentu konia na dziedzińcu. Drgnęła i stanęła wtedy dopiero, gdy zeskakujący z konia przed gankiem młody mężczyzna wymówił tuż przy niej:

— Dobry wieczór, pani.

Był to Mieczysław Orchowski. Odkąd tu mieszkała, przyjeżdżał już po raz trzeci. I znowu oczy jego, tajemną tęsknotę serca zdradzające, okryły twarz jej długiem wejrzeniem.

— Czy pani nie gniewa się na mnie za to, że przyjeżdżam tak często? — zapytał zniżonym głosem.

Nie mogła odpowiedzieć. Stała przed nim z czołem pochylonem; serce jej uderzało z mocą, oddech powstrzymującą; na gęstych włosach błyszczały, jak brylanty, gęste i bujne krople deszczu.

— Panno Michalino! — zaczął znowu głos męski — powiedz

pani, że nie gniewasz się na mnie... Ja tu przyjeżdżam dlatego tylko, aby panią widywać...

Podniosła głowę. Blade jej usta drżały, dłoń mimowolnym ruchem cisnęła się do piersi.

— Panie Orchowski! — rzekła — dlaczego mówisz mi pan to wszystko?

W głosie jej było wysilenie, gorycz, blizka rozpaczy, i namiętna prośba serca, które, do najskrytszych głębin swych wzruszone, bronić się jeszcze pragnie.

— A! szanownego, miłego gościa witamy! witamy! Z deszczem nam spadłeś! — ozwał się za rozmawiającą parą głos wychodzącego na ganek pana Fabiana.

W głębi domu, *w gynecaeum*, hermetycznie zamkniętemi drzwiami od pokojów bawialnych przedzielonem, rozlegały się biegania i wołania.

— Wody! mydła! kucharza! Grześ niech nowy surdut włoży! Samowar wyczyścić! Wafle do herbaty.

Daremnie wieczora tego pan Fabian zwracał uwagę gościa na talent każdego z aniołków swoich, daremnie cytował wiersze różnych poetów i własne, zasadzał panią Eustachię do fortepianu, i przy akompaniamencie jej grał na wiolonczeli; gość odpowiadał, chwalił, podziwiał z roztargnieniem i widocznie przez grzeczność tylko; oczy zaś jego z trudnością odrywały się od drobnej twarzy guwernantki, która, pochylona nad robotą, czuła przecież, unoszący się nad nią, ten wzrok gorący, bo na czoło jej co chwila wstępowały łuny rumieńców i znikały, pozostawiając po sobie bladość głębokiego wzruszenia.

Trwało tak do połowy wieczora. Nakoniec Mieczysław, nie mogąc powstrzymać się dłużej, powstał z miejsca, na którem siedział, pomiędzy gospodarzem domu, a brzękającym na strunach teorbanu panem Hryhorym, i usiadł obok Michaliny. Podniosła głowę i spojrzenie jego spotkała wzrokiem spokojnym. Nie rumieniła się już i nie bladła, opanowała wzruszenie swe wolą i dumą niewieścią, odpowiedź zaś na rzucone pytanie wyrzekła głosem łagodnym i rozważnym, który pamięci Mieczysława nasunąć musiał owe, podsłuchane przezeń, rozmowy jej z siostrą jego i matką.

Na widok spokoju jej, on także ukrył ogarniające go u jej boku wzruszenie. W jednej stronie salonu brzmiał tercet muzyczny, w innej dwie rezydentki szeptały coś do uszu pani Adeli. Pomiędzy młodym gościem i młodą nauczycielką zawiązała się długa i ożywiona rozmowa.

Nagle, tuż za progiem, głos jakiś zapiał doniośle i przeciągle:

— Pan Paweł! — krzyknęły dzieci, bijąc w dłonie i do drzwi się rzucając.

Był to w istocie pan Paweł, który owym kogucim krzykiem oznajmił swe przybywanie. Napół dopiero był wytrzeźwiony. Oczy już miał przytomne, ale z policzków rozognienie, a z ruchów rozgorączkowanie i niepewność nie zniknęły. Stanął na środku salonu i oddawał dokoła ukłony, nacechowane rubasznością przesadną, obudzenie śmiechu widocznie na celu mającą.

— Ależ wesoły dziś jesteś, panie Pawle! — zauważył, śmiejąc się na równi z innymi, patryarcha gromady domowej, pan Fabian.

Szyłło wyprostował się i pociągnął silnie długiego wąsa.

— A cóż, panie dobrodzieju mój — rzekł grubym głosem — trzeba na chleb pracować... niema co!

— A z panną Łojwiczówną nie przywitałeś się aspan? — zainterpelował z za teorbana Ukrainiec.

Szyłło posunął się ku pannie Antoninie. Śmiano się znowu. Dwie tylko osoby z towarzystwa tego nie śmiały się. Na twarzy Michaliny zgasły promienie, które czyniły ją przed chwilą inteligentną, ożywioną, prawie piękną; spuściła oczy na robotę, ale ręka jej, trzymająca igłę, drżała i żadnego ściegu wyszyć na płótnie nie mogła.

Mieczysław zdumionemi zrazu oczyma patrzał na pana Pawła; potem powstał, przeszedł w inną stronę salonu i tam, milczący, ze skrzyżowanemi na piersi rękoma, przypatrywał się zabawom zebranego grona.

Godzina jeszcze upłynęła, zanim odjechał, ale ani razu już więcej nie zbliżył się do młodej nauczycielki. Można nawet było sądzić, że unikał widoku jej twarzy, tak stale i uporczywie starał się patrzeć w inną stronę. Ktoby go pilnie wtedy uważał, mógłby dostrzedz, że spadł na niego nagle ciężki jakiś smutek, połączony z głębokim niesmakiem.

Na pożegnanie podał, jak zwykle, rękę Michalinie, ale ręka ta nie była już tą samą, która ją dziś tak serdecznie i gorąco na ganku witała. Zimnemu uściskowi dłoni towarzyszył ukłon pełen szacunku, ale nie towarzyszyło mu spojrzenie żadne. Po chwili słychać było na dziedzińcu tętent jego konia.

Michalina stała jeszcze w tem samem miejscu, na którem pożegnał ją odjeżdżający, ręką wsparta o stół i bardzo blada.

Pod spuszczone jej powieki tak gwałtownie cisnęły się łzy palące, że powstrzymywała je tylko wysiłkiem woli.

Czuła, że pomiędzy nią, a człowiekiem, który przed chwilą wzrokiem swym i słowami poruszył w jej piersi najgłębsze struny wrażeń, spadła jedna zapora więcej, że wstyd jej brata spłynął na nią, że posępną łuną wstydu tego uderzone, oczy jego odwróciły się od niej, może na zawsze.

Nie miała żadnych sformułowanych nadziei, nie roiła o niczem, nie spodziewała się niczego; a jednak, gdy tętent konia, który unosił Mieczysława poza bramę łozowskiego dworu, ucichł, opuściła się na krzesło sztywna, bezsilna, i daremnie drżącemi rękoma szukała porzuconej roboty.

— Panno Michalino! ja chcę już spać! — zawołał tuż przy niej srebrzysty głosik Ludki.

— I ja chcę spać! — zawtórowała poetka Elżusia.

— Ale panna Michalina opowie nam dziś jeszcze o tym wielkim człowieku, co to płynął po morzu, płynął... aż odkrył Amerykę? — zagadnął Józik.

Guwernantka podniosła głowę z wysileniem, powstała, dłonią pociągnęła po czole i przytomnem, jasnem już okiem spojrzała na otaczające ją złotowłose główki.

Głosy dzieci tych były wołaniem obowiązku, które obudziło ją ze snu bolesnego. Być może, iż obręcz bólu, opasująca ciasno jej serce, nie zwolniła się przez to; niemniej przecież, jedną ręką trzymając rękę Józika, druga opasując szyję Ludki, otoczona małemi dziećmi, które czepiały się jej sukni, przechodziła przez salon krokiem powolnym i spokojnym, a zbliżając się ku drzwiom sypialnych pokojów, łagodnym, wesołym prawie głosem, rozpoczęła przyrzeczoną opowieść o wielkim człowieku, który płynął po morzu, płynął... aż odkrył Amerykę.

* * *

Parę tygodni minęło. Około południa, pan Fabian, jak najczęściej bywało, siedział w gabinecie swoim, oddany ulubionym swym artystycznym zajęciom. Przed głębokim fotelem stało biuro staroświeckie, zarzucone kawałkami papieru różnego kształtu i koloru.

Na każdym z tych kawałków znajdowały się nakreślone wiersze: tu ustęp, z drukowanego poematu jakiegoś przepisany, tam znowu własny pana Fabiana utwór, sonet, akrostych, strofy ulotne i t. p.

Biuro owo, wraz ze stojącym przed niem fotelem, pan Fabian miał zwyczaj, uśmiechając się niby żartobliwie, nazywać: »miejscem pracy«. Inne miejsce pracy znajdowało się pod oknem szerokiem, na północ wychodzącem, gdzie stały stalugi z rozciągniętem płótnem i leżały w odpowiednich przyrządach materyały do olejnego malowania.

Obrazy różnych rozmiarów, bez ram i w złoconych ramach, okrywały ściany od sufitu do podłogi. Były to, na równi z wierszami, biuro zapełniającymi, owoce wieloletniej pracy pana Fabiana.

Malowidła te przedstawiały po większej części widoki natury, zimowe, letnie, jesienne, wątpliwej bardzo wartości. Tu i owdzie tylko dawało się spostrzegać lepsze, trafniejsze pojęcie przyrody i sztuki. Śród prób tych nieszczególnych królował, w najszersze i najbogatsze ramy ujęty, portret pani Adeli.

Pomiędzy kartkami, napełniającemi biuro, znajdowało się wiele takich, na których jaśniały napisy: »Do Czarnej Lilii«, »Do Lili«, »Do L. O.«, »Do dziewicy« i po prostu »Do***«.

Pan Fabian siedział, pochylony nad arkusikiem różowego papieru, i trzymał pióro w ręce. Na papierze były napisane dwie początkowe strofy nowego poetycznego utworu. Pan Fabian pisał strofę trzecią, którą rozpoczął od dwóch następujących wierszy:

»Z wiru i tłumu, z gwarnych krzyków świata,
Myśl ma, ciszy spragniona, ku Tobie ulata...«

— Ku tobie ulata — powtórzył głośno i, podniósłszy głowę, patrzył przez chwilę w sufit. Potem, znalazłszy widać wyraz, czy myśl potrzebną, spuścił znowu pióro na papier i pisał dalej:

»Ku Tobie, czarodziejko, która stopą cichą
Mkniesz...

Podniósł znowu głowę i zamyślił się. Wziął w rękę różową kartkę i czytał wiersz od początku, deklamując półgłosem, a gdy doszedł do miejsca, w którem znajdowały się dwakroć powtórzone wyrazy: »ku tobie ulata!... ku tobie...«, głos jego zadrżał i łzy wzrok przyćmiły. Powiódł ręką po zwilgoconych powiekach i czytał dalej: — »ku tobie, czarodziejko, która stopą cichą...«

Tu drgnął całem ciałem, upuścił z ręki różową ćwiartkę i porwał się z fotelu, za plecami jego bowiem rozległ się łoskot drzwi, gwałtownie otworzonych, a oczom jego ukazała się w zwierciedle, powyżej biura zawieszonem, postać wchodzącej do pokoju pani Adeli.

Nie było to wejście, ale raczej wtargnięcie, wtargnięcie głośne w najwyższym stopniu zirytowanej gospodyni. Policzki jej były zarumienione, oczy błyszczały silnie, ręce, w których trzymała pęk brzękających kluczy, drżały.

— Fabianie! — zawołała — co to będzie z tego wszystkiego? powiedz mi, co to będzie? Czy nigdy już nie pomyślisz o tem?

— Co, duszko? z czego? co będzie? nie rozumiem — wyjąkał pan Fabian, usuwając się pod przeciwległą ścianę, w miarę, jak klapiące trzewiki posuwały się ku niemu.

— Co? z czego? — powtórzyła kobieta. — Tak! ty o niczem nie wiesz! ty nic nie rozumiesz! ty o nic nie dbasz. Pójdź, zobacz!

Daremnie byłoby opierać się. Ręka kobiety pochwyciła gwałtownie rękę mężczyzny, ciągnąc ku oknu nieopierającego się zresztą pana Fabiana.

— Patrz! patrz! — wołała pani Adela, wskazujący palec wyciągając ku poblizkiemu płotowi. — Czy to podobna! w biały dzień... doprawdy, można umrzeć ze złości i rozpaczy!

Pan Fabian oczy szeroko roztworzył, i patrzał we wskazywaną sobie stronę. Płot przezroczysty był, bo jedne ze składających go kołków pogniły i na ziemi leżały, inne, wyjęte umyślnie, posłużyły kuchcikowi i Grzesiowi ku podpalaniu w piecach. Za ażurowem ogrodzeniem tem przemykała się chyżo, ku ziemi pochylona, postać niewieścia.

— Patrz! widzisz? w biały dzień! — krzyczała pani Adela.

— Kto to, duszko? baba jakaś... nie rozumiem!...

— Baba jakaś! tak, baba! To żona kucharza! On nakradł kartofli, warzywa, i Bóg wie czego jeszcze, a ona przyszła tu teraz, w wór zabrała i poniosła.

— Skądże wiesz o tem, duszko?

— Skąd wiem? zapewne! nie wiedziałabym o niczem, bo cały dom na mojej głowie, i nie mogę rozerwać się, aby wszędzie być i wszystko widzieć za siebie i za ciebie!... Zapewne nie wiedziałabym, ale na szczęście mamy przyjaciół... Oroszczenko dopilnował i pokazał mi.

— Ach, te długie języki! — stęknął mąż.

— Długie języki? Chciałbyś zapewne, aby wszyscy milczeli, albo o poezyach tylko rozprawiali. Niech kradną, niech roznoszą, niech rozrywają!...

— Ty bo, Adziu, tak zaraz wszystkiemu wierzysz...

— O, Boże mocny! a ty nie wierzysz? Widziałeś przecież na własne oczy...

— Może to niesłuszne podejrzenie... może ona co innego niosła.

— Co innego?... Boże jedyny! Mówię ci przecie, że Oroszczenko sam widział i przybiegł, aby mnie ostrzedz.

— Duszko — przemówił pan Fabian łagodząco — i cóż tam znowu tak ważnego, jeśli biedni ludzie pożywią się przy nas odrobinę?

Pani Adela schwyciła się obu rękoma za głowę.

— A to doprawdy zwaryować można! Pożywią się!... mało ich jeszcze żywi się przy nas? Ale to kradzież! Czy ty sumienia nie masz, żeby pozwalać ludziom na grzech taki?... Pożywią się! a kto nas żywić będzie i dzieci nasze, jak majątek z dymem pójdzie?...

— Poco znowu ma z dymem iść? jakoś to będzie.

— Nic nie będzie! jeszcze lat trzy, cztery, a wszystko pójdzie na marne. Długów pełno! Jankiel już nie chce mięsa na kredyt dawać... z głodu kiedyś pomrzemy razem z dziećmi!

— Adziu! poco zaraz te desperacye? Powinniśmy ufać wyższej nad nami opiece. Opatrzność więcej ma, niż rozdała.

— Tak, tak! zdawaj się na Opatrzność, a sam wiersze pisz i pejzaże maluj!

— Duszko! — szepnął znowu pan Fabian — nie samym przecież tylko chlebem człowiek żyć powinien.

— Zawijasz ty jednak dobrze i chleb, i mięso, a tylko o żonę i o dzieci nie dbasz, czy będą za rok jaki chleb miały.

Potok łez polał się z jej oczu. Na widok ten, pan Fabian struchlał.

— Adziu — zawołał — nie płaczże, proszę cię, nie płacz! nie mogę patrzeć na łzy! Tyś matką moich aniołków, ale widzisz...

Kobieta z gwałtownem łkaniem, przycisnąwszy chustkę do twarzy, wyszła, trzaskając za sobą drzwiami. Pan Fabian stał na środku gabinetu, i ze wzburzoną twarzą słuchał oddalających się kroków żony.

— O, Boże mój, Boże! któż mnie od tego przeklętego gospodarstwa wybawi? — zawołał w końcu, załamując ręce.

W tej chwili uchyliły się po cichu drzwi, z gabinetu do przedpokoju wiodące, i głos niewidzialnej osoby jakiejś, głos cichy, ostrożny, ugrzeczniony, wymówił:

— Czy można?

— A kto tam? — zapytał pan Fabian.

— Eli Makower — odpowiedział głos za uchylonemi drzwiami.

— Proszę! proszę! — wyrzekł pan Fabian z widocznem strapieniem i stęskniony wzrok rzucił na pulpit z rozpoczętym krajobrazem.

Jednocześnie pani Adela, szybko płacz swój ukoiwszy, zarządzać poczynała w garderobie śledztwo przeciwko niewiernemu kucharzowi; zaledwie jednak zdołała zgromadzić parę wiarogodnych świadectw, aliści w bramie dziedzińca ukazała się zgrabna karetka, sześcią koni zaprzężona i podróżnemi pakami w górze i z tyłu obciążona.

— Wody! mydła! kucharza! — rozległy się wołania pani Adeli. — Grześ niech nowy surdut włoży! kołnierzyk czysty! indyk na pieczyste!... Ale ktoby to mógł być taki?

— Jeżeli się nie mylę, — wycedziła, patrząc w okno, pani Eustachia — to pani Ręczycowa przyjechała.

— Jezus Marya! — krzyknęła gospodyni domu — pani Ręczycowa!... Po indyku legumina z chleba!... Taka elegantka... Prędzejże, gamoniu! kołnierzyk koronką oszyty!... O! panno Antonino, zlituj się, mankiet mi zapnij. A włosy moje, włosy! dawajcie prędko grzebienia!...

W kilka minut potem, na kanapie bawialnego salonu siedziały obok siebie pani Malwina, w kapeluszu ozdobionym marabutami i w tureckim szalu na ramionach, i pani Adela, w wełnianej sukni, w krzywo włożonym kołnierzyku z koronką i z rękoma świeżo umytemi.

— Ślicznie mi wyglądasz, duszo moja, choć to Bóg wie, jak dawno cię nie widziałam. Projektowałyśmy codziennie z Różą i Florą odwiedzić Łozową... tylko że jestem zawsze tak zaaferowana... Ale ślicznie mi wyglądasz!

— Gdzie tam! pani łaskawa, gdzie to ja mogę dobrze wyglądać!... Tyle zmartwień, kłopotów, irytacyi...

— Rozrywek-by ci trzeba, kochaneczko, rozrywek koniecznie. Poszłaś w ślady swojej mamy, która sławną gospodynią była... Ja rozrywam się, jak mogę, i nieźle mi z tem, jak widzisz...

— Ach, pani kochana, jak ja mogę o rozrywkach myśleć?

Pani znasz mego męża. Złote serce! najlepszy, najszlachetniejszy człowiek w świecie, ale za temi sztukami Bożego świata nie widzi... na mojej głowie wszystko...

— Taka już jego pasya, duszo moja! Każdy człowiek musi mieć swoje pasye... Czy dawno byłaś w N.?

— Gdzie mi tam, pani kochana, po miastach jeździć? Poza domem i gospodarstwem nic dla mnie niema. Teraz sługi takie, że tylko spuścić się na nie, a dom ci rozniosą. Fabian na nic uwagi nie zwraca, niczego nie dojrzy...

— Rozrywek-by mu trzeba, rozrywek koniecznie! Figuruj sobie, moja duszo, że ja się do N. na mieszkanie przenoszę. Jakiegoś poziewania dostałam... wracam właśnie z N. Siedm pokoików, duszo moja, najęłam... Róża i Flora pojadą naturalnie ze mną, a za dwa tygodnie najdalej meble z Warszawy przyjdą... panny służące dwie tylko ze sobą biorę... lokaja, furmana i kucharza, więcej nikogo... parę koni i kabryolet od Rentla... Nie wiem tylko, co z Francuzką zrobię.

— Z jaką Francuzką?

— *Demoiselle de compagnie...* trochę jeszcze i guwernantka. Wzięłam ją do Flory, ale teraz mi już niepotrzebna; w mieście ambaras z mieszkaniem... Flory edukacyę dokończą metrowie, a i tak będzie nam ciasno. Otóż, figuruj sobie, duszo moja, przyszła mi do głowy idea, czy ty czasem do swoich maleńkich Francuzki mojej nie weźmiesz.

— Ja pani? od dwóch miesięcy mam już guwernantkę...

— Co? duszo moja! kogo? tę Michalinę? Ależ wstydź się! to prosta dziewczyna! maniery żadnej, prononcyacya francuska najgorsza, a przytem: *Szyłło!* remarkuj sobie: Szyłło. Krztusiłam się zawsze, wymawiając to nazwisko... Moja Francuzka, *mademoiselle Zoe de Brunelle...* remarkuj sobie: *Brunelle* i *de*, jest *de!* Zubożała arystokratka, kochaneczko! Maniera wspaniała, prononcyacya paryska... za miesiąc ci dzieci nauczy mówić po francusku cudownie, a przytem, między nami mówiąc... to dystynkcya dla domu! Czemże twoje dzieci gorsze od innych, aby francuskiej guwernantki mieć nie mogły? Nie prawdaż? ręczę, że nie umieją jeszcze mówić po francusku.

— W istocie... Ludka dopiero zaczyna mówić tym językiem, a Józik, Staś, Elżusia i Marynia mówią tylko: *maman, merci, bonjour...*

— A widzisz, duszo moja, to wstyd, wielki wstyd! Dzieci twoje wyrzucać ci to będą kiedyś, że zaniedbałaś ich edukacyę.

Pani Malwina długo jeszcze przemawiała w ten sposób do macierzyńskiego serca i do próżności pani Adeli. Bardzo snadź leżało jej na sercu pozbycie się francuskiej guwernantki przed wyjazdem do miasta...

Matkę siedmiu aniołków pociągało ku sobie mocno uczynione jej przedstawienie, najprzód dlatego, że oddawna już bolała nad głębokim obskurantyzmem dzieci swych co do francuskiego języka, a potem, że myśl o posiadaniu w swym domu Francuzki łechtała jej miłość własną.

— Przynosi to dystynkcyę domowi! — mówiła pani Malwina. W dodatku tajemnicza przepowiednia pani Eustachii co do Michaliny wisiała zawsze nad głową pani Adeli, niby niewidzialny i nieokreślonego kształtu miecz Damoklesowy.

Panna Antonina nakoniec, po wielekroć już zwracała uwagę swej chlebodawczyni na szczególny stosunek, zdający się zachodzić pomiędzy Michaliną a młodym Orchowskim, który od czasu jej przybycia stał się w Łozowej niezwykle częstym gościem.

—Romansują z sobą napewno—przestrzegała rezydentka...— Święty Boże! święty, mocny! Jak amen w pacierzu nieprzyjemności stąd wynikną różne... i zły przykład dla Ludki...

— Bierz moją Francuzkę, bierz, — mówiła pani Malwina — a Michalinę tę odpraw... Ma przecież stryja, to niech sobie u niego siedzi.

— Pomyślę... — odpowiedziała pani Adela — naradzę się z Fabianem...

— No, pomyśl, naradź się i zakomunikuj mi listownie, co wymyślisz i uradzisz... Będę czekała na list twój trzy dni najdłużej... Jeżeli nie zechcesz panny de Brunelle, to zawiozę ją do Orchowa, dla Lili... Dziwna rzecz, że mi ta myśl wprzódy do głowy nie przyszła; ale do Łozowej po drodze jakoś... zajechałam... Tymczasem adieu, duszo moja. Jeżeli przyjedziesz tej zimy do N., to proszę, odwiedź mię.

— Pani kochana, a obiad? natychmiast podadzą.

— Nie mam czasu, duszo moja, nie mam czasu! jestem tak zaaferowana... Róża i Flora czekają mię w domu, a Dorosia szyje mi dwie suknie. Ta dziewczyna bardzo jest zręczną; ale może je źle skroiła. *Adieu, adieu,* duszo moja! Weź moją de Brunelle, pamiętaj! Dla dzieci trzeba przecież coś zrobić... a przyjeżdżaj do N., rozerwiesz się. Ucałuj swoje maleństwa ode mnie. *Adieu! au revoir!*

Kareta właśnie odjeżdżała od ganku, uwożąc panią Mal-

winę, przez szybę jeszcze ku oknom domu całusy ręką posyłającą, gdy pan Fabian wszedł do salonu.

Przeciwko zwyczajowi drzwi od gyneceum nie były zamknięte; w szarych głębinach gospodarskich komnat rozlegały się wołania pani Adeli:

— Powiedz Jerzemu, żeby indyka nie piekł!... filiżanki pochowaj!... Grześ niech nowy surdut zdejmie!...

Spostrzegła męża przez drzwi otwarte i weszła do salonu.

— Czemuś do nas nie wyszedł? Czy i gości bawić ja jedna tylko mam obowiązek?

— Bawiła tak krótko, a ja tam byłem interesami zajęty.

Pani Adela zaśmiała się szyderczo.

— Ty, interesami zajęty? to koniec świata chyba...

— Nie, duszko, ale przyjechał Makower, wiesz...

— Wiem! wiem! I cóż ten Makower?

— Chce Łozowę w dzierżawę wziąć.

— Chce wziąć? to i chwała Bogu. Wszyscy teraz Żydom majątki w dzierżawę oddają. A ileż on za Łozowę daje?

— Nieźle daje.

— No, już ty się na tem znasz, jak koza na pieprzu. Ileż?

Pan Fabian wymienił sumę rocznej dzierżawy, przez Elego mu ofiarowaną. Pani Adela z wielkiego zadowolenia rękoma plasnęła.

— Święty Boże! — zawołała — ten Żyd oszalał chyba, żeby tyle dawać! Ty i połowy dochodu tego nie masz z Łozowej... Ale prawda, jaki ty możesz mieć dochód, wiersze pisząc i pejzaże malując?...

— Jakże więc zrobić, duszko?

— I ty się pytasz jeszcze? Oddaj mu Łozowę i w rękę go pocałuj. Będzie przynajmniej grosz gotowy i ten złodziej ekonom precz pójdzie. Już na niego oddawna patrzeć nie mogę.

— Ty bo, duszko, rządzisz się swą osobistą niechęcią dla tego człowieka, ja zaś co innego miałbym na względzie.

— Cóż takiego, naprzykład?

— Ci Żydzi, widzisz, to tacy brudni, nieestetyczni...

— Święty Boże! jemu trzeba, aby dzierżawca majątku był estetycznym!

— Nie, duszko, ale zaraz mi dwór zanieczyszczą... ogród szczególniej... śmieci zaraz pełno będzie.

Pani Adela, ze wzgardliwym wyrazem twarzy, głową kiwała.

— Oj ty poeto! poeto! — zawołała. — Tu idzie o zachowa-

nie kawałka chleba dla nas i dla dzieci, o wyratowanie się z długów, o wypędzenie precz tego złodzieja ekonoma, co to już nas od lat tylu okrada, a ty myślisz o ogrodzie i o śmieciach... Ale prawda, czy to ty dbasz o co? czy ty...

— No, nie irytuj się znowu tak zaraz. Ja sam chciałbym bardzo kłopoty te z głowy zrzucić...

— To je zrzuć!

— Trzeba będzie pojechać z Makowerem do N., Augustyn Szyłło kontrakt napisze... Muszę tylko zawarować w kontrakcie, żeby dzieci ich przynajmniej wstępu do ogrodu nie miały.

— A ekscepcye? — zapytała pani Adela. — Ręczę, że zapomniałbyś o ekscepcyach, gdybym ja ich nie przypomniała. Żyta na chleb beczek piętnaście najmniej, pszenicy na bułki... jęczmienia i gryki pomyślę jeszcze ile...

— Napisz, duszko, regestrzyk.

— A prawda, choć raz rozsądnie o gospodarstwie pomyślałeś. A teraz rzecz inna. Trzeba Michalinę Szyłłównę odprawić.

— Odprawić? a dlaczego? — ze zdumieniem zawołał pan Fabian.

— Zdarza się nam do dzieci Francuzka, — zniżonym głosem mówiła pani Adela — osoba podobno pięknie wykształcona, z dobrym układem i paryską prononcyacyą. Nie można takiej okazyi opuszczać. Dzieci nasze nic jeszcze prawie po francusku nie umieją...

— Ależ duszko! osoba ta zdaje się dobra...

— Dobra! — uśmiechnęła się pani Adela. — O! nie tak bardzo znów dobra, jak się zdaje z pozoru. Zaraz pierwszego wieczora radziła mi, abyśmy tych biedaków, co tu u nas siedzą, z domu naszego wyprawili... Mówiła, że powinniby znaleźć sobie jakie zatrudnienie...

— Fi! — zawołał pan Fabian — takie zimne zdanie u kobiety!

— A widzisz! serce snadź nieszczególne. Co się zaś tyczy nauki...

— Uważałem, uważałem, — przerwał pan Fabian — że zbytecznie Ludkę do książki zasadza. Przychodziła mnie samemu do głowy obawa, aby nam z niej pedantki nie zrobiła. Nauka wysusza serce w kobiecie...

— Wysusza, czy nie wysusza, dość tego, że ja z niej nie jestem zadowolona. Skromne to na pozór i niewymagające, ale Bóg wie, ile jeszcze kosztować może w przyszłości.

— Co tam koszty! najgorzej to, że serce, jak pokazuje się, ma niedobre, i może aniołki nasze chłodem zarazić...

— Więc jakże zrobić?

— A jak sobie chcesz, Adziu.

— Tak, tak! wszystko na moją głowę, na moją odpowiedzialność zwalać najlepiej, najwygodniej dla ciebie! A tyś nie mężczyzna? nie pan domu? nie ojciec twoich dzieci?

— No, — rzekł pan Fabian, gładząc łysinę — później to zdecydujemy... Makower czeka na mnie w gabinecie, muszę powiedzieć mu, że zgadzam się, i dzień wyjazdu do N. naznaczyć.

— Nie zapomnijże tylko o ekscepcyi... Kartofli do karmienia wieprzy... pośladu, żyta i jęczmienia dla kur...

— Dobrze! dobrze! napisz regestrzyk.

— Proszę pani mąki na kluski! — ozwał się z głębi gospodarskich komnat głos cienki i donośny, a przez drzwi nawpół uchylone, ponad osmoloną ręką, trzymającą rondelek, ukazała się głowa kuchcika.

Konferencya przerwana zawiązała się na nowo pomiędzy małżeństwem, przed udaniem się na spoczynek i, do żadnego jeszcze stanowczego wyniku nie doprowadziwszy, powtórzyła się nazajutrz i jeszcze dnia następnego po kilka razy. Złote serca państwa Fabianostwa czyniły im odprawienie młodej guwernantki bardzo trudnem.

Namyślali się, naradzali i w taką niezgodę z własnem sercem i sumieniem popadli, że przez dwa wieczory, z niespokojności wielkiej, pan Fabian nie dotknął wiolonczeli, a pani Adela nie cerowała pończoch.

Najszczególniejszem zaś było to, że przez dwa te wieczory pani Adela okazywała się wyjątkowo łaskawą względem dwóch rezydentek, wywołując umyślnie ich uwagi o Michalinie i szukając w podszeptach ich usprawiedliwienia własnych chęci.

Przyszedł nakoniec dzień trzeci, jako termin ostateczny, przez panią Malwinę naznaczony.

Pani Adela w przedobiedniej porze weszła do pokoju guwernantki, z wyrazem twarzy niezwykle uroczystym, bez kluczy nawet i w czepku prawidłowo na włosy włożonym. Lekcya była skończona; dzieci rozsypały się po domu, a nauczycielka układała książki i przeglądała zeszyty swoich uczniów.

— Kochana panno Michalino, — zaczęła pani domu — bardzo mi przykro, doprawdy, ale muszę powiedzieć pani rzecz nieprzyjemną...

Zawahała się chwilę, odchrząknęła i ze spuszczonemi oczyma dokończyła:

— Pomimo najlepszych chęci naszych dla pani... ja i mąż mój... nie możemy dłużej mieć pani w domu naszym...

Michalina, jak piorunem rażona, podniosła głowę i na kobietę mówiącą spojrzała zdumionemi oczyma.

— Pani! — zawołała — za co? dlaczego?

— Ależ za nic, kochana panno Michalino, za nic! nie trzeba się znowu tak zaraz obrażać i irytować. Jesteś pani młodą i nie wiesz, co to rodzicielskie kłopoty i obowiązki. Zdarza nam się nauczycielka Francuzka... Nie możemy.. dla dobra dzieci naszych, nie możemy okazyi takiej opuszczać.

Gwałtowne rumieńce wytrysnęły na twarz Michaliny, oczy jej błysnęły obrazą, żalem.

— Pani! — rzekła drżącym od wzburzenia głosem. — Pokochałam dzieci państwa... i one także przywiązały się do mnie... Są one jeszcze tak małe i tak niewiele umieją, że to, co ja umiem, na długo wystarczyć im może... Dlaczegoż więc...

Nie dokończyła. Uderzenia serca, wezbranego bolesnemi uczuciami, zatamowały jej mowę. Nie pochyliła jednak tym razem głowy, nie spuściła oczu, owszem, patrzyła w twarz pani Adeli wzrokiem, w którym malowała się śmiałość czystego sumienia i duma niewinności, czującej, że dzieje się jej krzywda.

Pani Adela, pod wpływem wzroku tego, spuściła powieki i machinalnym ruchem szukała u pasa przebywających tam zawsze kluczy.

— Poco się pani tak irytuje? — zaczęła po chwili. — Mój Boże! nie znasz pani jeszcze prawdziwych zgryzot i zmartwień. Wszakże dla pani wszystko jedno... tu być, czy tam... u nas, czy gdzieindziej... Ja sama postaram się dla pani o miejsce... zarekomenduję panią do jakiego znajomego domu... Tę Francuzkę, widzi pani, nastręcza mi pani Ręczycowa... osoba tak poważna... zacna... i dla której mam obowiązek wdzięczności, bo, jeszcze niezamężną będąc, bywałam u niej z nieboszczką matką moją bardzo często na wieczorach i bawiłam się w jej domu wybornie... Niech sobie mówią o mnie, że jestem skąpą, gderaczką, może i jestem taką... ale mam serce i nigdy nie zapominam o tem, co komu winna jestem... Pani Ręczycowa życzy sobie, żebym wzięła z jej domu tę Francuzkę...

Byłaby długo jeszcze usprawiedliwiała się w ten sposób; ale Michalina przerwała jej mowę.

— Przebacz pani, — rzekła — ale trudno mi bez słowa

obrony zgodzić się na rzecz, która... która z wielu względów wyrządza mi krzywdę. Częste zmienianie miejsc pobytu przynosi złą sławę nauczycielce... jestem przytem ubogą i nie mam własnego domu, do którego odjechaćbym mogła...

— Pani masz stryja... — przerwała z kolei pani Adela.

— Tak, pani, ale dom stryja mego nie jest moim domem. Postanowiłam od lat najmłodszych żyć z własnej pracy i niczego nie obawiam się więcej, jak przyczynić ciężaru ludziom, którzy i bez tego zrobili mi wiele, wiele dobrego...

— Wszystko to jest bardzo szlachetne ze strony pani; ale cóż my temu winni, że pani nie masz własnego domu, a u stryja swego mieszkać nie chcesz?...

— Pani! — zawoła Michalina — a cóżem ja zawiniła państwu? Starałam się spełniać sumiennie przyjęte obowiązki, ale sądziłam, że i państwo zechcecie także spełnić dane mi przyrzeczenia... Pan Łozowicz, przyjeżdżając po mnie do Orchowa, umówił mnie na rok cały...

— A! — zawołała, rumieniąc się, pani Adela — pani więc powołujesz się na umowę? Oho! znać zaraz, że jesteś synowicą prawnika. Fi! fi! panno Michalino, to wstyd, żeby kobieta odwoływała się do jakichś tam umów! Pilnowanie się kontraktów do mężczyzn należy; kobieta sercem tylko rozsądzać wszystko powinna...

Ręce guwernantki, splecione i na książce złożone, drżały. Była tak blada, że zdawało się, jakby pod wpływem obrazy i żalu cała krew jej zbiegła do serca.

— Tak, pani, — wymówiła stłumionym głosem — dobrze jest, jeśli uczucia rządzą stosunkami ludzkimi; ale tam, gdzie ich braknie, wolno każdemu odwołać się do umowy.

— A więc wytocz nam pani proces! — zawołała pani Adela, zirytowana niezmiernie oporem guwernantki. — Przyjdzie to nawet pani z łatwością... Stryjaszek kochany, jako prawnik, dopomoże jej w tem i skargę do sądu na nas napisze... Ja tylko to pannie Michalinie powiem, że od dzisiejszego dnia stryj pani nie jest plenipotentem mego męża... Dziś zaraz Fabian pojedzie do N. i cofnie stryjowi swoją plenipotencyę...

Ostatnim słowom pani Adeli towarzyszyło klapanie przydeptanych trzewików, które zwracały się w stronę gabinetu pana Fabiana.

Guwernantka zmieniła nagle postawę. Ogień dumnego oporu zagasł w jej oku, ustępując przed wyrazem przestrachu. Wiedziała o tem, że Łozowicz był jednym z głównych klientów jej

stryja; pomyślała, że strata klienta tego odbić się może bardzo znacząco na niezamożnym bycie obarczonego rodziną prawnika.

— Pani! — zawołała, postępując parę kroków za odchodzącą kobietą — niech pani wstrzyma się... niech pani stryja mego w tę sprawę nie miesza... Odjadę bez żadnej pretensyi choćby dziś, za godzinę odjadę.

Pani Adela zmieszała się znowu i, kilka już tylko słów wymówiwszy, odeszła. Tego samego dnia wysłano konnego posłańca z listem do Ręczyna, a we dwa dni potem Michaliny w Łozowej nie było.

Dzieci płakały po kątach, ze strachem oczekując powrotu ojca, który nie najtyczanką już, jak po pannę Szyłłównę, ale naprędce wyreparowanym powozem pojechał po pannę de Brunelle.

Panna Zoe przybyła; nad wieczorem zaś, w porze, gdy całe domowe towarzystwo, z wyjątkiem nowej guwernantki i dwojga jej uczniów, zebrane było w sali jadalnej przy herbacie, parokonna bryczka zajechała przed ganek.

— Pan Mieczysław przyjechał! — wesoło zawołał pan Fabian i wybiegł do sieni.

— Grzesiu! nowy surdut! — zcicha i z pośpiechem zadysponowała pani domu. — Jerzy niech co najprędzej po mąkę na wafle przychodzi! Maselniczkę kryształową wyjm z szafy!

Panna Antonina figlarnie mrugała oczyma.

— To dopiero oszuka się, jak jej tu już nie znajdzie! — szepnęła do ucha pani domu.

Mieczysław wszedł, a gdy witał wszystkich z kolei, wzrokiem szukał pomiędzy zgromadzonemi osobami twarzy, której nie ujrzawszy, zajął przy stole wskazane sobie przez gospodarza miejsce i często spoglądał na drzwi gyneceum, w perspektywie dwóch bawialnych salonów widzialne.

Po upływie dobrego kwadransa drzwi te otworzyły się i przez salony, z powagą i wyniosłością, z szelestem jedwabnej sukni, z głową podniesioną i lasem długich, czarnych loków obwieszoną, kroczyła panna de Brunelle.

Za nią postępowała Ludka, łkając i łzy ręką ocierając, i Józik, który za plecami nowej nauczycielki swej wystawiał język, pięść składał w kształt figi, nogą próbował następować na olbrzymi ogon jej sukni, słowem, czynił wszystko, co mógł, aby usprawiedliwić nadawaną sobie nazwę wisusa.

Pani Adela z pośpiechem nalała dla panny Brunelle szklankę herbaty, bacząc pilnie, aby była dość słodka i dość mocna, pan Fabian pełnym galanteryi ruchem przysunął krzesło jej do stołu, pani Eustachia poprawiła pocerowane swe jedwabie, panna Antonina posunęła ku miejscu, które zająć miała Francuzka, koszyk z bułkami i kryształową maselniczkę; rezydenci zaś mężczyźni oniemieli i wytrzeszczyli oczy.

Mieczysław przerwał rozmowę swą z panem Fabianem w połowie wyrazu i ze zdumieniem wpatrzył się w znajomą sobie trochę francuską guwernantkę.

— Czy państwo wzięliście do domu swego drugą jeszcze nauczycielkę? — zapytał półgłosem młody Orchowski.

— Nie, nie! — odparł gospodarz, gładząc łysinę. — Panna Szyłłówna odjechała do N. Moja żona, widzi pan, mojażona i ja sądziliśmy, że dzieci nasze więcej korzystać będą przy nauczycielce Francuzce...

Szkarłatny rumieniec oblał czoło Mieczysława; wzrok jego, swobodny zwykle, prawie wesoły, stał się na chwilę tak surowym, jakby z ust jego, które drgnęły lekko, wymknąć się miał wykrzyk oburzenia i wyrzutu.

Powściągnął się jednak szybko, przez uczucie towarzyskiej przyzwoitości, ale rozmowa pomiędzy nim a gospodarzem domu nawiązać się już nie mogła.

Młody gość roztargniony był, a odpowiadając na zadawane sobie pytania, o czem innem widocznie myślał. W połowie już wieczoru pożegnał gospodarstwo domu.

— Może państwo zechcecie dać mi zlecenie jakie do N.? — zapytał z obojętną grzecznością. — Jadę tam jutro...

Zleceń żadnych nie było, pan Fabian bowiem wybierał się sam do głównego miasta okolicy, dla załatwienia kontraktowej sprawy z przyszłym dzierżawcą swego majątku. Panna Antonina znacząco na panią Adelę spojrzała.

— A co? — szepnęła — leci za nią! Co to z tego będzie? Święty Boże! święty, mocny!

X.

Gubernialne miasto N., o ośm mil mniej więcej od Orchowa, Ręczyna i Łozowej odległe, jak wszystkie prawie litewskie miasta, nie jest ani bardzo zamożne, ani zewnętrzną okazałością

błyszczące; stanowi przecież jeden z głównych punktów, w których koncentrują się kapitały ruchome, sprawy bieżące, a w znacznej części i inteligencya prowincyi.

Nie na żadnej jednak z głównych i ozdobnych ulic miasta mieszkał Augustyn Szyłło, stryj Michaliny. Mieszkanie, które zajmował wraz ze swą rodziną, znajdowało się w domu drewnianym, starym i pochyłym, wsuniętym w głąb dziedzińca obszernego i dokoła ostawionego budynkami, również niepozornie wyglądającymi.

Dziedziniec był porośnięty w lecie trawą skąpą i żółtą od pyłu, w jesieni i na wiosnę pokrywało go błoto, za ogrodzeniem zaś, przypominającem budową swą wiejskie zagrody, biegła ulica niebrukowana, z kilkunastu domami również drewnianymi, z za których wyglądały szczyty nędznych drzew owocowych. Jeden koniec ulicy tej wybiegał z zaułka, ku głównym ulicom wiodącego, drugi spotykał się z szeroką, bitą drogą, która, okrążając w połowie miasto, wiodła miejscowe powozy i dorożki pod wysokie i z dala widzialne ściany pierwszorzędnego dworca kolei żelaznej.

Augustyn Szyłło był człowiekiem pięćdziesięcioletnim, średniego wzrostu, z głową okrytą napół posiwiałymi już włosami. Twarz jego o rysach ściągłych, zarostu wszelkiego pozbawioną, przyoblekała cera żółtawa i zwiędła, taka, jaką odznaczają się zazwyczaj oblicza ludzi, którzy znaczną część lat swoich spędzili w zamknięciu, wśród ścian wilgotnych i mrocznych.

Z tą żółtą, niezdrową cerą twarzy zgadzał się spłowiały błękit oczu, w których, obok przyrodzonej łagodności, migotały wciąż niespokojnemi światełkami troska, niepokój; zgadzało się z nią i czoło niewysokie, pospolicie zarysowane, a rojem fałd i zmarszczek pokryte.

Idąc, pan Augustyn trzymał się pochyło, a prawe ramię jego podnosiło się wyżej nieco od lewego. Lekkie to skrzywienie fizyczne odznacza zawsze ludzi, którzy długo siadywali za stołem, i prawą ręką, uzbrojoną w pióro, wodzili po papierze przez lat dziesiątki.

W domu przebywając, a najczęściej nawet i na miasto wychodząc, Augustyn Szyłło miewał na sobie ubranie, z taniego bardzo materyału sporządzone i wytarte nieco, obuwie proste, grube, czapkę sukienną z daszkiem; był to strój jego najzwyklejszy, do powszednich okoliczności życia zastosowany.

Niekiedy jednak widywano go ubranego w czarny tużurek, z połyskującem obuwiem na nogach, z wysokim, błyszczącym

kapeluszem na głowie, w rękawiczkach nowych, i jeśli dzień był chłodny, w paltocie bardzo porządnie wyglądającym.

Był to strój, przywdziewany przez Szyłłę w uroczystych wypadkach jego życia, wtedy, gdy udawał się do której z miejscowych juryzdykcyi sądowych, lub do którego z przybyłych ze wsi możniejszych swych klientów.

Biografia człowieka tego w głównych swych zarysach przedstawiała się dość prostą i pospolitą. Był on młodszym z dwóch synów właściciela niewielkiej wioski.

Starszy brat jego, ojciec Pawła i Michaliny, pozostał na dziedzicznym kawałku gleby, oddając się, wzorem przodków, zawodowi rolnika; Augustyn zaś, w ośmnastym roku życia swego, po ukończeniu pięciu klas gimnazyalnych, wstąpił do jednego z biur rządowych.

Rolnik lub kancelista, były to dwa zawody, wedle ówczesnych wyobrażeń, jedynie możebne dla szlacheckich synów. Bracia też podzielili się dwiema temi drogami.

Augustyn ożenił się wkrótce z córką sąsiada, młodą i hożą dzieweczką, i zamieszkał w mieście, poczem, przepisując zrazu urzędowe papiery, następnie pisząc je w pewnej mierze już samoistnie, zatrzymując się po lat kilka na każdym z różnych stopni urzędowej hierarchii, po dwudziestu pięciu latach służby biurowej, doszedł do urzędu naczelnika stołu.

Położenie jednak, w którem się znalazł po ostatecznym tym awansie, było dla materyalnego bytu jego dość dogodne, dla ambicyi jego wystarczające. Niewytwornym zapewne był ten byt, niewymagającą była ta ambicya, nikt wszakże nie widział Szyłły w owym czasie zasępionego i niezadowolonego, nikt od niego skargi nie usłyszał żadnej.

Zwierzchnicy uznawali w nim urzędnika pilnego i sumiennego, koledzy lubili go, dobra sława jego najlżejszemu nigdy nie uległa szwankowi, przez świat i życie przesuwał się cicho, niepostrzeżenie, bez blasku ni wysokich pretensyi, ale z czołem wypogodzonem, z sumieniem i mieniem czystem.

Żyłby tak długo, zapewne do końca lat swych, pracując ciężko, choć cicho i nieznacznie, zadowalając się warunkami swego bytu i położenia, a poezyę życia czerpiąc z rodzinnego ogniska, coraz liczniej obsiadywanego przez małe lub podrastające dzieci, gdyby nie nagła katastrofa.

Katastrofa to była ta sama, która, spadając na dwory wiejskie, właścicieli ich zmusiła do roztworzenia rzadko przedtem roztwieranych ksiąg rachunkowych. Spadła ona nietylko na wsie,

ale i na miasta, i objawiła się mieszkańcom tych ostatnich skutkami innej nieco natury, niemniej jednak stanowczo życie ich na dwie połowy rozcinającymi.

Bywają w dziejach momenty szczególne, nagłemi zmianami w losach jednostek, społeczność składających, napiętnowane. Od najwyższej do najniższej warstwy ludności, od tej, która przywykła przodować, do tej, której wiekuistem przeznaczeniem wydawało się posłuszeństwo — żadna nie pozostaje wtedy na dawnem swem miejscu, w uprzednich warunkach bytu.

Ci spadają, tamci podnoszą się; pod stopami jednych grunt wstrząśniony zapada się w wądoły i przepaści, aby pod stopami innych roztoczyć kwitnące równiny, lub wzdymać się w wyniosłe wzgórza.

Drogi dawne zacierają się bez śladu, a nowe zarysowują się niewyraźnemi zrazu liniami. Ściany domostw z niemem zdumieniem spoglądać się zdają na całkiem nowe twarze, które je zapełniają, podczas gdy dawne, dobrze znane, te, które w cieniu ich uśmiechały się pierwszymi uśmiechami dzieciństwa, rumieniły się ogniami dojrzałego wieku i okrywały zmarszczkami nadchodzącej starości, przestępują próg ich, aby więcej nie wrócić.

Ludzie z najróżniejszych stron i stopni dziedziny społecznej schodzą się, mieszają w jeden tłum błędny i popychający się nawzajem; jedni drugim następują na stopy i włażą na plecy. Ci, którzy nie znali się dawniej, twarzą w twarz stają przed sobą i daremnie oglądają się za tem, do czego przywykli, z czem zżyli się, a co ucieka od nich i znika we mgle nieprzebytego oddalenia.

Jest to zamieszanie, chaos, toń zawrotna, z której społeczność, po upłynionym momencie wiru i ogłuszenia, powstaje częstokroć odrodzona, z dawnych kalectw uleczona, ze starych plam obmyta, ale w których jednostki słabe, do walki niezaprawione, giną wśród smutków, trosk, łez i... głodu, niby tragiczne ofiary, ciałami i duchami swymi ścielące drogę nieubłaganej logice dziejów.

W tej samej porze, w której do dworów wiejskich wstępowały troski, dawniej tu nieznane, drzwi kancelaryi miejskich pootwierały się na oścież, a przez nie dawni ludzie wyszli, nowi weszli.

Augustyn Szyłło, wraz z dziesiątkami, setkami współtowarzyszy swych, utracił posadę. Przygarbiony i posiwiały,

wstał ze stołka, na którym dwadzieścia siedm lat siadywał, i poszedł...

Poszli wszyscy i stanęli wśród ulic miejskich, na twardym, nagim bruku. Nie byli sami. Wkoło nich stały żony ich, matki, siostry, rojem otaczały ich dzieci drobne lub dorastające...

Co czynić? Nie pójść im już teraz do pługa, nie imać się młota, nie wdziewać na plecy, od lat i pracy schylone, studenckiego munduru! Pracowali dotąd w zawodzie, do którego dostatecznie, lecz wyłącznie byli usposobieni.

Jedyną umiejętnością, jaką posiadali, było przepisywanie lub pisanie urzędowych aktów; cała wiedza ich mieściła się w kilku tomach kodeksu prawnego i w tych szafach odwiecznych, nadpróchniałych, w których zżółkłe od starości, pyłem poprzegryzane, spoczywały biurowe archiwa. Dziś umiejętność ta i wiedza stały się im nagle zupełnie bezużytecznemi.

W ten to sposób, wśród mnóstwa innych, nowych całkiem zjawisk, powstało jedno jeszcze, a mniej dziwne, powstał osobliwszy proletaryat, złożony z ludzi bez własności, bez dachu, bez żadnej określonej kondycyi, bez przystępnej im pracy, bez możności zarobkowania...

Rozeszli się. Dokąd poszli? Ha! na traf szczęścia, na łaskę miłosierdzia ludzkiego. Rozeszli się, niosąc na głowach zdwojoną ilość włosów białych, na plecach gromady istot, z rąk ich wyglądających wyżywienia.

Jedni powędrowali w strony dalekie, tam, gdzie trudnić się mogli tem, czem trudnili się długie lata w stronie rodzinnej; inni utulili się w kątach cichych, zapadłych, kędy chleb najtańszy, a litość ludzka najczynniejsza; inni jeszcze z bohaterskiem nieledwie wysiłkiem, poprzez głód, chłód i łzy, wdarli się na ścieżki ciasne dla nich, bo nowe; inni nakoniec, po krótszej lub dłuższej walce, stopniowo lub nagle, według charakteru i okoliczności, puścili się na zarobki łatwe, przestąpili progi miejsc, kędy nędzne okruchy czarnego chleba ludziom zgłodniałym rozdają oszustwa i występki.

Nikt nie policzy, nikt nigdy wiedzieć napewno nie będzie, ile plam ciemnych wystąpiło w porze owej na czoło dotąd czyste, ile rąk nieskalanych jeszcze zanurzyło się w błocie, ile sumień ludzkich usnęło na wieki, a ile ich targało się, płakało, walczyło póty, aż miotane niemi piersi rozdarły się i skonały, wydając jęk żalu za grzechy, dokonane z rozpaczy.

Wilgotne ściany suteren i duszące stropy wysokich poddaszy widziały ludzi tych, siedzących z twarzami ukrytemi

w dłoniach, podczas gdy dzieci ich wyciągały z kolebek wychudłe ręce, wołając: chleba!

Widziały ich okna litościwych ludzi, gdy podchodzili ku nim nieśmiałymi krokami, z oczyma wbitemi w ziemię, z dłonią, która, wysuwając się z łachmanów rękawa, drżała ze wstydu, a z nędzy o jałmużnę błagała.

Widziały ich progi możnych, gdy przybywali ku nim codzień, co rano, i z pokorą głęboką, z uporczywością niczem niezrażoną, powtarzali zawsze jeden i ten sam błagalny wyraz, błagalnym wymawiany głosem: pracy! pracy!

Widziały ich nakoniec ponure głębie szynkowni miejskich, gdy wstępowali w nie, aby zgryzotę swą zalać ognistemi kroplami trunku; widziały, ukryte wśród zaułków lub murów starych, szulernie, gdy zasiadali w nich nad stołem, aby od kart zatłuszczonych i cuchnących otrzymywać to, co dotąd uczciwa dawała im praca.

Z licznej gromady tych świeżo powstałych proletaryuszy, w każdem miasteczku znalazło się po kilku lub kilkunastu ludzi, którzy się chwycili zajęcia, najbliżej spokrewnionego z tem, jakie mimo woli swej opuścili. Ogłosili oni gotowość swą do załatwiania interesów prawnych tym wszystkim, którzy załatwiać ich samodzielnie nie chcieli, lub nie umieli.

Augustyn Szyłło był jednym z tych, co się tego środka zarobkowania najpierwsi jęli. Współzawodniczyło z nim kilkunastu dawnych kolegów jego, i pośród tej świeżo zgrupowanej klasy nie on też osiągnął pierwszeństwo.

Jak wszędzie bywa, tak i tu miejsca najzyskowniejsze, najzaszczytniejsze zajęły głowy najzdolniejsze, charaktery najenergiczniejsze.

Jak wszędzie, tak i tu, w opinii publicznej, w zaufaniu i sympatyach ogółu i w wynikającem z nich powodzeniu, szale kołysały się póty, póki charaktery silne, wyraźne i zdolności wyższe nie przeważyły.

Dwaj, trzej ludzie ze świeżo powstałej klasy wystrzelili nad wszystkich innych, zdobyli sobie klientelę liczną i zamożną, zarobki obfite, działalność szeroką i użyteczną. Inni pozostali w cieniu, ubiegając się za mizernymi zyskami, które dawały im wprawdzie byt, ale skąpy, niepewny, bez nędzy ostatecznej, ale i bez dostatków.

Do tych ostatnich właśnie należał Augustyn Szyłło. Sterany już nieco latami i pracą, miękkiej woli z przyrodzenia, wszelkiej wiedzy nieco wszechstronniejszej i światowej ogłady pozba-

wiony, nie mógł doścignąć dwóch czy trzech kolegów swych młodszych, energiczniejszych, i... pozostał za nimi tak daleko, że nie mógł prawie uważać się za ich współtowarzysza.

Nie posiadał daru wymowy, nie był zdolnym unieść się szlachetnym zapałem dla sprawy, przez się bronionej, nie mógł stanąć przed sądem z żywem słowem na ustach, aby przeniknąć bystrym wzrokiem tajemnice i plątaniny spraw zawikłanych a ważnych.

Specyalista suchy i ciasno specyalizm swój pojmujący, rutynista, flegmatyk z temperamentu, mógł tylko pisać urzędowe podania i skargi, pilnować terminów i stosować pomniejsze okoliczności spraw sobie powierzanych do elementarnych przepisów prawa.

W warunkach podobnych, utrzymywanie się wobec licznej konkurencyi było trudne, a postęp wszelki okazał się niemożebnym. Żył jednak jako tako z grosza, spływającego mu stąd i zowąd; a głównymi, to jest najmożniejszymi klientami jego byli Orchowscy, Ręczyc i Łozowicz.

Synów dorosłych ów trzeciorzędny prawnik-plenipotent miał dwóch, córki dorosłe także dwie i jedną dorastającą.

Ranek był chłodny, listopadowy, mgła, utworzona z drobnego, gęstego deszczu i wyziewów miejskich, przysłaniała grubą zasłoną mury domostw i wieże kościołów; za drogą bitą, oddzielającą miasto od otaczających je pól, odbywał się targ na drzewo, siano, drób, ryby i warzywo.

Zamiejski rynek ten był placem niebrukowanym, kilkunastu staremi drzewami bezlistnemi teraz otoczonym; z miastem łączyło go kilka ulic i kilka zaułków, stykających się z drogą bitą. Ze wsi prowadziła do niego szeroka pocztowa droga, niegdyś, przed powstaniem kolei żelaznej, stanowiąca główną komunikacyjną arteryę prowincyi.

Na rynku stało kilkadziesiąt wozów, naładowanych drzewem, sianem i innymi ze wsi przywożonymi płodami. Wśród nich roił się tłum przekupniów, kucharek i uboższych lub skrzętniejszych gospodyń miejskich. Krzyki, targowania się, połajanki chłopów, szwargot Żydów, piskliwe głosy kucharek, zaklinania się i kłótnie przekupniów — zlewały się tam w gwar niezrozumiały, wrzaskliwy, grubiański czasem.

Wśród hałaśliwego, popychającego się wzajem tłumu tego, w miejscu, gdzie stały najliczniejsze fury, drzewem naładowane, przesunął się Augustyn Szyłło. Miał na sobie paltot z grubego sukna, dobrze wynoszony, i grube, nienowe też, obuwie; na

czapce jego tylko połyskiwała srebrzysta gwiazdka, oznaka dawno już przez niego postradanej godności urzędniczej. Przybył tu snadź z zamiarem kupienia drzewa na opał, bo stawał przy wozach i zapytywał o cenę. Zatrzymał się też przed straganem z warzywami, kupił sporą wiązkę włoszczyzny i, wepchnąwszy ją sobie pod paltot, wrócił pomiędzy fury.

Na drodze ukazała się, w pobliżu już, bryczka, po osie obłocona, w parę nędznych i zmęczonych koni zaprzęgnięta. Kto siedział na tej bryczce, z za mgły deszczowej widzieć jeszcze nie można było.

Szyłło postąpił naprzód i stanął na krańcu rynku, tuż przy drodze.

Z pozoru sądząc, bryczką taką i takimi końmi jechać tylko mogli: szlachcic zagrodowy, lub wiejska jejmość jakaś, wdowimi kłopotami ku miastu pociągana, albo wreszcie nadrujnowany obywatel, *incognito* o rannej porze do miasta przybywający.

W rzeczywistości jednak było trochę inaczej. Na bryczce jechała młoda kobieta, w szczupłem futerku, z twarzą przysłoniętą gęstą woalką; obok niej siedział młody chłopiec, brzydki, ospowaty, sukienną burką otulony. Powoził zaprzęgiem parobczak w żółtym kożuchu. Kiedy bryczka zrównała się z placem targowym, jadąca kobieta podniosła się nieco z siedzenia, odrzuciła z twarzy woalkę i zawołała:

— Stryjaszku!

Augustyn Szyłło, usłyszawszy wołanie to, przymrużył oczy, popatrzył i zbliżył się szybko ku obłoconemu wózkowi, który stanął wśród drogi.

— A! to ty, Michasiu? — rzekł, wyciągając rękę ku siedzącej na bryczce kobiecie. — Jakże się miewasz, moje dziecko? Wszak do nas jedziesz, nie prawdaż? Słyszałem, żeś w ostatnich czasach była u Łozowiczów?

Michalina pochyliła się i przycisnęła do ust suchą, zziębniętą rękę stryja.

— Zostałam oddaloną, stryju! — zawołała, oblewając się gorącym rumieńcem

— Biedna ty jesteś! — rzekł Szyłło — nigdzie kąta zagrzać nie możesz. Ale wiem, wiem, że to nie twoja wina. Czy ja cię nie znam i ich także? No, to i dobrze zresztą, że przyjechałaś do nas. Matka nudzi się bez ciebie, a choć nigdy nie poskarży się, ale my wiemy, co się tam w jej sercu dziać musi...

— Dziękuję ci, kochany stryju, dziękuję! — przytłumionym głosem odpowiedziała Michalina. — Matka moja czy zdrowa?

— A dobrze, dzięki Bogu, trzyma się pani Benedyktowa nasza. Żonisko mi tylko wciąż niedomaga. Ale z jakimże to kawalerem jedziesz, Michasiu?

— Syn Pawła, Walek — szepnęła Michalina. — Naparł się jechać ze mną... chciało mu się poznać rodzinę stryja...

— A może i większe trochę miasto zobaczyć — uśmiechnął się Augustyn. — No, dobrze, stryjenka rada ci będzie, Walku... Cóż ojciec? zawsze na łaskawym chlebia w Łozowej?...

— A na łaskawym — odmruknął Walek, daleko więcej zajęty widokiem tłumnego rynku, niż powitaniem i rozmową ze stryjem.

— Poszedłby gdzie choć na ekonoma! — sarknął pan Augustyn. — No, a ty co? czy będziesz tu chleba szukał?

— Nie, — odparł chłopiec — wrócę do Łozowej tymi samymi końmi.

— I cóż ty tam robisz?

— A nic! — lakonicznie odrzekł chłopiec, i z roztwartemi usty przyglądał się rynkowi.

Po kilku jeszcze zamienionych słowach, bryczka potoczyła się dalej. Na ulicach niewiele znajdowało się przechodniów. Jeden z nich przecież, spotkawszy spojrzeniem toczącą się zwolna bryczkę, stanął, popatrzał i zeskoczył z chodnika.

— Michasiu! — zawołał.

Był to młody człowiek, dwudziestoczteroletni najwięcej, wysoki i szczupły, z twarzą ściągłą i bladą, w obcisłym paltocie. Pod ramieniem miał tekę, wypchaną papierami, w drugiej ręce trzymał nad głową roztwarty parasol. Szerokimi krokami zbliżył się do bryczki, która, na znak Michaliny, stanęła znowu.

— Jak się masz, Ignasiu? — rzekła młoda dziewczyna, wysuwając z zarękawka rękę.

Młody człowiek serdecznie dłoń jej uścisnął.

— Do nas jedziesz? — zapytał.

— Do was, Ignasiu.

— Na długo?

— Nie wiem.

— To i dobrze. Tęskno już nam wszystkim za tobą. Dłużej może trochę zabawisz, niż zwykle...

— A ty, Ignasiu, dokąd idziesz tak wcześnie i w taką słotę?

— Czy nie wiesz? jak zwykle, do biura.

— Jesteś więc zawsze kancelistą?

— A naturalnie, od lat sześciu.

— I zawsze nieetatowym?

— A naturalnie, alboż może być inaczej?

— Czy przynajmniej zwiększono ci płacę?... Dwa lata temu, gdym tu była, otrzymywałeś tak mało...

Młody człowiek uśmiechnął się pod ładnym, płowym wąsikiem, niezbyt wesoło.

— Zwiększono — rzekł. — Biorę teraz po ośm rubli na miesiąc... Starczy mi to na obuwie i na jaki taki surdut... O reszcie, jak i dawniej, myśli ojciec.

— Stryjowi zawsze powodzi się nieosobliwie? — szepnęła Michalina.

— A nieosobliwie — odparł Ignaś. — Najlepsze interesa idą do Rzęskiego i do Dmuchowicza. Ojciec ma same drobnostki, a i tych jeszcze szukać musi. Przytem, gromada nas jest w domu...

Smutek okazał się na twarzy i zadźwięczał w głosie młodego człowieka. Michalina patrzała na niego z przywiązaniem.

— Tak dawno nie widziałam was wszystkich! — rzekła w zamyśleniu. — Ale źle mi coś wyglądasz, Ignasiu. Pobladłeś, zmizerniałeś, i oczy masz jakoś nabrzękłe. Czy jesteś chory?

— Ej, nie! — odparł młodzieniec — siaduję tylko w biurze od dziewiątej zrana do czwartej po południu, a potem jeszcze biorę papiery do domu. Ot i dziś, całą noc, do piątej pisałem... Ale dobrze, żem sobie biuro przypomniał. Byłbym się spóźnił. Do zobaczenia, Michasiu!

Uścisnęli sobie znowu ręce, i młody kancelista szerokimi krokami podążył tam, gdzie wznosiły się mury, zawierające w sobie główną juryzdykcyę miasta.

W nizkim, drewnianym domu, wsuniętym w głąb błotnistego dziedzińca, w pierwszym od wejścia pokoju, mającym pozór małej i bardzo skromnie urządzonej jadalni, siedziała przy fortepianie czternastoletnia dziewczyna i wygrywała gamy. Fortepian stary był, z polityrą napół już znikłą i z klawiaturą, zawierającą tylko sześć oktaw.

Grająca gamy dziewczynka jasnowłosa, z bladawą, ładną twarzyczką, miała na sobie perkalową, krótką sukienkę, starannie wykrochmalona, a kokardy ze starej, lecz barwistej wstążki u szyi i przy włosach.

Drugi pokój obszerniejszy był nieco od pierwszego i wy-

kwintniej przybrany. Znajdowała się tam kanapa ze stołem, przykrytym siatkową serwetą, i z fotelami. Pod stołem leżał dywanik spłowiały, lecz spory; parę lusterek wisiało pomiędzy oknami, przystrojonemi w muślinowe firanki.

Wkoło stołu rozmawiało pięć kobiet. Jedna z nich, mała, szczupła kobietka, z chorobliwą cerą twarzy i zapadłemi pod ciemną powieką błękitnemi oczyma, siedziała na kanapie, trzymając w białych, chudych rękach stalowe szydełko, którem wyrabiała z bawełny wązką jakąś koronkę. Ona też tylko jedna nie miała na głowie nic, prócz napół posiwiałych włosów, gładko nad blademi skroniami przyczesanych, a z tyłu głowy w cienki warkoczyk splecionych. Cztery inne kobiety siedziały w kapeluszach.

Rozmowa toczyła się żwawo i najczęściej chórem. Zagłuszały ją chwilami, lecz nigdy nie przerywały gamy, wygrywane w przeciwległym pokoju przez jasnowłosego podlotka. Nie najmniejszy w niej udział brała szczupła kobietka, koronkę robiąca gospodyni domu widocznie.

Patrząc na niewiasty te, jak rozprawiały z najżywszem zajęciem, możnaby było mniemać, że są to osobliwsze jakieś wiece niewieście, dla narady ważnej nad wielkiemi sprawami zwołane. Było to zaś poprostu małe zebranie kumoszek miejskich, przybyłych na codzienną ranną gawędkę do pani Augustynowej.

Gadały tak długo, z jednego przedmiotu na drugi przechodząc, a z każdego czerpiąc temat do rozprawy szerokiej. Z twarzy ich ożywionych i giestów częstych poznać można było, że bawiły się wyśmienicie, a jakkolwiek pani Augustynowa wydawała się mniej od czterech przyjaciółek swych ożywioną, jakkolwiek szczupłą postać jej i twarz bladą piętnował wyraz chorobliwości fizycznej i moralnego znużenia, znać jednak było, że i ona także w gawędce tej niepomierną znajdowała przyjemność, że rozmowa z kumoszkami była dla niej nawyknieniem i potrzebą codzienną, rozrywką miłą i zwyczajnym sposobem przepędzania godzin porannych.

To też, gdy mała kobietka z okularami na nosie i w kapeluszu, podobnym do nocnego czepka, pierwsza ruszyła się z krzesła, przypominając towarzyszkom swym, że czas już na wotywę, i gdy na głos jej trzy inne panie powstały z fotelów, pani Augustynowa jęła zatrzymywać gości.

— Jeszcze chwilkę, pani asesorowo! pani sekretarzowo!

kochana panno Julianno! pani Janowo! jeszcze chwilkę posiedźcie! Nie dzwonili jeszcze na wotywę.

— Nie można, nie można, trzeba iść! My sobie po obiedzie do pani *sowietnikowej* na gawędkę znowu *podejdziem.*

— Przyjdźcie! przyjdźcie, panie! Człowiek jak pogawędzi sobie trochę, to mu jakoś lżej na sercu i dzień prędzej przejdzie.

— Oj, to prawda! to prawda! Choć to teraz dni takie krótkie.

— Ale wieczory długie.

— My do pani *sowietnikowej*, jak zawsze, wieczorem na gawędkę...

— Proszę! proszę! z robótkami!

Miały się już ku odejściu, gdy przed domem dało się słyszeć klapanie po błocie kopyt końskich.

— Ktoś przyjechał!

— To pewno kto za interesem do Augusta.

— Jakaś panna i jakiś chłopiec w burce.

Pani Augustynowa w okno spojrzała i ku drzwiom się rzuciła z żywością, której trudnoby się było spodziewać po zwyczajnym jej, flegmatyczny temperament okazującym, układzie.

— Michasia! — wołała, śmiejąc się serdecznie. — Michasia! Skądżeś się ty wzięła tutaj? jak z nieba spadłaś! To dopiero pani Benedyktowa uszczęśliwioną będzie!

Otworzyła szczupłe, wełnianymi rękawami okryte swe ramiona, i ciepłym uściskiem objęła szyję pochylonej przed sobą i w ramię ją całującej młodej dziewczyny. Tkliwe snadź miała serce i systemat nerwowy rozstrojony nieco, bo do zapadłych oczu jej napłynęły łzy, a ręce jej drżały lekko, gdy wydobywała je z uścisku drobnych, gorących dłoni Michaliny.

Przybyła witała się z czterema kobietami. Znała je wszystkie. Jakkolwiek od trzech już lat w domu stryjostwa nie była, w składzie codziennego towarzystwa i w przyzwyczajeniach żony jej stryja zmiany żadnej nie znalazła. Przedstawiła pani Augustynowej Walka, który wnet wymknął się z pokoju. Cztery kumoszki, rozciekawione zjawieniem się nowej twarzy, zapomniały o wotywie i posiadały znowu na fotelach.

— Gdzie Zuzia i Paulinka? — zapytała Michalina.

— Zuzia od godziny już na mieście. Lekcye muzyki daje po domach. Paulinka jeszcze śpi.

— A Klemens?

Jakby na wezwanie, z przeciwnej strony domu wyszedł naj-

starszy syn Szyłłów, bardzo do Ignasia podobny, zręczniejszy tylko, mniej blady i mizerny, z wąsikiem pretensyonalnie zaostrzonym, w ubraniu, dowodzącem niepomiernej do elegancyi skłonności.

Powitał on siostrę daleko mniej czule i serdecznie od innych członków rodziny, po chwili zaś, z rękoma włożonemi w kieszenie ładnego paltota, wyszedł na ganek, i widać było przez okno, jak przechodził przez dziedziniec z Walkiem, udając się z nim na miasto. Pani Augustynowa wołała na sługę o samowar.

— Zziębłaś, moje dziecko, i przemokłaś — mówiła do Michaliny.

— Pójdę do matki — szepnęła dziewczyna, całując raz jeszcze rękę stryjenki.

Cztery kumoszki ruszyły się znowu ze swych siedzeń, i po chwilowej jeszcze, przy drzwiach stoczonej, gawędce, odeszły. Natomiast do pokoju wszedł Augustyn Szyłło, a jednocześnie na dziedziniec wjechała fura z drzewem i inny wóz, na którym siedział szlachcic w kożuchu, wypchanym u piersi papierami, w sieni zaś zakwiczało prosię. Szyłło zdjął paltot, i schowany za połą pęk włoszczyzny rzucił na krzesło.

— Lucynko! — rzekł, zwracając się do jasnowłosego podlotka — weź to i zanieś do kuchni.

Dziewczynka, która dla powitania stryjecznej siostry opuściła na chwilę fortepian, a teraz znowu przy nim siedziała i gamy wygrywała, poskoczyła, aby spełnić rozkaz ojca. Szyłło zbliżył się do żony i w rękę ją pocałował.

— Kupiłem drzewa — odezwał się — haniebnie teraz drogie. Prosię tam także masz na kuchnię, a proszę cię, niech dziś dobry obiad będzie, bo Michasia przyjechała, i biednej dziewczynie pokazać trzeba, żeśmy jej radzi.

— Któżby jej rad nie był? — odparła pani Augustynowa — ale ty sam wiesz, czy u nas może być obiad dobry, przez kucharkę taką zgotowany. Ręczę, że do tego czasu ognia jeszcze nie rozłożyła...

— A nie rozłożyła — rzekł Szyłło. — Widziałem, przechodząc, że w kuchni ognia jeszcze niema. Czemuś jej, Wikciu, nie kazała tego zrobić?

— Mój Boże! — żałośliwie odparła żona — gości miałam, mój Guciu... Przyszła pani asesorowa, pani sekretarzowa, jeszcze tam ktoś, i zagawędziłam się...

Szyłło nie zdawał się być wielce zbudowanym tem chroni-

cznem, jak widać, zagawędzeniem się żony, ale nie był też niem zdziwiony, ani rozgniewany. Przywykł snadź do tego rzeczy porządku.

— Idźże więc, Wikciu — zawołał — i każ ogień rozkładać...

— Idę, idę!

Z temi słowy, śpiesznie przechodziła przez pokój, dążąc do kuchni.

* * *

Stary, drewniany dom posiadał nad dachem facyatkę, w której zawierał się pokoik niewielki, lecz schludny i ciepły, z małem oknem, wychodzącem na ogrody, z łóżkiem biało zasłanem, komodą, szafką, z dwoma prostymi stołami i krzesełkami. Przy oknie siedziała stara kobieta, w czarnej wełnianej bluzie i śnieżnej białości czepku, okrywającym zupełnie już prawie siwe włosy.

Twarz jej pomarszczona była w różnych kierunkach i napiętnowana wyrazem, przyrosłego jakby do niej, cichego smutku; wysokie czoło przyoblekała cera liliowej prawie przezroczystości.

U stóp starej kobiety, wspartych na drewnianym podnóżku, leżał wielki stos dobrze już znoszonej bielizny i starych perkalowych sukien; ona pochylała się, brała z kolei każdą ze sztuk tej przerozmaitej odzieży, oglądała ją starannie, a potem zszywała i cerowała znalezione w niej dziury i rozdarcia.

Pracę tę spełniała pilnie i z wielkiem zajęciem, a spełniać ją musiała często bardzo, może nieustannie, gdyż białe, przezroczyste palce jej okryte były nakłuciami igły. Od chwili do chwili tylko podnosiła głowę, a błękitne oczy jej, okularami przysłonione, z zamyśleniem tonęły w przestrzeni.

Posyłała zapewne myśl swą kędyś daleko, do kogoś ukochanego a oddalonego, bo pierś jej, pod fałdami czarnej bluzy, wznosiła się westchnieniem. Wnet jednak wracała znowu do swej roboty.

Cisza zupełna panowała w izbie, gdy nagle na ciemnych wschodach, z dołu na facyatkę prowadzących, ozwały się lekkie, szybkie stąpania.

Stara kobieta podniosła głowę, jakby ze snu zbudzona; pomiędzy gęste zmarszczki, okrywające czoło jej i policzki, wystą-

piła barwa słabego rumieńca. Koszula, którą właśnie zaczęła cerować, spadła z jej kolan. Splotła ręce i zawołała zcicha:

— Boże mój! to ona! to ona!

Otworzyły się drzwi i Michalina jednym podskokiem znalazła się u kolan starej kobiety. Szczupłą jej kibić ramionami objęła i, tuląc się do jej piersi, pocałunkami okrywała ręce jej, twarz i kolana. Nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego słowa. W przerwach pomiędzy pocałunkami patrzały na siebie długo, długo... oczy ich szkliły się wilgocią, usta drżały...

— Trzy lata, matko — szepnęła nakoniec młoda dziewczyna — trzy lata nie widziałam cię! Ile było dni w tych latach, tyle razy doznawałam strasznej pokusy, aby porzucić wszystko i biedz do ciebie... Zwalczałam pokusy te, boś mię sama nauczyła, matko moja, że powinnam pracować, powinnam cierpieć, i przenosić wszystko raczej, niż żyć z cudzej pracy, niż wyzyskiwać czyjeś dobre dla mnie uczucia...

Usta starej kobiety przylgnęły na chwilę do białego czoła klęczącej przed nią dziewczyny. Oczy jej jednak mgliły się żalem i, łagodne zwykle, z pewną badawczą powagą utonęły w twarzy córki.

— Dlaczegoż teraz przyjechałaś, Michasiu? — rzekła głosem przytłumionym nieco, lecz pewnym — czy dlatego tylko, aby mię zobaczyć?

Dziewczyna schyliła głowę.

— Nie, matko, — szepnęła — przyjechałam tu, nie wiem na jak długo... Nie miałam już dokąd udać się... prócz dachu tego, nie było już dla mnie żadnego innego.

Stara kobieta coraz głębiej i przenikliwiej patrzyła w twarz córki. Nie miała już uśmiechu na ustach, ani łez w oczach. Łagodną twarz jej przyoblokła powaga, wzrok stał się surowym prawie.

— Dlaczego, Michasiu? — spytała krótko.

Ale młoda dziewczyna zrozumiała wszystko, co zawierało się w tem pytaniu. I ona także podniosła czoło z powagą; wzrok jej głęboki, przezroczysty jak kryształ, spotkał się z badającem ją spojrzeniem matki. Na czole tem i w tych oczach malował się wyraźnymi znakami spokój czystego sumienia; ale bladoróżowe usta drgnęły boleścią i wydarł się z nich wykrzyk, przeszywający mocą i prawdą:

— Jam niewinna, matko moja! jam niewinna!... Czyniłam wszystko, co było w mocy mojej, i nic już więcej uczynić nie mogłam.

W tej samej chwili wyciągnęła ramionami, objęła niemi znowu kibić starej kobiety i, przytulona do jej piersi, wybuchnęła łkaniem. Zdawać się mogło, że jakieś zapory, utrzymywane dotąd w piersi jej stałem wysileniem woli, pękły wobec oblicza jedynej kochającej ją prawdziwie istoty, że, znalazłszy się nakoniec przy sercu bijącem dla niej, wypłakać musiała wszystkie smutki, tęsknoty, upokorzenia i zniechęcenia śmiertelne, któremi napawały ją serca obojętne.

— Michasiu moja! — szeptała schylona nad nią stara kobieta — nie dziw mi, że płaczesz. Kiedym cię posyłała między ludzi obcych, na pracę ciężką, anim spodziewała się, abyś wróciła do mnie z sercem lekkiem i wesołem. A jednak, dziecko moje, wolę, abyś płakała, abyś borykała się z sierocą dolą swoją, niż żebyś żyć miała, jak inni, na karku cudzym, i czyjemuś mozołowi kawałek chleba wydzierać. Dość mi biednego Pawła.

— Wiem, matko, o wiem! Ale pozwól, abym przy tobie wylała z piersi wszystko, co się w niej przez te długie, długie lata zbierało. Byłam cierpliwą... milczałam... Jeżeli zapłakałam kiedy, to chyba wśród ciemności; a jednak, matko, jakże zimne są ściany domów obcych! jak wielu na świecie jest ludzi niedobrych!...

Łkania jej ustały. Oparła głowę na piersi matki, a po policzkach jej płynęły dwa strumienie łez gorących, lecz cichych. Cichym też głosem opowiadać zaczęła dzieje sześcioletniej wędrówki swej po świecie.

Mówiła o tem, jak zrazu, nic prawie nie umiejąc, z przestrachem i wyrzutami sumienia spełniać poczęła zadanie, do którego nie czuła w sobie sił dostatecznych; jak niewiadomość swą postanowiła zmniejszyć i siły wzmocnić mozolnym trudem; jak czuła stopniowo wzrastanie swe moralne i coraz szerzej, wznioślej pojmowała zakres swej działalności; jak nic jej nie pomogło, ani praca ciężka, ani wiedza zdobyta, ani cierpliwość mężna, bo ludzie nie tego od niej żądali, i za brak blasku powierzchownego, za imię pospolite, za samą nawet moc jej przekonań karali ją niechęcią, lekceważeniem, nadwerężaniem dobrej jej sławy.

Ramiona starej kobiety, obejmujące kibić córki, drżały przy smutnem tem opowiadaniu; zmęczone oczy jej świeciły bezdenną zda się boleścią, ale wargi jej otworzyły się, łagodne choć smutne, i na głośną skargę dziewczyny odpowiedziała szeptem cichym:

— Niech Bóg im przebaczy, dziecię moje! niech Bóg im przebaczy!

Michalina długo jeszcze mówiła. Wezbrany potok uczuć jej przelewał się w słowach gorących, żałosnych; lecz ile razy z ust jej wychodził wyraz skargi na ludzi, ile razy sarknęła na pychę ich, złość lub głupotę, w odpowiedzi na te słowa unosił się nad pochyloną jej głową cichy szept starej kobiety:

— Niech Bóg im przebaczy!

Obie uczuły się pokrzepionemi, pocieszonemi, prawie wesołemi. Michalina powstała i zaczęła krzątać się po izbie, porządkując rzeczy swe i książki, wyjęte z tłumoczka i drewnianego pudła.

Służąca wniosła na tacy szklankę herbaty i kilka sucharków, mówiąc, że pani Augustynowa przysyła to pannie Michalinie, bo czuje się ona pewnie zziębniętą po drodze. Herbata była bardzo złego gatunku, ale przyrządzona z widoczną starannością.

— Jak dobrą dla mnie jest zawsze stryjenka! — rzekła po odejściu sługi Michalina.

— Dobra, poczciwa kobieta! — przywtórzyła pani Benedyktowa — dobrzy są oni oboje — dodała. — Nie uwierzysz, jak serdecznie i delikatnie obchodzą się ze mną. Nigdy słowem żadnem nie dali mi uczuć, że żyję z ich łaski.

Michalina spojrzała na wielki stos odzieży, leżącej u stóp starej kobiety, i na palce jej, nakłute igłą, które zajęte były pilnie oszywaniem szeroką taśmą zrudziałej sukni wełnianej, do pani Augustynowej, lub której z dorosłych jej córek, należącej.

— Pracujesz jednak, matko — wyszeptała.

— Robię, co mogę, ale więcej nie potrafię, bo stara jestem i sił już nie mam.

Michalina stanęła na krześle i zaczęła ustawiać książki swe na wierzchu szafki. Gdzieindziej nie było dla nich miejsca.

— O! moje śliczne, drogie książeczki! — zawołała — jak ja was kocham!

Stara kobieta oderwała wzrok od roboty i rozpromienionem spojrzeniem śledziła każde poruszenie córki.

— Dziwna rzecz, — ozwała się po chwili — jak w moim pokoju jasno dziś i wesoło!...

Zamieniły się uśmiechami, w których był świat cały uczuć serdecznych.

— A jednak — pierwsza ozwała się matka — nie powinnaś tu być długo... pójdziesz w świat znowu...

— Pójdę, matko, — odparła Michalina — zacznę zaraz starać się dla siebie o miejsce jakie, a gdy tylko je znajdę, pójdę...

Około godziny czwartej po południu, rodzina Szyłłów zgromadziła się w bawialni, czekając na obiad. Pani Augustynowa siedziała na kanapie, robiąc koronkę. Ignaś, który tylko co wrócił z biura, Michalina i czternastoletnia Lucynka rozmawiali przy oknie.

W sypialnym pokoju, służącym zarazem za gabinet, Szyłło kończył ożywioną rozmowę z dwoma Żydkami, w obdartych chałatach. Na biurku leżała brudna i zmięta, przez Żydów tam położona, dziesięciorublowa asygnata.

Do bawialni wbiegła młoda panna, w futerku zgrabnem i strojnym kapelusiku.

— Co widzę! Michasia — zawołała zaraz w progu i rzuciła się stryjecznej siostrze na szyję.

Powitanie było serdeczne, ale trwało krótko, z głębi mieszkania bowiem, głosem przybyłej zapewne przywołana, wbiegła druga panna, śliczne szesnastoletnie dziewczę.

— Czegoś dziś tak długo na mieście siedziała, Zuziu? — zawoła. — O drugiej przecież kończysz swoje lekcye.

— Śmieszna jesteś, Paulinko! przecież sprawunki robiłam! Dwie godziny chodziłam po sklepach, nim znalazłam to, co wiesz...

— A znalazłaś?... kupiłaś?

— Znalazłam i kupiłam. Patrz!

Rozwiązała białą chusteczkę, którą trzymała w ręku, i wyjęła z niej naprzód dwie pelerynki koronkowe, potem dwie kokardy z niebieskiej wstążki. Pokazując to, śmiała się wesoło, a oczy Paulinki błyszczały także zachwyceniem.

— Pocóżeś kupiła dwie pelerynki i dwie kokardy? — zapytała młodsza siostra — nie będziesz ich przecież razem nosiła.

— Jedna pelerynka dla mnie, a druga dla ciebie — odparła Zuzia — tak samo zrobimy z kokardami.

Ładne, błębitnookie dziewczę z okrzykiem radości rzuciło się siostrze na szyję.

— Jakaś ty dobra, Zuziu! jakaś ty dobra! Ja ani marzyłam o tem. Ale prawda, ty zawsze tak robisz. Jeżeli mam co ładnego, to zawsze od ciebie.

Zuzia musiała być w istocie dobrą dziewczyną, bo radość siostry uszczęśliwiała ją nad wszelki wyraz. Śmiejąca się i roz-

radowana, z pelerynką koronkową, włożoną dla przymierzenia na stanik codziennej sukni, zwróciła się do Michaliny.

— Ty-bo nie wiesz może, Michasiu, że ja to kupiłam za swoje własne pieniądze... właśniuteńkie, bo zapracowane. Mam cztery lekcye muzyki na mieście, dwie po czterdzieści groszy za godzinę, a dwie po złotemu... Kupuję sobie, a czasem i Paulince, wszystkie ładne rzeczy, jakich nam się zechce, tak, iż rodzice sprawiają nam już tylko suknie, bieliznę i buciki.

— Tak, tak! — przytwierdziła pani Augustynowa, z dumą spoglądając na starszą córkę — wszystkie dodatki do ubrania Zuzia kupuje za własne pieniądze.

Michalina nie zdawała się być wielce zbudowaną tem kupowaniem za własne pieniądze pelerynek i kokard, nic jednak nie rzekła. Lucynka zato, w milczeniu dotąd podziwiająca stroje, przez siostrę przyniesione, zawołała z zapałem:

— I ja też pilnie, o, bardzo pilnie uczę się grać, aby co najprędzej mieć, tak jak Zuzia, własne swoje pieniądze.

— I cóżbyś z niemi zrobiła? — zapytał Ignaś.

— Ach! — odparł podlotek — kupiłabym sobie zaraz błękitny kapelusz i buciki, zapinane z boku na guziczki.

Z wykrzyku tego zaśmieli się wszyscy, prócz Michaliny.

W tej chwili ojciec rodziny wszedł do pokoju. Dzieci wszystkie pogarnęły się do niego. Ignaś całował go w ramię, Lucynka wpół go objęła, Zuzia i Paulinka otoczyły szyję jego ramionami.

Posypały się koło niego żartobliwe i pieszczotliwe słowa, pocałunki ust świeżych spoczęły na pomarszczonem czole jego i żółtych policzkach. To też twarz biednego eks-urzędnika jaśniejszą stała się i gładszą; rozświecił ją uśmiech miłości i radości.

Iskra poezyi głębokiej i orzeźwiającej, poezyi rodzinnego ogniska, wpadła w ciemną, twardą prozę jego życia i rozpromieniła ją na chwilę.

— Wikciu, — zawołał wesoło na żonę — każ obiad dawać, bo umieram z głodu!

W jadalnym pokoju kucharka nakrywała stół obrusem i ustawiała talerze. Klemens i Walek wrócili też po chwili z miasta. Zdawali się być z sobą dobrze poznajomieni, jakkolwiek, na wytwornisia miejskiego wyglądający, syn ubogiego prawnika z poczuciem nieskończonej wyższości obchodził się z niezgrabnym i w grubą odzież przybranym synem łozowskiego rezy-

denta. Ale Walek najlżejszej uwagi na to nie zwracał. Zachwycony był miastem, które w znacznej już części obejrzał, policzki miał rozognione i oczy błyszczące.

— Ach, panie Klemensie! — mówił (nie miał jeszcze odwagi poufalej nazywać kuzyna, który wydawał się mu wzorem i ideałem wykwintności) — ach, panie Klemensie, te sklepy! te sklepy tam... co to mi je pan Klemens pokazywał, jakie one piękne!... szczególniej ten jeden, z takiem ogromnem oknem... Oj! co tam złota i takich jakichś błyszczących kamieni, aż oczy się mrużą!...

Umilkł na chwilę; ospowata twarz jego rumieniła się, szare oczy biegały niespokojnie.

— Ach! — zawołał nagle, czyniąc ręką giest energiczny — żeby to tak człowiek był sobie bogatym!

— Ach! — powtórzyła Zuzia — jakbym ja chciała być bogatą!

— Aha! — zawołał Klemens — żeby to być bogatym, ho, ho!

— Ja nie wiem, doprawdy, czegobym nie zrobiła, żeby zostać bogatą! — westchnęła z kolei Paulinka.

W wykrzykach tych objawiała się rzecz bardzo smutna i niebezpieczna: żądza bogactw bez pracy. Zdawać się mogło, że w domu tym, od matki rodziny począwszy, do najmłodszego dziecka, nikt nie znał aksyomatu w skutki płodnego: »czas to pieniądze«, i tego innego jeszcze, szlachetnego i uszlachetniającego: »ku celom pożądanym wiodą drogi trudne«.

Po chwili jednak Ignaś odezwał się:

— Ot, wiecie co, moi drodzy, już ja tam z wielkich bogactw na wieki wieków kwituję, i niczegobym nie chciał, tylko dosłużyć się w biurze dwudziestu rubli na miesiąc.

* * *

We dwa dni po przyjeździe Michaliny, przybył do N. Mieczysław Orchowski. Oddawna już w starem domostwie nie było takiego biegania, wołania, słowem, ogólnego zamieszania, jak wtedy, gdy ojciec rodziny, wchodząc do małej bawialni, oznajmił żonie i córkom, że młody pan Orchowski znajduje się w jego pokoju i że wypada koniecznie zaprosić go na obiad. Pani Augustynowa, siedząc z koronką w ręku pomiędzy panią aptekarzową i panną Julianną, splotła dłonie z przerażeniem nieledwie.

— Ach, mój Guciu! — zawołała — a ja się dziś tak zagawędziłam, że i nie wiem doprawdy, co dzieje się z obiadem.

Chciała zerwać się i biedz do kuchni, ale dwie obecne przyjaciółki powstrzymały ją mnóstwem uwag i zapytań.

— Orchowski! oho! jakich to panów państwo *sowietnikowstwo* na obiadach u siebie przyjmują!

— Czy to właściciel tego miasteczka Orchowa, co to w nim stryjeczna moja babka mieszka?

— A może to do córeczki której ten pan podjeżdża?

— Gdzieby tam! moja panno Julianno. Czy to obywatelski syn pomyśli teraz o biednej dziewczynie?

— Obywatelski syn! i cóż tak ważnego? Pani *sowietnikowa* przecież jesteś także obywatelską córką, a i pan *sowietnik*...

— To prawda! to prawda!

Tak gwarząc z przyjaciółkami, pani Augustynowa, nie wiedząc sama, jak i kiedy, usiadła znowu na kanapie i, wracając do koronki, poczęła zwolna i smutnie opowiadać o zgasłych świetnościach obywatelskiego rodu swego i męża.

Zuzia, która w dniu tym na lekcye nie wychodziła, i Paulinka, która, niedawno ze snu powstawszy, chodziła po domu ze złocistymi swymi włosami, w nieładzie ranny biały kaftanik opływającymi, zakrzątnęły się około swego ubrania. Na Lucynkę, która gamy, jak zwykle, wygrywała, starsze siostry zawołały, aby fortepian rzuciła, bo przy gościu *etykietalnym*, jak mówiły, brząkać nie wypada.

Dobre pół godziny minęło, zanim pani Augustynowa, przypomniawszy sobie o gościu i obiedzie, z zakłopotaną twarzą do kuchni pobiegła. Wnet jednak uspokojenie i radość zastąpiły w niej miejsce troski. Nad płytą kuchenną, na której w kilku błyszczących rondlach gotowały się potrawy, stała Michalina. Biały fartuch okrywał od szyi aż do kolan jej suknię, której rękawy podniesione były aż po same łokcie. Na stole leżała roztwarta książka kucharska.

— A! chwałaż Bogu i Najświętszej Pannie, że ty tu jesteś, Michasiu! — zawołała pani Augustynowa. — Takem się zlękła, że aż mi tchu w piersi braknie! Taki gość!... Trzebaż mi było tak zagawędzić się!...

— Niech stryjenka będzie spokojną — rzekła Michalina, krzątając się po kuchni — wszystko będzie dobrze. Zobaczy stryjenka, jakich my tu z Maryanną cudów dziś dokażemy.

Mówiła to z uśmiechem; ale pani Augustynowej wydało

się, że na twarzy jej dostrzegła, a w głosie zasłyszała coś niezwykłego.

— Może-bo ty już zanadto męczysz się, Michasiu! — rzekła troskliwie. — Widzę, że i leguminę z jabłek urządziłaś, a mnie najwięcej to właśnie przestraszało, że dziś żadnej leguminy na obiad nie zadysponowałam...

— Usłyszałam w sieni głos pana Orchowskiego, domyśliłam się, że zostanie u stryjostwa na obiedzie, i wyręczyłam stryjenkę.

Słowa te wymówiła schylona nad rondlem, z którego para buchała kłębami.

— Niech ci Bóg dobroć twoją wynagrodzi — rzekła pani Augustynowa. — Wszak to już trzeci dzień obiad nam gotujesz, a Augustyn nie może wszystkiego odchwalić się przy stole... Dziękuję ci, moje dobre dziecko!

Przy ostatnich wyrazach, wyciągnęła chude ramiona i objęła niemi chylącą się przed nią głowę młodej dziewczyny.

— Co to jest? — zawołała nagle — dlaczego czoło twoje takie gorące i twarz rozpalona?... Czy głowa cię od tego gotowania nie boli?

— O, nie, stryjenko! to tak tylko... od ognia zapewne... to zaraz przejdzie.

Podniosła głowę i szybko twarz odwróciła; niemniej jednak pani Augustynowa zawołała raz jeszcze:

— Co ci jest? Michasiu! łzy masz w oczach!

Michasia zaśmiała się.

— Gdzieżby tam, stryjeneczko! to tylko dymu trochę zaszło mi w oczy.

— Michasiu! — ozwał się w tej chwili od progu głos Zuzi — proszę cię, przypnij mi kokardę do kołnierzyka!

— Michasiu! — powtórzyła, wbiegając, Paulinka — odkąd ty tu jesteś, ja nie potrafię już sama sobie warkoczy upiąć. Proszę cię, zrób to tak ładnie, jak wczoraj!

— Zaraz, zaraz! sos tylko do sztuki mięsa zaprawię i ręce umyję — odparła zaimprowizowana gosposia.

Policzki jej gorzały, a źrenice szklistą zachodziły powłoką, gdy, uśmiechając się i gwarząc z siostrami, upinała na głowach ich warkocze i wstążki, a odwracając się co chwila ku ognisku, zalecała Maryannie mieszać w rondlach, szumować rosół i podsmażać sosy.

W godzinę dopiero potem, gdy cała rodzina zebrana już była w bawialni, gdy pani Augustynowa zabawiała *etykietalnego*

gościa rozmową o pogodzie i drodze, Zuzia i Paulinka siedziały pod oknem, milczące i zarumienione, a dwie przyjaciółki domu, pani aptekarzowa i panna Julianna, roztwierały szeroko oczy, przyglądając się obywatelskiemu synowi... gdy wreszcie obiad był już gotowy zupełnie, i za chwilę miał być podanym, do bawialni weszła Michalina, bez fartucha na ciemnej sukni, bez rumieńca na twarzy i bez uśmiechu na ustach.

W postawie jej i wyrazie twarzy malowała się surowa niemal powaga, a gdy na jej widok młody gość porwał się z miejsca i z głębokim ukłonem wyciągnął ku niej otwartą dłoń, ona giestem poważnym, obojętnym, dotknęła ręki jego końcem swych palców.

Wzrok jej raz tylko długiem spojrzeniem zatonął w jego twarzy. W spojrzeniu tem leżał żal, wyrzut, była milcząca i dumna obraza. Zdawało się ono mówić: — poco tu przybyłeś? dlaczego mnie ścigasz wszędzie? jestem »biednem stworzeniem«, tułającem się po obcych domach, bronionem niegdyś przez ciebie od napaści i żartów ludzi złych i lekkomyślnych; ale mam cześć swą niewieścią, bardzo mi drogą, mam dumę ubóstwa i serce, które może kochać i cierpieć!

Czy zrozumiał on tę niemą mowę jej wzroku? czy zraniła go obojętność, z jaką go witała? Na mgnienie oka rumieniec gwałtowny oblał ogorzałe jego policzki, spuścił oczy, rozpromienione przed chwilą i, monosylabami odpowiadając na pytania gospodyni domu o pogodę i drogę, zdawał się sam sobie powtarzać myśli: »poco tu przyjechałem? dlaczego ją ścigam?«

Lucynka otworzyła drzwi od jadalni i, dygnąwszy przed gościem, szepnęła matce, że waza jest na stole.

Zmrok krótkiego dnia jesiennego zapadał, gdy otworzyły się zwolna drzwi izdebki, na poddaszu umieszczonej, i pani Benedyktowa, podnosząc głowę z nad roboty, ujrzała wchodzącą córkę. Jakkolwiek nie było jeszcze ciemno, na małym stoliczku paliła się już lampka; stara kobieta naprawiała przy świetle jej odświętną jedwabną suknię pani Augustynowej.

Po spełnieniu gospodarskich czynności, których się podjęła natychmiast po przybyciu swem pod gościnny dach swych opiekunów, Michalina codziennie o tej porze przychodziła do pokoju matki, siadała przy małej lampie, a szyjąc, lub naprawiając odzież licznych członków rodziny, gwarzyła ze starą kobietą o wszystkiem, co widziała i czuła, czego doświadczyła wśród szerokiego obcego świata.

Niekiedy z łagodną przemocą wyjmowała z rąk matki ro-

botę, i pośpieszniej, niż zwykle, szyć zaczynała, aby przez godziny wieczorne spełnić własnemi siłami zadanie dwóch osób; niekiedy jeszcze otwierała którą ze swych ulubionych książek i czytała, póki staroświecki zegar, połyskujący wśród cieni cyferblatem, zdobnym w olbrzymi bukiet z róż ponsowych i złocistych, chrapliwym głosem wygłaszać nie zaczął jedenastej przedpółnocnej godziny, póki nakłute igłą, chude ręce starej kobiety, w znużeniu na kolana nie opadły, a senna głowa jej nie oparła się z przymkniętemi oczyma o poręcz starego fotelu.

Dziś jednak nie wzięła do ręki roboty, nie otworzyła książki i nie zaczęła z matką rozmowy żadnej. Powolnym krokiem przeszła przez pokój, usiadła przy stole i czoło na obie dłonie spuściła. Twarz jej była bladą i poważną, wzrok sztywnie wpatrzonym w jeden punkt przestrzeni. Przez kilka minut dwie kobiety nie zamieniły pomiędzy sobą ani jednego wyrazu. Pani Benedyktowa z niepokojem na córkę patrzała, a potem pierwsza przerwała milczenie.

— Słyszałam, — rzekła — że mieliście dziś gościa?

— Tak, matko — nie zmieniając postawy i kierunku spojrzenia, krótko odpowiedziała Michalina.

— Któż to był taki, moje dziecko?

Tym razem usta młodej dziewczyny drgnęły. Zdawało się przez chwilę, że niepodobna jej będzie wymówić imienia, o które zapytywała ją matka. Wymówiła je jednak głosem dość pewnym.

— Pan Mieczysław Orchowski? — powtórzyła stara kobieta — a więc syn państwa Kajetanowstwa Orchowskich, w których domu spędziłaś kilka tygodni... Nie mówiłaś mi o nim nigdy, Michasiu.

Dłonie Michaliny rozplotły się i w dół opadły; czoło jej zato, schylone dotąd, podniosło się, oblane rumieńcem szkarłatnym.

— Pocóżbym miała mówić ci o nim, matko — rzekła, powściągając z wysileniem widocznem wybuch uczuć, które wysoko pierś jej podnosiły. — Jest to dobry, szlachetny młody człowiek, który był bardzo dobrym i dla mnie, ale którego widzieć nie chciałabym już nigdy!...

— Michasiu! pójdź do mnie! — zawołała nagle matka, z ramionami wyciągniętemi ku córce i trwogą na twarzy.

Michalina klęczała już u jej kolan.

— Co tobie, dziecię moje? co ty masz w sercu?

Głowa młodej dziewczyny przylgnęła do piersi matki, lecz

oczy jej, gorejące łzami i ogniem, podniosły się ku jej twarzy, a blade usta szepnęły:

— Miłość, matko!

Ramiona starej matki silniejszym, niż kiedykolwiek, uściskiem objęły kibić córki.

Długo milczały obie.

— Michasiu, — pierwsza ozwała się matka — trzeba więc, abyś wyjechała gdzieś daleko...

— Tak, matko, tak! gdzieś daleko! daleko! gdzie wiele będzie pracy ciężkiej, gdzie otoczą mnie znowu twarze obce, a obowiązki święte zaciężą na każdej myśli mojej, na każdej chwili mego życia... gdzie rozpieszczać mnie i rozrzewniać nie będzie wzrok twój kochający... gdzie będę musiała cierpieć i walczyć z sobą w milczeniu.

Mówiła to szybko, z gorączką i uniesieniem w głosie, który jednak zadrżał wnet, złamał się i zatonął w łkaniu głębokiem, choć cichem.

Mieczysław opuścił stare domostwo i szedł przez ulice miasta krokiem szerokim, z głową pochyloną, jak człowiek, na którego wesołość zwykłą spadło niespodzianie coś bardzo smutnego, którego dumę butną pochyliła rzecz jakaś, głęboko zawstydzająca.

Powaga i obojętność, z jakiemi powitała go dziś Michalina, otworzyły mu oczy na wszystko, co działo się kiedy w sercu jej i jego, i kazały mu myśleć o przyszłości.

Kochał ją, nie ukrywał tego przed sobą; wdzięczna i szlachetna postać jej pociągała go ku sobie mimowoli, wywieranym na niego czarem dobroci, prostoty, rozumu. Ale co czynić miał z uczuciem tem swojem? Nigdy dotąd nie zapytał siebie o to. Charakter i umysł jego nie zbratały się jeszcze w zupełności z powagą życia, nie dojrzały dostatecznie do postanowień silnych i uprzedzających wypadki. Powtarzał teraz sobie w myśli pytanie, w oczach jej dziś wyczytane: »Poco przybyłeś tu? poco mnie ścigasz?«

— O! — zawołał sam w sobie — gdyby tak ją pochwycić i zabrać z sobą do wiejskiego kąta mego, i nigdy już się z nią nie rozstawać!

Myśl ta napełniła go radością niewymowną, ale chwilową. Przesądne jakieś wahanie się zaćmiło przed nim uroczy obraz ukochanej dziewczyny, która intuicyą kobiety rozumnej odgadła dobrze, co działo się i dziać miało we wnętrzu istoty jego, szlachetnej z przyrodzenia, bogatej w dobre popędy i piękne zdol-

ności, ale bynajmniej nie doskonałej, nie dokształconej do idealnej normy czucia, myślenia i życia.

Nagle pośród chodnika Mieczysław zatrzymał się. Człowiek jakiś, w siermięgę ubrany, witał go zdjęciem czapki i nizkim ukłonem. Poznał w nim, pomimo zmroku, jednego ze sług orchowskich.

— Ja panicza po całem mieście szukam — rzekł siermiężnik. — Przysłano mnie tu po panicza, bo starszy pan cośćić bardzo ciężko wczoraj zachorował. Już tam dwóch doktorów siedzi, ale starszy pan pono o panicza dopomina się ciągle.

Mieczysław kilku skokami dopadł hotelu.

— Zakładać konie! — krzyknął na woźnicę swego, wbiegając do sieni.

Blady był bardzo i ręce mu drżały, gdy wkładał na siebie podróżne ubranie. Z najwyższą niecierpliwością oczekiwał na założenie koni.

— Listopad — mówił do siebie, gorączkowymi krokami przebiegając hotelowy pokój — tak, listopad! Mój Boże! a ja myślałem... że choć jedną jeszcze zimę przeżyje...

Łzy zaświeciły mu w oczach.

— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! — zawołał — żeby go jeszcze choć raz zobaczyć! O, dlaczegoż nie byłem z nim ciągle? Jakim-że jestem samolubem! wietrznikiem!...

Zapomniał o wszystkiem, cokolwiek nie było szanownem i drogiem mu obliczem ojcowskiem, które, blade i resztą zaledwie życia świecące, ścigało nieustannie wzrok i myśl jego.

— Żeby choć w porę jeszcze przyjechać! — myślał, siadając na najtyczankę, i głośno rzekł do woźnicy:

— Ojciec mój umiera, Stefanie! trzeba, abym go znalazł żyjącym jeszcze! rozumiesz?

Woźnica, nie odpowiadając nic, krzyknął na cztery dzielne konie, które porwały się z miejsca, i tęgim kłusem przebiegłszy ulice miasta, dalej już, na szerokiej pocztowej drodze, uniosły lekki powóz z szybkością wichru.

XI.

Opowieść o uczuciach, myślach i kolejach losu pewnego zbiorowiska ludzi, to niby instrument bogaty w tony rozliczne. Uderzmy w nim akord nowy, a może brzmienia jego spotęgują inne głosy i zwiążą w harmonię jednolitą.

Rzućmy okiem na przeszłość Kajetana Orchowskiego.

Był on starcem przedwczesnym, schorzałym, bezsilnym, w cichych rozmyślaniach zatopionym, niekiedy zrozpaczonym, zbuntowanym przeciw czemuś niewidzialnemu. Zgwałcone znać były w istnieniu jego wielkie prawa jakieś; pomiędzy tem, czem stał się, a tem, czem stać się mógł, zaszedł rozstrój, który krzykliwym dysonansem brzmiał w głębi istoty jego, obranej do szczętu z sił i energii.

Miał 24 lata, gdy po stracie obojga rodziców stał się jedynym panem i dziedzicem obszernych włości orchowskich, zawierających w sobie tysiąc dusz poddanych, miasteczko ludne i intratne, setki włók gruntu ornego, lub pięknymi, odwiecznymi lasami pokrytego.

Było to przed trzydziestu kilku laty.

Dwór orchowski, jak inne podobne mu siedliska, cicho i sennie, zda się, stał wśród okolicy; nie brzmiały w nim nawet nigdy odgłosy chwilowych, zdawkowych wesołości, ale mniej niż gdzieindziej usnęły tu ludzkie uczucia i myśli.

Ojciec Kajetana był starym wojakiem i podróżnikiem, z białymi włosami nad czołem, przerzniętem szramą głęboką. Matka jego, niewiasta dość młoda jeszcze, całą siłą serca kochała małżonka i jedynego syna, ściany domu swego, wszystkich ludzi biednych, poezyę i cnotę.

Kajetan chował się w domu. Ze współczesnych mu młodych ludzi bardzo nieliczni tylko otrzymywali publiczne szkolne i uniwersyteckie wychowanie.

Młody Orchowski przecież miał na usługi swoje w domu rodzinnym środki wychowawcze takie, jakich pozbawiona była większość rówieśników jego. Dziecięce i młodzieńcze lata upłynęły mu pomiędzy rycerską legendą, upostaciowaną w osobie ojca jego, a czystym, poetycznym, słodkim i miłosiernym duchem matki.

Dokoła rozwijającej się istoty jego wiele było ciszy, najlżejszym nieprzerwanej gwarem, mnóstwo marzeń w czyn niewprawianych, dużo słodyczy i poczuć, bez hartu i zapoznania się z rzeczywistością. Brak ten wszystkiego, co zmężnia, utrwala, daje siły, potrzebne do stąpania po ziemi, stanowił groźne, choć utajone jeszcze, znamię pory owej.

Cokolwiekbądź, wielu było w okolicy ludzi żyjących, którzy pamiętali Kajetana Orchowskiego pięknym, młodym człowiekiem, z gorącym i szlachetnym ogniem w oku, z wyrazem słodyczy wkoło ust świeżych, z dumą na białem czole, nie taką,

która grzesznie i bezmyślnie gardzi ludźmi innymi, ale taką, która, wypływając z poczucia sił, wezbranych w piersi i głowie, mówić się zdaje o wyższych celach, o niepospolitych przeznaczeniach noszącego ją w sobie człowieka.

To też młody dziedzic dóbr orchowskich prędko i zupełnie mimowoli zdobył sobie wśród sennej okolicy pewien rozgłos. Opowiadano o nim, że lubił samotność i czytywał książki, że unikał, o ile mógł, gwarnych i nieraz świetnych, lecz zawsze trywialnych, zebrań sąsiedzkich i kawalerskich pustot, że skromny był, jak dziewczyna, i we dworze swym zaprowadził obyczaj szczególniej surowy.

Mówiono, że zdolny był godzinę całą w milczącej zadumie stać przed obrazem, posągiem lub pięknem zjawiskiem przyrody, — a byli nawet tacy, co utrzymywali, że, przechadzając się po lesie lub ogrodzie, głośno deklamował poezye, inni zaś, którzy z pewnych postępków i odzywań się jego odgadywali w nim demokratę i filantropa.

— Dziwak! — z przekąsem mawiali o nim jedni.

— Marzyciel! — uśmiechali się drudzy.

— Reformator! — sarkali inni.

Nagle do wszystkich krążących o nim wieści przybywa jedna jeszcze: »Kajetan Orchowski kocha się!« »W kim?« — »W żadnej z dziewic, rozkwitających pośród równych mu godnością i majątkiem rodzin szlacheckich«. — »W kimże więc?« — »Któż to zgadnie?... W pasterce jakiejś chyba, w Cygance, rusałce, ondynie. Po tak dziwacznym młodym człowieku wszystkiego spodziewać się można.«

* * *

Był to piękny dzień letni, oblany oślniewającem światłem słonecznem, a jednak nieskwarny, z orzeźwiającymi powiewami wonnego wiatru, z rojem drobnych obłoków białych, mknących po szafirze nieba.

W dniu tym młody dziedzic Orchowa należał całkiem nie do samotności, nie do poezyi, nie do marzeń reformatorskich lub artystycznych zachwytów, ale do prozaicznej, gospodarskiej pracy. Działo się z nim tak dniami, godzinami niekiedy. Zrana gospodarz rzeźki i wesoły, wieczorem stawał się marzycielem zadumanym i tęskniącym za czemś nieokreślonem; dziś za wzór życia obierał sobie *Pana Podstolego*, nazajutrz gotów był z gałę-

zią cyprysu w ręku iść z *Gustawem* na nocne posępne wędrówki.

Objechał dokoła orchowskie łany, przesadził strumień bystry, choć wązki, zakreślający granicę pomiędzy posiadłością jego a sąsiedzką i, puściwszy cugle na szyję kasztana zwolna posuwał się drogą, kręto biegnącą pomiędzy dojrzewającemi zbożami.

U końca drogi, którą przebywał, rozkładały się na dość obszernej przestrzeni szare domostwa miasteczka; drobne okna ich błyszczały pod promieniami słońca, jak wielkie iskry, a nad dachami wiły się liczne wstęgi srebrzystych dymów.

Na prawo dwa borki sosnowe, nakształt skrzydeł ciemnych, osłaniały niewielki dworek jakiś, roztwierając się o tyle tylko, aby ukazać jedną białą jego ścianę i szybę stawu, ocienioną gałęźmi gęstego rzędu brzóz płaczących.

Ludzi nie było widać nigdzie w pobliżu; w oddali tylko majaczyły postacie niewiast wiejskich, nad zagonami lnu pochylone, od strony miasteczka dolatywał gwar niewyraźny; w gałęziach drzew przydrożnych świergotało ptactwo.

Nagle w pobliżu dworku, świecącego na prawo, zamigotała nad stawem postać jakaś biała, wybiegła z pod brzóz płaczących i mknęła wzdłuż ciemnej ściany borku; za nią ukazały się dwie inne postacie, mniejsze od niej znacznie, potem dwie jeszcze, kilka, kilkanaście... a wszystkie z kolei wbiegły pomiędzy gęstwinę zboża i na wązkiej miedzy rozwinęły się w sznur długi. Z dala patrzącemu wydawać się mogły, że nie biegły, lecz na fali złocistej płynęły ku drodze.

Kajetan, jadąc wciąż zwolna, przypatrywał się szczególnemu orszakowi temu, który, jak stado ptasząt z gniazda, wymknął się z białego dworku, otulonego skrzydłami ciemnych borów. Im bardziej zbliżał się ku drodze, tem wyraźniejsze odgłosy śmiechów i szczebiotów dziecięcych rozbrzmiewały w cichem, czystem powietrzu.

Po chwili wyróżniła się postać, orszakowi przodująca. Była to postać dziewczęcia, w białej sukni perkalowej, w słomianym kapeluszu, z pod którego spływały dwa długie płowe warkocze. Za nią biegły dzieci; z tych dwoje blade i chorowite miało twarzyczki, a ubrania ich świadczyły o pochodzeniu szlacheckiem; inne, z pyzatymi, rumianymi policzkami, w koszulkach grubych lub sukiennych kaftanach, pochodziły widocznie z wioski jakiejś, z tej może, której parę chat szarych wychylało się z za ciemnych sosen, ocieniających dworek ze stawem.

W pobliżu drogi, w małej wklęsłości gruntu, wysoką trawą pokrytej, rosło kilka grusz starych i rozłożystych. Był to rodzaj altany, przez samą przyrodę zasadzonej, cienistej, chłodnej, szumiącej zcicha gęstym liściem, który splatał się u góry w przezroczyste sklepienie.

Dziewczyna w białej sukni wbiegła pomiędzy stare grusze i usiadła w ich cieniu. Zdjęła z głowy kapelusz, a rzucając go na trawę, wyciągnęła ręce ku dzieciom, które gwarnym rojem napełniły altanę. To też drobna gromadka w mgnieniu oka skupiła się przy niej.

Twarz miała ściągłą, o liniach niewysłowionej słodyczy, kibić wysmukłą, w kształtach swych drobnych mającą coś dziedzięcego i prawdziwie dziewiczego zarazem. Z przezroczystą skronią, wspartą na dłoni, siedziała teraz, biała i spokojna, z łagodnem światłem w oczach i z bladoróżowemi ustami, napół otwartemi uśmiechem. W oczach tych było trochę zamyślenia, a w zarysie warg uśmiechniętych błądziła linia smutku.

Młody Orchowski zbyt dobrze znał rodzinną swą okolicę, aby mógł nie domyślić się, kim było to zjawisko, które w tej chwili wzrok jego do siebie przykuwało. Wiedział, że dworek ze stawem, pomiędzy dwoma borami stojący, nazywał się Białowolą i należał do rodziny, której nikt prawie nie znał zblizka, ale o której dziejach dziwne prawiono rzeczy, niby o szczególnem zbiorowisku nieszczęść różnych, prześladowań losu, kalectw, chorób, wczesnych śmierci.

Domyślił się z łatwością, że dziewczyna z uśmiechniętemi usty i smutnem okiem była wnuką obecnego dziedzica Białowoli; o istnieniu jej bowiem zasłyszał był tu i owdzie coś niewyraźnego i niedobrze zapamiętanego. Pomimo blizkiego sąsiedztwa, nie widział jej dotąd nigdy. Teraz nie mógł oderwać od niej wzroku. Zdawało mu się, że ona jest promieniem, wydzielającym się z tego morza blasków, które świat zalewało, jednym z kwiatów, których tyle barwiło się dokoła, najsmuklejszym z nich tylko i najbielszym, wpół lilią zadumaną, wpół różą, wykwitającą z polnego kwiatu...

Zatrzymał naprzód konia na uboczu, pod cieniem jednej z wierzb przydrożnych; potem pojechał dalej, a gdy zrównał się z altaną, młoda dziewczyna, usłyszawszy zapewne tentent konia, spojrzała ku drodze.

Ale widok pięknego i młodego jeźdźca nie sprawił na niej widocznie żadnego wrażenia, ciekawą snadź nie była i nie wyglądała w życiu swem romantycznych przygód. Na kolanach jej

siedziała w tej chwili jedna z dwóch dziewczynek o chorowitych, bladych twarzyczkach.

Musiała to być siostra jej mała, albo siostry córka, bo podobna do niej była ze ściągłych rysów twarzy i z błękitnych oczu. Dziewczyna obejmowała dziecię ramieniem, rozgarniała mu włosy nad bladem czołem i w wychudłej twarzy topiła spojrzenie nieskończonej troskliwości.

W tej chwili już młody jeździec nie porównywał jej w myśli ani do promienia, ani do kwiatu. Dziewicza jej postać przybrała teraz wyraz dojrzałej kobiecości; w spojrzeniu jej, zwróconem na dziecię chorowite, było coś macierzyńskiego, co nakazywało głęboki szacunek.

Orchowski odjechał, ale od tego dnia codziennie prawie można go było widzieć idącego lub jadącego drogą, wiodącą ku miasteczku i okrążającą dworek ze stawem. Patrzył w stronę dworku i zdawał się oczekiwać stamtąd czegoś; ale oczekiwania długo były daremne, białowolska dziewczyna nie przychodziła już z gromadką swą pomiędzy stare grusze polne, albo on może przybywał tam wtedy zawsze, gdy jej nie było...

Zobaczył ją znowu zblizka w pewien dzień jesienny, mglisty nieco i chmurny. Była sama jedna. Zamiast słomianego kapelusza, miała na płowych włosach chusteczkę czarną, a, zamiast białej letniej sukni, kibić jej smukłą okrywało ciemne wełniane ubranie.

Gdy nadchodził, zbliżała się właśnie ku drodze ścieżką, wijącą się pomiędzy ściernią, sczerniałą od mgły i deszczów. Uczuł się wzruszonym jej widokiem więcej może, niż tego się spodziewał. Stanął, ukryty nieco za przydrożnem drzewem, i patrzył na nią.

Szła zwolna, z głową pochyloną; w ręku niosła długi wieniec, upleciony z białych nieśmiertelników i barwinkowych liści. Zatrzymała się i zarzuciła wieniec na ramiona nizkiego krzyża, który, grubo wyciosany z drzewa, wznosił się na małem wzgórzu, u końca ścieżki. Gdy to uczyniła, wielkie, błękitne oczy jej, wzniesione ku niebu, napełniły się wyrazem gorącego błagania Stała tak chwilę, ze wzrokiem utopionym w wysokościach, z niememi modły zawieszonemi na milczących wargach.

Potem osunęła się zwolna na ziemię, splotła przed sobą dłonie, skroń oparła o stopy krzyża i przymknęła powieki W nie ruchomej postawie jej, na twarzy bladej i przezroczystej, spoczywało piętno głębokiego, nieprzezwyciężonego zmęczenia. Smutek cichy i pokorny błądził na jej ustach bladych i drobnych.

Dosyć było wtedy raz spojrzeć na nią, aby poznać, że na rozkwitającej młodości tej zaciężyły już srogie doświadczenia trudów i cierpień.

Cisza i pustka panowały dokoła, nie widać było nigdzie żadnej istoty żyjącej; przyroda nawet bez barwy, bez głosu, zdawała się spoczywać w omdleniu pomiędzy szaremi chmurami, zwolna sunącemi w górze, i między ciepłemi, gęstemi mgłami, wiszącemi u dołu. Po chwili dopiero od strony pól pustych przypłynął głos jakiś oddalony:

— Franiu! Franiu! — wołała niewidzialna jakaś istota ludzka.

Imię to, powtórzone dwa razy przeciągle, zabrzmiało w powietrzu, a słabe echo powtórzyło je po raz trzeci pod ścianą boru.

Dziewczyna, spoczywająca u stóp krzyża, otworzyła oczy, szybko podniosła głowę i zdawała się słuchać z uwagą.

— Franiu! — raz jeszcze i z mniejszego już oddalenia zawołał głos.

W brzmieniach jego przeciągłych, jękliwych nieco, dźwięczała niby skarga użalającego się dziecka i nieskończona słodycz serca, przyzywającego ku sobie istotę ukochaną.

Młoda dziewczyna, jak sprężyną ruszona, porwała się z ziemi. Stanęła wyprostowana, widocznie czegoś nagle zaniepokojona i, patrząc w stronę, z której brzmiało wołanie, zawołała także:

— Jasiu!...

Głos jej srebrzysty był i, tak jak kształty ciała, dziecinny prawie, a jednak przeciągle i donośnie rozległ się dokoła.

Odpowiedzią na jej wołanie był okrzyk niewyraźny, choć donośny. Brzmiała w nim radość kogoś, co znalazł nakoniec to, czego szukał. Zarazem z pomiędzy karłowatych wierzb, porastających małą poblizką łączkę, wysunęła się na pole postać, na pierwszy rzut oka dość dziwna.

Był to mężczyzna z twarzą ciemną, w odzieniu poplamionem kurzawą i błotem. Oczy miał takie same, jak młoda dziewczyna, wielkie i błękitne, ale szeroko roztwarte, zagasłe, jakby martwe i najlżejszym promieniem myśli przytomnej nieożywione.

Wiek jego trudno było poznać. Twarz wyglądała staro i poorana była zmarszczkami, ale głowę okrywały włosy ciemne, kędzierzawe i gęste. Na włosach tych splątanych piętrzyło się coś nakształt olbrzymiego wieńca, bezładnie splecionego ze zżół-

kłych liści i suchych badyli polnych. W ręku trzymał giętką gałąź wierzby, okrytą gęstym, uwiędłym liściem.

Ujrzawszy postać tę, młoda dziewczyna postąpiła szybko kilkanaście kroków.

— Jasiu! Jasiu! — wołała idąc i przyśpieszała kroku, jakby w obawie, aby wołający nie zwrócił się w inną stronę i nie umknął.

Ale on szedł prosto ku niej. Obłąkane oczy jego nabrały na widok jej wyrazu dziecinnej radości, a usta zwiędłe otwierały się wśród zmarszczonej twarzy głośnym, nieprzytomnym śmiechem.

Spotkali się u skraju nizkiej, wilgotnej łączki.

— Gdzie byłeś, Jasiu? — spytała młoda dziewczyna, ujmując ciemną, grubą rękę obłąkanego.

Zadawała pytanie to głosem łagodnym, ale ze spojrzeniem poważnem i twarzą nierozjaśnioną uśmiechem. Powaga ta i badawcze spojrzenie zdawało się sprawiać obłąkanemu przykrość niewymowną.

— Nie gniewaj się, Franiu! — zaczął mówić jękliwym, żałącym się głosem. — Jaś poszedł znowu do lasu, siedział w lesie długo... długo... rok... dziesięć lat... sto lat... i słuchał, co drzewa gadają, i patrzył na te wielkie, białe ptaki, co tam w górze płyną... płyną...

Dziewczyna wiodła go za rękę ku ścieżce.

— Nie gniewaj się, Franiu, — powtarzał obłąkany. — Jaś nigdy już więcej tego nie zrobi... nie pójdzie do lasu, będzie siedział w domu i myślał o tem, jak mu dobrze było wtedy, kiedy żył... Teraz on już nie żyje... rozum poleciał tam, gdzie te wielkie białe ptaki latają, a jego do ziemi pochowali... razem z Klemunią... z siostrą naszą Klemunią, która była taka dobra i taka śliczna, a teraz śpi tam pod sosnami...

Gwarzył tak długo i głośno, idąc przez pole i potykając się o zagony, mówiąc o sobie, niby o jakiejś innej istocie, która żyła kiedyś, a patrząc na białe, sunące w górze obłoki, które nazywał »wielkimi ptakami«.

Dziewczyna wiodła go wciąż za rękę i w milczeniu słuchała posępnych wyrazów waryata. Stanęli już teraz na ścieżce, ku dworkowi wiodącej.

— Ach! — krzyknął waryat — to naszą chatę widać. Jest tam i Frania?...

— Ja tu jestem, przy tobie, Jasiu!

— Tu?.. A prawda, to dobrze... pójdziemy do lasu.

Mówiąc to, zwrócił się znowu ku łączce, porosłej wierzbą, i towarzyszkę swą pociągnął za sobą. Ale ona oparła się ciągnącej ją ręce jego z dziwną mocą. Stanęła silnie, na drobnych swych stopach wsparta, podniosła głowę i, patrząc mu prosto w twarz, rzekła ze spokojną mocą:

— Pójdziemy do domu.

Przez chwilę zdawać się mogło, że pomiędzy obłąkanym tym człowiekiem a młodziuchną, wątłą dziewczyną stoczy się walka trudna i bolesna. Martwe dno źrenic jego zaniepokoiło się, strzeliła z nich błyskawica dzikiego zniecierpliwienia.

— Pójdź do lasu! — zawołał i usiłował znowu pociągnąć ją za sobą.

Ale ona nie ruszyła się z miejsca ani krokiem... Siły jej, fizyczne nawet, wyćwiczone snadź były do walki i oporów.

— Pójdziemy do domu! — powtórzyła tym samym głosem stanowczym, a błękitne jej oko, w tej chwili przenikliwe, badawcze, bez drgnienia powieki tonęło we wzburzonych źrenicach obłąkanego...

Zwyciężyła go... Pochylił głowę przed jej spojrzeniem, jak dziecko, przez matkę skarcone, i poszedł za nią na ścieżkę. Ona szła przodem, nie oglądając się nawet, pewna snadź, że pójdzie za nią.

Szli krętą ścieżką ku dworkowi. W połowie drogi obłąkany zawołał znowu:

— Franiu!

I nie zważając na to, że szła o parę kroków przed nim, powtarzał wołania co sekund kilka. Wymawianie jej imienia zdawało się sprawiać mu przyjemność niezmierną, bo wywoływał je na różne tony, cichsze i głośniejsze, brzmiące to prośbą, to skargą.

Imię to brzmiało w powietrzu i obijało się o uszy zamyślonego i zasłuchanego wśród drogi Kajetana, wtedy jeszcze, gdy dziwna para, okrążywszy stawek, zniknęła z gęstwiny brzóz płaczących i za spłókaną od jesiennej wilgoci ścianą białego dworku.

Wkrótce potem nastąpiła zima. Nad słomianym dachem białowolskiego dworku unosiły się wstęgi szarych dymów, niby tchnienia roznieconego w jego ścianach domowego ogniska. Przed dworkiem leżała kryształowa szyba zamarzniętego stawu, a rzędy brzóz płaczących i ciemne skrzydła borów stroiły się wokoło niego w śnieżne puchy i brylantowe szrony.

Młody Orchowski coraz rzadziej ukazywał się na drodze, wiodącej w pobliżu dworku ku miasteczku.

Świat sąsiedzki, więcej niż kiedykolwiek w zimie tej rozbudzający zabawami żywot swój senny, wyrwał go nakoniec ze starych ścian domu i starał się jak najbliższą zawiązać z nim znajomość.

Znajomość ta jednak do wzajemnej przyjaźni nie przywiodła. Głośniej jeszcze, niż wprzódy, okrzyknięto dziedzica dóbr orchowskich marzycielem i oryginałem.

Opowiadano o nim, że, wśród zebrań licznych, dla wesołej zabawy zgromadzonych, rozpoczynał poważne dyskusye o celach życia, obowiązkach, o nauce, rolnictwie i przemyśle, że najpiękniejsze i najbogatsze z dziewic okolicy nie mogły zwrócić na siebie uwagi jego wdziękami ni strojem; że mówił głośno, jako małżeńskich związków nie zawrze inaczej, jeno ze szczerą miłością w sercu i nie z kim innym, jeno z kobietą, która zrozumie żądania serca jego i umysłu i dopomoże mu do spełnienia planów, jakie zakreślił dla swej przyszłości.

Jakimi były te plany i co właściwie miały one na celu? nie wypowiadał tego dokładnie i otwarcie przed nikim. Domyślano się rzeczy różnych, przedsięwzięć jakichś gospodarskich, przemysłowych zakładów, filantropijnych urządzeń. Byli i tacy, którzy dowodzili, że młody pan na Orchowie gorącą miał głowę i serce szlachetne, ale czego żądał od życia i siebie samego, sam jeszcze nie wiedział dobrze.

Niekiedy do wnętrza domu jego zaleciał jęk biedy jakiejś, skarga czyjegoś cierpienia. Zrywał się wówczas i niewołany biegł tam, gdzie go potrzebowano, otwierał dłoń i ręce... Potem czytywał znowu poezye, wpatrywał się godzinami w pozostawione sobie przez przodków piękne dzieła sztuk i... marzył.

W owej to porze ktoś rozumny i doświadczenie życia posiadający powiedział o nim:

— Gdyby tak teraz młodzieńcowi temu nie zbrakło ręki kierowniczej, walki o byt, choćby własny, trudu koniecznego, codziennego... gdyby mu teraz obywatelskie dać posłannictwo!...

O Białowoli Orchowski zapominał całymi tygodniami, miesiącami; niekiedy zaś, nagle, przed wzrokiem wyobraźni jego stawała smukła, błękitnooka dziewczyna, piastująca na kolanach swych blade, wychudłe dziecię, albo rozmodlona u stóp krzyża z przymkniętą w zmęczeniu powieką, albo jeszcze wiodąca ku

domowi waryata, zwieńczonego liśćmi i rzucającego dźwięki jej imienia: Franiu! Franiu!

Pierwsze skowronki wiosenne unosiły się nad polami; powietrze ciepłe przesiąknięte było mocną wonią rozgrzanej ziemi; przydrożne drzewa okrywało rozpuszczające się w liść pękowie, gdy Kajetan Orchowski szedł w stronę miasteczka. Wyglądał jak człowiek, który ma głowę pełną zamiarów, nadziei i marzeń. Nagle stanął i wzrokiem uważnym, rozpromienionym, patrzał na zbliżającą się ku drodze młodą dziewczynę. Była to Frania. W chwili, gdy spostrzegł ją, idącą po wązkiej miedzy, pochyliła się właśnie ku ziemi i zdawało się, że przemówiła słów kilka do kogoś niewidzialnego.

Nie otrzymała snadź odpowiedzi, i z ust jej wyrwał się okrzyk lekki. Usiadła wśród zoranego zagonu, zdawała się z trudnością podnosić z ziemi ciężar jakiś. Podniosła go wreszcie, powstała i szła ku drodze bardzo powoli, cała zajęta tem czemś, co niosła w objęciu i co utulała pod swem wełnianem, ciemnem okryciem.

Po kilkunastu jednak krokach sił jej zabrakło widocznie. Stanęła, oparta o jedną z grusz owych, które w pobliżu drogi tworzyły altanę, i potoczyła wzrokiem dokoła. Wzrok ten wyraźnie szukał pomocy. Orchowski stał już przy niej.

— Przebacz pani, — rzekł głosem wzruszonym nieco — ale wydało mi się, że pani potrzebujesz pomocy.

Na widok tego nieznanego pięknego młodzieńca, nie zarumieniła się, nie zmieszała: znać było, że ani na jedną sekundę nie pomyślała o samej sobie. Cała uwaga jej i pamięć skupione były nad tem, co w zmęczonem objęciu swem trzymała.

— O! jakież to szczęście, żem spotkała tu kogoś! — rzekła. — Nie miałabym dłużej siły nieść tego dziecka.

— Dziecka? — ze zdziwieniem powtórzył Kajetan.

— Tak, — odpowiedziała młoda dziewczyna — znalazłam je na miedzy, nawpół umarłe od głodu i zimna...

Mówiąc to, rozchyliła sukienne okrycie, a młody Orchowski ujrzał czteroletniego mniej więcej chłopaka, w grubej koszuli, zaledwie okrytej podartym łachmanem. Dziecię to zsiniałe było od zimna, wychudłe widocznie z głodu; oczy miało zamknięte, co nadawało mu pozór nieżywego, a wkoło głowy włosy, gęste jak las, kędzierzawe, ze słomą i kurzawą zmieszane. Ognista barwa włosów tych i pewne linie znędzniałej twarzy zdradzały jego pochodzenie.

— To dziecię żydowskie! — zawołał Kajetan.

— Tak, — spokojnie odparła dziewczyna — to jedno z piętnaściorga dzieci krawca Judela.

— Z piętnaściorga dzieci! — powtórzył znowu Orchowski.

— Judel ma piętnaścioro dzieci; biedny to bardzo człowiek. W tym roku szczególniej nędza u nich jest straszna.

Zamieniali słowa te, idąc drogą, do miasteczka wiodącą. Orchowski złożył nawpół nieżywe dziecię na bryczce swej, która nadjechała, a teraz szedł obok młodej dziewczyny i słów jej słuchał z pewnem zdziwieniem.

— Skąd pani wiesz to wszystko? — zapytał.

Spokojny uśmiech okolił blade jej usta.

— Mieszkam o pół wiorsty stąd — rzekła, wskazując białowolski dworek. — Urodziłam się tu i wzrosłam... znam wszystkich prawie mieszkańców miasteczka.

Orchowski z coraz większem zajęciem patrzył na delikatny profil jej twarzy, którego białość podnosiły okalające go czarne fałdy chusteczki.

Weszli w błotnistą ulicę miasteczka, z dwóch stron szaremi domostwami obudowaną. Orchowski zwrócił się do woźnicy swego z zapytaniem:

— Czy wiesz, gdzie mieszka krawiec Judel?

Woźnica wzruszył ramionami, na znak niewiadomości.

— O! — podchwyciła Frania — ja dobrze znam mieszkanie Judela. Każ pan zwrócić konie na prawo... tu, w tę uliczkę.

* * *

W głębi najwęższej, najbłotnistszej ulicy miasteczka stała chata stara, niemal waląca się, z dwoma okienkami, dotykającemi nieledwie ziemi. Za jednem z okienek tych, poprzez szyby drobne, popękane, szare od pyłu, ludzie, przechodzący błotnistą uliczką, widywali od lat dwudziestu może Żyda, o twarzy pociągłej, bladej, bez zarostu, lecz ocienionej gęstymi, rudymi włosami, przykrytymi znoszoną jarmułką.

Żyd ten codziennie, z wyjątkiem jednych tylko dni sabatu, siadywał przed wązką deską, na dwóch klocach wspartą i kawałkami materyi różnego gatunku zarzuconą. Deska ta była stołem; kawałki materyi sztukami płócien lub sukien, zużytych najczęściej wielce, a tanich zawsze.

Żyd, siedzący przed stołem tym pierwotnej prostoty, u okna,

przez które słabym zaledwie odblaskiem przebijać się mogło światło dzienne, był krawcem. Na imię mu było Judel, a współwyznawcy tylko wiedzieli, że miał on także nazwisko Makower. Od godziny szóstej zrana do północy, a czasem i dłużej, Judel szył; wieczorami z za szyb mętnych, połyskiwał mały płomień łojówki, która paliła się na stole i żółtym połyskiem oblewała czoło Żyda, nad robotą schylone.

Czoło to okryte było skórą zmiętą, jak stara karta pergaminu; rysowało je mnóstwo kres i zmarszczek, nie przez lata jednak utworzonych, bo podówczas Judel znajdował się jeszcze w wieku zamęskiej dojrzałości.

Twarz jego na pierwszy rzut oka wydawała się prawie bezmyślną, gapiowatą i bardzo pokorną; ale, po bliższem przyjrzeniu się, spostrzedz można było w oczach jego, szeroko zawsze roztwartych, utajone światło ciągłej niemal wewnętrznej ekstazy, a wkoło warg cienkich, bezbarwnych, linią taką, w jaką zarysowują się zwykle usta tych, którzy cierpią wiele, nie wiedząc o tem sami i nie zdając sobie z tego sprawy. Była to twarz wyrobnika rąk, z duszą utopioną w niemych medytacyach.

Szył i dumał, i kiedy niekiedy oczy odrywając od roboty, podnosił je w górę, poprzez szyby mętne, szukając pomiędzy obłokami czegoś niewidzialnego. W przedsabatowe wieczory i dni sabatowe nie siadywał już nad stołem, ale stał; na ramionach miał kawał czarnego sukna z białymi szlakami, a przed sobą grubą księgę rozwartą.

Wysoka, chuda postać jego chyliła się wtedy, niby trzcina pod powiewem gwałtownego wichru, naprzód i w tył, a przez okienko chaty wypływały na ulicę dźwięki głosu jego, niby gama długa, przechodząca od szeptów, nabrzmiałych westchnieniami, do ekstatycznych wykrzyków miłości i jękliwych wołań o pomoc.

Miasteczko Orchów zaludnione było w większej części przez Izraelitów, ale powszechnie uznanem zostało, że żaden z nich nie pracował tak nieustannie, nie modlił się tak gorliwie i nie mówił tak mało, jak krawiec Judel. Powiadano także, iż żaden z nich nie był tak łagodnym, jak on, ani... tak biednym. Za szybami okienek rozlegały się zrazu płaczliwe krzyki jednego dziecka, potem dwojga, trojga, kilkorga, aż nakoniec przyszedł czas, w którym chata napełniła się taką wrzawą dziecięcych głosów, śmiejących się, płaczących i o chleb wołających, że słychać je było w oddalonych punktach miasteczka. Niekiedy liczna

gromadka, wnętrze chaty napełniająca, rozsypywała się na zewnątrz.

Dzieci Judela napotkać można było wszędzie: na ulicach i rynku miasteczka, wśród pól, które je otaczały, po wioskach sąsiednich, przed karczmami miasteczkowemi i przydrożnemi. Tułało się to po miejscach różnych, w grubych koszulinach, u piersi rozwartych, zamiast sukien, w łachmanach brudnych i podartych, z drobnemi twarzami, otoczonemi gęstwiną rudych włosów. Żadne z nich jednak nie prosiło o jałmużnę.

Judel nie prosił także nigdy o nic nikogo, prócz Boga, którego wzywał wielkim głosem w dni sabatowe, miotając się nad księgą modlitw i chude ręce od chwili do chwili podnosząc w górę.

Szył on, szył, szył, nie jak człowiek, ale jak machina, bez pomocnika, bez żywego ducha, coby mu wśród pracy towarzystwa dotrzymywał, tocząc wciąż z samym sobą rozmowy wewnętrzne, które w bladych źrenicach jego odbijały się światłem ducha rozegzaltowanego wśród milczenia ust i... głodu ciała. Roboty wykonane roznosił sam po domach miasteczka i po dworkach sąsiednich, oddalonych o wiorstę, dwie, o milę czasem i więcej; nie siadał nigdy na wóz żaden, chodził pieszo i szybko bardzo, z głową pochyloną, z oczyma wpatrzonemi w ziemię i ze szczególnym jakimś uśmiechem na ustach. Obuwie na nogach miewał zawsze podarte i liczne dziury w długim chałacie.

Przyszedł nakoniec rok pewien, w którym zdarzyły się trzy wypadki, mające ścisły związek z bytem Judela. Najprzód do kilkunastu głosów dziecięcych, wrzawą napełniających chatę krawca, przybył głos jeden jeszcze — nowo urodzonego dziecka. Było to dziecko piętnaste z rzędu.

Następnie przed próg chaty wychodzić przestała Żydówka, ze śniadą, pomarszczoną twarzą, która była żoną Judela i gospodynią chaty. Legła ona w ciemnym kącie izby, wśród spłowiałych poszewek starych piernatów, obezwładniona chorobą ciężką i długą.

Nakoniec do miasteczka przybył krawiec drugi, osiadł przy głównym placu i wywiesił nade drzwiami mieszkania swego szyld, na którym wymalowana była bombiasta suknia krwawego koloru i wielkiemi literami stały wypisane słowa: *Krawiec damski i męski z N.*

Nowy przybysz był także Izraelitą, ale młodym, rzeźkim, obrotnym i przebiegłym. Uczył się krawiectwa w N. i to mu

odrazu zjednało reputacyę głośną; przybrał sobie dwóch pomocników i zagarnął całą robotę z miasteczka i okolicy. Wtedy rzadko już tylko widzieć można było Judela szyjącego. Siadywał on zawsze nad deską, stół przedstawiającą, ale, zamiast dawnych kawałków materyi, miewał przed sobą tylko motki nici białych i czarnych, nożyce i igielnik stalowy. Przyrządy te leżały nieporuszone dniami, tygodniami; Judel siedział bezczynnie, z łokciami opartymi o deskę i z pergaminowem czołem, ukrytem w dłoniach.

Przepędzał tak godziny całe, milcząc, myśląc, niekiedy usypiając pod ciepłą pieszczotą słonecznego promienia, który, ukradkiem jakby wnikając przez szyby mętne, złotą nicią połyskiwał na zrudziałej jarmułce Żyda, przebywającego bezrobocie. We wnętrzu chaty nie błyskało już teraz nigdy żadne światełko, zrana nie płonął tam ogień na kominie, a wieczorem nie zapalała się łojówka. Od kilku miesięcy najmniejszy dymek nie ukazywał się nad dachem chaty, wklęsłym i dziurawym. Nie gotowano już tam strawy.

Najstarsza córka Judela, Sara, wychodziła kiedy niekiedy i powracała z bochenkiem chleba czarnego i kilku cebulami, które starczyć miały rodzinie całej na tydzień i dłużej, bo przez czas tak długi nikt już więcej nie opuszczał chaty i nikt nic nie kupował.

Pewnego jednak dnia wiosennego przez próg chaty przepełzało na ulicę czteroletnie dziecię. Chciało wstać na nogi... nie mogło. Słabe było i jakby oniemiałe, bo nie wydało z siebie głosu żadnego, na czworakach powlokło się ulicą.

Świeży powiew wiosenny orzeźwił je snadź nieco, bo na skraju miasteczka mogło stanąć na nogi i iść. Poszło też w pole. Chudą rączyną opierało się o płoty i krzaki, nierozgrzane jeszcze po chłodach zimowych, potykało się o każdą najmniejszą chropowatość gruntu, padało, podnosiło się znowu, pełzło lub szło — aż znikło wśród świeżo pooranych zagonów.

Po co dziecię to puściło się na wędrówkę po miasteczku i polach? Kto wie? Wiedzione instynktem istoty głodnej i zziębniętej, szukało może pożywienia, lub promieni słońca.

Wnętrze chaty zawierało sionkę ciemną i izbę z dwoma okienkami. Izba była tak mała, że na pierwszy rzut oka nikt nie mógłby się domyślić, jakim sposobem mieściło się w niej tyle istot żyjących. Była to jedna z tajemnic przestrzeni, znanych dobrze ludziom, którzy zajmują wśród niej miejsce, jakby kra-

dzione, przemocą wydzierane. Czego nie udzielała tam długość i szerokość, to brano od wysokości.

Wszystkie cztery ściany, od podłogi do sufitu, okryte były wprawionemi w nie drewnianemi półkami. Półek tych było czternaście, a każda z nich przedstawiała miejsce spoczynku dla jednego dziecka, tak, iż wszystkie one leżały w dzień, a spały w nocy jedno nad drugiem, wyniesione nad poziom i zawieszone jakby w powietrzu, nakształt ptaków, śpiących po gniazdach, do drzew poprzylepianych.

Tylko, że gniazda ptasze pływają wśród czystego powietrza, szumu liści zielonych i blasków słonecznych, tu zaś atmosfera duszna była i cuchnąca, a pośród mroku gęstego rozchodziły się płacze, stękania i ciężkie, chrapiące oddechy. Z odgłosami tymi łączyły się kiedy niekiedy jęki chorej Żydówki, leżącej w ciemnym kącie, wśród spłowiałych piernatów.

Jęcząc, wyciągała rękę wychudłą, zżółkłą i poruszała nią kołyskę, z łozy uplecioną, zwieszającą się na sznurach, przyczepionych do belki sczerniałego sufitu. Jęki swe przerywała śpiewem drżącym i chrapliwym, którym uśpić starała się krzyczące z głodu piętnaste dziecko...

Ojciec rodziny tej siedział, jak zawsze, u okna nad deską; obu rękoma trzymał się za głowę i, przechylając postać swą w obie strony, milczał lub też w kształcie śpiewu jakiegoś zawodził. Nie odwracał głowy ku izbie dlatego może, aby nie widzieć dzieci, stękających i chrapiących na półkach, i nagiego, żółtego ramienia, które wychylało się z ciemnego kąta i poruszało sznurami kołyski.

W tej chwili otworzyły się na oścież drzwi chaty i stanęła w nich młoda dziewczyna, w czarnej chusteczce na płowych włosach, z dzieckiem łachmanami okrytem w objęciu, a za nią młody mężczyzna.

— Panie Judel, — rzekła, postępując w głąb' izby — przynoszę ci Mendelka, który spał wśród pola na miedzy.

Judel zerwał się na równe nogi i stał z szeroko otwartemi oczyma i z drgającemi usty.

Na półkach zrobiła się cisza wielka. Ustały chrapania i stękania. Dokoła ścian pod sufitem i nad podłogą, popodnosiły się drobne głowy, okryte mszystymi, roztarganymi włosy, i trzynaście par osłupiałych oczu błyszczało wśród zmroku. W ciemnym kącie nagie ramię opuściło sznury kolebki i natomiast wyciągnęło się ku drzwiom.

— Mendelkie! — zawołał z głębi piernatów głos chra-

pliwy — oj! oj! Gdzie on był? czego on poszedł? Może on już umarł? może już nie żyje?

Judel obudził się nagle z odrętwienia.

Blade jego, cierpiące i zadumane źrenice tkwiły to w twarzy młodej dziewczyny, to w licu pięknego pana, to przenosiły się znowu na zsiniałe rysy dziecka, nad którem z troskliwą dłonią i litośnym uśmiechem pochylała się Frania. Nagle wyprostował się, oczy jego zapłonęły i, łzawe a błyszczące, wzniosły się w górę, na wargach bladych zadrżał uśmiech, pokorny i zarazem zachwycony.

Podniósł wskazujący palec ku kawałkowi nieba, widniejącemu przez drobne, popękane szyby, i wielkim głosem zawołał:

— Niech jasnym państwu wynagrodzi to Bóg! Ja biedny Żyd i dzieci moje biedne, głodne robaki, ale przed nim my wszyscy równi. Niech on jasnym państwu tego tak nie zapomni, jak ja nie zapomnę!

* * *

Opuścili chatę biednego Żyda i zwolna szli ulicami miasteczka. Orchowski konie swe odesłał do domu. Zaniechał już zamierzonej zrana wycieczki; cała myśl jego, wszystkie jego uczucia były przy młodem dziewczęciu tem, które, postępując obok niego, opowiadało mu dzieje każdego prawie domostwa, jakie mijali.

Znała tu wszystkich i ją wszyscy znali. Gospodarne mieszczki, o twarzach ogorzałych, Żydówki na progach domostw, piorące bieliznę lub piastujące drobne dzieci, pozdrawiały ją skinieniem głowy i uśmiechem. Dzieci biegły ku niej i ze szczebiotem wieszały się u jej sukni; ojcowie rodzin mieszczańskich odkrywali przed nią głowy i wiedli za nią przyjaznym lub wdzięcznym wzrokiem.

Ona opowiadała towarzyszowi swemu, kim byli ludzie ci, jak nazywali się, czem się trudnili, w którem domostwie była bieda jaka: ubóstwo, sieroctwo, brak zarobku, choroba.

Orchowski przysłuchiwał się jej ze zdziwieniem. Była śmiała tą przedziwną śmiałością myśli niewinnej, która, nic nie rojąc dla siebie samej, żadnych osobistych planów nie snując, trwóg i pożądań nie żywiąc, obawiać się nie ma czego. Mówiła tak, jak śpiewa ptaszę, bez namysłów, wysileń, ni wahań się, ale

w mowie jej przebrzmiewała dusza ludzka, kochająca, żądna dobra i harmonii, ciężkiemi próbami życia myśleć nauczona.

W głowie i w piersi Kajetana wrzało. Zapomniał na chwilę, że idzie z młodą, wdzięczną dziewczyną, ku której uczuwał pociąg niewymowny, a zdawało mu się, jakoby wszystkie dobre głosy, które nosił w sobie, podnosiły się z dna jego istoty i przemawiały teraz do niego przez jej usta. Zdawało mu się, że trzyma w ręku różdżkę czarnoksięską i że potrzeba mu tylko zakreślić nią w powietrzu krąg wielki, aby wszystko dokoła zakwitło zdrowiem, pięknością i szczęściem.

Zdawało mu się, że wznosi się przed nim góra wysoka i potrzeba mu tylko jeden skok uczynić, aby stanąć u jej szczytu i cudów męstwa, mądrości, miłości dokazać. Dobre uczucia i chęci szlachetne przemieniły się w nim w tej chwili w namiętność, która rozgrzała mu wzrok płomieniem zapału i całą twarz przyoblokła wyrazem niecierpliwego marzenia.

Znajdowali się już w pobliżu ścieżki, wiodącej do dworku, tam, gdzie wzrastały grusze stare i krzyż nizki podnosił nad wzgórzem ramiona, zwieńczone sczerniałem od chłodów i deszczów kwieciem nieśmiertelników.

Frania stanęła, chcąc pożegnać towarzysza; on jednak nie odchodził jeszcze, patrzył z kolei na krzyż i na nią.

— Widziałem, — rzekł — jak pani zawieszała wieniec ten na tym krzyżu. Modliłaś się pani wtedy gorąco, chociaż bez słów... O co pani tak bardzo błagałaś Boga?

W głosie jego było wzruszenie, którego stłumić, ni ukrywać nie mógł. Po twarzy jej, po raz pierwszy od chwili spotkania, przesunął się rumieniec. Przykro jej było, że oko żyjące podpatrzyło tajemnicę wiary jej głębokiej i smutnych jej modłów. Po chwili jednak odpowiedziała:

— O cóż innego modliłbym się mogła, jeśli nie o zdrowie mego dziadka, o powrót rozumu, albo przynajmniej o sen spokojny dla brata mego, o życie dla moich małych?...

Widać było w istocie, że nie modliła się nigdy o nic innego, że nigdy nie prosiła Boga o nic dla siebie.

Nazajutrz Kajetan Orchowski był gościem białowolskiego dworku. Znalazł tam w kilku małych i skromnych izdebkach starego dziadka, kalectwem przykutego do poręczowego krzesła na kółkach; dwoje dzieci bladych, z odrobiną zaledwie życia w chorowitych ciałach; obłąkanego, który tułał się bezmyślnie po domu i ogródku, lub znikał na długo w głębi boru; parę sług

siwowłosych i młode dziewczę, które na widok jego zapłonęło nagle rumieńcem.

Frania była w tym domu nieszczęścia gospodynią, matką, piastunką, dłonią, która żywi, sercem, które pociesza, łagodną mocą, która spokój rozlewa, swobodnym uśmiechem, który promień radości rzuca w najgłębsze nawet mroki niedoli. Była wszędzie, myślała o wszystkiem, działała za wszystkich.

Na dziecięcych jeszcze barkach jej spoczęły obowiązki wielkie; dźwigała je, sama nie wiedząc jak, sama nie wiedząc kiedy, i zżyła się ze swym ciężarem, pragnieniem, myślą, nie wybiegając ni razu w świat weselszy. Była piękną i nie wiedziała o tem. Bywała nieraz śmiertelnie znużoną i nie pragnęła ani szukała spoczynku. W każdej godzinie, w każdej minucie, składała w ofierze, na ołtarzu miłości rodzinnej, najpiękniejszy kwiat swej młodości, najgorętsze płomienie swych uczuć, i nie wiedziała o tem, że czyni ofiarę... Kochała.

Taką widywał ją młody Orchowski przez długi szereg dni i tygodni. Stopniowo poczęła zachodzić w niej zmiana. Raz ujrzał ją siedzącą nad stawem z dziećmi, z któremi nie rozłączała się nigdy prawie; ale zamiast, jak zwykle bywało, gwarzyć z niemi, pieścić je, lub uczyć, szklistem spojrzeniem patrzyła w szybę spokojnej wody, nic, zda się, nie widząc wkoło siebie, nic nie słysząc.

Daremnie blade dziewczynki obejmowały jej szyję i głowę jej swawolnie ku sobie ciągnęły; daremnie przynosiły jej kwiaty i z pieszczotliwem szczebiotaniem zarzucały nimi jej suknię, — żadnem słowem ni poruszeniem nie odpowiadała na pieszczoty ich i zapytania. Możnaby rzec, że owładnął nią sen jakiś głęboki.

Czoło jej, ciężkie nieprzezwyciężonem marzeniem, chyliło się coraz niżej... aż nareszcie oderwała wzrok od powierzchni wody i spostrzegła młodego gościa, który stał pod cieniem brzozy płaczącej, z okiem w twarz jej utkwionem. Powstała szybko, po raz pierwszy zmieszana, strwożona pod jego spojrzeniem. Chciała postąpić naprzód, ale sił jej zabrakło zrazu; bezwiednym ruchem poniosła dłoń do serca, które snadź uderzyło gwałtownie...

Innym razem znalazł ją całą ubraną w kwiaty. Długie gałęzie powojów przewijały się wśród płowych jej włosów i białe kielichy swe opuszczały na jej ramiona. Nigdy przedtem nie stroiła się w kwiaty. Ale teraz zdawało się, że znikła w niej pamięć o żałobie, pokrywającej dni jej młodości, że rozpoczynał

się dla niej dzień nowy. Kwiaty, te dzieci promieni, uśmiechnęły się w poranku letnim do niej, w której serce zapadły także pierwsze promienie serdecznego życia... Wesołą była dnia tego, jak dziecię; młodość jej, długo tłumiona smutkami i trudem, upominała się o swe prawa.

Wieczorem dopiero, gdy słońce ukryło się za cienistą gęstwinę brzóz płaczących, i bladą, różową już tylko łuną barwiło staw cichy, zdjęło ją zamyślenie nagłe, ogarnął ją smutek jakiś niewymowny i nieokreślony. Powolnym ruchem wyjęła z włosów kielichy powoju, a gdy zwiędłe leżały u stóp jej, patrzyła na nie okiem ocienionem długą i cichą, lecz na dnie ogniami i łzami wrzącą, zadumą.

Trwało tak długo, aż do schyłku lata, i... nagle trwać przestało. Był tydzień pewien, w którym młody Orchowski nie odwiedził ni razu białowolskiego dworku. W tym samym też czasie mówili ludzie wiele i głośno o hucznych, świetnych zabawach, wyprawianych po okolicznych dworach na cześć świeżo przybyłej w strony owe piękności... piękności niepospolitej, dumnej, czarnookiej, na wzór komety, wiodącej za sobą szlak blasków olśniewających, nakształt wichru, przelatującej z szumem i porywającej w wir swój wszystko i wszystkich.

Po tygodniu Frania, siedząca u kolan swojego dziadka i czytająca mu głośno dzienniki, ujrzała zdala od krzyża jeszcze za stawem, przybywającego gościa. Dziennik wypadł z jej ręki, głos złamał się nagle w piersi i umilkł...

Przybył, ale zmieniony, blady, jakby po zmęczeniu wielkiem, z chmurą na czole i z błyskawicą wewnętrznej burzy w oku. Zapytała go z trwogą, czy nie jest chory, czy nie spotkało go nieszczęście jakie. Odpowiedział z roztargnieniem i z przymuszonym uśmiechem.

Ona nie zapytywała go więcej o nic. Odgadła w nim ranę jakąś, walkę, rozdwój uczuć i myśli, który przyniósł ze sobą w cichy jej kątek ze świata gwarnego; odgadła i milczała, i tylko, gdy krzątała się po małym domu, głowa jej chyliła się w dół, tłoczona smutkiem nieprzezwyciężonym, a gdy na pożegnanie podała mu rękę i uśmiechnęła się, jak zwykle bywało, przyjaźnie, łagodnie, w uśmiechu jej widać było ukrywany, więc niemy, ból ściśnionego serca.

On dnia tego topił w niej wzrok wilgotny lub niepokoju pełen, a odchodząc, ścisnął dłoń jej drobną z siłą taką, jakby w tej chwili postanawiał coś w myśli niezłomnie.

— Wrócę jutro — rzekł i patrzył na nią z wyrazem oczekiwania w oczach.

Spodziewał się może, iż w odpowiedź zawoła: »powróć! o powróć!« i krzykiem tym kochającego, strwożonego serca podeprze chwiejącą się wolę jego, zwróci jego uczucia w jeden znowu, stały i niezachwiany, kierunek. Ale ona nic nie rzekła. W oczach jej był cały świat uczuć, pytań, próśb i trwóg niewymownych; ale na czole spoczęła duma dziewicza, kobieca, nie dozwalająca błagać o litość.

Nie wrócił. W domu, w którym przebywała świetna i sławna piękność okolicy, był nazajutrz bal wielki. Ręczyński dwór jaśniał wśród nocy letniej setkami świateł, ciepłe powiewy wiatrów roznosiły w dal dźwięki hucznej muzyki i odgłosy gwarów wesołych, długich...

Minęły tygodnie i nastał już początek jesieni.

W jednym z małych sklepików, otaczających główny plac miasteczka, stała Frania. Przyszła tu, jak zwykle, dla różnych potrzeb gospodarskich, po wszystkie te drobiazgi tanie, niewytworne, które ręka jej czynna i wprawna przemieniała w trochę dobrobytu i zdrowia dla tych, nad którymi rozciągała gorliwą i czynną opiekę.

Żydówka, sprzedająca za małym brudnym stołem potrzebne jej przedmioty, była widocznie dobrą jej znajomą, bo, kładąc na szalę towary, licząc pieniądze otrzymane, urządzając małe pakunki, gwarzyła poufnie.

— Ny, — rzekła — dlaczego to panienka taka blada? Latem panienka wyglądała ślicznie, jak róża, a teraz zrobiła się taka mizerna. Czy panience *czego* nie boli?

Dziwny uśmiech okolił usta dziewczyny, bladej w istocie i zmienionej bardzo. Nic jednak nie odpowiedziała. Miałaż zaprzeczyć? powiedzieć, że zdrową jest i żadnego nie uczuwa bólu?... Była w istocie dziwnie zesłabłą, strasznie znużoną codziennem oczekiwaniem i codziennymi zawodami, a w piersi, tam, gdzie serce uderzało biciem nierównem, czuła ból srogi i ciągły... ciągły...

Nic więc nie rzekła i, przeliczywszy na brudnym stole pieniądze, Żydówce należne, odejść już miała, gdy nagle kupcowa poskoczyła z za stołu i, stając we drzwiach sklepiku, z wyrazem zachwytu krzyknęła:

— Sieh! sieh! a szajne puryc! aj! aj!

W mgnieniu oka utworzyły się przed jej sklepikiem i przed wszystkimi innymi sklepikami grupy ludności, wyległej z do-

mostw, karczem i dziedzińców. Drobne dzieci żydowskie, bawiące się wśród placu, z krzykiem uciekały ku matkom, które wołały je z pośpiechem; starsze zato wysuwały się naprzód i biegły przez plac, wytrzeszczając oczy i krzycząc co sił:

— Sieh! sieh! a szajne puryc!

Placem przejeżdżała świetna kawalkata jeźdźców i amazonek. Było tam osób przeszło dwadzieścia, a wszystkie siedziały na koniach dzielnych, przybranych w barwne czapraki i połyskujące siodła. Nad głowami pań powiewały pióra i przezroczyste zasłony; panowie trzymali w rękach szpicruty, oprawne w złoto.

Orszakowi temu przodowała para najpiękniejsza ze wszystkich, na najpiękniejszych, najognistszych jadąca koniach. Jedną z osób, parę tę składających, była kobieta z kibicią wyniosłą, dłótem rzeźbiarza niby ze szlachetnego wyrzeźbioną marmuru; drugą — młody pan z Orchowa.

Jechali zrazu stępą. On mówił o czemś do towarzyszki swej z przejęciem się i zapałem, ona odpowiadała mu uśmiechem pół dumnym, pół łaskawym.

Pragnął snadź czytać w tym jej uśmiechu, albo na twarz jej nieruchomą i dumną sprowadzić słowami swemi błyskawicę wzruszenia — bo tak był nią zajęty, że prócz niej nic dokoła nie widział: ani ciekawego motłochu, mrowiem plac napełniającego, ani młodej dziewczyny, która we drzwiach sklepiku stała ze zmartwiałą postacią, z twarzą bladą, jak marmur, ze źrenicą szeroko roztwartą i w twarz jego wpatrzoną tak upornie, jakby przez oko to, szkliste i rozszerzone, całe życie ulecieć wnet miało...

Nie widział nic, prócz tej, której kibić wyniosła, wytworna, unosiła się nieruchomo nad dumnym grzbietem drogocennego rumaka. Szukał oczyma jej spojrzenia.

Podniosła nakoniec powiekę, zwróciła ku niemu głową królewską i utkwiła w twarzy jego oczy wielkie, czarne, wabne i zarazem dumne, wyzywające a pełne przyrzeczeń.

W tejże chwili dotknęła ręką szyi wierzchowca. Piękne zwierzę zrozumiało jej wolę, parsknęło z radością i puściło się naprzód wielkim kłusem zrazu, szalonym potem galopem... W ręku jeźdźca cugle drgnęły i opadły na kark konia, który puścił się za tamtym w raźnych podskokach.

Pędzili tak oboje, o wiele wyprzedzając orszak cały, jedno obok drugiego, a zanim zniknęli za ostatniemi domostwami miasteczka, widać jeszcze było, jak w powiewie wiatru przezro-

czysta jej zasłona rozwinęła się, niby skrzydło wielkiego motyla, i błękitną mgłą otoczyła schyloną ku niej głowę jego...

Zniknęli... po świetnem zjawisku został tylko na miasteczkowym placu szlak gruntu, zoranego kopytami końskiemi, i wielka chmura kurzawy, która unosiła się w powietrzu, różowa od przenikających ją promieni zachodzącego słońca.

— A czy panienka wie, — zaczęła Żydówka — kto to taki ta panna, co z naszym panem na przedzie jechała? To panna Ręczycówna... Ona do Ręczyca niedawno przyjechała, bo stary pan Ręczyc to jej wuj... Ona rodziców nie ma i posagu nie ma; to ludzie gadają, że ona chce bardzo wyjść za naszego pana, i że naszego pana tam bardzo ciągną, i że *un* już w niej okropnie zakochany... A może to *un* — dodała po chwili namysłu — oświadczył się jej teraz, bo tak na nią patrzył... aj! aj! jak *un* na nią patrzył! jak do niej gadał ciągle...

Białowolska dziewczyna, nieruchoma dotąd jak kamień i jak marmur biała, poruszyła się teraz, niby dotknięta sprężyną jakąś niewidzialną.

— Do zobaczenia, pani Chajo! — rzekła tak szybko, jakby co najprędzej ukończyć pragnęła ciężki dla niej w tej chwili trud mówienia.

Żydówka chciała ją zatrzymać i powiedzieć jej coś jeszcze; ale ona była już daleko. Szła ulicą miasteczka prędko, nie oglądając się, z oczyma utkwionemi w ziemię. Patrząc na nią, można było myśleć, że wybrała się w podróż jakąś nieskończoną, że biedz pragnęła gdzieś, aż na kraniec świata, uciec co najprędzej od miejsca, na którem się znajdowała.

Nie byłoż to miejsce, to samo, które przed kilku miesiącami przebywała obok niego, po wyjściu z chaty Judela? Czuła wtedy, że stawało się w niej coś nowego, wielkiego! Nieznane jakieś, rozkoszne ciepło wstępowało wtedy do jej piersi, i — nie wiedziała jeszcze, dlaczego, ale świat stanął nagle przed nią taki promienny, radosny i tajemniczy zarazem, tak dziwne, niepojęte uroki i obietnice kryjący w powiewach swych i woniach!...

A teraz... o! teraz uciec pragnęła od wspomnień tych, które otaczały ją chórem żałobnym i rozdzierały jej serce żałością za tem, co bezpowrotnie minęło! uciec od goryczy, którą w życiu swem uczuwała po raz pierwszy, od myśli strasznych i grzesznych, od rozpaczy, od słabości nieprzezwyciężonej, która zasłonę ciemną rzucała na jej oczy, uginała kolana, całe ciało jej przejmowała bezwładnem omdleniem!...

Nie uciekła jednak od niczego: ani od pamięci swej, ani

od rozpaczliwych krzyków, rozlegających się w jej wnętrzu, ani od omdlenia ciężkiego, w które zapadły wyczerpane jej siły. Dobiedz zdołała tylko do krzyża; chciała podnieść wzrok w górę i szukać tam wysoko litości, której nie znalazła na ziemi... Nie mogła...

Powieki jej, ciężkie łzami nieprzelanemi, w dół opadły. Chciała otworzyć usta i modlić się... Nie mogła. W głowie jej myśli nie było żadnej, na ustach, drżących jak listki osiny, żadnego słowa... Osunęła się na ziemię, chyliła się coraz niżej, aż złożyła głowę na trawie chłodnej i cicho, bez jęku, bez łzy, przymknęła powieki... Zemdlała...

Szary mrok zapadać począł. Wątła postać dziewczęcia leżała wciąż na zielonej trawie w nieruchomości kamiennej. Kędyś pod lasem grały przeciągłe surmy jesienne; dźwięki ich wiatr cichy chwytał i niósł ponad okrytemi żółtą ściernią polami; w oddali, za miasteczkiem, wieża kościelna zadzwoniła na wieczorne pacierze; od wioski płynęły długie wołania matek, przyzywających dzieci ku ogniskom, które rozpalały się w chatach.

Do odgłosów tych przyłączył się po chwili jeden jeszcze.

— Franiu! Franiu! — rozległo się wołanie od strony małej, nizkiej łączki, wśród pól rzuconej.

Zarazem z gęstwiny wierzb wychyliła się głowa, nastrzępiona roztarganymi włosami i wieńcem z zeschłych kłosów uwitym.

— Franiu! Franiu! — wołał obłąkany coraz częściej, coraz przeciąglej.

Stanął na skraju łączki i dziko połyskującemi oczyma rozglądał się dokoła; przechylał głowę w obie strony, zdając się przysłuchiwać czemuś, oczekiwać czyjegoś głosu. Nie usłyszał nic, prócz szumu wiatru, muskającego powierzchnię wierzbowych zarośli i ostatniego dźwięku kościelnej dzwonnicy, który rozpłynął się w powietrzu i umilkł.

Obłąkany przestał wołać, a zaczął biedz. Biegł szybko, prosto ku wzgórzu, na którem stał krzyż. Niejednokrotnie widać znajdował tam tę, której imię nadaremnie teraz rzucał polnym wiatrom i echom. Znalazł ją tam i teraz. Nachylił się i pochwycił ją za rękę, która ciężko i bezwładnie zawisła w jego dłoni...

— Pójdź do domu! — rzekł pochylony i wpatrzony w twarz jej nieruchomą.

Powtarzał teraz słowa, któremi ona zawsze przemawiała do niego.

— Pójdź do domu! pójdź do domu! — szeptał coraz prędzej, coraz uporczywiej i coraz niżej schylał się nad nią.

Na obłąkanej twarzy jego zjawiał się stopniowo wyraz trwogi nieprzytomnej, połączonej z rzewnością i tkliwością dziecięcą.

— Franiu! — jęknął — czy ty śpisz?

I nastawił ucha ku ustom jej, od których oczekiwał odpowiedzi. Tak pytała i tak czyniła zawsze ona, ilekroć znalazła go nad brzegiem stawu, albo w głębi boru, leżącego na ziemi, z zamkniętemi oczyma. Teraz on naśladował ją. Zdawać się mogło, że pragnął odpłacić jej staraniem za starania, niepokojem troskliwym za jej troskliwy o niego niepokój.

— Franiu! czy ty śpisz? — powtórzył.

Nie było odpowiedzi. Wydał krzyk jakiś niezrozumiały, roztworzył ramiona i porwał ją z ziemi.

— Pójdź do domu! — zawołał tym razem głośno i, trzymając ją w objęciu, pobiegł ścieżką.

W połowie drogi zaczął iść wolniej. Kołysał ją w ramionach, jak dziecię uśpione, głowę pochylał nad nią i wzroku od twarzy jej nie odrywał, a jednak, okrążając staw i przechodząc pod cieniem brzóz płaczących, nie przestawał wołać ciągle, coraz łagodniej, przeciąglej, żałośniej:

— Franiu! Franiu!

* * *

Wkrótce potem stary dwór orchowski przemienił postać swą dawną tak, jakby dotknęła go laska czarodziejska. Nowe sprzęty, nowe cugi i powozy, nowa służba liczna, wzbudzały w okolicy tysiące uwag, zachwytów i ciekawości. Właściciel wszystkich tych pięknych rzeczy bawił w stolicy, kędy pociągnęła go za sobą piękna narzeczona.

Gdy wreszcie przebrzmiały i pogasły w wielkiem mieście karnawałowe gwary i świetności, powrócił do ścian swych, tak drogich mu, tak cichych i tak poważnych dawniej — z żoną.

Wtedy już ludzie mówili o nim, że stał się nakoniec porządnym człowiekiem, zupełnie do innych ludzi podobnym, że nabył braknącej mu wprzódy cnoty gościnności, opuścił dawne marzenia i dziwactwa, bo... wydawał bale.

Nawrócenie to przypisywano powszechnie wpływowi młodej i pięknej kobiety, która, będąc jego żoną, była zarazem gwiazdą i bóstwem całej okolicy.

Z przyjściem wiosny jednak odrodzony człowiek ten posmutniał. Była to pora, w której, wedle brzmienia najuroczystszej umowy przedślubnej, opuścić miał wraz z towarzyszką swą miejsca rodzinne i udać się w podróż daleką. Stacyami wędrówki tej miały być wielkie miasta Europy, a kres jej przewidywać się dawał w oddalonym chyba, bardzo oddalonym czasie.

W porze owej podróże były modą panującą, jednym z tych narkotycznych przyrządów, które ludziom śpiącym dawały złudę życia. Dla Kajetana Orchowskiego przecież podróż taka, bez celu dobrze określonego, bez kresu oznaczonego, większą niż dla innych posiadała wagę.

Wyjechać, Bóg wie dokąd, Bóg wie poco i na jak długo, znaczyło to dla niego opuścić miejsca, na których, wedle uprzednich marzeń jego, snuć się miała płodna w następstwa różne działalność jego, wśród których przyrzekał sobie niegdyś tyle rzeczy różnych ulepszyć, zbudować... Cóż się więc stanie z tym planem przyszłości jego, tajemniczym dla wszystkich, a może jeszcze i dla niego samego, ale zawierającym w sobie mnóstwo narysowanych zlekka zamiarów, wiele postanowień, w chwilach zapału lub wzruszenia powziętych?...

Wykonanie planu tego odłoży się na później, zamiary i postanowienia spać będą cicho w głowie jego, w czasie, gdy owiewać ją pocznie obce powietrze... Później więc, później!... A teraz jechać musiał, bo dał słowo, bo tylko za cenę spełnienia obietnicy tej otrzymywać mógł łaskawe spojrzenia od oczu ognistych, które, świetne jak dwa słońca, umiały jednak chmurzyć się i gasnąć; otrzymywać mógł uśmiechy zgody i pocałunki miłości od ust prześlicznych, które teraz już, w tych pierwszych miesiącach poślubnych, bywały nieraz dumne, rozgniewane...

Pojechał... Powiadali ludzie, że w przeddzień wyjazdu pomiędzy młodą parą stoczył się spór żwawy, po którym pani miała w oczach łzy i błyskawice tłumionego gniewu, a pan dosiadł konia, z twarzą bladą i chmurną. Wzdłuż i wszerz przejechał grunta orchowskie; widziano go, jak zatrzymywał się na punktach najwyższych, odkrywał głowę i wodził dokoła wzrokiem smętnym, jakby żegnał z boleścią rzeczy drogie i święte.

Gdy wrócił z przejażdżki, głos jego brzmiał po domu gniewny, jak nigdy, a przez noc całą widziano okno jego pokoju na oścież otwarte, a w niem człowieka, siedzącego nieruchomo, z czołem na dłoń opuszczonem.

Pojechał jednak, a gdy, po upływie dwóch prawie lat, powrócił, w białym dworku, stojącym pomiędzy sosnowymi borami, inni ludzie mieszkali. Stary dziadek-kaleka umarł przed rokiem; jedno z dwojga dzieci nie żyło także; drugie zabrał brat jakiś, czy krewny, z daleka przybyły; obłąkanego oddano opiece lekarskiej... Białowola była sprzedana.

Co stało się z Franią? dokąd udała się i gdzie się schroniła, nikt tego nie wiedział. Orchowski nie dowiedział się o tem także. Wspomnienie jej gasło i odżywało w pamięci jego, stosownie do kolei uczuć i losu, jaką przebywał, ale ślad jej istnienia zginął dla niego na zawsze.

Mógłże przewidzieć, że kiedyś na piersi kobiety tej jedno z dzieci jego wypłacze ostatnie łzy życia? że ta, która była kochanką jego młodości, będzie ostatnim dobrym obrazem, na którym spoczną gasnące źrenice jego córki?

Tymczasem nabył na własność Białowolę od nowego jej posiadacza, kosztem wielu starań i strat. Mówiono nawet, że kupno to było jednem z dziwactw jego, i że pierwsze zachwiało świetny dotąd byt jego majątkowy.

Człowiek ten zresztą, nakształt trzciny wiotkiej, w coraz inną przechylający się stronę, uchodził zawsze za dziwaka, marzyciela i reformatora. Rozchodziły się o nim daleko po kraju wieści rozliczne.

Jedna z nich głosiła, że urządza on w swych dobrach nieznany dotąd w okolicy przemysłowy zakład jakiś... W istocie, budowa wielka wznosić się zaczynała w pobliżu dworu; ściany jej rosły zrazu szybko, potem coraz wolniej, a nakoniec ustał wkoło nich ruch wszelki, zgromadzony materyał budowlany leżał, bezładnie rozrzucony i nieporuszony latami całemi, wzniesione ściany czerniały i próchniały, aż znikły, rozebrane na powszedni użytek, a na ich miejscu pozostało tylko trochę skopanej ziemi i próchna.

To znowu gruchnęła po świecie wieść, że Kajetan Orchowski uwalnia włościan swych od obowiązków pańszczyzny i grunta im na czynsz oddaje. Wyglądało w istocie tak, jakby to prawdą stać się miało.

Przypominano sobie, jak niedawno w licznem zgromadzeniu mówił z oburzeniem o niecnym przywileju, który człowieka wprzęga w jarzmo ludzi innych; wspomniał coś o ekonomicznych prawdach, dowodzących wyższości pracy wolnej nad niewolą.

Wiedziano, że w Orchowie dokonywają się przygotowania

różne do mającego nastąpić w gospodarstwie nowego porządku rzeczy, że czynią się tam jakieś urzędowe starania, a po wsiach ludnych i zamożnych rozkwitają nieśmiałe nadzieje.

Nagle wszystko umilkło i, jak po rozpoczętej budowie przemysłowego gmachu, próchna i ruiny, tak z przygotowań tych, starań i nadziei, pozostały tylko uśmiechy ludzkie...

Co bo się tam nie zaczynało, co nie zarysowało i przed urodzeniem nie umierało w tem dziedzictwie marzyciela bez woli, o głowie ognistej bez ładu ni wytrwania. Była to komedya dla ludzi — dla niego męczarnia może, może także narkotyk, którym podbudzał długo nerwy moralnej swej istoty, broniąc się od snu.

Uległ nakoniec temu, z czem walczyć nie umiał... usnął na wzór innych. Nie był to snadź jednak sen głęboki; było w nim coś, co czuwało, lub budziło się chwilami i, niby piła zębiasta, wpijało się w istotę jego, aż znękało ją i w ciężką niemoc wprawiło...

Wtedy zamknął się w wielkiej ustronnej swej komnacie, pokochał znowu samotność i ciszę, a za towarzyszy jedynych wziął sobie setki tomów i z nimi kończył życie.

* * *

Teraz pośrodku komnaty stało łoże szerokie, a na niem spoczywał starzec, z głową odartą z włosów i twarzą wychudłą. Ręka jego, ostatnim wysiłkiem krzepkiej niegdyś dłoni, ściskała rękę syna, który klęczał przy jego łożu, z głową pochyloną w zadumie i smutku. Opowiedział mu dzieje życia swego, od owej krótkiej, lecz promiennej sielanki młodości, aż do tych godzin długich i ciemnych, w których sumienie jego odwracało mu wciąż przed oczyma karty strawionego marnie żywota.

Jak wszyscy synowie po ojcach swych, tak i ty po mnie odziedziczyłeś skutki grzechów moich. Nie złorzecz mi... bo najsroższem przekleństwem występnego życia jest jego koniec...

Wyrzekł to powoli, głosem cichym, lecz pewnym; twarz miał zwróconą ku sufitowi i oczy utkwione w górze. Po chwili wytchnienia mówił dalej:

— Należałem do pokolenia, które przed chwilą ustąpiło ze sceny świata... Skupiło się we mnie wszystko dobre i złe, tworzące to znamię szczególne, po którem pokolenie owo pozna ducha historyi... Nieraz marzyliśmy pięknie i chcieliśmy dobrze,

ale nie czyniliśmy nic... oto tajemnica żywotów naszych, zgasłych w niedoli i po sobie zostawiających niedolę... oto świadectwo, wedle którego osądzą nas dzieje... Chęci niespełnionych, marzeń w jawę nieprzemienionych, nie położą one na szalę swej sprawiedliwości. Ciężkim wyrokiem spadną na głowy nasze światła, przez nas niezapalone, dobre chwile zaniedbywane, skarby na wiatr rozrzucone, pozostające za nami odłogi...

Umilkł, oddychał ciężko; w piersi jego słychać było ciągłą, coraz śpieszniejszą robotę niewidzialnej mocy niszczącej... Po chwili, głośniej, niż wprzódy, wymówił:

— Minęło!... Któż i cóż powrócić mi zdoła życie minione?... Nikt i nic!

Twarz jego wychudła nieruchomą stała się na chwilę pod ciężarem spadłej na nią ołowianej zadumy, w oczach tylko szeroko roztwartych świecił ogień gorączki, i pierś wzdymała się wysoko, głośnym, chrapliwym oddechem. Nagle, z wybuchem zawołał:

— Któż mi powróci teraz spokojny sen nocy, spędzonych w gorzkiem czuwaniu, wesele dni, upłynionych w smutku, pełnię życia, które było pustem, chwałę męża, która utonęła w hańbie próżniaka? Kto mi powróci słodycz i szczęście domowego życia, które przyniosło mi samą tylko gorycz, niezgodę, zgryzotę? Kto poprawi dusze dzieci moich, zaniedbane przeze mnie? Kto mi do łoża śmierci przywiedzie miłość i cześć ich?... Nikt! nikt! nikt!

— Mój ojcze! — zabrzmiał przy łożu głos męski, czułością i smutkiem tłumiony — mój ojcze! jedno z dzieci twoich jest tu, przy tobie...

— Jedno z dzieci moich! — jak smutne i łagodne echo powtórzył chory.

Po chwili milczenia mówił znowu:

— Tak, tyś był jedynem z dzieci moich, które mnie kochało, którego złowrogie moce niezgody i pustki, w domu mym panujące, oderwać ode mnie nie zdołały... Przed tobą też jednym odkrywam poranione wnętrze moje, ostatnie żale moje i pragnienia... Posłuchaj!... Odkąd, chory i zniechęcony do życia czynnego, któremu podołać nie miałem siły, zamknąłem się tu, jak pustelnik w ciszy nieprzerwanej, uporządkowały się myśli moje, bezładne wprzódy, rozwidnił się przede mną, we mgle przedtem widziany, porządek wszechrzeczy; dojrzałem łańcuch olbrzymi przyczyn i skutków, przestępstw i kar... Różne były przyczyny, które uczyniły nas takimi, jakimi byliśmy... Jedna z nich spoczywa w ple-

miennem przyrodzeniu naszem, opornem ładowi wszelkiemu, skłonnem do marzeń, zapałów i wrzawy, lecz nie umiejącem dźwigać ciężarów długo, wytrwale, w powadze, skromności i ciszy... Inną, ważniejszą, był dzierżony przez nas przywilej na ziemskich bogów... Rodziliśmy się dostojni i bogaci odrazu... nie mieliśmy o co walczyć dla siebie i dzieci swoich... Twarzy naszych i duchów nie skropił i nie skrzepił nigdy pot własnego mozołu... więc zapomnieliśmy o tem, że jesteśmy ludźmi, i usnął w nas nerw działania, a zapanowały zmysły, nieprzeparta żądza używania, i uwierzyliśmy w wiekuistość królowania naszego... i usnęliśmy na szczycie Olimpu... Lecz Olimp ten był wulkanem... dno jego płomienne poruszyła dłoń przyszłości, o której pomiędzy nami zatraciła się myśl i pamięć... Teraz... czas nam do grobów... a nad przepaściami pozostawiamy to, co nam najdroższem było...

Spoczął chwilę po długiem mówieniu, a potem ciągnął dalej:

— Nie proszę cię, abyś dokonał tego, czegom ja dokonać zaniedbał... abyś naprawił to, com ja zepsuł... Jest to niepodobnem, ale przyszłość do ciebie należy... Życie swe masz przed sobą: nie czyń z niem tego, com ja ze swojem uczynił... Jutro, pojutrze, gdy nad trumną, zawierającą w sobie zwłoki moje, staniesz u szczytu wzgórza, będącego rodzinną naszą mogiłą, i obejrzysz się dokoła siebie, zobaczysz same tylko odłogi i ruiny... Inaczej to dziedzictwo piękne wziąłem po przodkach swoich, inaczej oddaję je tobie, inaczej ty oddaj je dzieciom swoim... Czyń, co będziesz mógł, aby użyźnić ziemię tę, która pod ręką moją rodzić przestała, aby podnieść ściany, które pod okiem mojem pochyliły się ku ziemi... U końca życia, ze skarbów zmarnowanych lub dorobionych składać będziesz rachunek przed sumieniem swojem, tak, jak ja składam go teraz przed swojem... Niech on ci lżejszym będzie!... Oto ostatnie pragnienie moje... Chciałbym, abyś ty stał się dziedzicem Orchowa. Kamil...

Westchnął i mocował się z sobą widocznie, aby nie rzec strasznego jakiegoś słowa, choć rozpierało mu ono pierś żalem wielkim.

— Weź Orchów... weź... weź... uczyń z nim, co tylko będziesz mógł, aby... tylko nie stał się zagonem, zoranym pod siejbę zagłady... Weź Orchów!...

— Wezmę, ojcze! — ozwał się znowu przy łożu głos klęczącego młodzieńca, ale tym razem brzmiała w nim wola silna i uroczyście dawana obietnica.

Milczenie głębokie zaległo obszerną komnatę. Przyćmione blaski lampy rozpalały, jak dawniej, iskry złote w szybach szaf oszklonych, i mieszały się z cieniami, pokrywającymi blade, zwiędłe czoło umierającego. Żółte powieki jego były teraz przymknięte, a przez zwarte, siniejące usta wyrywały się od chwili do chwili jęki słabe, niby odgłosy ostatniej walki życia ze śmiercią. Nagle, białe ręce jego splotły się kurczowo i, z ostatnim wybuchem konającej siły, podniosły się w górę.

— Któż mi powróci życie stracone? — zawołał — nikt! nikt! nikt!

Zdawało się, że z ostatnim wykrzykiem tym uleci życie jego, taka w nim była moc rozpacznego wysiłku. Podniósł jednak drgające powieki i gorejącą źrenicą raz jeszcze potoczył dokoła.

Chwilę milczał i przyzywał pierzchające myśli; potem, z dłonią ciężko złożoną na pochylonej głowie syna, z oczyma, w których malowały się ostatnie cierpienia i pragnienia, wyszeptał:

— Niech marne życie moje i rozpaczna śmierć moja będą dla ciebie nauką... niech ustrzegą cię od miłości bez szacunku... od zamiarów bez spełnienia... od zapałów bez wytrwania... od życia bez planu... od marzeń bez czynu... od chęci bez woli...

Słowa jego spłynęły w szept zaledwie dosłyszalny. Był to niby testament, kreślony niewyraźnymi znakami; ale klęczący u łoża młodzieniec słuchał go z twarzą, jak marmur bladą, i z uchem, pochylonem ku ustom ojcowskim. Usta te oddawna już mówić i oddychać przestały, a on pozostał jeszcze nieruchomy, z dwiema wielkiemi łzami, palącemi się w źrenicach, powieką okrytych, z dłońmi zaciśniętemi wkoło zimnej, sztywnej ręki zmarłego.

* * *

Cisza głęboka zalegała dom cały, gdy otworzyły się zwolna drzwi wielkiej, podłużnej sali, i wszedł przez nie Mieczysław. W oczach jego, spuszczonych ku ziemi, malował się ból gorący, świeżą stratą ukochanej istoty sprawiony, ale na twarzy bladej, nieruchomej, i w całej postaci młodego człowieka, zwolna kroczącego przez obszerną komnatę, spoczywał wyraz takiej powagi, tak głębokiego i energicznego skupienia władz uczuć i myśli,

że mniemać było można, iż przez tę noc jedną przybyło mu lat kilka, lat nauki, doświadczeń i cierpień. W istocie przez tę noc jedną przeżył on życie całe swego ojca, życie całego pokolenia, które na widowni dziejów poprzedziło jego i jemu podobnych.

Wczoraj jeszcze był młodzieńcem, dobrym, szczerym, skłonnym do uczuć i postępków szlachetnych, lecz z życia powagą niezbratanym, w młodzieńczej wesołości swej płochym nieco, nieznającym dokładnie pobudek czynów własnych, ani miary, do jakiej dorość mogła własna istota jego. Dziś, rozpaczna śmierć, kończąca zwichnione, zmarnowane życie jego ojca, ochrzciła go na męża.

Wyglądał też w tej chwili, jak mąż, w którego wnętrze zapadły postanowienia niezłomne, przyrzeczenia uroczyste, przed którego oczyma stanęła jasna i wyraźna świadomość dróg przyszłych.

Z oddalonego pokoju doszedł ucha jego monotonny i przyciszony szmer dwóch głosów kobiecych. Zwrócił się w kierunku drzwi napół otwartych, a stanąwszy na progu, ujrzał dwie postacie kobiece, klęczące u stóp krucyfiksu, przed którym, na srebrnym łańcuchu zawieszona, paliła się mała lampa.

Na odgłos kroków wchodzącego, pani Leontyna przerwała odmawiania modlitwy za chorych i umierających; trwożnem, do głębi zmąconem spojrzeniem ogarnęła twarz syna. Bladość twarzy tej, ból na niej wyryty i piętnująca ją w tej chwili uroczysta powaga powiedziały jej snadź wszystko, bo porwała się z klęczek i krzyknęła.

Wykrzyk jej głośnym był, przeszywającym, ale brzmiało w nim jedno tylko uczucie: przestrach. Zarazem ramiona jej i kibić cała drżeć zaczęły pod grubym szalem, okrywającym napół długą, czarną szatę.

Lila, blada także i drżąca, instynktowym ruchem kryła się za matkę, i osłupiałych, wylękłych swych oczu nie spuszczała z twarzy brata.

Mieczysław zbliżył się do matki i ujął w obie dłonie rękę jej, jak lód zimną.

— Matko! — rzekł głosem zniżonym i drżącym od łez, w piersi tłumionych — tam... skończyło się już wszystko... Alem ja pośpieszył do ciebie, aby ci powiedzieć, że masz syna, który uczyni, co tylko w mocy jego będzie...

Umilkł nagle, bo spostrzegł, że mówił daremnie. Pani Leontyna nie zdawała się słuchać, ani rozumieć słów syna. Dłonie jej

zaciskały wkoło kibici fałdy grubego szalu; oczy błędne, nieprzytomne prawie, obiegały dokoła mroczny pokój, odtrącane i zarazem niezwalczenie jakoby pociągane przez najciemniejsze jego zakątki.

— Mój Mieczysiu! — mówić zaczęła pobladłemi i drgającemi usty — niech tam wszystko urządzą, jak należy... Ja... ja doprawdy nie mogę... słaba jestem... noc taka ciemna!... Każ światła pozapalać w pokojach... Czy daleko jeszcze do dnia? O, mój Boże! jakże jestem nieszczęśliwa!... Idź tam... idź... oszczędź matkę!... ja... nie mogę!...

Osunęła się znowu na klęczki, zakryła dłońmi oczy, niby przed strasznemi widziadłami, i jakby pragnęła zagłuszyć przerażające głosy, które słyszała wewnątrz, czy zewnątrz siebie, mówić poczęła szybko, napół głośno, nieustannie:

— Wieczne odpoczywanie racz mu dać, Panie!

Mieczysław stał chwilę, jak skamieniały, z głową schyloną i opuszczonemi rękoma. Na czole jego zmarszczka, którą wyniósł z przedśmiertnej rozmowy, pogłębiła się. Do wszystkich uczuć, jakie go napełniały, przyłączyło się jedno jeszcze, ciężkie, gorzkie. Po chwili jednak zwrócił się do siostry i wziął ją za rękę.

— Lilo! — rzekł łagodnie — pójdź, zobacz zwłoki naszego ojca... Nie byłaś przy nim, gdy umierał... pójdź teraz...

Dziewczyna gwałtownym ruchem wyrwała rękę swą z jego dłoni i usunęła się pod ścianę.

— Ja nie chcę! Mieczysiu, ja nie chcę! — zawołała z płaczem prawie.

— Dlaczego nie chcesz? — zapytał brat, pochylając ku niej twarz, niemal surową.

Ona usuwała się od niego, drżąc cała; w szeroko rozwartych oczach jej błyszczały łzy prośby i zarazem gniewu.

— Dlaczego nie chcesz? — z naleganiem powtórzył brat.

— Boję się... — szepnęła, przyciskając ramiona do piersi — boję się... umarłych...

— Lilo! — zawołał Mieczysław — nie znałaś prawie ojca swego... On jednak kochał cię i przed skonaniem po wiele razy imię twe wymówił...

Słowa te uczyniły na młodej dziewczynie pewne wrażenie. Drgnęło w niej coś, co zmniejszyło bojaźń dziecinną, a z wyrazem przestrachu, twarz jej okrywającym, połączyło odcień nagle odczutej tkliwości i żalu.

— Pójdź! — rzekł Mieczysław, biorąc ją znowu za rękę. —

Po raz ostatni spojrzymy na rysy jego... spojrzymy na nie razem, oboje... Chwila ta uczyni nas może więcej bratem i siostrą, niż byliśmy dotąd...

Przy ostatnich wyrazach Mieczysława, Lila zarzuciła mu ramię na szyję i przytuliła się do piersi jego z cichym płaczem. Był to wybuch dobrego uczucia, które ozwało się w istocie tej młodziuchnej, chaotycznej, pełnej ogni, gorejących w niej kapryśnie i jałowo.

Mieczysław otoczył kibić jej ramieniem i prowadził ją ku drzwiom.

— Mieczysiu! — szeptała — ale ty mnie nie odstąpisz?... będziesz tak ciągle przy mnie?...

— Będę ciągle przy tobie! — odparł brat — pragnę odtąd być jak najczęściej przy tobie... zastąpić ci ojca... opiekować się tobą...

Byli już na progu, gdy nagle pani Leontyna podniosła głowę i rzuciła za siebie trwożne spojrzenie. Ujrzawszy się samą w pokoju, porwała się znowu z klęczek i zawołała:

— Lilo! Lilo!

W krzyku tym brzmiało niemal wołanie o ratunek. Lila wydobyła się z objęć brata. Nie wiedziała już, ani kogo słuchać, ani dokąd iść.

— Zostawiacie mnie samą! — jęknęła pani Leontyna, łamiąc ręce — w tak strasznej chwili!... O, mój Boże! tegom się doczekała, że dzieci moje... wszystkie dzieci moje opuszczają mnie wtedy, gdy najbardziej mi trzeba kogoś... kogokolwiek... Jestem sama, sama na świecie!... nic już nie znaczę dla nikogo... nawet dla dzieci swoich!... Czy dzień jeszcze daleko?... Jaka noc czarna!...

Mieczysław wypuścił z dłoni rękę siostry.

— Idź do matki! — rzekł — pozostań przy niej.

Chciał jeszcze coś powiedzieć, ale nie mógł. Bolesne, gorzkie uczucie zdławiło mu głos w gardle. Ze wzrokiem wbitym w ziemię odszedł w głąb domu.

XII.

Od śmierci Kajetana Orchowskiego siedm lat minęło.

W porze, w której do miasta N. przybywał ze stron północnych pociąg kolei żelaznej, przed głównym i najozdobniej-

szym w mieście hotelem wysiadał z dorożki mężczyzna, po podróżnemu ubrany i podróżne tłumoki ze sobą wiozący.

Przybyły nie musiał już być bardzo młodym człowiekiem, bo gęste, ciemne włosy siwiały mu przy skroniach, a na wysokiem czole jego rysowało się kilka zmarszczek. Postać miał wysoką, szczupłą i kształtną, twarz o prawidłowych rysach, a żółtawej cerze, starannie wygoloną, usta wązkie, oczy szafirowymi okularami przykryte.

Wysiadając z dorożki i wstępując na wschody, głowę podnosił wysoko, a do służby hotelowej przemawiał głośniej może i z impozycyą wyraźniejszą, niżby, wedle miejsca i okoliczności, wypadało.

W hotelu znajdowało się właśnie kilka mieszkań niezajętych, ale jakkolwiek wszystkie one posiadały pozór bardzo przyzwoity, do pewnego nawet stopnia wytworny, żadne z nich nie przypadło do smaku przybyłemu. Jedno było, według niego, za małe, drugie za skromnie umeblowane; tu wytykał brak kobierców na posadzce, owdzie niezgrabną formę sprzętów. Z wielką nakoniec biedą zdołano umieścić go w dwóch pokojach, najparadniejszych z pomiędzy wszystkich, które znajdowały się w obszernej i starannie urządzonej budowie.

Pomiędzy ludnością hotelową wielka zapanowała ciekawość, kim-by mógł być gość tak imponujący i wybredny. Służący niższych stopni domyślali się w nim bogatego i utytułowanego pana; ale rządca hotelu i szwajcar, który niegdyś sługiwał po możnych dworach szlacheckich, dowodzili, że *prawdziwi panowie* bywają zazwyczaj grzeczniejsi i mniej z kaprysami swymi popisywać się lubiący.

Nie upłynęła jednak godzina czasu, a zagadka bardziej się jeszcze skomplikowała. Przybyły rozkazał przywołać do siebie komisyonera. Gdy pełniący ten urząd miejscowy faktor-Żydek stanął we drzwiach pokoju, gość, który przechadzał się wolnym krokiem, z zamyśloną bardzo twarzą i wybornem wonnem cygarem w ustach, zwrócił się ku niemu z pytaniem, czy zna starozakonnego, nazywającego się Eli Makower.

— Czemu ja jego mam nie znać, kiedy on w naszem mieście trzy lata już mieszka? — odparł faktor.

— I wiesz, gdzie mieszka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? *Największe* panowie i *najbiedniejsze* Żydki wiedzą, gdzie Makower mieszka.

— Czy ten pan Makower jest tu tak wielką figurą, że wszyscy go znać muszą i wiedzieć, gdzie mieszka?

Zdawało się, że z za lekkiego, pozornego szyderstwa w słowach tych gościa przebijała się żywa, lubo ukrywana ciekawość.

— On nie jest żadną wielką figurą — rzekł faktor — on sobie prosty Żyd, ale wielkie panowie znają go dlatego, że on bardzo rozumny, a biedne Żydki dlatego, że on dla nich taki dobry... no, taki dobry!...

Przy ostatnich wyrazach, Żydek-faktor aż zachłysnął się z wielkiego zapału, oczy mu błysnęły i frazesu swego dokończył podniesieniem do góry dwóch palców prawej ręki i głośnem cmoknięciem. Gość na widok zapału tego uśmiechnął się zrazu, jakby lekceważąco, a potem ściągnął brwi w zamyśleniu i, odwracając się ku stołowi, na środku pokoju umieszczonemu, szepnął:

— Tem lepiej! tem lepiej!

Na stole, pomiędzy różnymi podróżnymi gratami, leżały rozrzucone bilety wizytowe. Gość wziął jeden z biletów tych i, dając go Żydkowi, rzekł:

— Zanieś to zaraz Makowerowi i powiedz mu, że, będąc zmęczony podróżą, sam do niego przyjść nie mogę, lecz proszę, aby on dziś jeszcze koniecznie przyszedł do mnie.

Faktor nie spojrzał na bilet i, kłaniając się, zapytał:

-- Z przeproszeniem jasnego pana, czy jasny pan ma majątek do sprzedania? Makower majątkami handluje, i jak ja jemu powiem...

— Nie potrzeba, abyś mówił cokolwiek Makowerowi. Jak zobaczy ten bilet, to już sam będzie wiedział, kto jestem i czego chcę od niego. Ruszaj prędzej!

Ostatnie wyrazy powiedziane były w sposób niezupełnie grzeczny; to też faktor zniknął wnet za drzwiami od korytarza. U dołu wschodów zobaczył stojących rządcę, szwajcara i parę innych osób, do składu służby hotelowej należących. Zbliżył się ku ludziom tym i, pokazując im bilet gościa, rzekł:

— Proszę zobaczyć, co tu *stoi.*

Na bilecie dużych, zbyt dużych rozmiarów, stało pośrodku wielkiemi literami wylitografowane imię i nazwisko: *Ildefons Porycki*, poniżej zaś znajdowały się wyrazy: *Agent główny domu pośrednictwa w sprzedaży majątków ziemskich.*

— Hörste!— zawołał faktor, gdy rządca przeczytał głośno wszystko, co *stało* na bilecie — agent domu pośrednictwa! No, i Makower taki sam agent...

Wąsaty i dumnie wyglądający szwajcar zmarszczył czoło, jakby sobie co przypominał. Po chwili wymówił:

— Na Wołyniu są hrabiowie Poryccy, panowie z panów... jeden z nich był podobno bardzo sławnym...

— Któż o tem nie wie? — podjął rządca. — Tadeusz Porycki, ten, co szkoły zakładał. Ojciec mój miał portret jego, bo go podobno znał i w Porycku u niego bywał.

— Ciekawa rzecz, czy ten pan z tych samych Poryckich pochodzi? — zagadnął ktoś z boku.

— Jeżeli pochodzi z tych samych, to musi być hrabią — zauważył szwajcar.

Rządca patrzył wciąż na bilet, zadumał się i smutnie czegoś głową wstrząsał.

— Do czego to przyszło! — mruknął pod wąsem — Porycki, jak Makower, handluje majątkami!

— Czemu nie ma handlować, kiedy to dobry interes? — podchwycił faktor. — Eli zarobił już na tem może jakie dwadzieścia *tysięcy rublów!* A dlaczego Porycki nie ma także zarabiać?

Z temi słowami faktor wybiegł z hotelu.

Gość z imieniem głośnem i świetnem, a tytułem ciemnym i dwuznacznym, siedział tymczasem w pokoju swoim i, popijając herbatę, przeglądał liczne papiery, w wielkiej tece podróżnej zawarte, a w urzędowe stemple zaopatrzone. Gdy tak papiery te odczytywał, gatunkując je, składając i rozkładając, postawa jego stała się sztywną i fizyognomia niespokojną.

Miał on teraz pozór napół urzędnika, który prostuje się, ilekroć końcami palców dotknie urzędowego papieru, napół spekulanta, który oblicza w myśli szanse przypuszczalnych zysków. Z za szkieł szafirowych oczy jego błyskały żywo, i od chwili do chwili zwracały się ku drzwiom.

Nie czekał długo. Drzwi otworzyły się niebawem i wszedł przez nie do hotelowego pokoju Eli Makower. W powierzchowności byłego dzierżawcy Orchowa i Łozowej, współdzierżawcy Ręczyna i wielu innych majątków szlacheckich, zaszły przez czas ubiegły niejakie zmiany.

Wprawdzie mały, rudawy zarost okalał mu, jak dawniej twarz ściągłych rysów i czerstwej cery; postawa jego była poważna, krok powolny, oczy pełne w głębi gorących blasków, o spojrzeniu spokojnem i obojętnem; ale na czole powstało zmarszczek kilka, niby na świadectwo wielu przez czas ten poniesionych trudów i starań, a zamiast dawnego, długiego aż do ziemi,

przybrudzonego zawsze chałata, Eli miał teraz na sobie rodzaj surduta, który, sięgając zawsze jeszcze poniżej kolan, sporządzony był z dość cennej, błyszczącej materyi, a roztwarty od góry do dołu, ukazywał znajdujące się pod nim sukienne ubranie i atłasową czarną kamizelkę, na którą opuszczał się gruby złoty łańcuch od zegarka, i opadały końce jedwabnego, porządnie pod szyją zawiązanego krawata. Był to ubiór w połowie jeszcze żydowski, ale już znacznie, wedle ogólno-europejskiego wzoru, zmodyfikowany.

Na widok wchodzącego, Porycki powstał z krzesła z grzecznym pośpiechem, a kiedy Eli z powagą i spokojem zbliżył się ku stołowi, podał mu rękę i wskazał obok stojący fotel.

Po pierwszych krótkich słowach powitania, chwilowe milczenie zapanowało pomiędzy dwoma tymi ludźmi. Żaden z nich nie chciał snadź pierwszy rozpoczynać rozmowy. Oczy Poryckiego z za ciemnych okularów badawczo tkwiły w twarzy Żyda, Eli obojętnem spojrzeniem wodził po papierach, stół okrywających.

Nakoniec gość hotelowy, mniej cierpliwy może, lub bardziej zainteresowany w skutkach mającej się toczyć rozmowy, przemówił pierwszy:

— Pan od dwóch lat już jesteś agentem naszego Domu pośrednictwa?

Eli potwierdzająco głową skinął.

— Od dwóch lat — rzekł z powagą — to jest od pierwszego miesiąca, kiedy ci panowie do nas przyjechali i Dom założyli. A pan?

Polszczyzna Elego była teraz nierównie czystszą i poprawniejszą, niż dawniej. Człowiek ten, który był z kolei ulicznikiem, faktorem, kupcem, dzierżawcą i agentem jakiegoś handlowo-przemysłowego towarzystwa, uczył się snadź z łatwością wielką wszystkiego, czego nauczyć się chciał, lub potrzebował.

— A pan? — zapytał — bo ja nie miałem dotąd honoru słyszeć w naszej Kompanii o nazwisku pańskiem.

Porycki rozparł się w fotelu i z wielką żywością mówić zaczął:

— Nic dziwnego, nic dziwnego, panie Makower, żeś o mojem nazwisku nie słyszał jeszcze. Zaledwie dwa miesiące temu przybyłem do Wilna z Wołynia, no, niezupełnie z Wołynia, bo podróżowałem wprzód po Niemczech, Austryi, Wołoszczyźnie, Besarabii, byłem w Konstantynopolu, morzem Azowskiem dostałem się do Astrachania, stamtąd na Moskwę przybyłem do Pe-

tersburga, a potem dopiero wyjechałem na Wołyń, gdzie mam familię. Musiałeś pan słyszeć o zamieszkującej Wołyń familii Poryckich.

Żyd, który z niewzruszoną obojętnością słuchał rozwijanej przed nim nomenklatury geograficznej, również obojętnie odpowiedział:

— Dlaczego nie? ja o familii Poryckich wiem i dużo słyszałem.

Na pozór słowa te wymówione były zupełnie obojętnie, a jednak w głosie Elego był ton jakiś szczególny, który przykro snadź uderzył hotelowego gościa, bo spuścił nagle śmiałe dotąd oczy i przez chwilę milczał, jakby o coś samego siebie z lekkim niepokojem zapytywał. Zmieszanie to jednak i zaniepokojenie trwało krótko, poczem gość, odzyskując zwykły sobie sposób obejścia się, śmiały, ożywiony i trochę imponujący, zaczął znowu:

— W długich podróżach moich zapoznałem się z najróżniejszemi gałęźmi europejskiej administracyi i europejskiego przemysłu. W Austryi, w Mołdawii, w południowych stronach Rosyi, prowadziłem interesa na wielką skalę, i miałem przed sobą pole, otwarte do wszelkiego rodzaju przedsięwzięć i spekulacyi. To też nie byłbym nigdy ani pomyślał o przyjechaniu do tego biednego, ciemnego kraju, i przyjęciu podrzędnej roli, w jakiej widzisz mnie pan obecnie, gdyby nie osobiste, naglące prośby barona von R..., który stoi na czele Domu pośrednictwa i, w imię przyjaźni, pomocy mojej w tem przedsięwzięciu żądał...

— Za pozwoleniem pana — przerwał Makower — dlaczego ta rola ma być podrzędną? Kiedy ona panu dużo pieniędzy dać może, to ona nie jest podrzędną. Albo to pan baron von R... dla czego innego Dom pośrednictwa założył, jak dlatego, żeby zarobić dużo pieniędzy?

Gość hotelowy wydął zlekka wygolone policzki i, rzucając spojrzenie w sufit, rzekł:

— Baron von R... jest człowiekiem idei.

Żyd zwolna ręką machnął.

— Tak się to mówi, dla honoru... Czy pan baron nie chce przypadkiem majątku jakiego tu nabyć, i czy pan nie przyjechałeś tu z jego plenipotencyą?

— Właśnie, właśnie — odparł Porycki — mam plenipotencyę barona, i nietylko jego...

Tu rozkładać i rozwijać począł z kolei przed oczyma

Żyda wyjęte z teki papiery, przyczem w kształcie komentarzy mówił:

— Oto plenipotencya, na imię moje wydana przez barona von R..., a to druga podobna, którą otrzymałem od grafa K...; tę mam od generała L..., a tę od radcy stanu W... Przywiozłem jeszcze i inne pomniejsze, ale te cztery, a najbardziej już barona, są główne, i powinny obchodzić najżywiej tak mnie, jak pana.

— Mnie? — przeglądając z uwagą papiery, zagadnął Żyd.

— Tak mnie, jak pana — powtórzył gość hotelowy. — Osoby, których nazwiska widzisz pan wypisane u dołu tych papierów, życzą sobie nabyć tu dobra ziemskie. Pan, jako osiadły w tych stronach agent Domu pośrednictwa, najtrafniejszych udzielić nam wskazówek i najlepiej w danym celu współdziałać z nami możesz. Czy dobrze pan zrozumiałeś ten interes?

Żyd nie odpowiedział zaraz. Czytał i czytał przedstawione sobie przez hotelowego gościa urzędowe papiery, oglądał je ze stron wszystkich, przypatrywał się po razy kilkanaście znajdującym się na nich podpisom, aż nakoniec podniósł głowę i, z nieokreślonym uśmiechem na cienkich wargach, z oczyma uważnie utkwionemi w twarz towarzysza, rzekł:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków...

Porycki rzucił się znowu w głąb fotelu, i z nietajonem zadowoleniem odrzekł:

— Zostaję w stosunkach osobistej znajomości i przyjaźni z najdostojniejszemi osobami w kraju.

Żyd nie spuszczał z niego oczu; zdawało się, że odpowiedzi jego, samochwalstwem i blagierstwem tchnącej, wcale nie słyszał. Po chwili milczenia, myślenia i przypatrywania, odezwał się znowu:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków... z rybakami.

Porycki wyprostował się i długo w twarz Żyda popatrzył, jakby myśl, w słowach jego zawartą, dobrze wyrozumieć usiłował. Nagle śmiechem parsknął.

— Rozumiem! — zawołał — ja mam stosunki z rybakami, a pan... z rybami.

Eli potwierdzająco głową skinął i rzekł znowu:

— Pan trzymasz w ręku wędki, a ja mogę pokazać, w które miejsca stawu zapuszczać je trzeba, aby szczupaki łapać...

Porycki śmiać się przestał. Oczy jego z takiem natężeniem w twarz Żyda patrzyły, że blask ich przedzierał się przez szkła

ciemne i grube. Eli przenikliwy wzrok towarzysza spotykał wzrokiem również badawczym, ale spokojnym. Porycki nakoniec pochylił się nieco ku Elemu i, zniżając głos, rzekł z większą, niż dotąd, powagą:

— Wyraziłeś się pan niezupełnie dokładnie. Jeżeli ja i pan działać będziemy wspólnie i zgodnie, wtedy tak rybacy, jak i ryby, zamienią się w naszych rękach w przewyborne dojne krówki.

— Jak to być może? — zagadnął Eli.

— Tak, jak bywa zwykle. Głupi ludzie stworzeni są na to, aby służyć rozumnym za drabinę, po której idą oni ku celom swoim; a jakiż może być cel inny życia mego i twego, panie Makower, prócz ciągnienia zysków?

Wymawiając ostatnie wyrazy, gość ze świetnem nazwiskiem miał na twarzy wyraz bezświadomego, wesołego cynizmu, i białą ręką, zdobną w wielki pierścień z herbem, uderzył się po kieszeni.

— Niech pan mówi o sobie, ale nie o mnie — z powagą ozwał się Eli — u każdego z nas inne mogą być cele. Ale kiedy my z panem mamy robić interes, to celem interesu tego naturalnie musi być zarobek. A dlaczego nie zarobić, jeżeli można? każdy chce zarobić.

— Otóż to — rzekł gość — podajmy sobie ręce, panie Makower, i działajmy wspólnie.

Podali sobie dłonie. Porycki uczynił to z pewnym, ruchy jego cechującym, niespokojnym, nerwowym jakby pośpiechem; Eli z obojętnością, a nawet z rodzajem chwilowego ociągania się. Porycki zwrócił się ku drzwiom od korytarza.

— Hej! służba! — zawołał.

Eli powolnym giestem zatrzymał rękę jego, sięgającą ku taśmie od dzwonka.

— A czego to pan chce? — zapytał.

— Rozkażę podać buteleczkę szampana. Wypijemy za pomyślność interesów naszych i trwałość przyjaźni naszej z tobą, panie Makower.

— A na co to wszystko? — wyrzekł Żyd z flegmą. — Na co tu szampan i na co tu przyjaźń? Kiedy mam o interesach gadać, nie lubię wina pić; od niego w głowie robi się ciemno, a interesa to taka rzecz, że najlepiej *ich* robić, kiedy w głowie widno, a naokoło cicho.

Porycki zmieszał się trochę tem odrzuceniem przez Żyda propozycyi, jaką uczynił w przystępie zadowolenia i dobrego

humoru. Po wązkich wargach jego przebiegł szybki uśmiech wzgardliwy, tłómaczyć się mogący słowami: i poco to ludziom takim zarobki i pieniądze?

— Może więc przynajmniej cygaro zapalić zechcesz, panie Makower?

— Dlaczego nie? Cygaro nie szumi i w głowie ciemno nie robi, to można je palić, o interesach gadając.

Zapalili obaj cygara, które Porycki wyjął z cygarnicy kosztownej, i usiedli znowu obok siebie przy stole.

Eli nie zaczynał rozmowy; oczekiwać na pierwsze słowo tego, z kim miał rozmawiać, było snadź jego zasadą. Nie śpieszył się zresztą i nie niepokoił, a jakiemikolwiek były tajemne zamiary i żądania jego, czuł się na dobrze znanym sobie gruncie działania.

Porycki więc pierwszy znowu głos zabrał.

— Od dwóch lat, to jest od czasu, w którym zostałeś pan agentem towarzystwa pośredniczącego w sprzedażach majątków, rozwijałeś pan działalność swą w bliższych okolicach miasta N., gdzie, przez pośrednictwo pana, kilkanaście większych i mniejszych posiadłości ziemskich właścicieli swych zmieniło. Dalsze jednak strony tutejszego powiatu są dotąd, o ile nam wiadomo, zupełnie nienaruszonemi, a z dóbr, położonych dokoła miasteczka Orchowa, na obszarze mil sześciu lub ośmiu, mniej więcej, żadne nie przyniosło jeszcze w zysku Domowi pośrednictwa ani jednego rubla.

— To prawda — potwierdził Eli — ale widzi pan, ja nigdy nie zrywam owocu, kiedy widzę, że on jeszcze nie dojrzał. Takie owoce, jak te, o których my gadamy, najprędzej dojrzewają blizko jakiegokolwiek, choć trochę większego, miasta. Ja też zerwałem je, a tamte były jeszcze niedojrzałe, więc ja ich zrywać nie próbował. Teraz co innego, teraz może już i na tamte pora...

— Wybornie! — zawołał Porycki — trafnie więc czas wybrałem do eksploatowania gruntu, jeszcze nie wyeksploatowanego. Jeżeli jednak, panie Makower, mniemasz, że my z naszej strony żadnych nie mamy wiadomości o tem, co się tu dzieje, to mylisz się wielce. I my także posiadamy naszą małą kartę geograficzną, ze skreślonemi na niej niektóremi drogami i zaznaczonymi punktami.

Tu rozwinął duży arkusz papieru, który nie był dotąd w ręku Elego, i tym samym tonem dobrego humoru, jakim mówił słowa poprzedzające, przeczytał:

— *Numer pierwszy:* dobra Orchów, wraz z miasteczkiem tegoż nazwiska. Grunta dobre, lasy wielkie, łąk poddostatkiem, dwór obszerny, z ogromnymi i starożytnymi ogrodami. Własność Mieczysława Orchowskiego. *Numer drugi:* folwark Rydlówka. Obszar mały, gospodarstwo we wzorowym stanie, dogodności gospodarskie wszelkie, dom mieszkalny świeżo zbudowany i pozór małego, bardzo gustownego pałacyku mający. Własność Kamila Orchowskiego. *Numer trzeci:* Ręczyn. Rozległość księstewka udzielnego, grunta mierne, gospodarstwo w stanie opłakanym, pałac murowany nad brzegiem Niemna, w położeniu malowniczem. Dziedzic Konrad Ręczyc. *Numer czwarty:* Łozowa, ziemia wyborna, pszenna, rozległość znaczna. Dziedzic Łozowicz. *Numer piąty:* Białowola. Folwark nieduży, grunt wyborny, położenie piękne, nad wielkim stawem i między sosnowymi lasami. Dziedziczka wdowa po Kajetanie Orchowskim, Leontyna z Ręczyców Orchowska.

Przeczytawszy to wszystko, odłożył papier na stronę i z wyrazem tryumfu zapytał:

— I cóż, panie Makower, nie dziwi cię to, że, siedząc o mil kilkadziesiąt, członkowie Domu pośrednictwa tyle o stronach tych wiadomości posiadają?

Eli zlekka ramionami wzruszył.

— Dlaczego ja mam dziwić się, kiedy to ja sam wiadomości te im posłałem?

— No, proszę! nie powiedzieli mi nic o tem — rzekł Porycki, zbity trochę z toru odpowiedzią Żyda. — Powinienem był jednak domyślić się tego, bo, jak honor kocham, sprytnym był człowiek, co spis ten wykonał. Żadnej cyfry, żadnego pewnego określenia, ani ilości ziemi, ani intrat, ani stanu dworu i inwentarzy. Chcecie wiedzieć o czem na pewno? to przyjdźcie i zobaczcie. Nie macie czasu na oglądanie? nie chcecie odbywać dalekich podróży? to spuśćcie się na mnie i wierzcie mi na słowo, albo przyślijcie tu do mnie plenipotenta, Ildefonsa Poryckiego naprzykład, a my już z nim wspólnie porachujemy, wymierzymy i, przed ostatecznym aktem nabycia, wizerunki przyszłych dóbr waszych wam złożymy. Czy wizerunki te podobne będą do swych oryginałów? to już wasza rzecz, nie moja... Wybornie! wybornie! jak honor kocham! Cieszę się całem sercem, cieszę niewypowiedzianie i poczytuję to sobie za prawdziwy zaszczyt, żem poznał pana, panie Makower.

Śmiał się gość hotelowy, mówiąc to, śmiał się jeszcze i po-

tem przez chwilę, i zwyczajem swym, rozpierając się w fotelu, rzucał pod sufit kłęby cygarowego dymu.

Z twarzy Elego można było poznać zadowolenie z tego, że został zrozumianym, ale zadowolenie to cichszem było nierównie i objawiło się tylko przelotnym uśmiechem.

— Niech się pan nie cieszy tak z góry — rzekł Eli. — Nie mówmy: hop! póki nie przeskoczym. Jeszcze ja z panem o pańskich ludziach nie mówił i nie wiem dobrze, co to za jedni, co z nimi można, a czego nie można.

Głośna wesołość Porycki ego zniknęła nagle, jakby na rozkaz hamującej ją woli.

— Później — rzekł z powagą — pomówimy obszernie o *moich*, a teraz powiedz mi pan cokolwiek *o swoich*. Znać ludzi, z którymi będzie się miało do czynienia — to rzecz główna.

— Dobrze pan mówi, to rzecz główna — potwierdził Żyd — a ponieważ my już z panem razem do tej roboty brać się musimy, więc pan powinieneś wiedzieć wszystko, co ja wiem, żeby czasem krzywą drogą do kogo z nich nie pójść, i roboty przez to nie zepsuć. Ja panu powiem o nich wszystkich, kto oni są i *jakie*.

— Czy tylko pewnym pan jesteś, że znasz ich dobrze?

Dziwny uśmiech, wyrażający szyderstwo, wzgardę i dumę zarazem, przeleciał po twarzy Elego.

— Ja miałbym ich nie znać? Chybabym oczu i uszu nie miał. Ja, kiedy byłem małym chłopcem jeszcze, widziałem ich ojców, jak do zajezdnych domów w miasteczku naszem przyjeżdżali, kupowali, sprzedawali, stękali i hulali; a potem ja im kupców stręczył i sam kupcem był; a potem ja u nich albo sam majątki w posesyi trzymał, albo trzymali *moje* bracia i szwagry, i krewni... Ja miałbym ich nie znać? Ot, niech pan słucha!

Porycki obu łokciami oparł się o stół, twarz na dłoni złożoną przybliżył do twarzy Żyda i, patrząc na niego z wytężoną uwagą, rzekł:

— Słucham! Zaczynaj pan od początku.

Eli siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi złożonemi na kolanach, ze schyloną nieco w zamyśleniu głową. Przez chwilę milczał, a potem powoli i z namysłem mówić zaczął:

— Z przeproszeniem pańskiem, ja zacznę od końca.

— Więc od *numeru piątego*?

— Od *numeru piątego*. A jakie tam nazwisko stoi przy tym numerze? Białowola, własność pani Orchowskiej wdowy. Nu, ta

pani Orchowska to była kiedyś kobieta bardzo wesoła, ale potem zrobiła się bardzo smutna. Ten smutek przyszedł na nią od tego, że już między ludźmi nie tak dobrze szło, jak dawniej, na balach nikt na nią patrzeć nie chciał, tylko wszyscy patrzyli na młodsze i piękniejsze od niej. Ona miała męża i dwóch synów, i jedną córkę, śliczną córkę! wielki majątek i dużo ludzi we dworze; ale to jej nic nie pomagało. W czarnej sukni chodziła i mówiła, że ona nikomu niepotrzebna i nic do robienia na świecie nie ma. A jak na nią taki wielki smutek przyszedł, to ona zrobiła się bardzo nabożna. Kiedy stary pan Orchowski umarł, synowie... to jest jeden syn... dał jej Białowolę, jabłuszko małe, ale złote. Nu, ona i tam nie miała co robić i była bardzo smutna, a żeby ludzie wiedzieli o jej wielkim smutku, ona w całym swoim białowolskim dworze zrobiła wszystko czarne. Firanki u niej przy oknach czarne, i pokrycie na meblach czarne, i służba chodzi czarno. Ale była przy niej córka, młoda panna, co nie chciała być smutna i przeszkadzała modlić się: więc ona oddała ją do miasta do jakiejś pani Ręczycowej, o której później powiem. Ta pani Ręczycowa woziła ją na bale, i robiła jej różne rozrywki, bo ona rozrywki bardzo lubi, a potem ją za syna swego za mąż wydała. Pani Orchowska zaś, jak tylko jej córka za mąż poszła, urządziła sobie w swoim domu jeden pokój cały czarnem suknem obity i w trupie głowy pomalowany. W tym pokoju okiennice zawsze zamknięte, i świece woskowe palą się, i ona tam siedzi i modli się, a mówią ludzie, że bardzo płacze. Z nią w naszym interesie biedy nie będzie, bo ona nic nie lubi, i jej nic nie obchodzi, a żeby jej powiedzieli, że w Australii jest dla niej przygotowany taki sam pokój, z czarnem suknem i trupiemi głowami, to ona sprzeda Białowolę i tylko ją trzeba będzie na ręce wziąć i do Australii zanieść, bo sama, z własnej woli i własnego rozumu, trzech kroków nie zrobi... Ot i wszystko o *numerze piątym.*

— *Numer czwarty* — zaczął Porycki, patrząc w papier. — Fabian Łozowicz. Zasłyszałem ja coś tu i owdzie o tym Łozowiczu. Ma on nawet podobno rodzaj sławy parafialnej, czy gubernialnej, jako człowiek zadziwiająco dobry.

Eli skinął głową, na znak potwierdzenia.

— To prawda — rzekł — dobry on bardzo dla wszystkich, tylko nie dla swoich własnych dzieci, i nie dla tych, co jemu pieniędzy pożyczają. On kupę rezydentów u siebie trzyma, i jak zobaczy biednego, to gotów surdut z siebie zdjąć, a jemu oddać, ale jego własne dzieci w podartych sukniach chodzą, i niczego

nie uczą się, a kto jemu pieniędzy pożyczy, albo co na kredyt da, to jakby w wodę wrzucił; nie dlatego, żeby on był niepoczciwy, broń Boże! ale dlatego, że wszystko zawsze rozda, a czego nie rozda, to mu rozkradną, bo on nic nie widzi i na nic nie patrzy, co wkoło niego dzieje się, tylko wiersze pisze i maluje. Dobry on, to prawda, ale nie człowiek.

Porycki parsknął śmiechem.

— Poczciwota jakiś! — zawołał. — No, mam nadzieję, że z piękną jego Łozową wielkiego kłopotu nie będzie; musi on już ją trzymać na włosku. Teraz więc *numer trzeci:* Konrad Ręczyc.

— O tym niema co długo gadać. On człowiek niezły, grzeczny i gospodarz byłby może z niego jaki taki, gdyby go nie zjadały i od wszystkiego dobrego nie odprowadzały trzy rzeczy: konie, matka i żona.

— Czy to nie jego właśnie żoną jest owa piękna córka tej pani z Białowoli, bardzo smutnej i bardzo nabożnej?

— Zgadł pan. On ożenił się z panną Lilą Orchowską, a raczej ożeniła go z nią matka, bo on matkę bardzo kocha i robi wszystko, co ona chce, a ona niczego więcej nigdy nie chce, jak pieniędzy, rozrywek, pięknych mebli i drogich sukien. Myślała, że panna Lila Orchowska mieć będzie duży posag...

— Pan Konrad tedy musi żony nie kochać, skoro ożenił się z nią tylko przez uległość dla woli matki! Rozumiem więc... obojętność pomiędzy małżonkami, niezgody familijne, stąd częste wyjazdy, podróże, bezrząd w domu, długi, ruina...

— Z przeproszeniem pańskiem, pan Konrad, czy jak go tu wszyscy nazywają, pan Konio, ożeniwszy się, zaczął żonę kochać, bo on miękkiego serca, a jego żona bardzo piękna. Ale ona jego nie kocha i mówią ludzie, że suchot prędko dostanie z wielkiego smutku...

— Zajmująca istota! — półgłosem rzekł do siebie Porycki i dodał głośniej: — wszak to być musi siostra panów Kamila i Mieczysława Orchowskich? Jakiż to człowiek ten pan Kamil z Rydlówki?

— Ten pan Kamil to bardzo pyszny i bardzo uczony pan. On taki pyszny, że kiedy stąpa po kamieniach, to jemu zdaje się, że on tym kamieniom wielki honor robi, a taki uczony, że jak kto jego poprosi o kawałek chleb, to on, zamiast dać, zaraz opowie, skąd wzięło się to żyto, z którego chleb zrobiony, i z czego ono składa się, i kto je pierwszy na świecie posiał. On jedną

tylko osobę bardzo kocha, a ta osoba to on sam, i o jedną rzecz bardzo dba, a ta rzecz to jego własna wygoda.

— Rozumiem — rzekł Porycki — epikurejczyk, kosmopolita, nie wdający się w żadne sentymentalizmy i ideały... Mądry jakiś człowiek! lubię go już, nie znając. Czy brat jego, Mieczysław, podobny do niego?

Na pytanie to Eli Makower długo nie odpowiadał, brwi jego się zsunęły z wyrazem głębokiego zamyślenia, oczy nieruchome utkwiły w ziemi. Szyderski i przenikliwy umysł ten, który, bez najlżejszego wahania się, z tłoczącą wzgardą i niemiłosierną obojętnością, rysował przed badawczym wzrokiem *głównego agenta* moralne wizerunki osób innych, tym razem znaleźć się musiał wobec zagadki nierozstrzygniętej jeszcze i własną jego ciekawość budzącej.

Milczał długo i myślał, a potem, nie podnosząc oczu i nie rozchmurzając czoła, powolniej niż dotąd i z większym namysłem mówić zaczął:

— O tym panu Mieczysławie najdłuższe teraz będzie między nami gadanie, a kiedy już przystąpim do naszego interesu, to z nim najtrudniejsza będzie robota. Jest to owoc, który dla nas nie dojrzał jeszcze i nigdy może nie dojrzeje, a zerwać go nie będziemy mogli inaczej, jak z wielkim gwałtem.

— A jednak — z widocznem niezadowoleniem przerwał Porycki — zerwać go trzeba koniecznie; bo orchowskie właśnie dobra stać muszą u nas na pierwszym planie. Nabyć je pragnie baron von R. Rozumiesz pan?

Zdawało się, że w zamyśleniu swem Eli przerwy tej nie zauważył.

— Jest to człowiek, — mówił dalej — o którym ja sam nie wiem dobrze, co myśleć. Dawniej on był taki, jak inni: hulaka, wesoły i trochę rozrzutny. Zawsze tylko ojca bardzo kochał. Nie było dnia, żeby do starego nie przyjechał i długo z nim nie gadał, a czasem to i całe dni u niego siedział i książki mu czytał. Kiedy pan Kajetan Orchowski umierał, nie było przy nim nikogo z familii, prócz pana Mieczysława. Opowiadają ludzie, że pan Kajetan całą noc przed śmiercią mówił synowi o jakichś ważnych rzeczach i, płacząc bardzo, prosił go o coś i napominał, a on jemu przyrzekał i przysięgał. Jakie to były przyrzeczenia i przysięgi, może ja i domyślam się — ale o tem, co umierający ojciec mówi ze swoim synem, cudzym ludziom gadać nie trzeba. Ja sam mam starego ojca i wiem, co to znaczy, kiedy on mnie o co prosi, albo napomina.

Po ustach Poryckiego przebiegł szybko powściągniony uśmiech szyderski. Snadź miłość synowska, głęboko wrosła w serce Elego, nie znajdowała w piersi i umyśle głównego agenta sympatycznego oddźwięku.

Po chwili milczenia Żyd mówił dalej:

— Ja wtedy był posesorem Orchowa i myślał zawsze, że po śmierci starego pan Kamil, jako bardzo pyszny, zechce sobie wziąć wielki Orchów, a brata uczonym swym rozumem przekona, że jemu dość będzie małej Rydlówki. Ale wielki Orchów obciążony był długami, a mała Rydlówka czysta, jak łza; pan Kamil tedy powiedział: — »Ja wezmę Rydlówkę. Małe to, ale spokojne i bezpieczne. Ty, Mieczysławie, zginiesz w tych długach i w tej ruinie!« — »A co pan myśli, że on jemu na to odrzekł? On odrzekł: — »Będę czarny chleb jadał i w siermiędze chodził, będę od rana do wieczora pracował, a Orchów wyratuję«. Potem on stanął przy oknie i patrzył na pola, co tam dokoła dworu leżą, a twarz jego była bardzo blada i usta jego trzęsły się. Mnie się zdawało, że on podobny był wtedy do człowieka, co na wojnę idzie.

I znowu Żyd umilkł na chwilę i patrzył w ziemię, a towarzysz jego uśmiechał się lekceważąco i rzucał pod sufit kłęby dymu.

— Oni wtedy dzielili się majątkiem — opowiadał dalej Eli — a z nimi był prawnik, ich plenipotent, i ja byłem, bo mi się od nich trochę pieniędzy należało. Ja wszystko widział i słyszał, jak było. Pan Kamil chciał, żeby brat dał mu dużo pieniędzy w dodatku do Rydlówki, i bardzo długo dowodził, że przy wielkim Orchowie jest honor, a przy małej Rydlówce powinny być za to pieniądze. Ale pan Mieczysław powiedział, że on nie dla honoru Orchów bierze i, jak zaczął liczyć, tak wyliczył, że pan Kamil żadnej pretensyi do niego mieć nie może.

Potem była mowa o siostrze. Pan Kamil powiedział, że jej trzeba dać tylko czternastą część ojcowskiego majątku, to jest tyle, ile prawo każe, i znowu długo prawił o tem, że jeszcze w Rzymie kobiety mniej brały majątku, niż mężczyźni, że mężczyzna zachowuje blask familii i robi honor nazwisku, więc powinien być bogatszy od kobiety, która idzie za mąż i z mężowskiego bogactwa żyje. Wtedy pan Mieczysław powiedział: »Jak sobie chcesz, tak zrobisz: ale ja dam siostrze dwadzieścia tysięcy rubli«. Jak powiedział, tak zrobił: wydał siostrze oblig na dwadzieścia tysięcy rubli. Ot, jaki on człowiek, i niech pan z tego miarkuje, czy łatwy z nim będzie interes.

Porycki, który od czasu, gdy mowa zaczęła być o cyfrach i podziale majątków, ze zdwojoną uwagą słuchał opowiadania i szczegóły jego z widoczną starannością w pamięci swej notował, zapytał:

— Czy sumę tę pan Mieczysław spłacił już siostrze?

— Jak mógł zapłacić, kiedy tam różnych cudzych długów kupa wielka była? Siostra, zwyczajnie jak siostra, czeka i tylko procent bierze, który pan Mieczysław regularnie płaci.

— Siostra, jak siostra, czeka — powtórzył Porycki — ale że szwagier nie dopominał się dotąd, to mię bardzo dziwi.

— Ja panu mówił, że ten pan Konrad ma niezłe serce, a zresztą on i niebardzo potrzebował tych pieniędzy.

— Ale gdyby potrzebował, toby szwagierka przycisnął i do sprzedania Orchowa zmusił — ze znaczącem mrugnięciem zagadnął Porycki.

Żyd głową wstrząsnął.

— To może być i może nie być. Żeby on tak zrobił, toby szwagra zgubił, i na to bardzo liczyć nie trzeba. Co się tyczy pana Mieczysława, on w kilka miesięcy po śmierci ojca ożenił się...

— A! — przerwał Porycki z widocznem niezadowoleniem — ożenił się pewnie z bogatą panną, posag wziął albo weźmie, i z naszej roboty nic nie będzie.

— Przepraszam pana, on ożenił się nie z bogatą panną, ale z biedną dziewczyną, guwernantką.

Schmurzone czoło głównego agenta rozjaśniło się.

— O poczciwy głupiec! — zawołał ze śmiechem. — Przez całe życie pracował nad tem, abyśmy teraz łatwiej do jego Orchowa dobrać się mogli.

— Jak widzę, — rzekł Żyd powoli — to pan lubi na każdą rzecz z jednej tylko strony patrzeć! No, to od gustu zależy; ale ja lubię rzeczy ze wszystkich stron obejrzeć.

Filuterny uśmiech przewijał się po ustach Elego, gdy słowa te wymawiał.

— Pan mówi, że on zrobił głupio, żeniąc się z biedną guwernantką, a ja mówię, że on zrobił rozumnie. Żeby on ożenił się z bogatą panną, toby ją musiał do ślubu powieźć w pięknej karecie, a w domu miałby zbytki i bale, i meble z Warszawy, i suknie z Paryża. Posag dyabli-by wzięli, a bieda byłaby jeszcze większa. Ale panna Michalina Szyłłówna nie potrzebuje od niego ani karety, ani balów, i w domu z założonemi rękoma nie siedzi; bo kiedy ona była biedną guwernantką, to przywykła pracować,

i w jednej wełnianej sukience chodzić, i kaprysów żadnych nie mieć. On, żeniąc się, nietylko karety nie kupił i mebli z Warszawy nie sprowadził, ale wszystkie pojazdy, piękne konie, drogie meble, srebra i klejnoty, które w Orchowie jeszcze były, sprzedał, a pieniądze, które za nie wziął, mnie oddał, bo mój dług był najpilniejszy. Ja, przyznam się panu, pieniędzy tych brać nie chciałem, bo wolałbym Orchów nadal w posesyę wziąć. Ale on zaśmiał się i powiedział: »A co ja będę robił, panie Makower, jeśli pan tu u mnie gospodarować będziesz?« I ja z Orchowa wyjechać musiałem. Teraz to oni tam żyją w tym Orchowie, nie jak panowie, ale jak ekonomy... nu, co ja mówię? ich ekonomy dawniej żyli lepiej i pracowali mniej, jak oni teraz żyją i pracują.

— A więc — rzekł Porycki wpół z niezadowoleniem, wpół z szyderstwem — bogacz już być musi teraz z tego pana Mieczysława. Długi pospłacał, kapitały zbiera.

— Długi to rzeczywiście prawie wszystkie pospłacał, prócz tego, co siostrze się należy; ale co do kapitałów, to jeszcze tam o nich ani słychać.

— Ani słychać? Proszę! A jednak pracują oboje.

— W naszem teraźniejszem gospodarstwie, widzi pan, pracować bez pieniędzy, to wszystko jedno, co wodę do dziurawego naczynia lać. Co wleje się, to i wyleje.

Porycki zaśmiał się.

— Aha! — zawołał — więc ten rycerz twój, panie Eli, od stóp do głowy w pancerz żelazny zakuty, ma jednak Achillesową piętę jakąś, w którą trafić można, aby go powalić na ziemię.

— Ja nie wiem, co to za pięta, o której pan mówi — z przebiegłym uśmiechem odparł Żyd. — Ja tylko to wiem, że jeżeli który z nich nie ma dziś pieniędzy na gospodarstwo, to siedzi on na majątku swoim, jak na lodzie. Jak słońce przygrzeje, lód stopi się i on utonie.

— Szczególniej, jeżeli bawi się w wydawanie siostrom obligów.

Po wymówieniu słów ostatnich, agent główny milczał chwilę i, z rozjaśnioną zadowoleniem twarzą, białe ręce zacierał.

— No, — rzekł — jest tam jeszcze na spisie moim niemało imion innych ludzi i miejscowości, ale o nich pogadamy później; te bowiem, o których mówiliśmy przed chwilą, są dla nas najważniejszemi. Idzie teraz o to, jak zrobić znajomość z ludźmi

tymi, jak przyciągnąć ich i w interes z nami wprowadzić. Plan, z którym tu przyjechałem, jest następujący. Najmuję w N. piękny jaki obszerny lokal, w pokaźnem i uczęszczanem miejscu położony, urządzam parę wielkich salonów z lustrami, firankami i eleganckimi meblami, a nad wejściem od ulicy zawieszam wielką tablicę, na której pozłacanemi literami stać będzie napis: *Filia Domu pośrednictwa*. Być może, iż kupię sobie ładny powóz i będę nim jeździł po mieście, aby widziano, jak występuje główny agent Domu i Prezes filii. Słowem, trzeba nam wiele blasku, szumu, elegancyi, tytułów, a oni się na to wszystko złapać dadzą, jak sroki na błyszczące blaszki. Cóż, czy nie dobry projekt?

Śmiał się, mówiąc to, Porycki, i znowu ręce zacierał. Ale Żyd nie podzielał uniesień jego.

— Z przeproszeniem — rzekł po chwili milczenia — projekt pański niedobry. Oni lubią wszystko, co błyszczy i brzęczy, to prawda; ale oni i inne jeszcze rzeczy lubią i z tem liczyć się koniecznie trzeba. Jak oni zobaczą te wszystkie napisy i salony, o których pan mówi, to oni zaraz pytać się będą jedni drugich: a to co znaczy? a na co to? I zejdą się do kupy, zaczną myśleć i będzie gwałt, strach, wielkie gadanie o tem, że ich chcą wywłaszczyć, zgubić. Każdy z nich schowa się przed tymi salonami, przed tą tablicą i przed panem agentem, który powozem jeździ, i zrobi się tak, że ten, co był hultaj, weźmie się do roboty, a ten, co pieniądze rozrzucał, będzie je w kieszeni dusił, a ten, co milczał, krzyknie: ostrożnie! Wtedy interes nasz z pewnością źle pójdzie i pan baron von R..., i pan generał L.... i wszyscy inni pańscy ludzie kontenci nie będą... Ja panu powiem. To jest interes taki, który lepiej rośnie pod ziemią, niż na ziemi.

— Każdego z nich trzeba brać osobno i zaczynać pocichu, z daleka, ale ze wszystkich stron razem. Fajerwerków żadnych nie wyprawiać, *strachów nie wypuszczać*, nikogo nie budzić i tak zrobić, żeby ptaki były w klatce, nim się jeszcze spostrzegą, że ta klatka nie na jednego z nich postawiona, ale na wszystkich. Ot jaki mój projekt.

Porycki z niezadowoleniem słuchał słów tych Elego. Miał on sam widać wielki pociąg do wszystkiego, co błyszczy i brzęczy, i z trudnością przychodziło mu wyrzec się perspektywy świetnych salonów.

Że jednak zachcianki wytworności i przyzwyczajenia blagierskie łączyły się w nim z chciwymi popędami spekulacyi, wywody cichego, w żydowski chałat ubranego, lecz przebiegłego

i wytrawnego spekulanta nie mogły nie trafić do jego przekonania. Eli zresztą był mu potrzebnym, — bez jego pomocy planów swych w żaden sposób ziścić nie mógł.

Po chwili więc milczenia, podczas której żegnał z przykrością wymarzony przez się obraz, rzekł:

— Niech i tak będzie! Każdego z nich weźmiemy osobno i obejdziemy dokoła — pocichu. Jutro zaraz jadę do Orchowa. Ciekawym, doprawdy, zobaczyć tego rycerza.

Eli uczynił żywe poruszenie.

— Niech pan do niego nie jedzie, bo pan nic nie zrobi i interes do reszty zepsuje.

— A to dlaczego?

— Nu, już ja wiem dlaczego. Pan jedź do Ręczyna, a do Orchowa ja sam pojadę. Pan Mieczysław z panem i gadać nie zechce... ze mną, to co innego.

— Ciekawym dlaczego?

Eli odpowiedział:

— Ja — Żyd, Makower, a pan Porycki!

— Głupstwo! — wymówił agent główny.

— Dla pana i dla mnie to głupstwo, ale pan Orchowski inaczej o tem myśli. No, a teraz może trochę o pańskich ludziach pogadamy.

Zapalili nowe cygara, popróbowali drzwi, czy dobrze zamknięte, umieścili krzesła swe ściśle jedno przy drugiem i, z głowami opartemi na dłoniach, z twarzami zblizka ku sobie pochylonemi, szeptali długo. Porycki opowiadał i śmiał się często, Eli słuchał uważnie i kiedy niekiedy tylko uśmiechał się zlekka. Było już po północy, gdy wzięli obaj ołówki i na kartkach papieru kreślić zaczęli i przekreślać długie cyfr szeregi.

Przy końcu rozmowy w szepcie tych dwóch ludzi czuć było sprzeczkę lekką. Porycki parę razy głos podniósł i powtórzyły się w ustach jego wyrazy: procent, podział, zysk. Ale Eli nie sprzeczał się, nie gniewał, głosu nie podnosił. Powstał i, biorąc do ręki jeden z leżących na stole wizytowych biletów, zwolna wymówił:

— Z przeproszeniem pańskiem, ja jeszcze coś powiem. Pan nie nazywasz się *Porycki*, tylko *Pirucki*. Odmienić w nazwisku swojem dwie litery, to zdaje się mała rzecz, ale przez to ludzie zaraz myślą o panu, że pan jesteś hrabia, z wielkiej familii pochodzisz, a stąd honory dla pana wielkie, a jak u kogo, to i wiara w pańską poczciwość większa. Ja nie mówię, że pan źle zrobił,

ja nic nie mówię... ja to powiedziałem dlatego tylko, żeby pan wiedział, że ja o tem wiem.

Przy pierwszych zaraz słowach Żyda, Porycki zarumienił się gwałtownie, potem zbladł bardzo, ręce i usta mu zadrżały i gniewnie zawołał:

— Skąd pan wiesz o tem?

— Dlaczego ja mam nie wiedzieć? — odparł Eli. — Nas było rodzeństwa osób piętnaście. Kiedy my wszyscy pożenili się i powychodzili za mąż, to nas zrobiło się trzydzieści. Żebyśmy tylko po dwoje dzieci mieli, to byłoby w naszej familii osób 60, ale u nas dzieci rodzi się więcej. Widzi pan, jaką ja mam wielką familię, a ta familia wszędzie jest, i na Wołyniu także jest, i jak pan wyjeżdżał stamtąd na agenta Domu pośrednictwa, to już ja wiedział, kto pan, skąd i jaki. Ot i wszystko. Niech pan ani dziwi się, ani lęka, ja nie czarownik i nie denuncyant. Ja to tylko powiedziałem dlatego, ażeby między nami zawsze zgoda była. Dobranoc panu. Jutro jadę do Orchowa, a pan jedź do Ręczyna. Wszystko będzie dobrze.

Z temi słowami Eli opuścił hotelowy pokój. Po odejściu jego Porycki stał długo, jak skamieniały, przy stole.

— Niegodziwe Żydzisko! — szepnął przez zaciśnięte zęby — trzyma mię teraz w ręku!

Po chwili dodał:

— Chciałbym bardzo wiedzieć, czy też on wie co i o Julii.

Widocznie przecież lekkomyślność była jedną ze składowych cech charakteru człowieka tego, bardzo prędko bowiem ochłonął z gniewu swego i przerażenia, uczynił ręką giest lekceważący i rzekł:

— At! co tam, strachy na Lachy! Interesa zapowiadają się pięknie i .. ciekawie. Ciekawy jest, jak honor kocham, ten pan Mieczysław Orchowski, sentymentalny głupiec, który konającemu ojcu swemu składał przysięgi jakieś. Ożenił się z guwernantką i żyje, jak ekonom. Ciekawa jest siostra jego, piękna Lila, która męża swego nie kocha, a w ślicznej łapce swej trzyma losy brata, pod postacią dwudziestotysięcznego obligu.

Koniec części pierwszej.